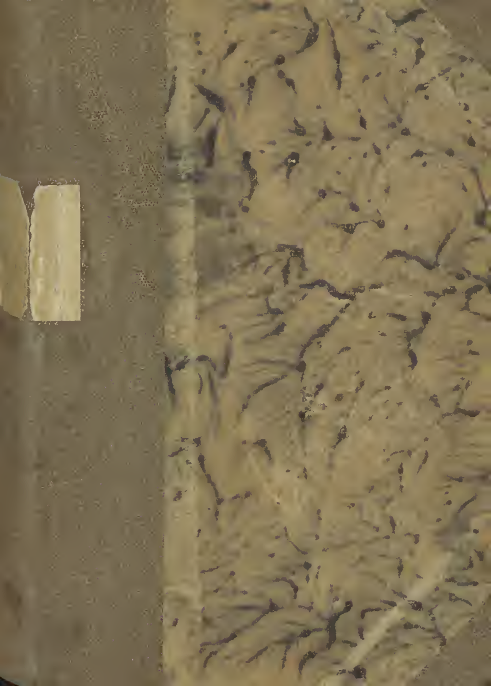
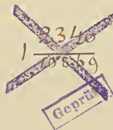


ADOLF NOWACZYŃSKI

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA...



WARSZAWA 1938

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO



Okładka projektu Atelier „Mewa"
Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka. Warszawa

SIOSTRZE AMANDZIE

NIEZNANY LIST JANA DO MARYSIEŃKI

Przedmowa odkrywcy

Szczęśliwym, wyjątkowo szczęśliwym trafem odnalazł się wreszcie i ten królewski list, o którym kiedyś nietylko w kołach uczonych przebąkiwano ale dokoła którego wytworzyła się jakaś dziwna legenda.

Byli jakoby sto lat temu tacy, co list ten już mieli w rękach. Inni chwalili się, że czytali go w każdym razie w odpisach. Z czasem gdzieś nawet i te mityczne odpisy poznikały a o istnieniu oryginału zaprzestano nawet mówić. Specjaliści historycy tej epoki kategorycznie negowali istnienie nawet krążących ongi między ludźmi kopij. Ant. Z. Helcel, który w r. 1860 wydał z odpisów J. S. Bandtkiego „Listy królewskie" z r. 1670, w Bibljotece Ordynacji Myszkowskiej (Wielopolskich) przechowane, całkiem stanowczo oponował nawet przeciw legendzie. Władysław Chomętowski, autor ciekawej pracy p. t. „Synowie hetmana", podobno wprost oburzał się gdy go zapytywano co wie w sprawie listu nieznanego. Nic też o istnieniu listu tajemniczego nie wiedział świetny monografista królowej, Kazimierz Waliszewski („Maria de la Grange d'Arquien", Paryż 1898). Co dalej najważniejsze w tej kwestji to argument, że hr. Edward Raczyński, jak wiadomo pierwszy wydawca kompletu listów spod Wiednia (drukiem Glücksberga, Warsza-

wa 1823), daje tych listów 30 i w klasycznej swojej przedmowie ni jednem słowem o wyeliminowaniu czy niedrukowaniu jeszcze jednego (najciekawszego) nawet nie wspomina ani też o egzystowaniu takiego jednem choćby słowem nie natrąca. Wśród nowych i najnowszych i współczesnych nam badaczów i znawców ery i panowania Jana III też o tym liście cicho i głucho, jakby istniała jakaś formalna zmowa. Można było przypuszczać w ostatnich czasach, że z okazji 250-lecia (1933), któryś z młodszego pokolenia historyków zagadkę nieznanego listu jednak znów wyciągnie pod światło i... rozwiąże. Tymczasem znów zawód. Milczenie.

Trzeba było tedy posiadać spory zapas uporu i zawziętości, żeby całkiem niezależnie od uczonych i specjalistów prowadzić na własną rękę poszukiwania, uwieńczone wreszcie po trzydziestu krągło latach nadspodziewanym a całkiem przypadkowym sukcesem. Piszemy; trzydziestu, gdyż jest to zgodne czy to z prawdą czy też z ewentualną fikcją.

Że jednak perypetje tych poszukiwań niepozbawione bywały faz może nietyle fantastycznych ile w każdym razie dziwacznych, przeto nie wypada teraz zataić ich przed tymi, którzy nowoodkryty list dostaną po raz pierwszy w ręce.

Mniejwięcej trzydzieści lat temu obiecujący młody autor historycznych dramatów po raz pierwszy posiadł egzemplarz „Listów Jana III" w wydaniu hr. Raczyńskiego. Nabył go w jednym z tych już dziś nieistniejących antykwarjatów krakowskich przy ulicy Szpitalnej, czarująco ciemnych, stęchłych (Dickensoskich), przepełnionych odgóry dodołu zwałami foljantów i foljałów, czarnych i białych kruków. Obok Listów nabył wtedy u „dziadzia Taffeta" plik poszytów (prawie rocznik) literackiego lokalnego perjodyku z r. 1821 p. t. „Pszczółka Krakowska". Ten szczegół trzeba sobie dobrze zapamiętać! *„Pszczółka Krakowska"!* Poszyty były nierozcięte. Kończyły się na nr. 42. Z poszytu nr. 43 była tylko połowa...

Lektura „Listów" wywarła na początkującym dramatyście wrażenie wprost oszołamiające. Bohater odsieczy wiedeńskiej, jeden z najsławniejszych wodzów polskich, w Wielkiej Brytanji zwany „the last Crusader", „the First Champion of Christendom (Christianity)", „the Man who Saved Vienna" i t. p., piszący właśnie podczas wiedeńskiej odsieczy w najgorętszych tygodniach najgorętsze a codzienne listy do swej Marysieńki... to nad wszelki wyraz radosne i wówczas (trzydzieści lat temu!) aktualne. Godziło się bowiem przedziwnie z obowiązującą w t. zw. „Młodej Polsce" doktryną: „na początku była płeć" (Eros, das Geschlecht, Sexus).

Kiedy młody autor dramatyczny, obnoszący się odtąd po Cyganerji z entuzjazmem dla *takiego* Sobieskiego (z listów), podzielił się raz swojemi wrażeniami z jednym z ludzi starszej daty, najprawdopodobniej z sędziwym a dozgonnie młodym Karolem Estreicherem (panem i patronem i Bibljoteki Jagiellońskiej i Teatru krakowskiego), ten zdaje się pierwszy, napomknął mu o istnieniu jeszcze jednego listu... tajemniczego... nieznanego...

„Mógłbyś się wziąć raz do Sobieskiego" (do swoich

protegowanych mawiał stale per ty). „W sam raz bohater dla ciebie jak przypiął. Nie święci garnki lepią... Tylko musisz przedtem przedewszystkiem wytrzasnąć skądś *list nieznany*. Nie pójdzie ci to łatwo. Ale od czegoż zawsze są młodzi jak nie od tego aby łamali wszystkie przeszkody i swego dopinali. W sam raz dla ciebie Sobieski! Ale dopiero w liście *nieznanym* znajdziesz in nuce cały dramat, czy może tylko tragikomedję... co na jedno wychodzi"...

Ziarnko padło na dobrą glebę nie na ugór. Zaczęło się więc szukanie... tak po r. 1905. Gdzie jest ten list? I czy autentyczny? I czy są kopje? A jeżeli są, to z jakich przyczyn ukrywane czy niszczone? J. Ign. Kraszewski Cyklop miał go pono w ręku. Koźmianowi Stanisławowi, b. dyrektorowi krakowskiego teatru i publicyście, pokazywał i czytał jeszcze starszy Koźmian, Kajetan. Stanisław Tarnowski znał treść z opowiadania Koźmiana. Historyk i autor dramatyczny Adam Bełcikowski kilkakrotnie w różnych latach miewał odpis w ręku, ale zawsze mu gdzieś tajemniczo przepadał. Inny odpis dostał od uczonego Ambrożego Grabowskiego uczony Michał Wiszniewski. Co jakiś czas gdzieś natrafiało się na jakieś ślady i znów się je gubiło! Nawiązana więc została przez autora-poszukiwacza korespondencja ze specjalistami, z bibljotekami publicznemi i z prywatnemi. Konserwator Bibljoteki Jagiellońskiej Władysław Wisłocki wzruszał ramionami i odbierał wszelką nadzieję... W Ossolineum też szukano. I u Branickich w Suchej, i u Potockich w Krzeszowicach, i u Zamoyskich w Kórniku, i u Czartoryskich w Krakowie. Duże nadzieje pokładało się przedewszystkiem w poznańskiej skarbnicy Raczyńskich, gdzie kiedyś ponoć w papierach po hr. Edwardzie natrafiono w „codex miscellaneus" na trzy listy nieznane króla Jana, coprawda nie z czasów odsieczy wiedeńskiej ale spod Podhajec, gdzie też pogromion był... pohaniec...

Poszukiwania przeciągały się na długie lata.

Mogło to być w jakieś dziesięć lat po domniemanej rozmowie z patrjarchą rodu Estreicherów, kiedy z Krakowa do Warszawy przychodzi niespodziewanie list do poszukiwacza. Pisze, zdaje się, rodzina Wawel-Louis; był taki nadradca sądowy, przezacny kronikarz podwawelskiego grodu (Kraushar Krakowa), który rokrocznie w przemiłym staroświeckim „Kalendarzu Czecha" pisywał o domach, o kościołach, o patrycjacie, kupiectwie, o obyczajach i obrzędach krakowskich i do tego sporą bibljoteczkę sobie skolekcjonował. List: „Przyjeżdżać natychmiast!".

W spadku po redaktorach „Pszczółki" znalazła się tam kolekcja odpisów różnych listów królów i hetmanów. Były pono i Sobieskiego.

Przyjeżdża się więc na Wielkanoc i właśnie pędzi do Wawel-Louich na Starowiślną w wielką sobotę. Natrafia na hałaśliwą scenę i aferę z kucharką. Na podłodze leżały w gabinecie nadradcy stosy starych papierzysków a kucharja po „staropolsku"... wzięła to co pod ręką pod placki... Niestety, właśnie listy i Jana Kazimierza i Jana III, już przygotowane dla „tego pana z Warszawy". Pech.

Mogło być znów w lat cztery albo pięć potem.

Telegrafuje z Poznania zawsze uprzejmy i pomocny patrjarcha antykwarzy Jolowicz z Rynku, zdaje się tak: „...so was ist schon da. Jolowicz"... Cztery, pięć dni zwłoki w przyjeździe mogło być z powodów paszportowych i gotówkowych.

Wpada się do „oficyny" pod Ratuszem.

Są „Miscellanea"? Gdzie „Miscellanea"? Za późno! Wczoraj był Seine Durchlaucht Fürst von Radolin (z Jarocina) amator i sammler, kupił całą tekę, zawiózł do Londynu, żonie Angielce, w której rodzinie przechowywał się od trzech wieków specjalny kult dla „Ostatniego Krzyżowca", dla „Młota na Saracenów"... Pech!

W kilka lat potem wizyta poszukiwacza w Londynie. Niby wycieczka z kupcami warszawskimi i jako korespondent „Tygodnika Illustrowanego" (sic!). W gruncie rzeczy polowanie na listy, były bowiem pewne poszlaki wiodące do Londynu.

Wizyta z wielką tremą w arcy-antykwarjacie Voynicza przy Shaftsbury. Same białe kruki, kardynalskie bibljoteki, książczyny po 100 funtów a ważące po 200 łutów. Prezentuje i pomaga chyba p. August Zaleski, wonczas studiosus londyńskiego uniwersytetu.

„Owszem — mówił mniejwięcej Voynich — są kodeksy z rękopismami fraszek, nagrobków, paszkwili, listów i silva rerum z czasów króla Michała i króla Jana... Zdaje się że i listy spod Żwańca... czy nawet spod Wiednia... Przyjść proszę w sobotę i można sobie przejrzeć.

Evoe! Hosanna!... Nie było jednak czasu w sobotę (zwiedzanie „Tate-Gallery"), ani w poniedziałek

(„Wallace-Collection"), ani we wtorek („Kensington"). We środę popołudniu pędem na Shaftsbury zadyszany, zdenerwowany, niespokojny, ale rozradowany. Wreszcie!

„...Autor się spóźnił. We środę przyjechał Count Wentworth-Łubieński, kuzyn Duke of Norfolk. Ma jakiegoś przyjaciela, młodego Anglika, historyka... Morton czy Norton, kupił dla niego całą kolekcję, zapłacił gotówką. Wczoraj wyjechał do Egiptu. Na pół roku". Pech!

Najgorsze tuż przed wybuchem wojny europejskiej.

Mogło to być tak w lipcu czy w sierpniu. Poszukiwanie scentralizowało się tym razem w... Wielopolszczyźnie. Druga siostra Marji Kazimiery de la Grange d'Arquien wyszła za Jana Wielopolskiego, kanclerza koronnego. Czy tedy tam nie będzie listów w archiwach rodzinnych Gonzaga-Myszkowskich - Wielopolskich? może w Książu, może w Chrobrzu? Rzecz przytem ważna, że pierwszy raz listy spod Wiednia były drukowane nie u Glücksberga, w wydaniu hr. Raczyńskiego (1823), ale w jakiemś małem prowincjonalnem pisemku literackiem znacznie wcześniej, bo w r. 1821. W jakiem?

Któremuś z „młodszej" generacji uczonych, zdaje się, prof. Józefowi Łepkowskiemu, opowiadał raz, zdaje się sześćdziesiąt lat temu sędziwy Józef Kremer (historyk sztuki), że ktoś z rodziny Wielopolskich czy też z nimi spokrewnionych (może Świdziński?) użyczył swego czasu do drukowania szeregu listów czy też kopij redaktorom... krakowskiej „Pszczółki", która nagle i z niewiadomych i niezbadanych przyczyn prze-

stała wychodzić zaraz po r. 1821. Należało więc zaprzestać wszelkich poszukiwań po codexach i miscellaneach, nie molestować już listami uczonych specjalistów i molów bibljotecznych, nie tracić czasu jak błędni rycerze tracili, ale zwrócić się do spadkobierców kanclerzyny. Tu mógł wtedy w tem pomóc tylko wysoce intelektualny hr. Władysław Wielopolski (często w Spale rezydujący, wielki koniuszy). Pomógł w uzyskaniu konsensu w Pitrze na otwarcie „Polskiego" i „Nowoczesnego"... wogóle Europejczyk w każdym calu, kryptopatrjota w masce skrajnego dworskiego ugodowca. To i w tem pomoże, daj Boże.

„...Owszem. Są. Miałem je w ręku. I jest też ten, którym pan się tak specjalnie interesuje. Dziś 26 lipca jadę do Chrobrza na kilka dni, z powrotem wezmę tam te dwie teki do kufra, przywiozę ze sobą i zostawię u margrabiny. Tam pan może je sobie przeglądać, przepisywać co się panu żywnie podoba".

Był to lipiec pamiętnego r. 1914. Któregoś dnia w niedzielę, po wyścigach, corso kwiatowe i dodatki nadzwyczajne: zamordowanie arcyksięcia!

Od tego dnia ogólna neurastenja polityczna u wszystkich in maximo gradu. Seismograficzne przeczucie nadchodzących wielkich wypadków u autora, poszukiwacza listów.

Pewnego dnia telefon od hrabiego „Adzia" (Wielopolskiego): „Przyjechałem, przywiozłem. Są. Od jutra do pańskiej dyspozycji".

Niestety, polityczności znów wmieszały się w to wszystko i czas zaabsorbowały. Po tygodniu czy

dwóch tygodniach zadyszany, zaaferowany wpada poszukiwacz do pałacu w al. Róż. Margrabina sama.

„...Hrabia Władysław wyjechał wezwany do Gatczyny (pod Petersburgiem), Rosja wypowiada wojnę Austrji... Kamerdyner przez pomyłkę odwiózł na foksal i te dwa kufry, które przyszły z Chrobrza".

Pech! Mogło być jeszcze gorzej, mogło tego nawet wogóle wcale nie być! Dość że pech!

Dłuższa znów pauza i przerwa w poszukiwaniach. Przez lat omal dwadzieścia zapomniało się i o Sobieskim i o Marysieńce, przestało się zajmować intensywniej i dziejowością i artystycznościami i tematami historyczno-dramatycznymi. Co tam gazeciarza mogła obchodzić w tych latach korespondencja królów z królowemi, kiedy wszyscy staliśmy się przecież republikanami (risum teneatis samici!).

Rok temu porządkowanie resztek własnego księgozbioru (monumenta partiae naufriagio erupta).

Przy okazji wpada do rąk paczka zeszytów „Pszczółki Krakowskiej" z anno Domini 1821. Przeważnie mocno podniszczone po tylu tarapatach, perypetjach, perturbacjach, przeprowadzkach. Numery w porządku są jednak aż do: 40, 41, 42. Na nr. 42 wydawnictwo zawieszono. Do 42-go atoli poszytu dołączony arkusz jakiejś korekty.

Czy poszukiwacza wzrok nie myli? Czy możliwe? Chyba to halucynacja? Omamienie? Ależ nie! Wyraźnie list z 10 septembris! Takiego listu w zbiorze wydanym przez hr. Raczyńskiego właśnie niema! Po liście VII z 9 septembris następuje zaraz list z gór Kalemberg z 12 septembris, poczem list IX „z namiotu

Wezyra"! poczas gdy ten, to chyba właśnie ten *nieznany*. Nieco defektowny... w dwóch miejscach z nadpalonemi brzegami (może podczas pożaru Krakowa w r. 1858?). U mnie w szafie od lat 30-tu!

Ten więc jest właśnie listem siódmym? Ergo byli w błędzie Helcel, Chomętowski, Waliszewski i tylu innych *uczonych*, kwestjonujących istnienie tego listu, a mieli rację twórcy obdarzeni *fantazją:* Koźmianowie i Józef Szujski, Kraszewski, Bełcikowski i inni, wśród których wiecznie młody, literackiej młodzieży przyjaciel, kochany patron bibljoteki Jagiellonów i Teatru im. Słowackiego, Estreicher.

Więc jednak ten list istniał! Czy w oryginale czy tylko w odpisach? Dlaczego więc hr. Raczyński go nie zamieścił w edycji z r. 1823? Przecież ani to pomniejsza Króla-Bohatera, ani odbronzowuje, ani nie rzuca jakiegoś cienia na sympatyczną psychikę Herkulesa u stóp Omfali?

W każdym razie dziś już ten list istnieje, i niema racji najmniejszej zatajać go i ukrywać. Od innych różni się tylko jednem, to jest rozciągłością i rozmiarami cokolwiek znacznie większymi niż poprzednie i następne. Natomiast werbalizm, kolor, styl, smak, pisownia, interpunkcja, syntaksa, dowolności gramatyczne te same.

Tylko tedy pedant z rodu chronicznie „niewiernych Tomaszów", materjalistów, realistów, może dopatrzeć się (zresztą z trudem) pewnych odmian, by potem może podać w wątpliwość *autentyczność*, tak jak to tyle razy się praktykowało przy analizie i kontrolowaniu różnych nowoodkrytych listów czy to Wallensteina

czy Lutra, Napoleona czy Balzaka, tak jakby nie wiarogodność psychologiczna i artystyczna, ale tylko autentyczność była w analogicznych sprawach rzeczą najgłówniejszą i rozstrzygającą.

A oto pierwszy raz publikowany, dotąd nikomu nieznany list Króla-Bohatera, z Holofernesem biblijnym przez współczesników porównywanego („Sarmatiae lumen de coelo"), list w żadnym katalogu manuskryptów nie notowany, list od prawdziwych prawdypodobniejszy... niecały...

Za mostami na Dunaju,
przed Callenburgiem na postoju
10tego Septembris.

Jedyna Duszy y Serca Pociecho Marysieńku Nayśliczniejsza, Cor Mio.

Kamień młyński, gdyby spadł z barków, tyleby nam nie użyło y consolacyi nie dało jak gdy list WMści przez Duponta oddany niewymownemu frasunkowi kres wreszcie pokładl. Jakoby mi kilka tysiączków ludzi rycerskich tu z sukursem przybyło, tak mnie ta o polepszeniu zdrowia WMości ucieszyla nowina. Naybardziej o ząbeczków dolegliwości ustąpionej oraz o główki bolu zakończonym, za co niech Panu Bogu bendzie pochwala, byle nadal les remedes zalecone przez naszego Jonasa zażywać jako się godzi, a pigulki takoż które przez przeslawnego dottore Peccorini tu we Wiedniu sporządzone z dyspozycji generalnego postmagistra tarabantami w porę do Krakowa Wmci Sercu Memu dostawić kazałem.

Za echarpę szkarłatną, z niewysłowionem odebraną

ukontentowaniem, uniżenie dziękują. Il n'n rien plus galant y nigdy się z takową nie rozstanę, jako do tych czasów też z drogocennymi papilotami y włosków wonnych puklem, które pod wezgłowiem zawżdy ukryte trzymam, od trzech Niedziel niewidzenia naszego coraz to na nie pozierając.

Wczorajszy dzień na Nabożeństwie wszystek strawiony u Oyców Reformatów, gdzie specyjał wielki w klasztorze posiadają, bo ciało świętego Jana Jałmużnika. Tamże kazanie do całego rycerskiego Towarzystwa okazałe wygłosił Boży Kaznodzieja padre Aviano, Papae adlegatus, do łez nas pobudzając i szlochów. Tenże atoli przed wieczornym terminem mnie wizitując, szeroko się rozwodził nad Dworu Cysarskiego y miasta srogą pychą, niesprawiedliwością y rozpustą obyczajną, którą to właśnie Niniwę nam salwować z opresji przychodzi. Takie bowiem Boże zrządzenie oraz wola Ojca Świętego, od którego, jak to Wmść Serce Moje sprawiedliwieś przypomniała, Róża Srebrna do tych czasów nie przysłana jest jako do Króla Michała i nieboszczki małżonki onegoż kawaler ze srebrną różą przysłany jednako był. Podobnie z cesarskiem Toisson d'or dla nas się nie kwapią, co też obiecowali i o czem Wmści Serce zacnie w liście upomnienie nam czynisz, znając na te sprawy niedbałość moję.

Zdrowie Orondata [1]) *Twego też niezgorsze, które jak zdarzy Pan Bóg zawiozę z powrotem do usług WMości y odwdzięczenia za to cokolwiek tam dla mnie czyniłaś w nieprzytomności moyej, najbarziej w dyszkurach z J. M. X. Nuntiusem* [2]) *y panem Krakowskim* [3]) *oraz z gazetarzami onymi, którym communicata z listów moich koncypowane i udzielane być winny, jako że łżywy to naród y yadowity, któremu teraz postąpić trzeba pensyją. Na ten cel z naszej szkatuły czerwonych złotych dwieście przeznaczamy.*

Z prawdą na ten przykład niezgodne są relations, jakobyśmy tu wszystko nagotowane w ładzie i w porzondku zastali. On ne peut pas s'imaginer jako właśnie szwankuje wszystko y niedbalstwa. Czego się dotchnąć errory i omissiones nieusłychane y szpetne. Siła chorągwi bez kopji i bez dzid, które swojim sumptem po miasteczkach wraz z proporczykami przyrządzać kazałem.

Cienżkie utrapienie znowuż mają officjerowie, skoro moc pacholików z Towarzystwa ucieka z powrotem, których niechaj tam łapią, do turm wsadzają, kaźniami obłożywszy. Panowie Litwa pieniądze pobrawszy, miast przychodzenia na Węgry końcem dywersji, do tych pór nie stawili się. Nie ma też na czas Kozaków upragnionych z Menżyńskim atamanem, przed którego wiarołomnością zawsze ostrzegałaś nas WMość Serce Moje, w ludziach wszelijakich snadnie wyznająca się a przed zbytniem ufaniem Orondata apostrofująca.

Monsieur de Warmie [4]) *ekskuzę długą wypisał ja-*

[1]) Orondat i Celadon — bohaterowie sentymentalnych autorów tej epoki.

[2]) Nuncjusz Pallavicini, wysłany przez papieża Innocentego XI z rodziny Odescalchich.

[3]) Jakób Potocki, wojewoda krakowski i wielkorządca państwa na czas Odsieczy.

[4]) Kasztelan malborski.

koże nam pomódz nie może, bowiem mu jako prezydentowi Prowincye Pruskie pozwolić nie chcą, przerażeni osobliwie tem pokazaniem się przy Heli okrętów francuskich, które rezydent Gdański sprokurował z niecną intencyą a z armatą liczną. O Brandenburczykach całe takoż nic nie słychano. Ale już na nich i czekał nie będę, skoro za cztery dnie actio się zaczyna i to z cienkiem, bardzo cienkiem woyskiem, podczas, gdy gazetarze w Paryżu bają o armadzie nieprzeliczonej, przed czem broń Panie Boże boby jeno turbacyjów naszych pomnożyło, skoro po prawdzie rzekąc jeść już niema czego. Te tu ziemie Dunajskie Han z Tatarami bywszy do cna splądrował i spustoszył. Żadnych tu prowiantów ni dla ludziów ni dla koniów. Aż i liście z drzew wyjadać przyjdzie, gdzie baraninę i bażanty obiecowali, o czem J. M. X. Nuntiusowi, naszym panom z Rady oraz gazetarzom WMć Podporę Moją opowiedzieć uniżenie upraszam. Takoż y jam trzeci już dzień o polewce i jajców kilkoro a czensto nadczo, z czego atoli się nie uskarżam. Inom prochu powąchał y pobranych w niewolę yenców oglądał, odtąd rzeźki się czuję i fort vigoreux. Więc Jedyna Duszy Mej Pociecho o foremność naszę gwoli obżarstwa obawiać się jako stale bywało nie potrzebujesz, skoro do cyrcumferencyi pani l'Estreux coraz mi dalej jak bliżej.

Wina, jako Wmość Penelopa moja y Troyańska Helena przykazowała maleńko tykałem. Jeżeli już, to jedno Mozelskie. Hungaricum nie wąchałem a gorzały tutaj nigdzie żadnej jak okiem sięgnąć nie uwidziałby.

Fanfanik[5]*) co już pisałem se porte fort bien. Do asysty mu przydany castellan de Livonie*[6]*). W przyjazne komitywy wszedł familiarement z elektorem Bawarskim. Ożenek jego rychliwy tu rajono z księżniczką Neuburską najmłodszą, pono gładką, urodziwą i comme de raison. Z siostrami onej pożenieni są: hiszpański Karol, portugalski Piotr królowie oraz sam Leopoldus Cesarz. Ten nam tu objawił wolą wizytować, by mnie y naszemu towarzystwu rycerskiemu się przyglądnąć. Ale jam nie życzył sobie, aby się z Kremsu dalej ruszał, skoro Tatarowie na zadach wszędzie się plączą y o nieszczęście nietrudno.*

Natomiast z Książęcia de Lorraine[7]*) niewymownie kontent jestem. Il est fort bien avec moy et il entend le metier de la guerre plus que les autres, których stek się tu zjechał kawalerów, généraux, commisarów, grafów, niektóre conieco zdatne atoli gołoty i prostaków też kupa avec milles chimeres. Kłóteńki zatem y komeraże y konkurencye y kontrowersje a to czy parole bitwy odemnie odbierać się godzi czy nie godzi. Podczas gdy diuk Lotaryński pięknie codziennie odbiera a Saski Elektor connetable przesławny w conseil de*

5) „Fanfanikiem" nazywano w rodzinie najstarszego królewicza Jakóba, drugiego, Aleksandra — „Minionkiem", trzeciego, Konstantego, — „Filoneczkiem"; córka Kunegunda Teresa, później elektorowi poślubiona bawarskiemu Wittelsbachowi, nazywała się potocznie w zdrobnieniu „Purpurjanką".

6) Kasztelanem inflanckim był Otto Felkerzamb, późniejszy wojewoda czernichowski i inflancki.

7) Karol Lotaryński, urodzony w r. 1643, ożeniony później z wdową po królu Michale Wiśniowieckim, z domu arcyksiężniczką Eleonorą Austrjacką.

guerre asystując pilnie mnie słucha we wszystkiem się akkomudując. Ach żebyż mnie tak w Polszcze słuchali jako tu absolument we wszystkiem! I w familji dałby Bóg także...

Ce que vous ecrivez Mon Amour z przyczyny narzekań oraz owych kalomnji na poczciwość naszą rzucanych ca me fache et chargine extremement, mais ce sont des betises. Oby te materye błache y niegodne nie okupowały dłużej myśli Wmości Cudu mojego! Soyez Grande prosiemy uniżenie. Co co tam lamentują że wojenka przeciągać się może do końca Octobris, a to że wielu polęże dla obcey, Rakuszańskiej sprawy y dla naszej familijnej gloryi, takowi heretykami gorszymi od Turczyna nazwanymi być winni, skoro za wojenką była Boża wola i petycje Ojca Świętego.

Nijakiej estimy pour les actions heroiques takowi Polacy nie mają, co w Warszawie po ciepłych stancjach przy kominkach konwentykla czynią, alboli zgola „pod wiechą" przy złem piwsku dyszkurują bez końca i początku. Niechże sobie zażywają wywczasów, brzuchy swoje pod gardło wypełniwszy, skoro my tutaj pod Vienne forte presse o chlebie i głodzie zdrowia nakładamy. Byle jeno nie nabijali najśliczniejszej główki Anyjołka Mego skargami y Jeremiaszowym lamentem! Moje zdanie zasię było i zostanie po wieki, że lepiey na wojenki nie jeździć aniżeli z nich prędko zjeżdżać, bo to nie po zająca do lasa ani po ryby do sadzu. Nie na delicye i plezyry w taniec z Wezerem się idzie. Polęże ten w boju komu w werdyktach Boskich napisane, że poledz winien, podczas wkiedy

inne powrócą do domu z doczesną chlubą i wieczystą chwałą. Psi niechże sobie szczekają a wojsko idzie wprzód i już nad rwącym i głębokim Dunajem stawa, podczas gdy oratorowie z pod pierzynów gnuśne dyszkursy wiodą. Wśród nich zasię siła takich, którym wszelijakie ludzkości wyświadczone i nam naybardziej obligowani być winni, którym własną piersią Polaków przed poganamim zasłaniał, skórę natężając z własnym rezykiem aż do zemglenia.

Nigdy toli nieprzyjaciel oraz wróg tak nie dokuczy jako bliskie y stronniki cudnie dopiec utrafią i dopieką. Korona zasię każda, złotą-by była, szmaragdami, rubinosami nabijaną, zawżdy cierniową zostanie. A już w Sarmacyi koniecznie.

Yam tam dobrze świadomy zkond des nouvelles sprośne y wsteczne się sypią i kto zacz instygator tych z pod pierzyn mędrców. Od pana Podskarbiego[8]*) to wychodzi, któren grandiment malcotent z rezydentem w Gdańsku konszachty wiedzie y za luydory frakcyją francuską szykuje. A zaś że nasz Marcowy Tractatus z Cesarzem z Wiedniem wszystek Waszmości Dobrodziejce moyej i Jej rozumkowi najśliczniejszemu przypinają i że takowa reputacio po krajach szerzona, to niech Panu Bogu Świadkowi chwała za to będzie jakoże wierutną to prawdą jest. Zadeklarować nie wdrygam się: ilekroć radom Monamurka posłuch dawałem i się akkomodowałem, to przy tych*

---

[8]) Podskarbi Andrzej Morsztyn, statysta i polityk wielkiej miary, francuskiej orjentacji, u dworu znienawidzony za knowania przeciw aljansowi z Austrją. Zmarł we Francji.

okazyach zawsze y jam y Ojczyzna y Chrześcijaństwo profity miało. Mieć też w przyszłości bendzie.

Przeto z naykorniejszą attencją rad porad y monitów Dobrej Sybilli Swojej Orondat sluchać ślubuje. Uniżoną jednako petycję zanosi generalnego przez nas lekcepoważania wszystkiego tego, co gadacze gardłują y gdaczą y prostaki ladaco prawią z wiecznymi pretensjamy wyskakując. Na resentymenty od ludziów za naszą choyność y dóbr szafunek nigdy nam ni liczyć ni rachować nie trzeba.

Rozpisal iam się dzisiaj przydlugo, wielką fatigę czudnym oczętom czyniąc. Aleć wnet już z Turczynami zetknięcie na śmierć lub życie nadchodzi. Nie wiadomem czy okazja pisania y swobodne termina jeszcze się wydarzą. Bowiem tym razem... [9]) *nieprzejrzane a robota cięnżka się zapowiada.*

Godzina teraz trzecia na półzegarzu, nocka się kończy, świtanie idzie, dzień nastawa.

Elektorowie y Commisarrowie na piątą zajutrz zameldowani. Obóz móy jeszcze śpi jako zawsze bywa a ia jako zawsze bywało, na którego głowie to wszystko, czuwam. Y piszę y piszę que tout va bien i dobrze się bendzie wodziło jeżeli jeno Waszmość Fortuna moja swemu Orondatowi dufa y go miluje. Możem w tey correspondence y zbyt romansowy ale gorzkie experyencye z ludziami pouczyły jako żyć można jedno dla Jedyney i Jedyney rzucać wawrzyny pod stopki. Inni niechaj zasię dla wszystkich, kiedy im universum y collectivum do gustu. Nie zatajiłem Wmci niczego i privatissime i de publicis.

[9]) Brak słowa w rękopisie.

List ten nailepsza gazeta, z którego na caly świat kazać zrobić gazetę napisawszy que c'est la lettre du Roy a la Reyne. Xionżenta Saski y Bawarski dali mi słowo y na krai świata iść zemno.

Uwidzimy czy pójdą?

Już teraz nie śmiejący inkomodować dłużej Waszmości Wróżki Moiey konkluzyją zaczynam.

Pan Dupont, któren z tem pismem nadedniem wyjedzie, opowie Serduszkowi Naysłodszemu reszteczkę tout ce qu'il fait ici avec moi, jako do kształtności powracam przez posty i wysuszenie, jako bez dekoktów y plastrów puchlinę z nóg y z pod brzucha mi wyciągnęło nie co innego a z konika niezsiadanie, ustawiczna moustra, przygody, turbacye. Z oka mego flukcyę też ręką odjął. Orondatowi wiernemu jakoby dwadzieścia roków z Bożej łaski ubyło.

Po pisaniu tem modlitewki, które mi się nayprzyzwoitsze w tej okoliczności zdały, za Wybraną Nymfę Waszmość Panią odmówię, o zdrowie dla niej błagając Przedwiecznego. Poczem o triumphus póndzie modlitwa by skoro nam przypadnie w udziale, pod stópki złożyć nayforemniejsze o nagrodę prosząc.

A ma soeur mes baisemains [10]).

Panią kanclerzynę pozdrawiam y oblapiam nayserdeczniej [11]).

[10]) Katarzyna Sobieska (wyszła zamąż za hetmana Michała Radziwiłła), w r. 1683 była już wdową.

[11]) Słowo „obłapiam" w listach Sobieskiego, wydanych przez hr. Raczyńskiego, w każdym liście przy końcu się znajdujące, zostało zamazane w druku czarną farbą. W staropolszczyźnie znaczyło: „ściskam".

Waszmości Marysieńko, Światło y Ciepło istności grzesznej mojej z niewymownym gustem całuję milion razy wszystkie najkochańsze śliczności od włosków najpromienniejszych do zefyrowych stópeczek. Zadeklarować się też nie wstydam jakie to tęsknoty mnie cisną i melancholie za subtylną wonnością Pani, która jest zdrojem Szczęścia y karesów niebiańskich naszych.

Coś zasię Gołąbeczko Złocista w liście z 28 Augusta popisać raczyła jakoże teraz pod nieprzytomność moię żałować Ci często przychodzi a to, że dla mnie nie dolce a furiozo a to żeś strofowała defekta y delikta królewskie, alboli żeś mnie bywało na lodzie, za drzwiami trzymała, tego zaś teraz nie żałuj Serduszko ni się w swem sumieniu nie frasuj. Byś Wasza Mość za miękką podczas bywała Fijołku Różany, w ryzach nie trzymała Celadona y cuglów zbyt popuściła, łatwiebym ya się jako biczysko dziadowskie z mymi z przyrodzenia szerokimi inklinacyami rozpuścił.

Teraz jednako z konkluzyami już się pokwapić muszę, skoro dokoła namiotu pobudkę ranną otrębują trembacze. Od Brandenburskiego Kurfirszta wielga epistoła od wieczora leży nieodpieczętowana. Obadway panowie Hetmanowie pobok czekają a dragonerya Naszej Królowej Jejmości pierwsza wzgórę owego Całemboru już się pono drapać zaczęła.

„Mym zdaniem dosyć tej powieści
Już się na harkusz nie zmieści".

Celadon baise un milion de fois de tout son affection w uprzejmej czułości zostając dozgonnym Dalilijki Samsonem, podnóżkiem najwierniejszym y oddanym sługą

Johannes Rex.

KULCZYK SOBIESKIEGO

Chyba nikt już nie pamięta, a mało ludzi słyszało o jednym takim panu Kulczyckim alias Kulczyku, co to zapoczątkował pewien obyczaj, z biegiem czasu i stuleci bardzo potem rozpowszechniony po całym Bożym świecie.

Nie był to żaden wódz, ani wojewoda, ani kaznodzieja, ani kanclerz, ani żeglarz, ani malarz, ani rycerz ani snycerz, ani żaden wogóle prymus, pierwszy w narodzie, ale w każdym razie był pierwszy.

W czem pierwszy? W tem, że założył pierwszą kawiarnię nietylko na kontynencie, ale w Wiedniu, w słynnej stolicy mocarnej monarchji Rakuskiej alias austrjackiej.

Lat temu było to trzysta przeszło, kiedy państwo Austrjackie było jeszcze wielką potencją a jego cesarz liczył moc wasalów, Wiedeń dumny puszył się jako stolica. Ale już właśnie wtedy po raz pierwszy wszystko tam zaczynało w zawiasach trzeszczeć, bo od strony wciąż buntujących się Madziarów szedł na imperjum żółto-czarne Czarny czyli Kara Mustafa na czele nieprzeliczonych hord i chmar zbrojnych pogan, pohańców czyli Osmanów alias Saracenów, Turków i Tatarów, wysłanych w bój przez srogiego sułtana Muzułmanów, oczywiście Sulejmana.

Skądże się tam na te czasy mógł wziąć w Wiedniu nasz Polak, pan Kulczyk?

Różni różnie o tem opowiadali i opowiadają, ale najprawdziwsza prawda będzie zdaje się ta, że do stał się tam razem ze zwycięską armją króla Jana Jegomości i umiłowawszy sobie wesołe miasto nad Dunajem, już tam na wieczne czasy pozostał i zamieszkał. Jakich zasię czynów przedtem dokonał, z których Kulczyckich się wywodził, w jakiej ziemi stała jego kolebka, jakiej rangi w swym regimencie (i w którym?) się dosłużył, w jakich potrzebach i w jakich bitwach męstwem nieustraszonem odznaczył i kiedy oraz dlaczego służbę porzucił, to rzecz niewiadoma jak również niejasną a ciemną pozostaje, jaką drogą doszedł do... kawy parzenia i kawiarnianego wyszynku tembardziej, że i on sam w różnych czasach różne o tem relacje składał, więc jak to mówią, nawet rodzony ociec prawdy nie mógłby dociec.

Kiedy go poznajemy, pan Kulczycki jest już w Wiedniu zasiedziały i znany, a każde dziecko potrafi zapytującemu się przechodniowi, czy Panu Nietutejszemu wskazać, którędy się idzie na taki i taki Markt i Platz, potem taką i taką Gasse, a potem na lewo przed Wałami Miejskiemi na Podwalu jest z jednej strony winiarnia z ogródkiem pana Guschelbauera („Zum Schwarzen Peter"), a z drugiej, vis-a-vis pierwsza w świecie „Caffe aus Arabien" w parterowym domku ze stale roztwartemi oknami, a przed domkiem akacje rzędem, a pod akacjami dwie kamienne ławki.

Lat miał Herr Kulczyk z pięćdziesiątek, tuszy bardzo okazałej, karku pękatego, urodziwy niezbyt, łysy

jak kolano, w miarę ospowaty, nie bez lekkiego zeza, a tylko z jednem okiem, zato drugie, niepomiernie cudne i wyraziste, omal sokole. Lewa rączka nieco sucha, a prawa nóżka przydługa. Mankamenta te przyrodzone jednakże zrównoważone piersią na miarę Fidjasza, głosem tubalnym a basowym, przedewszystkiem zaś animuszem wesołym i imaginacją polotną, pogodę ducha sygnifikującą. Tej to imaginacji zawdzięczał pan Kulczycki tak swoje u ludziów wzięcie jako i swoje... przedsięwzięcie, które mu i profity i glorję wiekopomną przyniosło.

Aby to dzisiejszej generacji udowodnić, trzeba przedewszystkiem przypomnieć, co i jak było i od czego się to rozpoczęło.

Dwunastego Septembra anno Domini 1683 jeszcze Król Jegomość Salvator Christiani Mundi z Kalenberku z polany słonecznej między winnicami spozierał nadół, na Wiedeń z armat ogniem prażony, minami eksplodującemi charatany. I na Dunajski zepsuty most spozierał i na olbrzymie, bez kresów obozowisko tureckie sobie patrzył ze spokojem i statecznością 12 września 1683 r. A już 13 września 1683 r. przed wieczorem pogrom straszliwy Islamu był dokonan, jakiego świat i Korona Polska dotąd nie widziały, o czem Król Jegomość epistołę długą i czułą do swej Marysieńki, piórem gęsiem skrzypiąc, nie bez mozołu skoncypował i wypisał.

Taki to był człowiek serdeczny Jan III, wnuk hetmana Żółkiewskiego, a sam hetman i generalissimus wszystkich wojsk chrześcijańskich, wydający parole i ordynanse i Lotaryńskiemu Książęciu i Sabaudzkiemu Eugenjuszowi i Elektorom wielmożnym, Saskim, Bawarskim i t. p. Padł zatem grom z nieba sarmackiego, a Turczynowie pierzchali w popłochu, jak oparzeni. Jakby kto ceber ukropu wylał na czarne (Kara)luchy i pułki Kara Mustafy.

Co to wtedy nie wpadło do rąk oblubieńców Victorji!

Niestety, niestety do ojczyzny miłej znikoma jeno cząsteczka tych łupów dotarła, skoro tak kapitanom i rotmistrzom, jako i najpospolitszym komputowym żołnierzom i woluntarjuszom i wszelkim ludziom z pocztów, resztę albo wyłudziły Wiedenki nadobne, albo wycyganili wdzięczni za odsiecz i ratunek Rakuszanie. Król-zwycięzca też wyszedł z tego z niedużym kwitkiem ku nieukrywanej Królowej Jejmości malkontencji.

Ocalała garść zdobyczna w dwóch stancjach Arabskiej Kawiarni na wiedeńskiem Podwalu. Miał jakieś widocznie ładowne wozy pan Kulczyk oraz bacznych i dzielnych ciurów skoro to, co sam zdobył po srogiej walce z Turczynem, w całości do Wiednia dowiózł. Dość powiedzieć, że i kobierce smyrneńskie tu znaszły się, ottoman haremowych pięcioro i nargile niejakie i worków z caffą sześcioro i farfury i fajki i buzdygany i szerpentyny. Co zasię już najważniejsze, to owa perła paszy bagdadzkiego aż pół centnara ważąca, białogłowa o czarnych zębach, Fatime z przezwiska, wiedźma conieco ale w kawiarskim kunszcie mistrzyni Fatime!

Już tedy i król Triumfator, miecz na Saraceńskie nasienie Belzebubskie, dawno w Wilanowie popasał u stóp Marysieńki klęczący, kiedy pan Kulczycki vel

Kulczyk Wiedeńczykom podwoje Arabskiego Raju roztwierał. By zasię wdzięczność swą okazować, w izbie na pryncypalnej ścianie kupersztych amsterdamski powieszon został Sobieskiego Pana figurujący w imperatorskiej szacie, nogą obutą Turczyna grzbiet pięknie gniotący.

Od pierwszego dnia wiosennego konkursus Wiedeńczyków do nowo rozwartej gospody był i przeliczny i prześliczny. Wielu było ciekawych nieznanego napoju, lubą excytację budzącego. Wielu po raz pierwszy oglądało tureckie dziwności. Inni zasię pragnęli zobaczyć raz w życiu perłę haremu paszy Bagdadzkiego.

Ale był ci tam jeszcze jeden magnes, który wszystkich pociągał. I był jeden skarbiec od zdobytych tureckich trofeów większy a niewyczerpany. Tym skarbcem był sam gospodarz, tym magnesem był sam gospodarz, unser braver Kulczyk, prosto i jasno rzekąc Homer, Homerus Królewskiej odsieczy Wiedeńskiej, narrator niestrudzony i niepokonany, żyjący, żyw dyarjusz wszystkich owych potrzeb i perypetyj. Caffe arabską gościom w farfurach sam roznosił a potem się przysiadał i opowiadał i opowiadął. Auditorium nigdy nie zabrakło. Zaglądali tu raz po razu rajcowie miejscy i ławnicy. Kardynał Pallavicini dwa razy przyjechał we własnej osobie z orszakiem. I jacy tylko forestiery w Vienne bywali, tu zaglądali. I markizowie francuscy i grandowie hiszpańscy i florenccy malarze (Italiani), holenderskie kupce. Dwa razy dwaj arcyksiążęta najmiłościwiej zstąpili w Kulczykowe progi. I kardynał Piccolomini także. I pan Pasek z Polski popasał tu trzy dni całe. Ze Sarmatów każdy, któren jeno o Wiedeń peregrynując zawadził. Anglików spora paczka w różnych leciech łakomych wszystkich nowalij o „King of Polland", którego „Młotem na Heretyków" zwali. A nasz Kulczyk jeno perorował i perorował co wiedział i czego nie wiedział, imaginację swą często parzoną mokką (z Mekki) podniecający, w narracji maestro niedościgniony. Im więcej garnuszków czarnego napoju się golnęło, tem dalej na fantazjów bachmacie. Że jednak wyszynk kawowy prosperował, przeto i wrogowie nieprzyjaźni wnet się naleźli, którym hersztował głównie winiarz „Zum Schwarzen Peter" z przeciwka. Czego tam nie rozpowiadali pijanice pod Guschelbauerowym przewodem, tacy, co to zawsze szukają dziury w moście i znajdują plamy na słońcu. A to że w żadnej potrzebie nie bywał, a to że prochu nie wąchał a jeno kurze zmiatał w swym kramie, w którym bławatami kupczył. A to, że wszystko, co w Arabskiej kawiarni zebrane od owych otoman i kobierców zacząwszy a na białogłowie o czarnych zębach kostropatej kończąc, nie na Bisurmanach zdobyte, a jeno odkupywane bywało od żołdaków, od ciurów i rabuśników i kanalji wszelakiej. A to że Kulczyk przez imaginację pojechał aż na koronację i jako stary Homerus zmyślał i łgał wierutnie, a bez opamiętania nijakiego. A to, że nie on primus (inter pares) taki wyszynk z caffą założył, jeno u Olendrów to podpatrzył, gdzie od dość niedawna takowe bywały... Worki z kawowym grochem, że mu znowu takoż Grekowie chytre dostarczyli takoż od żołdactwa

obóz Wezyrski łupiącego odkupione i przywiezione. Et cetera et cetera.

Nasz pan Kulczyk nie zważał na te plotki i szkalunki ani bez jedną chwilę.

— Jechał ich sęk wydmikufli! Pies z nimi tańcował drapichrustami, skurczybykami, szlifibrukami. Przyjdzie do mnie jutro Książę Lotaryńskie z Książęciem Szwarcenbiergiem pospołu, to Guschelbauera zazdrość szpetna chyba w powietrze wysadzi albo się powściekają, jak sobaki w lipcu. Bóg świadkiem, jako do niczego od maleńkości takiej awersji nie żywię jako do łży i do łgarzów! Ani o źdźiebkobym od prawdy nie odstąpił. Świadków stawić mógłbym do kroć sto tysięcy djabłów! Nie takich jam wrogów przez płot przesadzał i na gnój rzucał. Pies ich lizał, jak se leżą w rynsztoku popite wtedy, kiedym ja w rynsztunku od stóp do głów po dziesięciu Tatarów samotrzeć do jassyru do polskiego brał...

I znów sobie golnął bywało swojej arabskiej mixtury i znów dalej jechał z nową narracją, jakich to cudów dokazywał służący w skrzydlatej usarji w regimencie „Niezwyciężonych Towarzyszów" pod rotmistrzem Łąckim, przyjacielem.

I z tym to właśnie Łąckim czasem mu się conieco mieszało: raz bywało pod Łąckim, a raz znowu wyraźnie pod Kątskim. I raz, że niby moździerzami dyrygował jako artylerzysta znamienity, a raz, że w dragonach Królowej Jejmości służba była i szwadronady niesłychane. Raz, że pod hetmanem Jabłonowskim wojewodą, raz, że przy boku samego Króla, a Królewica Fanfanika (Aleksandra) niby adlatus. Raz mu

„proporczyki ślicznie furkotały" a on z kopją... w garści (suchej ręki?) kłuł Spahisów (sułtańskich gwardzistów). A raz znowu, że „gołą szerpentyną łuszczył" „bezbożników tuzinami", „jak kosiarze trawę"... Proszony czasem k'rzecznie, aby może pofolgował, nietylko się nie mitygował, ale już sam na czele regimentu kładł wtedy całe pułki Jańczarów pokotem: „jako łan pszenicy tratowałem ścierwo aż do zdechu kopytami flaki rozgniatając"...

I pod Żórawnem był ongi i pod Wojniłowem i pod Szegedynem i pod Waraźdynem i pod Koloszwarem i pod Temeszwarem! Przypadek tylko czy cud Boski, że do samego Carogrodu na białym szymlu triumphaliter nie wjechał.

Zawsze atoli mu się mieszało z temi chorągwiami. Raz mu się mówiło pod Kątskim, a drugi raz znowu pod Łąckim...

Taksamo, rzecz prosta w różnych warjantach narracje się toczyły, kiedyto do „Coffeiny Arabskiej" zawitał nowy gość ze Rzymu od „limina Apostolorum" — „per pedes Apostolorum" do Warszawy wędrujący, kawaler kunsztu rymarskiego, od Ojców Pijarów braciszek pewien „und Poet dazu". Flachę ów człek z inkaustem u pasa zawieszoną dźwigał, z gęsi garść piór wyrwanych za pasem także, a animusz w nim pisarski wielki. Poema miało się zwać: „Trąba Wiekopomna ku Glorji Joannesa Triumphatora Niezwyciężonego na widok publiczny pokazana". Wierszów heksametrowych tysięcy dziesięć. Jednemu z Ojców Jezuitów udała się przedtem „Janina", poema na heksametrów 4.000. Tedy naszemu padre kazał

przeor Pijarów skoncypować o sześć tysięcy więcej w terminie rocznym przed Świętym Janem Chrzcicielem i basta.

O Kulczyku zewsząd słyszał. Na dłuższy perjod tedy w Wiedniu osiędzie, wszystko, co usłyszy, zakonotuje sumiennie, caffe arabską skosztować gotów jeżeli nie grzech i nie obraza Boska pić tosamo, co heretyki Bisurmany piją.

Kulczykowi mile dumę połechtało, że glorja jego aż do Watykanu sięga.

Pokumali się i poprzyjaźnili odrazu. Dopiero teraz poczuł się nasz primus kawiarz Odsieczowym Homerem.

Co innego gościom treledrele gadać i takowych bawić jako cyruliki i balwierze czynią, a co innego Egerją być rymopisa, który to przekaże potomności i generacjom, a do tego heksametrem i dziesięć tysięcy wierszy jak oblał!

Teraz dopiero miał używanie nasz pan Kulczyk, teraz mógł bachmata imaginacji nie truchcikiem, ale galopando popuścić, paszczę roztworzyć jak wrota i opowiadać i perorować, co wlezie. A mniszek konotował i konotował, cały w słuch zamieniony, z konieczności żłopiąc czarne narcoticum, niby bey z Bagdadu lub pasza z Aleppo.

Przechodzący pod akacjami mieszczankowie wiedeńscy przez rozwarte okna słyszeć teraz okazję miewali perorowania bez końca:

— Była już trzecia nad ranem, kiedy Kątski generał, Marcin mu było na imię, mówi do mnie...

— Była to piąta popołudniu, kiedy szyk my sprawili, a ja przemówiłem do towarzyszy...

— Elektor Max Emanuel swoje, a ja mu znowu swoje. Tak my się z godzinę swarzyli, czyje systema strategiczne w tej porze lepsze...

— Dzwony biją w Szczepańskim Tumie a tu ciżby ludzkie nieprzebrane kapeluszami wywijają, dzieciska podnoszą, kwiatuszkami na mnie piorą, liljami i rezedą, „Heil Kulczyk!" — wrzeszczą, a podwiki wszelakie oczkami strzelają: jakże mu pięknie z tymi wąsami!... bom ja wtedy bardzo długie wąsiska wypuścił, co teraz są obcięte...

— Leopoldus mówi, a głos podniósł: Mein braver Kulczycki! — mein braver Kulczycki!... I prawicę wyciąga i przechyla się z konia i moją ściska kordjalnie, a ja patrzę i widzę... Bóg świadkiem! łzy Cesarzysku z oczu kapią, łzy rzęsiste, z wdzięcznościowego affektu, nie z czego innego, a z wdzięcznościów, żeśmy mu tę Vindobonę uratowali...

Tako prawił ślicznie pan Kulczycki, nie kładąc żadnej tamy ani wezbranej imaginacji, ani elokwencji, jako przystało bohaterowi, co się nie trzyma suchej drewnianej prawdy jak pijany płotu, jeno folgę daje inspiracji, upiększając wedle możności i swój szary żywot na tym padole płaczu.

A Pijar pisał.

Popijał czarny napój z misternego garnuszka i konnotował i konotował wszystko wiernie, co gospodarzowi ślina na ozorek obrotny przyniosiła. A się też z tych Pijarowych notatek spory foljał zrobił. Bywało, że czasami padre zakasłał się ciężko, bywało że i ziew-

nął przeciągle, albo się zbytnią konsumcją kawową nieprzyzwyczajonemu na głos silnie odbiło raz po raz. Ale pisał Pijar dalej, by to wszystko w heksametrach potem obrobić... nie zrażając się cale takimi drobiazgami jak że raz był Łącki, a raz Kątski, raz usarja, a raz artylerja, raz czambuł spahisów trupem, a raz sto janczarów pokotem.

Jednego dnia atoli kawaler kunsztu rymarskiego nie przyszedł.

Drugiego dnia padre-poeta też nie przyszedł. Że atoli z kompanją okazałą zapowiedziany przyjechał książe Sztaremberk i książe Anhalckie i Hiszpanów całą gębą kilku podwieczerz, więc nawet się o tem zapomniało.

Trzeciego dnia atoli znów authora przyszłej „Trąby Wiekopomnej" jak nie widać, tak nie widać i nie słychać. Zachorzał pewnikiem, może się knedlami objadł?

Czwartej doby już pan Kulczyk miał niemiłe jakoweś przeczucie. Turbacja jakowaś go się czepiła. Ofiarą złych humorów stała się jako zwykle otyła wiedźma muzułmańska, co perfect caffe parzyła, ukryta za purpurowemi kotarami. Nawet jej w dyszkursie coś twardego i ciężkiego upadło na kudłatą czarną głowę białogłową, którą chyba sto lat temu tak sobie bagdadzki pasza umiłował... Po krótkiej bitwie z Fatimą stanął sobie pan Kulczyk w okienku zaaferowany, zturbowany z marsem na czole, dziwnie niespokojny... Nagle drgnął cały. Czy go oczy nie mylą? Może to oko zezowate szatańskiego figla mu chce spłatać? Ależ tak... Nie mylą go oczy! Naprzeciw kroczy kto?

Padre, peregrynant z Rzymu we własnej personie... Z nim zasię jakowyś rycerz, capitaneus, w polskim żupanie, chapeau z piórami, szabla polska na rzemieniu zwisa, postawny, Marsowy. Gdzie idą? Gdzie idą na Boga? Na lewo idą! Nie do Arabskiej Kawiarni, lecz do tego arcyszelmy szynkarza — winiarza Guschelbauera! Ani nie spojrzeli w stronę pierwszej na globie Kawiarni! Zagadani, rękami machający, nieprzyjemni.

Zgrzytnął zębami pan Kulczyk. Pijaki obrzydłe! Chlać teraz będą Vöslauer Goldeck może Gumpoldskirchnera, może nawet Tokaya półgąsiorek każą sobie na stół postawić, Węgra, którego aromat dawno już panu Kulczykowi nosa nie połechtał. Rozpiął kołnierz gwałtownym ruchem nasz kawiarz - prymus, żeby go apopleksja prędko ominęła, bo tak mu krew (nie woda) buchnęła do rycerskiej głowy. Wysapał się dobrą chwilę, potem wysapany spać się w drugiej stancji położył, żeby do spokojności wrócić. Była godzina trzecia po obiedzie.

Potem była godzina czwarta, potem piąta. Nasz Kulczyk chrapał i chrapał aż się powała trzęsła i kilka cynowych talerzy na podłogę spadło z półki...

Był już dobry podwieczerz, słońce zachodziło za Luxenburgiem, kiedy się wreszcie nasz Miles wychrapał, wstał, poprawił na sobie tureckiej, brokatelowej opończy, podkręcił wąsa, drzwi otworzył, zaklął, widząc, że w izbie paradnej gości niema, Fatimie rzucił jakiś nieprzystojny przydomek i znów stanął przy oknie.

Teraz nim już formalnie zatrzęsło od samych fun-

damentów. Właśnie bowiem od Guschelbauera szli wprost ku niemu zmierzając, padre e capitano. Odrazu poznać można było, że ich potężnie zawiało od strony Węgier, jeżeli nawet nie zamroczyło. Par nobile fratrum szła, jak to pokazują w Theatrum, niezbyt przystojnie i tracąc pionową postawę. I miny też mieli niedobre, jakieś zaczepne, zawadjackie, może nawet strogie. Pijar znacznie mocniejszy, nie przebrawszy miary, kosturem jeno wywijał w powietrzu, jakby młynki czyniąc, ale rycerz szablą stukał w bruk i trzaskał, by hałas czynić, czy straszyć. Ale kogo?

Zaraz się to pokaże.

Wchodzili nieco gburnie, potknąwszy się na progu, co już dodało Kulczykowi nieco kontenansu, ni stąd ni zowąd przedtem zatraconego.

— Czołem...

— Czołem! Cześć!

— Rycerza wam prowadzę, rodaka znamienitego.

— Owszem. Jeno zbyt spóźniona pora. Zaraz zamykamy, fajeramt...

— Jak skoro przypomniecie sobie kto zacz i kto taki, do rana ansztalt otwarty ostawicie.

— Tego się po mnie nie doczekacie. By tu książę Lotaryńskie przyszło znowu, es wird geschlossen... No, ale cóż to tyle czasu na oczym wielebnego nie widział? Siadajcież waćpanowie. Caffe prosicie?

— Nie tyle prosimy ile sztelujemy jak się tu w Wiedniu mówi po karczmach...

Mówił to twardo ale z czkawką nowy gość, rotmistrz nieznany, rozglądający się po ścianach i po sprzętach, ale nadal wciąż naburmuszony, surowy, z dyzgustem patrzący na gospodarza.

— Cztery dobym nie odwiedził was, panie Kulczycki... Ale dlaczego tak się podziało, zaraz się dowiecie!...

I braciszek, jakby jaki opat ciężko na turecką kanapę opadł.

Pan Kulczycki klasnął i wraz wtoczyła się cetnarowa Perła, niosąc na tacy srebrnej tajemniczo działający napój. Teraz już miał czas ochłonąć i odetchnąć. Czego się bał właściwie? Co na niego przyszło? Skąd się to wzięło? że niedobrze z oczu temu nowemu patrzało, no to cóż z tego? Przecież nie na zwadę tu przyszli, tylko na caffę. Zbić się z pantałyku nie pozwoli tak łatwo. Gdyby się ten nowy, może pijaczyna i bijaczyna, biesić tu zaczął i sakramentował, odrazu go osadzi i do kontrataku przejdzie...

— Czyli to ta Hadidje? — pytał szyderczo niemiły gość z Sarmacji, wskazując na kawiarkę.

— Hadidje? — również szyderczo replikował Kulczyk. — To już wam panie opowiadał o tem braciszek? Nie, to Fatime, kucharka. Widocznie wzrok macie słaby, że takową Gorgonę w komparycji stawiacie z Hadidje. Hadidje była piękna jak noc nad Eufratem...

— I tak do was rozgorzała, mości gospodarzu? — ciągnął dalej przybysz kpiąc i czkawkując.

— Byście sobie wiedzieli towarzyszu. Łatwiej zaś niedźwiedzia zabić, jak afekt w niewieście. No, a skoro raz Kupido kaszy nawarzy, to wiadomo, co potem z tego.

— I na was to padło, panie Kulczyk?

— Ano pewnikiem, że nie na was, panie gościu... Z przeproszeniem waszmości Kulczycki jestem, nie żaden Kulczyk.

— Bene! Ergo taka była Hadidje urodziwa?

— Jako Venus Anadyomene! Tylko, że wy pewnie nie wiecie, co to znaczy A - na - dy - o - me - ne?... Więc wam przystępniej rzekę: marcypanna! słodka! upojna!... Faworytą Wezyra była wybraną. A, że za mną do Wiednia od Wezyra uciekać chciała, ja chyba temu nie winien. O waszej egzystencji widocznie do niej jeszcze sława nie doszła...

Tak się dyszkurs zaczynał...

Już tedy siarkę i fosfor czuć było w powietrzu, a szatan niezgody zacierał ręce...

Pan Kulczyk spozierał teraz na mnicha mocno zadziwiony. Jakaż metamorfoza! Do tych czasów zawsze ku rzeczy, pokorny, z atencją wsłuchany, każdą opowieść delektująco spisujący czarno na białem... teraz siedział jakoś pochmurny, spodełba patrzący, bez submissji nijakiej, z szyderczym uśmiechem na cyferblacie. W ręku trzymał jakiś papier, epistołę jakgdyby, a tym papierem raz po raz o stół bił, na pana Kulczyka dziwacznie pozierając....

— Takeście tedy szczęście do niewiast miewali waszmość?... — pytał teraz officjer nieznany. — Ale pono i w innych sprawach także? Siła pochwał o was od różnych ludziów słyszałem, ot choćby od braciszka tu przytomnego... Macie wy parantele wielkie, macie i koneksje, macie! Z Królem Jegomością pono w zażyłej komitywie byliście?...

Tak mówił nowy gość ku panu Kulczykowi, wyraźnie już drwiący, podchwytujący i zaczepny. Teraz i mnich - rymopis jął dolewać oliwy do ognia, zwracając się ku kapitanowi:

— Jakżeż nie miała być z Królem komitywa, skoro pan Kulczycki życie przecież Joannesowi salwował pod Parkanami.

— Prawdaby to była, panie gospodarzu? — syknął wojskowy-

— Chyba że prawda, panie gościu! Kupa świadków żyjących attestować gotowa. Samem wtedy legł pod Parkanami.

— Ej, czy nie pod parkanem? — pomruczał pod wąsem Nietutejszy.

Ale Kulczyk nie słyszał, bo już w swój ferwor pokawowy wpadł.

— Odradzałem wonczas Królowi Jegomości w wir bitewny się puszczać, kiedy wszystko skłębiło się i swoi i wrogowie. Odradzałem. Nie słuchał! Patrzę ja, a oto już mój Johannes otoczony wrażą janczarską kanalją, a pancerni nasi szpetnie w mig nogi za pas, pana swego odbieżawszy, uciekali. Jak nie plunę ja wtedy w garść, jak nie dobędę mego żelazka, jak nie zacznę siec dokoła i łuszczyć łby tych czartasynów aż i dokoła wszystko wreszcie wymiotłem, kiedy nagle z boku Tatar! Samson istny! przypada, jak nie zamachnie swym sierpem piekielnym, więc czerwona posoka własna rodzona całą mi gębę zalała i walę się na ziem...

— Ostatni raz mówiliście, żeście z gardłacza po-

strzelon byli nabijanymi siekaczami... — przerwał mu szwadronadę mnich jadowicie.

— Postrzelony takoż byłem od innego drugiego. Postrzelony i to w tę samą głowę.

— Mózgu wam dużo wyciec musiało panie Kulczycki?

— Więc Król Jegomość zaraz z konia zstąpił, przyklęknął przy rannym zafrasowany i mówił w głos, jak dziś pamiętam: Bóg ci zapłać Kulczyku, żeś mi życie znowu salwował. Bóg ci zapłać!

— Jakto znowu?

— Żeś mi życie, mówi, znowu salwował! Tylko ty teraz powiedz, czego chcesz Kulczyku? Trembowelska kasztelanja być może. Jaworów ci dam przyjacielu! Czego dusza zapragnie... A ja wtedy: tę starą Turczynkę, monarcho, upraszam kornie, co ją pojmali nasi w wezyrowym namiocie, co tak warzy kawowe nasienie! I basta! niczego innego nie chcę! Więc Król Jegomość uśmiechnął się do wszystkich, co się wraz zbiegli, pamiętam jak dziś, mówi: patrzcieże waszmościowie i przykład bierzcie z Kulczyka, jaki skromny człek jest! modestus. Więc mnie odtąd Modestusem zwali w chorągwi. Nikt inaczej tylko zawżdy Modestus! Modestus!

— A w jakiej chorągwi wojny wiedeńskiej zażyliście mości Kulczycki?

— W jakiej? Także zapytanie spod ciemnej gwiazdy! A toż chyba wszystkim już dostatecznie wiadome na globie ziemskim. Na całe towarzystwo regimenckie chyba dużo glorji przez to spadło. A do was to jeszcze nie doszło?...

I z wcale dużą pogardliwością jak z partesu spojrzał pan Kulczyk na natarczywego zawalidrogę. Ale i ten nie w ciemię bity buzdyganem nie dał się stropić, jeno dalej nastawał twardym głosem.

— Do mnie nie doszło. Tedy odpowiadajcie na pytanie krzecznie. W jakiej?

— Pod Łąckim ma się rozumieć. Pod Łąckim!

Spojrzeli teraz po sobie mnich z kapitanem raptownie, jakby jakąś konspirację odkryli, a mnich swój list powoli na stole rozwijał i rozkładał.

— Tedy nie pod Kątskim? — chrypliwym głosem zagadał *padre*... — Ostatnie razy wyraźnieście mówili, że pod Kątskim i tako też mam zakonotowane...

— Przesłyszałeś się, mniszku...

— Przysiącbym gotów!

— Tobyś fałszywie przysiągł i do piekła na samo dno poszedł, gdzie ze smoły rozpalonej wielgie jezioro jest na krzywoprzysiężce. W regimencie Łąckiegom był! Klejnotem regimentu mnie zwali...

— Klejnotem? Ci Modestusem, a tamci Klejnotem. A Łącki jakiż człowiek był? Godny?

— Taki sobie. Szabelką chlastać to tam umiał niezgorzej, ale głowa jako stodoła w czerwcu.

— W czerwcu? Co znaczy w czerwcu?... — pytał kapitan pobladły teraz, wytrzeźwiały do cna, a powoli wstający z otomany. Groźny był jakoś i już omal nieprzyjemny. A nasz biedaczyna Kawiarniana jeszcze nic z tego co się tu kroiło, nie przeczuwał i brnął dalej wpadając w niecny potrzask.

— W czerwcu stodoła, to znaczy że pusta. Nie to, żeby prochu Łącki nie wynalazł, ale dwóch nawet zli-

czyć nie umiał. Gdyby nie mój sukurs, ładnieby ten regiment wyglądał.

— Tedy wyście właśnie dyrygowali regimentem Łąckiego?

— Znana rzecz, że ja.

— Regimentem Łąckiego, czy regimentem Kątskiego? Zastanówcie się raz jeszcze, mości Kulczyk...

No i teraz już całkiem złowrogo i marsowo patrzył gość nieproszony na gospodarza a szabliskiem raz po raz o podłogę stukał.

Już wreszcie i nasz Kulczyk zaczął pojmować, co się święci. Coś mu się w głowiźnie raptownie rozjaśniło. Lekki dreszcz przebiegł po całym korpusie. Zapowiadało się tu niedobrze. Jeszcze odwrót i rejterada były może możliwe; tylko trzebaby odrazu byka chwycić za rogi i kuć żelazo póki rozpalone. Z jednej strony stał przed nim rajtar tajemniczy z rapirem, z drugiego boku Pijar, wywijający papierem, a za kotarą wezyrską w głębi słychać było tłumiony chichot tureckiej wiedźmy.

— Czekajcież pułkowniku, czekajcie!... A może racja przy was? Może jednak pod Kątskim? Łatwo bywa pomieniać takie nazwiska! Dawne czasy i perjody, a jam dzisiaj tyle kawy wydoił... Tak! Tak jest... Przecież Łącki to była dwudziesta chorągiew piechoty! Tak, tak! A cóż mnie do piechoty? Od dzieckam naoklep najdziksze objeżdżał ogiery... Wiadomo, że polski naród Pan Bóg na konia posadził. Od maleńkości brzydziłem się pieszymi. U Kątskiegom był. Oczywiście!... Artylerja! Tak... Marcin Kątski... Braciszek miał rację! Pijarowie zawsze rację mają! Najzacniejsza to reguła ze wszystkich reguł. Jakbym kiedy po najdłuższym żywocie..., to tylko do Ojców Pijarów wstąpię! Zakonowi wszystko zapiszę.

I gadał jeszcze i gadał pan Kawiarz ale już było za późno. Za późno.

Kawaler kunsztu rymarskiego rozwinął teraz epistołę i zaczynał czytanie listu.

Generał artylerji Marcin Kątski odpowiadał manu propria a własnoręcznem piórem poecie koncypującemu poemat „Trąba Wiekopomna Jana III Króla"... że to a to, to a to, ale, że w artylerji pod jego dowództwem jako żywo ani jednego literalnie ani jednego Kulczyckiego ani Kulczyka nigdy nie było...

Stał nasz Kulczyk teraz jak pod pręgierzem. Zza kotary chichot babski szedł coraz zuchwalszy. Nie rozumiała Bisurmanica w czem rzecz a śmiała się, bo taka była śmiała a mstliwa.

Pijarczyna kończył czytanie, list zwijał i Kulczykowi z uniżonym ukłonem wręczał.

Kapitan nastawał dalej:

— Nuże Kulczyczku? A co teraz będzie z nami? Zaczem nie pod Kątskim? Tedy chyba pod Łąckim?

— Może... może...

— Pod tym Łąckim do kroćset djabłów, co to dwóch zliczyć nie umie, łeb ma jak stodoła, a prochu nie wynalazł?... Tak? Tak? to tam? Gadajże kawiarzu sakramencki psiacimać do kroć set bomb i kartaczy...

— Może... może...

— Może? może... Może wreszcie zechcesz karczmarzu arabski przyjąć do wiadomości swej, że przed

tobą w przejeździe do Rzymu dla asysty posła Jego Królewskiej Mości przydzielony, stoi we własnej personie nie kto inny jak łgarzów wierutnych pogromca, a chorągwi pieszej numero 20 dowódca sam we własnej osobie! Łącki kapitan!

Co się tam po tych słowach zdarzyło, czy zderzyło, opowiadać niema potrzeby żadnej. Ciekawość zresztą pierwszy stopień do piekła. Różni różnie o tem relacjonowali. Naczynia stłuczonego, farfurów, filiżanek, spodeczków, garnuszków poszło w każdym razie dużo w niwecz i w drobiazgi.

Fakt atoli pozostaje faktem, że nad ranem wszyscy trzej kompanowie znaleźli się zgodnie w harmonji zacnej naprzeciwko u tego szelmy Guschelbauera, niby to na rannej gorącej polewce winnej, a w gruncie rzeczy pięć butelków Tokaya wyżłopali do wieczora, przeplatając jak przystało krajowymi rakuszańcami co wybrańszej maści.

Morał jakowyś czyli da się wycisnąć i z tej opowieści? Oczywiście i to nie jeden, lecz kilka.

Najpierw taki, że to wszystko, co z imaginacji poczęte zawsze bywa piękniejsze od tego, co w rzeczy samej miało miejsce i się wydarzyło.

Drugie, że i w łganiu jako we wszystkiem wszyscy powinni konserwować pewną miarę alias umiar. I w las się zbyt daleko nie zapędzać.

Trzecie: Caffe czy to arabska, czy muzułmańska, czy inna mocnie i owocnie wpływa na krescencję i rozkwit wszelkich kunsztów z rymostworstwem włącznie i głównie.

Piąte: Bez sztuki parzenia kawy arabskiej nie byłoby... Sztuki.

Siódme: Kulczycki alias Kulczyk dobrze się przysłużył i Wiedniowi i swojej Ojczyźnie i Ludzkości.

Dziewiąte: Cześć Kulczyckiemu! Czołem!

CHRZĄSZCZYK W GDAŃSKU

Jaś Chrząszczewski, najmłodsza latorośl Chrząszczewskich rodu, szybko i zgrabnie zeskoczył z kuca, podciągnął go bez ceremonji na chodnik kamienny, przywiązał do kamiennego słupka, jeszcze raz rozglądnął się dokoła i popatrzył na bramę wysokiego, długiego, wąskiego, chudego domu.

Tak to tutaj: Ulica: Heiligengeist-Gasse, dom „pod Zielonym Łabędziem". Wszystko się zgadza. Tylko teraz odważnie, śmiało i niczego się nie bać!

W tym domu zamieszkał ten sławny, ten dziwny jegomość, o którym teraz wciąż mówią w całym Gdańsku wszyscy dorośli i starsi. Dlaczego tylko o nim tyle mówią, z tego Jaś sobie dobrze sprawy nie zdawał. Jakżeż mógł sobie zdawać, kiedy był dopiero uczniem sekundy w Konwikcie Ojców Jezuitów na Szotlandzie. Wogóle zresztą tak on ze swymi rodzicami jak i inne familje polskie dopiero od dwóch lat przecież przeniosły się do wolnego Gdańska, kiedy prusackie grenedjery Fryderycjańskie zajęły różne polskie wsie i miasta. Więc skąd on trzynastolatek, szkrab, skrzat, mikrus, mógł niby wiedzieć, kto zacz jest ten dominus Szodowiecki, o którym wszyscy mówią z taką rewerencją. No, a co za dziwne, dziwne imię...: Daniel!! Daniel w lwiej jamie? Wprawdzie na drugie nosi Mikołaj, ale na pierwsze Daniel. I niby to on Polak a nie Polak, bo przecież nie mówi pono ani w ząb, a tu do swego rodzinnego miasta po raz pierwszy dopiero po trzydziestu latach z wizytą przyjechał.

Poprawił teraz Jaś Chrząszczewski rzemiennych cugli, któremi kucyk był przywiązany i jeszcze raz rozglądnął się po ulicy, w tych godzinach cichej i pustej.

Prześliczna to ulica i taka jakaś dziwna. I całe miasto takie jakieś prześliczne a przytem dziwne, bo to niby całkiem Lutrami przepełnione, a tak jakoś jednak Kraków przypomina, a Szwaby tu jakieś i dobre i grzeczne i okrętów tyle mają! I ten omszały arsenał i tyle tych śpichrzów, młynów, wież, bram, baszt, barbakanów. Właśnie dwunasta godzina bije na ich Marjackim Kościele, potem u Dominikanów, u Franciszkanów, u Katarzyny, u Mikołaja i zaczyna się ta muzyka z wież kościelnych, jak z chmur, jak z nieba... No, ale darmo. Na słuchanie zegarowych kurantów nie pora. Trzeba nabrać odwagi i swoją misję teraz wypełnić i stawić się przed obliczem samego dyrektora Berlińskiej Akademji Malarskiej i wręczyć mu ten oto list.

Wyjął Jasio spod żupanika epistołę w żółtej kopercie z pięknie przypieczętowanemi nalakowanemi herbami. List był od Jasiowej starszej siostry z korną propozycją oraz z przynależnemi komplementami i duserami. Że to niby mistrz nad mistrze, globowej glorji malarz, zjechawszy łaskawie do Danziga wielką galerję krewniaków i znajomych z polskiej stolicy w Gdańsku na dobrowolnej banicji aktualiter osiadłej, konterfektuje, że to niby czarowne silwetty

i miniatury Chodowieckiego pędzla lub rylca posiadły już szczęśliwie i wojewodzina pomorska jejmość pani Przebendowska i Prymasowa bratowa, comtesse Podoska i Strażnikowa koronna pani Czapska, ba nawet kuzynka najbliższa Chrząszczewskich cioteczna Ledóchowska starościanka, tedy i ona, Chrząszczewska, jako że pono urodziwa, kurażu niepomiernego nabrawszy, braciszka swojego z listem wysyła, suplikując najkorniej o naznaczenie terminu, w którymby do kopersztychu pozować i siedzieć mogła, z czego prezent imieninowy dla Babci Dobrodziejki uplanowan. Epistoła była po francusku, adres na kopercie zasie po niemiecku:

„Euer Hochwohlgeboren Herrn Daniel Nikolaus Chodowiecky Königlich preussicher etc. etc."

Kołatką tedy zakołatał teraz Jasio Chrząszczewski, poczem, gdy otworzono, w kilku susach wbiegł na trzecie piętro prastarej Pastoriusów kamienicy. Serce mu biło jak przy konfessyonale, zimny pot wystąpił na czoło, na policzkach rumieńce, a w ręku list kurczowo trzymany. Byle się tylko dobrze wywiązał z powierzonej mu misji.

Przeżegnał się Jaś i zapukał. Głos mocny stentorowy:

— Entrez! Herein!...

Ani spostrzegł, jak już stał na środku szerokiej izby, butami galantnie szurgał w pół zgięty, czapę do serca raz po raz przykładał, oddech łapał i patrzył przed się. Za stołem lekko pochylony siedział miło uśmiechnięty mistrz nad mistrze w peruczce maleńkiej, napudrzonej, z warkoczykiem znów kokardką spiętym. Miał na sobie szlafrok pstrokaty z chińskiej kitajki żółto-złocisty, a przed sobą deseczkę z kartonami, przy których, jakoże majster nad majstry i teraz coś majstrował. A w prawej ręce długie spiczaste kredki. Głowy nawet nie podniósł, nie popatrzył, jeno burknął dość niecierpliwie:

— Willkommen! Was neues? — co nasz Jaś w mig zrozumiał, jakoże u Ojców Jezuitów na Szotlandzie po niemiecku głównie studja się odbywały.

Najmłodsza latorośl Chrząszczewskich znów szurgnęła kopytkami, poczem śmiało ku stołowi pomknął, no i wreszcie list wręczył. Pan Chodowiecki spojrzał na polskie pacholę, uśmiechnął się dziwnie, pokiwał głową z harcopfem i list otwierał.

Jasio miał teraz czas rozglądać się po kamerze pracowniczej. Trzy okna ku niebu, z boku klawikord, przy nim duża harfa (może Eolska?) na środku gradus, jak pod katedrami Ojców bakalarzy a na gradusie taburecik. Możnaby powiedzieć, że nic już więcej, gdyby nie multum obrazów i kartonów pod ścianami i na innym stole, na kozetce, na komodzie, na fotelach i na posadzce. Na obrazkach zaś, co gdzie oko padnie, znajome Jasiowi postacie skonterfektowane. A to sam ksiądz Prymas Podoski, a to sam ksiądz biskup Warmiński, bajkopiszący Krasicki, a to sam imci szambelan Husarzewski, generalny komisarz Jego Królewskiej Mości w Wolnem Mieście, a to znów strażnikostwo Czaccy, on w kontuszu, zadzierzysty, z wąsem jak u suma, jejmość w robronach z fryzurą, sterczącą do pierwszego piętra...

Sami coprawda *dorośli,* ale zawsze sami swoi. Jaś Chrząszczewski zaczął jakoś nabierać animuszu.

Nie taki djabeł straszny, skoro tylu Polaków z Polski maluje i to nie tylko samych wielkomożnych, skoro tu i ówdzie na obrazkach i flisaki są, i oryle, i piaskarze, i tacy, co miotełki sprzedają, ba nawet spod kościoła św. Katarzyny znajome polskie kaleki, dziadygi i dziadówki..

I teraz, albo mu się przyśniło, albo wyraźnie usłyszał, jak spoza stołu szło figlarnie recytowane i skandowane: „podgolono palka, po cziemu gorzałka.. podgo...lo...na pałka... po czemu gorzałka?"

Wyraźnie po polsku mówi, łamanie... gebrochen, ależ po polsku: Dyrektor Akademji z Berlina, sławny, przesławny malarz, co króla Fryca ze Sancouci i tylu generałów starych sztychował, ten sam, który do tylu książeczek angielskich, francuskich, niemieckich śliczne robił ryciny, ten sam „Prusak niemiecki" teraz do niego po polsku. Więc już się nasz Jaś i rozkomosił i już nabrał kontenansu i podniósł podgoloną głowinę no i wprost w głos się roześmiał... Pan Chodowiecki powoli wstawał patrząc na Jasia, patrząc i patrząc. Wyciągał tabakierkę z kieszeni szlafroka, zażywał tabaki, niuchając pod nosem. I znów patrzył na Jasia serdecznie a wesoło. Wreszcie schował tabakierkę, powoli wyszedł zza stołu, sięgnął ręką po kredki, zmarszczył brwi, chrząknął basem...

Jaś stał grzecznie, z powrotem nieco zbity z pantałyku... niepewny, omal że zaniepokojony. Pan Chodowiecki dość niespodziewanie wskazał teraz kredkami na gradus z taburetem i nagle huknął, jakby strzelił:

— ...Sziadacz!

Jaś się zawahał. Ale tylko chwilę, gdyż odrazu opanowała go radość niepomierna: będzie pierwszym *niedorosłym* Polakiem, którego skonterfektuje mistrz Chodowiecki z Berlina.

— ...Siadacz! Ni gadacz! Rysowacz!

Jednym susem znalazła się najmłodsza latorośl Chrząszczewskich na gradusie i już siedziała na taburecie. I już robiła śmiesznie poważną minkę.

A Chodowiecki już zasiadł powrotnie za stołem, deseczka przed siebie i już rysował śpiczastą, długą kredką... raz po raz, to podśmiewając się do siebie, to mrucząc, to coś nucąc... Jasio siedział spokojnie profilem, znanym profilem rodu Chrząszczewskich do okna ku światłu odwrócony.

I teraz słyszał wyraźnie, słyszał jak od stołu coś mówiło dziwacznym basem:

„Warszawsky trze...wiczek
Torunsky per...niczek
Krakowska książeczka
A gdancka wódeczka".

I drugi raz to samo:

Torunsky per...niczek
Warszasky trze...wiczek
Krakowska dzieweczka
A gdancka wódeczka.

I tak jeszcze dwa razy... trzy... cztery, aż i konterfekt najmłodszej latorośli... arcydzieło chluby rodu Chodowieckich był gotów.

— ...Fertig! — krzyknął teraz stary pan w chińskim peniuarze... Rysunek rzucił na stół pomiędzy inne...

Teraz znów wziął do rąk list i kopertę.

Jasio nasz rozradowany, dumny ,wesoły już był znów na środku izby. W rękach miał czapę i czekał, patrząc swobodnym, poufałym wzrokiem na tego znamienitego pana, który bywał na obiadach u Księcia Prymasa w „Angielskim Domu", dla którego uczczenia wspaniały bankiet wydał Senat w „Artushofie", którego zawsze po prawej ręce przy sobie w kolasie sadzali i pan wojewoda Przebendowski z Rzucewa i pan generalny rezydent J. K. Mości...

Jaś już całkiem śmiało zbliżył się do stołu, stanął i wyginał się, aby wreszcie zobaczyć ten swój konterfekt.

Nagle stało się coś straszliwego.

Stary Chodowiecki zerwał się zaperzony, jak oparzony. Czerwony był jak piwonja, trzesący się jak osika, wymachujący rękami jak wiatrak, tupiący nogami jak dyrygent fałszującej kapeli. Odrazu jakby zachrypniętym głosem jął krzyczeć tym razem z gruba po niemiecku.

— ...Ja, was ist denn das wieder? Was soll das bedeuten? Hergott Himmel sapristi!

I wyciągnął przed się rękę z kopertą, podsuwając pod nosek swemu gościowi.

— ...Chodowiecky? Wer ist Chodowiecky? Wo ist Chodowiecky ? Weswegen y... y... y... y... y...? Bin ich doch ein Pohle! Ich mache mir eine Ehre daraus ein wahrer Pohle zu seyn!... Y... Y... Y... Y... Chodowiecky! Chrząszczewsky! Sobiesky! Leszczyński!

No i już teraz sypało się z niego jak z rozprutego worka, czy jak z rogu Amaltei, a wszystko po niemiecku, z pruska po berlińsku, twardo, z pasją wielką.

Najmłodsza latorośl Chrząszczewskich rodu stała zdrętwiała. Na początku trochę rozumiała, w środku już mniej, na końcu ani słowa. Tyle tylko jeszcze skombinowało pachole, że dominus Chodowiecki, gdy miał osiem lat, namalował Króla Leszczyńskiego, że jego ojciec (seeligen Andenkens) Gotfryd mu było, mówił po polsku e x p e d i t e i p e r f e c t, że maestro, kiedy miał lat szesnaście był w Krakowie... i tak dalej i tem podobne i tak ciągle w kółko...

Skąd mu przyszło raptownie z taką pasją wybuchnąć przed małem pacholęciem, to niewiadomo... Jakby go ktoś przydepnął w bolący nagniotek...

Jaś Chrząszczewski stał na środku izby blady, przerażony, nieporadny. Przestępował tylko z nogi na nogę, pot kroplisty ścierając z podgolonej głowiny. Wreszcie pan Chodowiecki z Chodowieckich z Borowa (pod Gnieznem), zaczął się jakoś temperować i uspakajać.

Jeszcze jak indor fuczał i sapał jak kowalskie miechy, ale już wolniej i ciszej. Moderato. Wreszcie wyszedł szybko zza tego swojego stołu i przed Jasiem stanął.

Widocznie żal mu się teraz zrobiło zdekoncertowa-

nego, struchlałego, biednego Sarmaciny, który niedawno jeszcze tak mu grzecznie, statecznie pozował i tak się doń ufnie rozradowanie uśmiechnął. Znów nasz pan Chodowiecki stanął tuż obok, przyciągnął chłopca ku sobie i jął go całować po „ogolona pałka".

Przez chwilę zdawało się Jasiowi, że nawet łzy mu kapnęły na łepetynę.

— ...Teraz iszcz! Sziostra bycz jutro rano. Die Skizze kann mir gestohlen werden... Ist gelungen. W Muzeum wiszeć bendzie... Amen. Au revoir...

I odprowadził pacholika małego, wpół trzymając i głaszcząc, aż do samych drzwi.

A Jasio całował go po rękach i całował, a sam jeno płacz powstrzymywał, na który mu się ni stąd ni zowąd zbierało w tej alteracji.

A pan dyrektor Królewskiej Akademji Berlińskiej mruczał doń dalej niepowstrzymanie.

— Kein Szodowiecky, kein Chodowiecky! C h o d o w i e c k i sind aus Borow! Kein Teutscher! Verstanden? Ein Pohle!

I jeszcze w sieni przy balaskach, gdy Jasio, kłaniając się raz po raz, wzruszony schodził w ciemną nie tyle klatkę ile wieżę schodową, starszy pan wołał z góry śmiejąc się i powoli z trudem skandując:

...Pszenyca panska
...Płynie do Danska...

Już zbiegała najmłodsza latorośl Chrząszczewskich z pierwszego piętra na parter, kiedy z góry szło jeszcze na dół z trudem wymawiane:

...Bez Danska, bez Weliczki
Nie warta Polska świczki.

Wreszcie znalazł się Jaś na dole w pięknej antresoli Pastoriusowego patrycjuszowskiego domu, dębowemi kaflami wykładanej, z olbrzymim mosiężnym żyrandolem od okapu wiszącym, z szafami monstrualnie wielkiemi, na których stały drewniane statuy, cudownie „Cztery Pory Roku" figurujące.

Sprzed domu dobiegał hałas i zgiełk jakby zbiegowiska. Tak, o tej porze zwykle wyjeżdżał na obiad do polskiego prymasa specjalnie posyłaną poń karocą z dwoma hajdukami na tylnych za siedziskiem stopniach sam der theure Meister, gość Gdańska, dziecko Gdańska, klejnot w koronie Gdańskiej.

Korzystano z okazji, aby mu zawsze urządzać wesołą owację z vivatami i z odprowadzką karocy aż do „Angielskiego Domu".

Jasio otwarł sobie z trudem ciężkie drzwi i stanął na płytach kamiennych beiszlagu rozradowany, że jego kuc stoi na miejscu, jak stał i jak mu wypadało.

Tłum strojnych, bo bogatych (z polskiej pszenicy) mieszczan z dużą attencją patrzył na podgolonego Sarmacika.

Jakieś dziewczę słomianowłose, napewno jakaś Erika, szybko, usłużnie odplątywała rzemienny węzeł kucyka. Wszyscy uformowali jakby szpaler do drzwiczek i schodków karocy. Wspaniałe prymasowskie siwosze rżały wesoło. Ci i owi spoglądali w górę ku trzeciemu piętru, gdzie kwaterą stanął przesławny malarz, rytownik, miniaturzysta, ilustra-

tor. Jaś Chrząszczewski już dosiadał swego kucyka. I wtedy to raptownie otwarło się szeroko jedno z okien na trzeciem piętrze. Ukazała się w niem sylweta ukochanego artysty: a oblicze dziwnie roześmiane wesołe, figlarne.

Tłum na ulicy zafalował i wraz buchnęły okrzyki:

— Vivat! Vivat! Vivat!

I podrzucania kapeluszów w górę. I podnoszenie dziecek, żeby zobaczyły. I oklaski i okrzyki.

Chodowiecki dał znak ręką jakby z okna miał coś ważnego przemówić i o silentium prosił.

Mały Chrząszczewski już na swym kucu ukochanym poderwał podgoloną pałkę do góry i wymachiwał czapką szarmancko. A tłum się uciszył i czekał.

I wtedy z góry, z okna poszło ku dołowi, ku ulicy zwolna, z trudem, mozolnie ciężko, ale zwycięsko wymawiane:

Crzonszcz brzmi w trzcinie...

I drugi raz już lepiej:

Chrzonszcz brzmi w trzcinie...

Najmłodsza latorośl rodu Chrząszczewskich uradowana już ruszyła z kopyta w powrotną drogę ku Langgarten'owi, kiedy tłum wesołych Gdańszczan na Heiligen-Geist-Gasse wokół karocy prymasowskiej stłoczony za wezwaniem Daniela, Mikołaja dwojga imion Chodowieckiego, pochwyciwszy dziwaczne słowa, jął je powtarzać chórem, unisono, choć tam i łamiąc sobie języki i krztusząc się...

W oknie stał Chodowiecki i chusteczką wymachiwał ku odjeżdżającemu pacholęciu.

A na dole pod lipami gwar rósł wśród chichotów wesołych:

...Chrząszcz... brzmi... Chrząszcz brzmi... w trzcinie...

KORDJANEM BYŁ KLERYK

Miała to być właściwie Trylogja, ale do tego nie doszło. Napisał ją poeta w r. 1834, na emigracji w Paryżu też także jako... expiację. W wojnie rosyjsko-polskiej też bowiem udziału nie brał. Ale przynajmniej w Warszawie pozostał i dał kolejno trzy utwory excytujące, krzepiące serca, karki masujące: „Bogarodzicę", „Kulig", „Pieśń Legjonu Litewskiego", które dość dużą popularność sobie zyskały. Zresztą był wtedy mało znanym urzędniczkiem, synem jakiegoś profesora uniwersytetu ze Wschodu, żyjącym arcyprywatnie, do żadnej akcji nigdy nie wciągniętym, ściubolącym sobie różne drobne utworki, nawet dramaciki, ale całkiem pokątne. A przedewszystkiem chorowity, drobny, szczupły, mały, wątlutki, nieco suchotniczy, prawie karlikowaty, pałaszaby nie udźwigał. Kiedy zagrzmiały w lutym armaty za Grochowem, żółtobladego młodzieńczyka i maminego synka ogarnęły Strach i Imaginacja. Nic można służyć wojskowo, no to trzeba się ratować! Armatniej kuli cięższej z ziemiby nic podniósł i tylko pisać i rymować umiał. Nocami kaszlał. Więc wyjazd. „Przed męką uciekłem" sam się przyznał. I dzięki temu dał „Kordjana" w cztery lata potem.

Sprzysiężenia i spiski znał tylko ze słuchu, z opowiadań, z bajek i z baśni. Wiedział, że już cała młodzież spiskuje i wojskowa i cywilna ale urzędnikom nie wolno. Zresztą pisał dramaty wierszem i prozą, żył solo basso, musiał dużo czytać, pogłębiać się, a na schadzki po kawiarniach, na Biclanach, w lasku Marymonckim szkoda było czasu i atłasu. Od tego były zdrowe byki i wałkonie a nie chucherka anemiczne i gorączkujące.

Że w kwietniu i w maju r. 1829 podczas przyjazdu Króla-Cara dużo o jakichś sprzysiężeniach i komplotach się mówiło to fakt. Dla bezpieczeństwa J. K. Mości wojsko konsygnowano w kasarniach, ostre naboje, środki zapobiegawcze. Ale równocześnie Cesarz w polskim generalskim mundurze z amarantowymi rabatami, z jednym tylko adjutantem piechotą spacerował po ulicach Warszawy. Można go było obserwować i podziwiać. I koronacja poszła jak z płatka. Hrabia Skarbek w „Pamiętniku" wyraźnie pisze (strona 145) jak „Król szedł do katedry pod baldachimem niesionym przez 16-tu generałów polskich". Tylko Sejmu na obiad galowy na Zamku (na 300 osób) nie zaproszono. Widocznie już wtedy szły niekiedy zimne wiatry na rozgorączkowany parlamentaryzm.

Juljusz Słowacki sprzysiężenie koronacyjne łączy ze Szkołą Podchorążych. Błędnie, całkiem błędnie. Przeprowadzili ze sobą swego czasu (1909) na ten temat polemiczną kontrowersję Al. Kraushar z E. Łunińskim. W Szkole Podchorążych ogniskowała się opozycja z różnych względów i różnego gatunku, bo także z powodu zatamowanych awansów i ostrego drillu nowego szefa Trębickiego, ale w erze koronacji żadnej konspiracji nie było. Malkontent już wtedy najgłośniej odgrażający i na „Burłaka" (Konstantego)

pomstujący nazywał się... Gautsch (porucznik 1. p. linjowego). Dużo urągali desygnowani tu dla przygotowania oficerskiego do służby frontowej grenadjerzy gwardji. Wśród nich najwięcej się ciskał późniejszy barykadzista sierżant Aleksander Łaski, ten sam, który potem na emigracji „Uwagi nad początkiem rewolucji" napisał. Ale to też nie... Kordjan. Ani Piotr Wysocki, ani Schlegel, ani Paczkowski, ani Nabielak, ani Paszkiewicz co szedł się pytać do Niemcewicza, czy już czas? („jeden Paszkiewicz zaczął, drugi dokończył") i to też nie Kordjany.

Postać, wątek, osnowę, tło, akcesorja, sceniczny aparat, romantykę, konspiromantykę wziął Słowacki z kogoś całkiem innego, nadal nieznanego i nieznajomego, bo go odkrył nie wydobywca Łukasińskiego sławny i znakomity Askenazy, ale skromny sobie i bezpretensjonalny Deiches (Łuniński), w dziejopisarce meloman.

Ten ktoś, ten prototyp Kordjana leży na cmentarzu aż w Stanisławowie, tam, gdzie są groby M. Gosławskiego i Agatona Gillera.

Tam to pochowali tułacza i męczennika w r. 1883 po długiem, burzliwem, dziwacznem ale skroś bohaterskiem życiu. Na życie takie sam się skazał dobrowolnie, bo od zarania postawił sobie jako zasadę: „machnięcie orężem jedyna na gangrenę krajową rada", czyli krócej: nieprzerwalność powstań.

Kordjan omal rzeczywisty, półfaktyczny omal historyczny nazywał się Wincenty Nowina Smagłowski. Był synem komornika, z Wieliczki rodem. Po śmierci

starego matka najpierw mieszkała w Tarnowie, a potem z dwoma synami do Warszawy się przeniosła.

Przez krewniaków do Ojców Pijarów. Egzamin dojrzałości doskonale, potem nowicjat, wreszcie braciszkiem no i kleryk. Że kleryk wyjątkowo zdolny i otwarta głowa, więc Ojcowie decydują, aby zapisał się na uniwersytet, na filozofję. I kleryk Smagłowski na wykłady chodzi. Ale że brat jego Boguchwał już był w spiskach po uszy, więc i Wincenty odrazu dał się wciągnąć w konspiromantykę.

W Szkole Podchorążych notorycznego sprzysiężenia nie było, ale zato wszędzie po mieście co się wlezie. Jak w całej Europie. I starzy i młodzi. Jedni oddawna na Bielanach zbiórka, inni na Marymoncie. Już od r. 1821. A to Wolnomularze narodowi, Kosynierzy „Panta Koina", Towarzystwo Patrjotów, Kawalerowie Narcyza, zielone wstążeczki: „Tylko machnięcie orężem jedyna na gangrenę krajową rada". Ugodowy serwilizm szedł istotnie za daleko. Kantata profesora Osińskiego zaczynała się:

„Witaj Królu Polskiej Ziemi
Ojcze między dziećmi swymi".

Koronacji świadek naoczny Fryderyk hr. Skarbek (strona 143) pisze: „prymas wraz ze wszystkimi zebranymi padłszy przed stojącym monarchą na kolana zmówił z rozrzewnieniem modlitwę polską"... Lud i gmin miejski jadł i pił przy stołach na Placu Ujazdowskim, wznosząc głośne wiwaty Mikołajkowi.

Kleryk Smagłowski zawiązał na to terorystyczny związek „Wieniec". Koledzy z filozoficznego fakulte-

tu z nim. On się nazywał „inicjałem" (sic). Schodzili się w Marymoncie, w lesie, latarki, maski czarne, sztylety, głaz wielki, na głazie czaszka z napisami, przysięgi, zaklęcia, ręce do góry, istny melodramat jak u masonów. Ułożone było, że „za obiciami" skryją się w zamkowych salach. „Kindżały, garłacze, pistolety". O co chodziło? „Podeptana", zgwałcona konstytucja ma być przywrócona! Jeżeli się despoty nie zgodzą, członkowie „Wieńca" natychmiast zakatrupią Haukego, Nowosilcowa, Rożnieckiego, Krasińskiego. Dynastji, ani Wielkich Książąt ani następcy tronu, Aleksandra Mikołajewicza (co tylko po polsku ze wszystkimi mówił) ani tknąć! Warunek sine qua non: magna charta libertatum przywrócona. Było ich w „Wieńcu" siedmiu czy dziewięciu, rej wodził kleryk Smagłowski. Tylko niepotrzebnie, bo kłamliwie, fikcyjnie, poetycznie, romantycznie, dawał sprzysiężonym do zrozumienia, że za nim stoją, że z nim są w kontakcie, że go inspirują Chłopicki, Sołtyk, ba sam Niemcewicz nawet. I przez to wpadł.

Jeden bowiem ze spiskowców (który w „Kordjanie"?) Tomasz niewierny, nazwiskiem Krotki, Feliks Krotki, akademik, „mik" (jak wtedy mówiono), aby się przekonać o możliwościach spiskowych i o koneksjach Wincentego Smagłowskiego poszedł do Niemcewicza i wręcz go zapytał czy on też?

I wtedy bomba pękła. Krotki wypaplał wszystko. Niemcewicz dał znać rektorowi Szweykowskiemu. A że podejrzewano prowokację prorządowej maffji: Różniecki, Kuruta, Nowosilcow, Faleński, Szaniawski, Mackrott ect., więc Szweykowski zreferował ministrowi policji Mostowskiemu. Śledztwo, indagacja, plątanina w zeznaniach, spowiedź, wypieranie się wszystkich. Strach i Imaginacja.

Kleryk całą winę bierze wyłącznie na siebie. On „Wieniec" założył i rotę przysięgi układał, cele wytyczył („nieprzerwalność powstań") on „inicjał". A więc jest zbrodniarzem stanu. Ponieważ nieco plótł i zdradzał fioła w głowie (kiełbie we łbie), więc rada uniwersytecka (Bentkowski, Bandtke, Brodziński) tylko na relegację z uniwerku. 7 maja 1829 wyrok i wypuszczenie z więzienia, gdzie przesiedział właśnie przez tygodnie koronacji, owacji, libacji i illuminacji.

Ponieważ kleryk skompromitował i Zakon Ojców Pijarów, więc habitus kazano ściągnąć i oddać. Car nietknięty wyjeżdżał z familją do Petersburga. Konfliktu specjalnego (jaki w „Kordjanie") między braćmi jako żywo nie było. Burłak był tylko wściekły, że mu Mikołaj kazał nawdziać polski mundur generalski, a on w tym mundurze lubił paradować tylko na złość w Pitrze a w Warszawie na złość w grenadjerskim, gatczyńskim. Nigdy o Joannę. Nigdy o sukcesję tronu.

Exkleryka wzięli do siebie na guwernera z łaski Łabędzcy z Kutnowskiego, z Trąbek. Ale spokoju tu nie zaznał, bo do Warszawy zajeżdżał i znów się „ważniczynił" i ciskał i wciskał. Wtedy rewizja na wsi. W kuferku znaleźli grafomańskie bzdury, odezwy, manifesty. Aresztowany. Znów indagacje i ochranniki wydymają z tego wielki komplott. Że austrjacki zaś poddany, więc Metternich chce go mieć u siebie. I choć cesarzewicz Konstanty zaśmiewa się z tych

błazenad, ex-kleryka „Kordjana" odstawiają do Lwowa skutego i do Brygidek czy do Marcinkanek. Znów śledztwo, znów gadaniny, wreszcie po 2 latach puszczają wolno (1832). Wynędzniały, wychudzony, wycieńczony znów do guwernerki. I wtedy słońce na krótko uśmiecha się „Kordjanowi". Żeni się z córką ziemianina właściciela Frysztaka, z emigrantów francuskich baronessa Lasolaye. Drużbuje „Kordjanowi" Wincenty Pol. Druga siostra Smagłowskiej wychodzi za Tretera...

Exkleryk w myśl „nieprzerwalności powstań" przygotowuje teraz „Wiosnę Narodów" i zawiązuje z galicyjskich ziemian młodych nowy „Wieniec" („tylko machnięcie orężem jedyna na gangrenę rada"). Łapią go chłopi Szelowcy, tłuką, ranią, odwożą na saniach. Znów szpital, znów więzienie, majątek ograbiony, dwór spalony. Smagłowska przenosi się do Lwowa, exkleryk ucieka na Węgry i tam machluje czy też walczy przeciw Austrji. Po katastrofie wraca do Lwowa, zaczyna pisać, grafomanić, drukuje „Krakowiaki Rabacyjne" (rzadkość!). Znów podburza, znów się ciska, znów się wciska, więc go znów capią i zamykają w Ollmutz. W r. 1857 przychodzi amnestja, żona zmarła, syn dorasta. „Kordjan" idzie znów na guwernera, tym razem do Wielkopolski do ordynatów Skórzewskich. Akurat natrafia w Wielkopolsce na ostry kurs policyjny-represyjny, a tymczasem on się nie zestarzał i nadal swoje robi i swoje powtarza („orężem na gangrenę"), zaczem musi znów porzucać ziemię i z Wielkopolski uciekać.

W Paryżu biedny tułacz znalazł wreszcie azylum

omal najdłuższe, bo przeszło jedno dziesięciolecie. I tu wśród Emigracji spotyka się z dwoma czy trzema z roku 1829 spiskowcami z „Wieńca". Musieli się początkowo mocno wstydzić, że tego biedaczynę tułacza podejrzewali kiedyś o konszachty z Rożnieckim i ze Szaniawskim, o „prowokatkę", o zdradę, a to tylko na podstawie, że plótł i gadał gadativus i roił i myślał i komponował, byle tylko gangrenie przeciwdziałać.

W tym to Paryżu z guwernerki, z lekcji, z kollekt, z jałmużn, z datków dobrowolnych bibljotekę zbierał, druki i kruki białe gromadził, patriotica kollekcjonował. W 63-im roku brał udział już syn Wincentego: Konrad. Nie Kordjan, Konrad Smagłowski.

W 72-im roku, po „Komunie", ściągnęli Smagłowskiego wychudłego jak widmo do Lwowa, gdzie był „Komitet Pomocy Emigrantów" i skąd go wraz z bibljoteką skierowano i ulokowano w emeritopolis w Stanisławowie. Dostał po raz pierwszy stałą pensję 300 złotych rocznie i miał dach nad głową przy oddanej miastu Bibljotece.

I tak przeżył w sędziwości lat dziesięć, ostatnich.

„Kordjana" Słowackiego mógł znać Smagłowski, ale nie musiał znać, bo „Kordjana" wielkość, ważność i popularność liczy lat dopiero z 50, 60. Jeżeli jednak znał i czytał, to dziwne chyba przeżywał... transe i emocje.. zresztą podobne jak i emigrant Aleksander Łaski.

Ciekawe też czy się kiedyś w młodości spotkali za życia na ulicach Warszawy: idący do biura wolno

urzędniczek skarbowy pan Słowacki i zgorączkowany kleryk brat Wincenty, wracający z Marymontu po nocnym konwentyklu z gromadką tajemniczych sprzysiężeńców...

Taki jest „Kordjan" w historycznej rzeczywistości.

LASKA PANI JENERAŁOWEJ

Chyba się pastor Pleszewski przejęzyczył.

Kiedy za pierwszym razem powiedział „świętej pamięci pułkownikowej", ci i owi z zebranych nad rozkopaną mogiłą tylko powiedli po sobie zdumionym wzrokiem tak, jakby się przesłyszeli. Pastor Otto także wstrząsnął jakoś dziwnie głową i brwi zmarszczył. Tłum w pobliżu zafalował. Ale kiedy drugi raz jednak już wyraźnie usłyszano „ś. p. pułkownikowa", nagle jakby prąd magnetyczny przeszedł po otaczających i odrazu z kilkunastu ust padło mocne: jenerałowa! jenerałowa! Pierwszy zdaje się jakiś wąsacz siwiuteńki z Applikantki jeszcze. Niektórzy znów twierdzili, że to Staś Krzemieński z tych Krzemieńskich z Żabiej. Inni że Laurysiewicz. Inni, że Jurgens. W każdym razie równo z tym pierwszym zaraz kilkanaście, potem kilkadziesiąt, potem kilkaset: jenerałowa! jenerałowa!

Że na cmentarzu to niezwyczajna rzecz, więc jednocześnie z boków uśmierzające: „cyt panowie! to cmentarz!" Wiedzieli przecież wszyscy, że policja piesza i konna otacza cały cmentarz, że szpiclostwa moc porozsypywanego, a w karecie przed bramą pono sam Trepow. Ale akademiki, co małą drewnianą trumienkę ostatni przez cmentarz nieśli, przepłoszyć już się nie dali, tylko zgodnym chórem: „jenerałowa! jenerałowa!"

Więc już pastor Pleszewski ustąpił i konkludował: ...„Świętej pamięci jenerałowa Sowińska dożyła późnej starości, 85-tego roku życia, jaśniejąc ziomkom przykładem ofiarnego samarytańskiego żywota, niosąc pociechę biednym i utrapionym, służbie Bożej i bliźniemu całkowicie się poświęcając, na wieczną w narodzie pamięć i wdzięczność rzetelnie zasłużywszy"...

Teraz wszyscy odetchnęli z ulgą, jakby im kamień spadł z serca. Prawdzie stało się zadość. Dla Moskalów był tylko pułkownikiem w Konstantego armji, ale w powstaniu postąpił o rangę wyżej. Więc się mu liczy. Więc: jenerałowa.

Od tego to incydentu na cmentarzu ewangelickim, jak od iskierki w popiołach zapaliły się serca tych, co szli teraz w życie i nigdy, nigdy o tem, co najważniejsze nie zapominali. Od jedenastego czerwca roku 1860 jednym nieprzerwanym ciągiem aż do stycznia roku 1863 powtarzały się ciągiem manifestacje, demonstracje i walka o wolność na nowo przez nową generację podjęta.

Zaczęło się od drobiazgów i błahostek, po których już i wszyscy wiedzieli i odczuwali, że coś się święci, coś świętego się święci, że w duszne posępnego więzienia powietrze coś świeżego przewiało, że coś nowego się kroi.

Młodzież oczywiście jak zawsze pierwsza. Wizyta i zjazd trzech monarchów w Warszawie? to Teatr Wielki na godzinę przed paradą zanieczyszczony. Tam znowu pęcherzyki z cuchnącą assafetydą rozrzucone. Na balu kostjumowym u hrabstwa Uruskich, człowiek wymizerowany w łachmanach i kajdanach się pojawia. Szyldy rosyjskie znad sklepów w nocy zrywane. Tam znowu jakiś szpicel w garkuchni przez gości do krwi pobity. Idą przez Park Saski grupami medyki, to śpiewają jakieś znane, ale zdawna zapomniane pieśni i piosenki. „Jeszcze Polska nie zgniła" figuruje błędnie węglem na białych murach. Na koncercie w Redutowych nagle po Polonezie (wiadomo jakim Polonezie), cała publiczność wstaje. To znów na welinowym papierze zaprosiny na nabożeństwo u Świętego Krzyża za dusze „Adama, Juljusza i Zygmunta". W gazetach od niejakiego czasu jakieś dezyderaty, jakieś postulaty, jakieś aluzje, czego następstwem i cenzura „posrożona". A na Zamek raz po raz w karetach dygnitarze kacapskie jadą, by raporty prokonsulowi przedstawiać Michajłowi Dymitrowiczowi Gorczakowowi, poczem do Carskiego Sioła sztafety: „czto diełat'? czto diełat'?

A wszystko to zaczęło się i jak lawina szło od tego wołania na cmentarzu w pogodny podwieczór czerwcowy: generałowa! generałowa!

Ważna zatem musiała być osoba, którą takie tłumy odprowadzały, że się na małym cmentarzu reformowanych nawet zmieścić nie mogły. I jakąś bardzo dobrą duszę musiała posiadać ta osoba, skoro w momencie sypania grudek na wieko, tyle zapłakało i to mężczyzn i kobiet, starych i młodych, siwych i blondynów, dodać trzeba, że i z różnorakich chrześcijańskich wyznań. I wciąż jeno powtarzono, że „tak nagle", „tak niespodziewanie", „tak niespodziewanie"! Byli bowiem tacy, co ją trzy dni temu jeszcze wi-

dzieli i jej się kłaniali, a byli tacy, co nawet tego samego dnia i na tejże samej ulicy, bo na Świętokrzyskiej. Nawet się przysięgali i słowo honoru dawali. Tylko jej w pierwszej chwili poznać nie mogli, bo choć w swej wyszarzałej mantyli była, ale bez laski! A że przez trzydzieści lat widywało ją całe miasto zawsze z laską, więc cóż się i dziwić, że staruszki bez laski poznać nie mogli. Przecież wszyscy wiedzieli, co znaczy ta laska, od kogo jest i po kim. Więc dlaczego tego dnia wyszła bez laski jenerałowa? Jak mogła? Co ją skłoniło? Przecież to brak tej laski, z którą się nie rozstawała, wywołał potknięcie się na bruku i zgon przyśpieszył. Dlaczegoż tedy 9 czerwca nie wzięła laski, kiedy się wybrała z domu przy ulicy Królewskiej, numero 1062, aż tak daleko, bo gdzieś na Grzybów, czy na Nowolipki — do „klientki". Jak można w tak sędziwym wieku na tak daleki spacer wogóle nie brać „fiacra", no a już w każdym razie laski, tej pamiątkowej laski, na której się opierała od lat trzydziestu?

W dniach żałoby dużo o tem mowy było w Warszawie.

Stwierdzono więc, że tego dnia fatalnego zrana żadna z pań opiekunek z Patronatu nie przyszła. A sprawa dla wdowy była bardzo pilna, niecierpiąca zwłoki. Jakaś sybiraczka, świeżo „przywrócona" krajowi żołnierka powiła bliźniaków. Męża pogrzebała tam daleko i przywlokła się z pozwoleniem naczalstwa, oczywiście piechotą, gdzieś spod Uralu do swej Warszawy, by tu dwom pogrobowcom dać życie. No i w nędzy wyjątkowo wyjątkowej. Wieczorem poprzedniego dnia zreferowała jenerałowej ten przypadek poczciwa pani Voss z Patronatu, współpracowniczka w samarytaństwie od lat trzydziestu, to znaczy odkąd po nocy listopadowej zaraz zakrzątały się z założeniem takiego polskiego samarytańskiego „Frauenvereinu" pani Wulfers z panią Grotthuss. One to skaptowały i zmówiły moc pań z miasta i z Polski do służby w lazaretach, do fabryki bandażów, do skubania szarpiów i na „szaretki". Jenerałowa była naczelniczką dam z opieki wojskowej, a pani Joanna Voss długie wieki jej nieodstępną sekretarką i towarzyszką w dobroczynnych wędrówkach po „klienteli".

Tego ranka czerwcowego spóźniła się i po nią nie przyszła, a pani Sowińska, niecierpliwa i prędka jak zawsze wybrała się sama.

Laski szukało się przedtem długo i bezcelownie po całem mieszkaniu. Szukała i kucharka, starszejsza wdowa po „młodszym sierżancie" z tych ocalonych tysiąca, co ich nieboszczyk miał przy sobie pamiętnego września na Woli. To całe mieszkanie nie było znów tak wielkie. Swego czasu mieszkało się paradnie w pałacu Paca, gdzie liczne apartamenta i luksusy, bo to jedynaczka posażna była, po starym Schroederze ładnie dziedziczyła i po śmierci pierwszego męże radcy Jonasa ameublement same empiry. Poczem, kiedy kapitan komendantem Aplikantki mianowan, znów wspaniała amfilada apartamentów służbowych w szkole Aplikacyjnej. Ostatnio jednak, jako wdowa (przy reveniach pomniejszonych znacznie) skromniej, bo to i zlicytowane Wierzbno Sowińskich, a dru-

gi majątek Wyglądów, sama dobrodziejka dobrowolnie rozparcelowała, czyli jak się mawiało wonczas „rozcząstkowała", mizernym czynszem się kontentując i z kwitkiem z chłopomańskiej tranzakcji wychodząc. Toteż, co kilka lat trzeba było ścieśniać paska na kibici, przeprowadzkami się fatygować, aż się z pałaców i z Paców na Leszno przeszło, a potem aż na trzeciaka przy Królewskiej. I tu przemieszkiwała pani jenerałowa najdłużej. I stąd ją odprowadzali do D. O. M.-u wieczystego. I z tego mieszkania zginęła ta laska po nieboszczyku, na której się on sam od dnia amputacji nogi pod Możajskiem (sześciofuntową działową gruchnięty) zawsze opierał.

W 5-ym dziesiątku lat XIX w. za Paskiewicza, gdy jeszcze pekuniarnie było jako tako, dom się na Lesznie prowadziło otwarty i bywała cała Warszawa, a może i Kongresówka cała. Poniedziałki u Łuszczewskich, soboty u Seweryny Pruszakowej, wtorki u pułkownikostwa Paszkowskich, środy u Teresy Kickicj w pałacu Karasia, a czwartki u jenerałowej wdowy. Lubiła pani Katarzyna życie towarzyskie, ludzi commme il faut i z rezonem, wojskowość, naukowość i literaturę przedewszystkiem. Jakżeż się wszędzie cieszono, gdy do salonu wchodziła oparta na historycznej lasce wdowa po bohaterze! Jak jej zaraz ustępowały miejsca środkowego na pontyfikalnej kanapie jenerałowe Mallet-Malletzka (da Granville) i Rautenstrauchowa, ta z palcami splamionymi atramentem od nałogowego pisania powieści. Byle o boleści swej najstraszliwszej, bo o nieznanej męża mogile i wspólnem może z nimi (Moskalami) pogrzebaniu zapomnieć, byle swemu osamotnieniu zaradzić, byle z ludźmi żywymi się stykać, jenerałowa pół dnia biednym po przytułkach i chorym po szpitalach, a pół dnia towarzyskiej społeczności oddawała, unikając z ostentacją jeno domów zbyt zapreferansowanych, gdzie i „faraon" modny odchodził, i stroniąc od mieszkań, gdzie dym z cygarów kurzonych i przez lwice salonowe niekiedy zatruwał atmosferę. Za lepszejszych czasów przez mieszkania pani Katarzyny na Lesznie przewinęła się cała współczesna polskość. Kto tylko był wybitny, czy ongiś w bitwach, czy w piórze, w naukach czy w podróżnictwie, przy fortepianie czy na violinie, ten zaraz meldował się i homagium składał. Z wizytówek piramidę wystawić by można. Kalwinisty z Kaliskiego wszyscy obligatoryjnie: Kurnatowscy, Karczewscy, Bronikowscy, Unrugi, Trepki. Sybiracy takoż obligatoryjnie, gdy tylko swoje odbyli, a nie na dożywotnią katorgę skazani. Na recepcjach panie opiekunki w komplecie, a do tego bułeczki obłożone szynką, herbatka z kwiatkiem, suchareczki, w karnawale pączki od Clotina, ale w miarę. Z czasem i pączki skasowane i „czwartki" odwołane, kiedy trzeba było na Królewską się przenosić. Już tam nie żadne apartamenta w amfiladzie a jeno bawialka, jadalka, stancja na spanie, kuchenka. Gratów i penatów też trzeba było posprzedawać sporo, boby się nie mieściły. Precioza, broszki, fulary, kaszmirowe szale, tumakowe futro też poszły. W każdym razie jednak dużo zostało.. Zostało prima fortepiano wiedeńskie, została paradna serwantka większego fasonu no i oczywiście wszystko, co po nim nietknięte,

tak jak zostawił odjeżdżając na Wolę, wieczorem, 5-go września, ubrany po formie, jeno nieco otylszy, bo mu ówczesnym obyczajem wojennym pakuł pod mundur napakowała.

Fortepiano zostało, boć przecież jenerałowa codziennie o szarówce siadywała i grywała kawałki i kompozycje do słuchu, głównie, jak się to domyśleć łatwo, tego, którego ojciec był przecież w Aplikantce nauczycielem, a którego siostry zamężne też raz po raz do niej zachodziły. Laskę pamiątkową kładło się jakby uroczyście na palisandrową klapę, a pani Katarzyna wpatrzona w nią, jakby zamagnetyzowana, egzekwowała „Mazourek" po „Mazourku", a po Nokturnie „Coujawiaki" i walce. Przy jej to akompanjamencie śpiewał tu kilka razy pan Komorowski („Rosła kalina"), a nawet sam pan Antoine Kątski nie zawahał się tylokrotnie, ilokrotnie Warszawę nawiedzał, wstępować w te skromne progi i grać pani Katarzynie w hołdzie, co tylko życzyła i co miał w repertuarze najudatniejszego.

Ocalała też i serwantka!

Któż nie znał, nie widział, nie podziwiał, nie unosił się nad tym skarbcem, a raczej nad tem sanktuarjum?

Czegóż tam bowiem nie było w tej generalskiej serwantce! Ileż to prezentów, ile pamiątek, ile souvenirów nie naznosiły w różnych latach poczciwe rodaczki, wdzięczne ziomki i ziemianki, a już panie z Opieki Wojskowej specjalnie! Jakież dziwa i dziwności i rzadkości i rarytasy! A to na górnej kondygnacji fajki antybki i skórzane woreczki na tabak. A to polski kancjonał z Królewca prześlicznie z gotycka oprawny, z klamrami. A to Biblia Wujka szwabachowym drukiem składana z jeszcze śliczniejszemi okładzinami. A to cynowe lichtarzyki, co na nachkastlu przy nim stały, umiłowane. A to kolorowy kosynier z saskiej z napisem „z renką na tęblaku idzie do ataku".

Na środkowej półce dwie filiżanki cieniutkie pozłociste, empirowe, z których kawę ranną pijali. Kobiałeczka misterna safianowa. Pod kloszykiem krzyżyczek. Bukszpanowa kasetka „a la Alhambra". Pulares i puginał. Sztylecik i kordelas. Pierścionek z krwawnikiem. Pierścionek żelazny. Fularek na szyję. Mitynki na ręce własnoręcznej roboty, gdy bywał zakatarzony i kichał. Szyllera „Poezjów" tomik, które lubili i deklamowali i on i Dąbrowski i Prądzyński i Szembek i Fiszer i inni z tej samej koterji, z dawnego pruskiego wojska. Czego tam nie było!

Na najhonorowszem zaś miejscu, na środkowej półeczce serwantki leżały obok siebie trzy najwyższe odznaczenia, jeden jednolity front Cywilizacji contra Barbarja sygnifikujące.

Z lewej order pour le Merite jeszcze kiedy był kapitanem pruskiej artylerji konnej i bił się dzielnie pod „pruską" Iłławą („Preussisch Eylau"). Wtedy to go poznała jako wdowa po radcy kameralnym Jonasie (geborene Schroeder) i pokochała odrazu jak Gdańszczanka von Beck Szembeka a von Rackel swego Dąbrowskiego.

Druga z prawej też na aksamitnej poduszeczce Honorowa Legja za strzaskany goleń pod Borodinem

(Możajskiem). Niecały rok był wtedy w polskiej służbie, a już nieborzątko „Longinus" na resztę życia skazany o kulach chodzić. Przyjaciel od serca Fiszer też ranny pod Borodinem, Dąbrowski drugi, najukochańszy w tejże kampanji w rękę ranny. A on bez nogi został. Cios to był dla niej straszny zobaczyć po raz pierwszy ukochanego kaleką, cios innym nie tak znów ciężkim się wydający, skoro zdrowi nigdy nie pojmą, o ile to im i składniej i łatwiej życie przeżyć mającym dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu! Bogu dzięki jednak, że tylko w nogę, a nie w oko!

Trzeci order w serwantce to był nasz „Virtuti Militari", jakże w one czasy rarytny!

Ten leżał w środku ugarnirowany generalskiemi szlifami, akselbantami, „buljonami", na amarantowem, jedwabnem wezgłowiu, a dokoła śliczne z wosku różyczki i wianuszek laurowych liści z czarnych paciorków błyszczących.

Laski, z kościaną gałką laski, choć to także relikwia, w serwantce się nie chowało. Laska zawsze leżała na komodzie na kanwowej kapie pod skromnym na ścianie portrecikiem wojskowego pana urodziwego, co miał oczy czarne jak kruk, włosy siwiuteńkie jak gołąb, cerę rumianą jak chłopaczek dwunastolatek, no i bakenbardki, jakież przemiłe bakenbardki!

Ta laska z kościaną rączką była największem pani generałowej ukochaniem, a kto tam wie, czy nie wolałaby serwantkę z relikwiami skradzioną utracić, byle tę laszczynę po nieboszczyku odzyskać! Jakaż to bowiem dziwna historja, jakież wspomnienie niezwyczajne związane było z taką sobie właściwie dość pospolitą laską! Przypomnijmyż:

To były te straszliwe dni wrześniowe w 31-ym, lat temu trzydzieści, kiedy już znowu oni, znowu o n i! otaczali Warszawę. Więc drugi raz trzeba było te wszystkie okropności przeżyć da capo al fine. I znów druga noc nadludzkiej udręki i męki.

Pierwsza ta noc z 29-go listopada, kiedy trzeba było raptownie decydować za siebie i za innych. Nie zmrużyli oboje oczu ani na chwilę. On był wtedy komendantem Aplikacyjnej. Zwali go powszechnie papą, a panią Katarzynę mamą Aplikacji, choć dyscyplina zaostrzona, subordynacja surowa, akuratessa, twarde metody i ciężka ręka... Mawiano w mieście, że to całkiem na pruski manier idzie, szczególnie od dnia, kiedy kronprync pruski (tuż przed powstaniem) Szkołę wizyterował i nie mógł się dość nachwalić jej naczelnika. A papa Sowiński żadnych spiskowań w Aplikacji nie tolerował, bo sam był surowy rygorysta i dla siebie, żołnierz urodzony, a i z konstytucji kongresowej i z Konstantego a najbardziej z armji szczególnie kontent. Toteż i w udałość rewolucyjnych zamierzeń jako i wszyscy wyżsi wojskowi serjoźnie nie wierzył, a pamiętnej nocy.Listopadowej bramy szkół pozamykać kazał. Ale całą noc po kancelarji kulami i laską wściekle stukał, chodząc tam i z powrotem. Rankiem bramy otwarli, lud się wsypał a młódź się przyłączyła, przystąpiła i za Podchorążówką poszła. I on, choć nieufny, ale też poszedł. Potem patent mu na szefa sztabu artylerji przysłali i do roboty wciągnęli. Do liniowej służby się nie na-

dawał bo to i piąty krzyżyk i kalectwo nieprzyjemne, więc tylko do fortecznej zdatny. Odrazu wiedział, bo się na tem chyba najlepiej znał, że się wszystko nie na dobre klei, ale pary z ust nie puścił. Szefów jak się patrzy już nie było, Kicki „Ajaksem" zwany pod ziemią, Dąbrowski i Fiszer dawno w niebie. Przeczuwał więc Longinus finalne rezultaty, ale z point de rêveries nigdy nigdzie się nie wyrwał. Drugi to już raz stolicy mu współbronić przyszło, bo przecież raz jako porucznik, jeszcze w ośmnastem stuleciu. Tedy bronił, sam się zaprosiwszy o najtrudniejsze, o hazard. Zaklinała żeby: nie, błagała, beształa, płakała. Nic nie pomagało. Sam szedł naprzeciw zguby i sam naprzeciw chwały wiekuistej,... jakby naprzekór, naumyślnie, z zawziętością, z uporem. Dwanaście dział dostał, 1200 ludzi mu przydali i najgorszą pozycję, jaką wyimaginować sobie można. Wszyscy jej to mówili, a panie z Opieki Wojskowej ostrzegały. Jak groch o ścianę. Faetonem sobie na tę Wolę pojechał, kule ze sobą wziął, szkaplerzyki dwa i laskę jedną. A ona znała tę Wolę aż po Rakowiec i po Ewangelicki cmentarz jak własną kieszeń. Za rogatkami szpital przez Gminę Reformowanych ufundowany pod jej był specjalną protekcją. Tam od grudnia w sanitarnej pracy od rana do nocy z doktorami Malczem i Dworzaczkiem. Teraz i ten szpital ewakuowali, bo na Wolę szedł szturm i piekielny ogień ze stu wielkich armat, aż trzeba było w mieście woskiem uszy zalepiać, żeby do cna nie ogłuchnąć lub nie zwarjować.

I tak dwie noce całe na czekaniu wieści i wiadomości z Woli w martwocie, w grozie, aż i zęby szczękały. Zacna pani Joanna Voss dotrzymywała towarzystwa. Herbatkę tylko piły. Nic przełknąć nie byłoby można, chyba łzy, co im ciurkiem leciały po zbiedzonych policzkach.

Piątego września wieczorem pierwsza wieść, dobra. Jenerał Dembiński na inspekcję tam pojechał na trzecią linję okopów, już po forcie nr. 57 straconym, ale wszystko zastał w porządku, ducha dobrego, więc i pochwalił i otuchy dodał. O ile przy huku piekielnym armatów słyszeć było można, to mu Józef Longinus Sowiński miał powiedzieć z couragem: „bądź jenerale spokojny, łatwo mnie nie wezmą"! No i dotrzymał słowa co do joty. Łatwo nie wzięli jenerała bez nogi.

Przyszła noc z szóstego na siódmy września. Pani Voss, zmorzona śmiertelnie, zdrzemnęła się w fotelu. Pani Katarzyna miotana niepokojami, nie mogła usiedzieć już naprzeciw niej. Ogłuszający do niedawna huk armatni szybko się zmniejszył. Nadchodziła jakaś złowroga cisza wprost nie do wytrzymania po tych trzechdniowych grzmotach i kanonadzie. Zbiegła jenerałowa na dół po schodach, narzuciwszy tylko mantyllę, bez kapelusza.

Na ulicy gryzący, duszący dym od palącego się przedmieścia aż mdlił. Ludziska obłąkane, niedospane, blade, wymizerowane. Moc wozów, powozów, podwód, landar i koczobryków pełnych tobołów, gratów, zabeczanych kumoszek i krwawiących żołnierzy. A wszystko to w jedną stronę ku Pradze, byle na most się dostać! Widocznie popłoch padł i uciekali.

Ze strzępów i odpadków bezładnych rozmów wnet już jenerałowa zwiedziała się o wszystkiem. Krótkie, błyskawiczne ściśnięcie serca, ciemność w oczach, zawirowanie świata całego i już miała paść na bruk, ale się opamiętała i zmogła. Wojskowe Panie nie mogą się poddawać nawet takim ciosom w samo serce. Obowiązkiem wdowy po poległym by tylko go odszukać, przywieźć, własnemi rękoma ubrać w paradny mundur i...

Dwa dni, dwa razy po dwanaście, po szesnaście godzin szło to szukanie, ta golgota szukania po pobojowisku. Aż się już sami Moskale zdumiewali i litowali. Pomagały jej nawet te grenadiery, które w tej walce brały udział trzy dni temu. Opowiadali przytem spokojnie, obojętnie co i jak i kiedy to było. Musieli tak, przecież wojna, szturm! On pardon odrzucił, poddać się nie chciał. Kiedy dopadli do niego gromadą, pierwszy strzelił z karabinu, a potem bronił się bagnetem, a gdy mu wytrącili, kulami jął wymachiwać, za laskę porwał. Musieli. Koło niego wszystkich wykłuli. Musieli na ostatku i jego zacząć żgać bagnetami, a gdy się jeszcze stawiał i wyzywał, posiekli, że już i poznać potem nie można było kto zacz i czy wyższy rangą, bo wszystko osobno...I niema co dalej jeszcze szukać po fosach, po bajorach zc krwi, po wilczych dołach, po rozkopaliskach w zaduchu, w błocie, w stertach trupów pod zwalonymi palisadami, płotami, murami i niema co końskie zewłoki podnosić i pod wozy włazić, bo go już napewno zakopać musieli... Gdzie? gdzie? W jednym z tych wspólnych dołów po ogrodach, na sto sztuk wykopanych.

A może za Ewangelickim Cmentarzem? A potem wapnem zaleją. Do tego przecież saperów odkomenderowano. Niema po co dalej szukać! Chyba się samej chce ducha wyzionąć?

Po dwóch dniach wróciła jenerałowa z tej Woli, z którą tak ją związało życie a potem i śmierć i wieczne odpocznięcie.

W mieszkaniu czekały zacne panie z Opieki, patronessy, „szaretki". Same wyglądały jak pół nieboszczki. Ona jak z krzyża zdjęta, jak widmo z oczyma nie już zapuchłemi od płaczu, ale wprost jak ociemniała. Pół zmartwiała, skostniała siedziała skulona w fotelu, w Jego fotelu z podnóżkiem, naprzeciw serwantki z relikwiami. Panie z Opieki stąpały cicho na palcach i raz po raz wąchały sól angielską z flakoników żeby się trzymać, żeby sprostać...

A ona nic nie mogła przynieść z pobojowiska, ani nawet tej kuli, ani tej laski... Nie! nic...

I pogrzebany wspólnie z nimi! z nimi!

Trzeciego dnia coś zapukało od kuchennych schodów. Starsza wdowa po „młodszym sierżancie" otworzyła i przerażona w krzyk, jakby zobaczyła upiora albo topielca. Przed drzwiami stał sołdat, kubaniec czy grenadjer, kałmucka, obrośnięta gęba, ale jakby dobrotliwie uśmiechnięta. I coś mamrotał wstydliwie. Był jednym z tych, co to jenerała bagnetami... Musiał. Ale mu żal się zrobiło. Laskę sobie dobrze zapamiętał z kościaną gałką. Widział, jak ta pani szukała i szukała. I sam zaczął szukać. I znalazł pod tą ścianą kościelną, w którą tyle kul się wryło, nic jej nie

szkodząc. Adres się wywiedział i przynosi. Znaleźnego nie chce. A ot generalska laska...

I z tą laską już odtąd jenerałowa nie rozstawała się nigdy. Nawet, kiedy ją osadzili na... dwa lata w klasztornym karcerze za karę za „rozcząstkowanie" chłopom Wyglądowa.

I tę to laskę jak i szarą, wyszarzałą mantylę i jak jej posiedzicielkę, staruszkę malutką, drobniutką, ruchliwą, zawsze szybko drepczącą, znała cała Warszawa, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, kanoniczki i pastorzy, zdrowi i chorzy, bogaci i biedni, przedewszystkiem biedni. Ostatnio może widział tę laskę pan Kremer, pan Kremer Józef, uczony profesor z Krakowa.

Do Warszawy z wizytą przybyły, choć gościnnie przyjmowany, rozrywany, fetowany, czas znalazł, aby być z hołdem na Królewskiej i tam pani jenerałowej Sowińskiej z korną dedykacją doręczyć pierwszy tom swojej „Podróży do Włoch". O wojażu do tej Italji całe życie marzyła pani Katarzyna. Ale chciałaby dusza do raju, jeno jej pieniędzy nie dają. Inne damy warszawskie jeździły i tam i do badów rokrocznie. Naszą wdowę po Bayardzie polskim stać było tylko na „mineralne kubki" w Saskim Parku z promenadą, bo tak się na tych bliźnich i na te bliźniaczki różne wyszastała z gotówki niepoprawna utracjuszka, Samarytanka. Toteż ta Kremerowska „Podróż do Włoch" to była ostatnia podróż staruszki w marzenie i jej ostatnia lektura. Pozostała na kamodzie rozwarta książka z okularami rogowemi, a u pana profesora z Krakowa opowieść, jak to on jeszcze tę laskę widział i w rękach drżących ze wzruszenia trzymał i całował i na całe życie zapamiętał.

I ta oto laska na kilka dni czy nawet w sam dzień śmierci dziewiątego września roku Pańskiego 1860 z mieszkanka przy ulicy Królewskiej numer 1062 gdzieś zniknęła. Zapodziała się, zginęła, szczezła jak kamień w wodzie. Szukaj wiatru w polu. No a to przecież nie drobiazg, nie igła, lecz generalska laska! A może też ktoś ją poprostu ukradł świętokradczo? Nic nie wiadomo.

Że zasię przez brak tej laski ośmdziesięciopięcioletnia staruszeczka, biegnąc zadyszana do nowej „klientki", śmiertelnie się potknęła i na bruk upadła, więc tedy wśród różnych suppozycji i ta zrodzić się mogła, czy też to przypadkiem nie nieboszczyk jenerał tak się może zatęsknił za swoją towarzyszką, za świętą, że już bez niej nawet niebiańskiego żywota samotny znieść nie mógł i...

A może inaczej? Może znów wtedy czas nastał, aby zatliły się już w popiołach iskierki, aby rozpłomieniła o niepodległość nowa walka i młoda generacja swoją daninę krwi złożyła na ołtarzu ojczyzny i woli ku wolności skierowanej? I stąd zgon Generałowej przyspieszon?

CZY ORDON WYSADZIŁ REDUTĘ?

Lat temu dwadzieścia pięć, a więc przed wojną, wydał pewien pisarz pół Anglik pół Niemiec dzieło tłómaczone potem na kilka języków, w niemieckim pod tytułem „Treppenwitz der Weltgeschichte". W tej to książce postarał się udowodnić uczenie, źródłowo, że w dziejopisarstwie wszechludzkiem istnieje t. zw. esprit d'escalier to znaczy kontenans post factum, dowcip, dopiero przy schodzeniu po schodach, rezon spóźniony, dodatkowy, mądrość po szkodzie, który to „Treppenwitz der Weltgeschichte" nie tylko rozmaitym wielkościom historycznym wkłada do ust zdania nigdy nie wypowiedziane, ale który przypisuje im fakta nie dokonane, ba nawet stwarza i lepi fikcyjne postacie historyczne i tym fikcyjnym bohaterom, królom, wodzom przydaje mistyczne czyny i wmawia powiedzenia ad hoc skomponowane. W książce swojej anglo-germanin Hertslett przechodzi kolejno dzieje wszystkich narodów i państw świata od starożytnych Greków, Rzymian, Hindusów i Hebrajów począwszy, aż do narodów i czasów najnowocześniejszych i kolejno stuleciami idąc, na rezultatach najnowszych badań oparty, wykazuje dosadnie co gdzie kiedy było li tylko czystą legendą i urojeniem, czego ten król na pobojowisku lub ten hetman czy dyktator „umierając" nie powiedział, jakiej bitwy wcale nie wygrał, jakiego testamentu nie

napisał, jakiej kochanki wogóle nigdy na oczy nie widział. Książka Hertsletta: „Treppenwitz der Weltgeschichte" jak w Niemczech tak i wogóle w Europie miała wielkie powodzenie, ale do Sarmatów niestety nie dotarła i dotąd nie tłómaczona. Zdaje się zaś, że i ona także mocno wpłynęła na wzmożenie się ruchu rewizjonistycznego w dziejowości, (od niepamiętnych czasów zresztą istniejącego) i również na tak zwane odbronzowywanie inaczej dochodzenie do prawdy faktycznej i do autentycznej dziejowej rzeczywistości.

W niedługim ustępie poświęconym także i Polsce Hertslett między innymi rektyfikuje i skreśla rzekomy okrzyk Kościuszki pod Maciejowicami „Finis Poloniae".

Poraby już była, aby ktoś z naszych uczonych dał takiego polskiego Hertsletta i idąc linją weredyka Brücknera z całych dziesięciu wieków krytycznie przeoranych rewizyjnie powykreślał nadmiar historycznych motywów z dziedziny esprit d'escalier czyli legend. Nagromadziło się tego już sporo.

Wytwórcami a w pewnej mierze winowajcami a jeszcze raczej współwinnymi w przeroście i władaniu mytów, mytologji i mytomanji są jak wszędzie i u wszystkich nacyj przeważnie poeci i to więcej wielcy jak pomniejsi. Prozaicy starają się jeszcze trzymać raczej terenu rzeczywistości i prawdy, natomiast harfiarze i wajdeloci w obchodzeniu się z materjałem faktycznym są całkowicie bezkrytyczni i bezceremonjalni. Stąd też idą w świat legendarne Telle i Winkelrydy, Egmonty i Karlosy, Wernyhory,

Ojcowie Marki, ojcowie Jankiele nic a nic z historycznymi prototypami, możliwościami i podłożem nie mające wspólnego. Esprit d'escalier każe im w krytycznych momentach, w końcach rozdziałów czy aktów wypowiadać słynne lapidarne „cytaty", których oni nigdy w życiu nie wypowiedzieli a dość często za nich wypowiadali inni podrzędni, w niepamięci mrokach zagrzebani. Niekiedy jeden krótki wiersz jednego byle świetnego poety obdarzył nieśmiertelnością kogoś, kto na nią właściwie nie zasłużył, podczas gdy właśnie tysiąckrotnie więcej zasłużeni nie jeno znikli w zapomnienia cieniach, ale wogóle nigdy w świadomości ogółu nawet nie zaistnieli.

Weźmy jeden przykład z brzegu ze względu na jesienne rocznicowe miesiące: wrzesień, październik listopad.

Będzie to jedna z pereł heroicznej liryki polskiej, wiersz sto trzy lata temu w momencie natchnienia rzucony na papier i od tego czasu słusznie czułą i wdzięczną popularnością trzech, czterech generacyj wyróżniony, na pamięć umiany, umiłowany.

A w wierszu tym iskrzy się i rzuca błyski nieugaszone taka zwrotka:

„Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją jak Moskale redutę Ordona
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute.
Bóg wysadzi tę ziemię jak on swą redutę".

Wiersz jest tak śliczny i pozostanie śliczny, ukochany, deklamowany. A jednak nie zawiera w sobie

historycznej prawdy a natomiast zawiera w sobie historyczną nieprawdę, podobnie jak zresztą pół tysiąca wierszowanych utworów we wszystkich językach globu, których moc i nieśmiertelność pomimo tego zostanie bezapelacyjną, gwarantowaną i niewstrząśniętą. Obraz poetycki malarsko jest przepiękny i dla ucha polskiego przemiły: Pan Bóg rozsądzający i rzucający w otchłań kosmosu całą kulę ziemską jako karę za to... że... polscy generałowie w r. 1831 fatalnie rozplanowali we Wrześniu obronę Warszawy, a kilku z nich dopuściło się haniebnej niesubordynacji. Ale obraz historycznie nie jest ścisły i wierny. Ordon nie wysadził reduty! Ani załoga reduty nie wysadziła! Reduta wysadziła się sama.

Pozornie wydaje się to wyzywającym paradoksem pour epater les bourgeois, a jednak tak jest, tak było i nic na to poradzić nie można. Czy Ordon wogóle kwalifikuje się na unieśmiertelnienie w wierszu największego pisarskiego genjusza polskiego? Na pytanie to odpowiedzieć można, że aczkolwiek polska insurekcja miała znacznie szczytniejsze postacie heroiczne, to jednak Ordon nie żadną wysadzoną redutą, ale całym żywotem rycerskim dobrze się przysłużył ojczyźnie i jako symbol rycerskości nie drażni i nie irytuje jak np. irytuje... Gurowski w „Dziadach". Bohaterem herbowym powstania jest i pozostanie Sowiński, Bayardem lub Ajaksem polskim nazywano poległego pod Ostrołęką gen. Kickiego; Emila Plater też zasłużyła na szczytniejsze literackie reinkarnacje niż te, które ją spotykały dotychczas. I wielu wielu jeszcze byłoby słuszniej wezwanych i do unieśmier-

telnienia wybranych. Konstanty Ordon biograficzną wojskową kartę jako całość ma piękną. Warszawianin (nie Ukrainiec) jako osiemnastoletni wolontarjusz wstąpił do artylerji w 1828-ym roku. W wojnie z Rosją już 6 czerwca ozdobiony za męstwo krzyżem srebrnym. Za Ostrołękę „postąpił" na podporucznika, 2 września dostał komendę artylerji (sześć dział) w forcie Nr. 54; 6 września dostał się do niewoli rosyjskiej, lekko ranny ale poparzony i pokaleczony. Oddany do szpitala po wyleczeniu ucieka do Galicji i tu jakiś czas przebywa we dworze Brandysów w Kalwarji (Wielkie Drogi). Wydalony z Rzeczypospolitej Krakowskiej, wstępuje za jakiś czas do armji belgijskiej, bierze znów zdaje się udział w tragicznej wyprawie Zaliwskiego i Zawiszy a po katastrofie osiada w Anglji. Tu jak wiadomo (ze Szpotańskiego pracy) była duża kolonja polska, składająca się z ultra-czerwonych omal komunistów („Gromada Grudziądz"), oraz z umiarkowanych raczej konserwatywnych demokratów, także „hrabiów": Czapski, Mielżyński, Krasiński, Karski, Dunin, Sokolnicki, Koźmian, Dwernicki. Z którymi szedł Ordon nie wiadomo, ale w 48-ym poszedł do powstania Wielkopolskiego : w Berlinie go aresztowano. Uwolniony, resztę życia łączy z włoskiem Risorgimento. Jest więc w tym samym 48-ym roku w Rzymie, ale nie w legionie Mickiewicza, tylko w normalnej służbie włoskiej. Na wezwanie Czartoryskiego w r. 1855 podąża na wschód, gdzie organizuje znów szwadron konnej artylerji, który nie wszedłszy nawet w bitewny kontakt z Moskalami ulega rychłej

likwidacji. Dwa razy więc, w 48 i 55-ym jest tuż blisko Mickiewicza, ale nie z Mickiewiczem. Po tej nieudałej eskapadzie wraca do służby włoskiej. Tu bierze czynny udział w różnych akcjach powstańczych i wojennych zawsze pod Garibaldim, gdzie polskich rycerzy błędnych, ale nieustraszonych była moc, gdzie odznaczają się lub zwyciężają Hauke-Bosak (Leonidas), Brański, Langiewicz, generał Lange, rozstrzygający losy bitwy pod Santa Maria di Capua, gdzie pada pod Mentoną Borzysławski, a nad Volturnem generałowicz Sierawski. Konstanty Ordon dzięki swym niepospolitym zaletom wojskowym dosługuje się rangi majora, należy do „Komitetu Emigracyjnego" w Palermo, a kiedy lew-wygnaniec Garibaldi na Caprerze umiera, na czele delegacji polskich wiernych, polskich guidów Garibaldiego ze sztandarami idzie w pogrzebie Konstanty Ordon. Na emeryturze osiada we Florencji i tu jako 77-letni starzec w przystępie melancholji i taedium vitae dnia 4 maja odbiera sobie sam życie... W nielicznych pamiętnikarskich notatkach panuje zgodny pogląd co do tego także, że Konstanty Ordon i fizycznie prezentował doskonale typ rasowego polskiego wojskowca, wysoki, szczupły, chudy, żylasty, nerwowy o wyjątkowo męskim marsowym profilu, jak z „obrazka".

To wszystko piękne, ale... Reduty żadnej nie wysadził.

Legendę na kanwie połapanych z dnia 6 września szczegółów stworzył właściwie Garczyński, adjutant generała Umińskiego, nie żeby ją sam skomponował, ale, że ją z opowieści gminnej przejął i jako że sam

poeta w amplifikacyjnej i parafrazującej formie Mickiewiczowi w Dreźnie powierzył i podał. Stwierdził ją także Prądzyński pisząc w swoim olbrzymim francuskim memoriale — pamiętniku dla Cara (jako gość w Gatczynie 1833) co następuje:

„Oddział polski zajmujący redutę Nr. 54 widząc nieprzyjaciela już wewnątrz i wszelki opór niemożebny wysadził się w powietrze zapaliwszy magazyny prochowe".

Tymczasem atoli ani Prądzyński ani Garczyński dnia krytycznego 6-tego września na Woli nie byli. Leon Świtkowski (Wielkopolanin), który naocznym świadkiem był i na emigracji broszurkę „O wzięciu Woli" napisał jako bohaterskiego sprawcę wysadzenia opuszczonej już przez załogę reduty w r. 54 podaje kanoniera Nakruta, co za nim powtarza historyk August Sokołowski. Natomiast Kołaczkowski wprost przeciwnie bardzo surowo krytykuje całą obronę reduty Nr. 54: nie wyzyskali zawieszenia broni, nie walili z armat, nie rzucali granatów, biernie i bezczynnie czekali na śmierć, Kołaczkowski tedy całą załogę okopu Nr. 54 wojskowo dyskwalifikuje.

Istnieje natomiast naoczny a więc koronny świadek całego wydarzenia t. j. kapitan J. Patelski, którego „Wspomnienia Wojskowe z lat 1823 — 1831", dwukrotnie wyszły drukiem (a więc są dostępne) raz w Krakowie w r. 1880 a drugi raz w Wilnie 1921. Ten tam wszędzie był, od nocy z 3-go na 4-go września ze swą kompanją w samej reducie, poczem w pobliżu, wszystko widział i na świeżo spisywał. Z konfrontacji jego pamiętnika z innymi można sobie wyrobić pojęcie możliwie najbardziej do prawdy zbliżone.

Na szturm generalny były przygotowane dwie linje obronne okopów. Reduty czteroboczne lub sześcioboczne oddalone od siebie wzajemnie o 800 sążni. Na Warszawę szło 67.000 Moskali pod prawie wyłącznie... niemieckimi generałami. Broniło Warszawy 22.000 żołnierzy pod dowódcami, którzy się wzajemnie nienawidzili jak sto djabłów i dyspozycje naczelne sabotowali (Bem, Umiński, Dembiński, „hrabia" Krukowiecki, ramol Małachowski). Rozstawienie artylerji było fatalne. Na wysuniętą znacznie redutę Nr 54 szło 16 bataljonów z ochotnikami gwardyjcami. Szarym rankiem grzmiało już 200 armat, wszystkie na Wolę na Rakowiec, na Królikarnię na szosę łowicką. Krukowiecki był ze sztabem u rogatek Jerozolimskich i znalazł wszystko w porządku. Umiński mimo rozkazu rezerwy z armatami nie dostał. Czterdzieści armat rezerwy Bema odpoczywało. Artylerja rosyjska najpierw rozwaliła fort 55 potem 57, a potem wzięła się do 54-go, w którym jak i w innych załogi co 48 godzin śmiertelnie przemęczone i zdziesiątkowane zmieniano. A teraz cytujemy kapitana Patelskiego (strona 163 i dalsze):

„W nocy z 3-go na 4-y września dowodząc już kompanją, poszedłem z takową na straż do reduty Nr. 54 a okoliczność tę wspominam dlatego, iż okop ten uwieczniony został wierszem nieśmiertelnego Adama i żyje dotąd w pamięci wszystkich pod nazwą reduty Ordona.

Okop ten dość znacznych rozmiarów, w kształcie

sześcioboku, nieźle był usypanym z ziemi, chociaż ziemia piasczysta i miałka, niewiele zapowiadała trwałości. Z okalającego rowu, 5 stóp szerokiego a 88 głębokiego podnosił się pod kątem ostrym nasyp, u podstawy 6 stóp gruby, a nazewnątrz 4 stopy wysoki. Środkiem rowu zasadzony był sznur palisad, a okop cały, potrójnym rzędem wilczych dołów nazewnątrz ustrojony. Wejście i wyjście z okopu od strony Warszawy nie było zamknięte rowem lecz barierą. W okopie było 5 dział artylerji wałowej i wolne miejsce do pomieszczenia dwuch kompanji piechoty. Komendę nad okopem sprawował major Piotr Łabęcki, oficer bardzo czynny i zdolny; przez cały dzień zaprawiał on żołnierzy do obrony okopu, ustawiał oficerów i szeregowców na szańcu i ławach, uczył użycia broni i ręcznych granatów, wskazywał porządek wycieczki z reduty i powrotu do takowej. Wielka szkoda, iż tak energicznego i z miejscowością obeznanego oficera odwołano z okopu i wysłano na komisje do Ujazdowskiego szpitala. Miejsce jego zajął jakiś dobroduszny major, który nie miał już czasu i sposobności zapoznania się z okopem i z załogą. Za nadejściem nocy, przy zwykłej zmianie straży, kompanję moją zastąpiono przez kompanję Stanisława Bobińskiego, brata Franciszka, który z 5-go linjowego przeniósł się do naszego pułku. Z Bobińskim przymaszerowała jeszcze jedna kompanja tego samego bataljonu, bo poruszenia, dostrzeżone wieczorem w obozie rosyjskim, dozwalały się domniemywać rychłej napaści.

Wróciwszy do obozowiska pułku zaledwie sen

skleił moje powieki, gdy zbudzony zostałem silnym hukiem armat i grzmotem bębnów, nawołujących na gwałt w szeregi. Wyszedłszy za wał miejski z rozkazu gen. Umińskiego, rozbierano nasz pułk kompaniami na wzmocnienie załóg w pojedyńczych okopach przez co zaledwie jeden bataljon pozostał w komplecie i w szyku bojowym.

Ogień artylerji rosyjskiej skierowany był pierwiastkowo na silnie obwarowany lecz znacznie oddalony kościołek na Woli i na dwa okopy (Nr 55 i 57) na prawo i w lewo kościołka z ukosa naprzód wysunięte.

Po zdobyciu tych dwóch okopów i osadzeniu ich artylerją rosyjską ogień rozszerzał się coraz bardziej i zagarnął redutę Nr. 54 już przed naszemi oczami leżącą, nam podwójnie drogą, bo ukrywającą blisko 200-tu żołnierzy naszego pułku.

Obronę reduty znamy ze słów wieszcza:

„Pięć armat tylko miała, wciąż dymią i świecą,
I nie tyle słów prędkich gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez serce w rozpaczy,
Ile z dział tych leciało kul, bomb i kartaczy".

Choć bohaterską, lecz daremną była obrona. Setki kul armatnich wkrótce na popiół rozsypały piaszczyste ściany, palisady, jak kręgle powywracały na ziemię rozbiły przedpiersia i pogruchotały armaty. Artylerja konna wsypywała do reduty kosze kartaczy, a przy jej pomocy brygada gen. Lutkowskiego z jednej a brygada Liprandi z drugiej strony, niosąc opłotki i drabiny,

zarzuciły rów faszynami i z wielkim krzykiem do wnętrza reduty wdzierać się poczęły. Pułk Liprandi z chorągwią w ręku na czele ochotników z pułku Jeleckiego, pierwszy wdrapał się na szaniec. Obrońcy reduty nie byli już żołnierzami z pod Wawra i Tykocina i dlatego uląkłszy się huraganu lawiącego się nad głowami zapomnieli o bagnecie, a pomyśleli o osobistem ocaleniu.

Z okopu, położnego poniżej, przypatrywaliśmy się tej strasznej scenie, a widząc redutę zdobytą i garstkę naszych żonierzy uciekającą z takowej, artylerja naszego okopu poczęła rzucać przez elewację granaty na opanowany okop dla umiarkowania zwycięzców i ułatwienia odwrotu załodze.

W tej chwili jednak ogromny słup ognia wydobył się z ziemi zaciemnił horyzont i z strasznym łoskotem ziemia i ludzie wylecieli w powietrze.

Przerażenie i osłupienie było powszechne, — zamarł głos w piersiach, zamilkły i działa. Zwycięskie bataljony pułków Jeleckiego i Siewskiego rozsypały się w koło, przysypały ziemią i drzazgami drzewa. Gen. Geismar został ciężko skaleczony, pułkownik Kludenew wyzionął ducha a ks. Gorczakow, późniejszy namiestnik Królestwa również w owej chwili został zraniony.

Nie byłem wówczas w reducie i nie jest moim zamiarem, odebranie sławy podpor. Ordonowi, któremu poeta przypisał zasługę podpalenia prochowni i wysadzenia reduty w powietrze. Z opowiadań powracających żołnierzy wynikało iż nikt nie nosił się z myślą rozmyślnego zapalenia prochu, a że wybuch ognia

w prochowni nastąpił po zupełnem opanowaniu reduty, pojmaniu Bobińskiego i poddaniu się naszych żołnierzy, więc domniemywano się powszechnie, że granaty, z naszego okopu wysyłane, wpadły przez lukę, którą się wchodziło i wychodziło z reduty do prochowni, umieszczonej pod ławą, na której stały armaty, wśród walk dla spieszniejszego donoszenia amunicji stojącej, i pękając takową zapaliły".

. . . .

Tyle naoczny świadek, który nie mógł mieć żadnego interesu mijania się z prawdą, który mógł się mylić w szczegółach, nawet w nazwiskach, w imionach i t. p. (pisze „Gordon", „Władysław", z Ukrainy), ale nie myli się w faktach zasadniczych i nie ważyłby się obalać tej specjalnie legendy opromienionej geniuszem wielkiego poety, dla którego jak widać z Pamiętnika żywił kult gorący i zbożny.

Zaczem nie wysadził reduty i nie wysadził siebie samego wraz z załogą w powietrze Konstanty Ordon. Ale dożył późnej starości i dopiero wtedy sam kres życiu swemu położył w ten sposób realizując przepiękną zresztą, ale nieprawdziwą legendę.

. . . .

Przeciw niniejszym wywodom wystąpiono z protestem równocześnie z dwóch stron.

Wystąpił w jednym z dzienników dziś już zmarły Karol Łepkowski (wnuk historyka sztuki J. Łepkowskiego), który w domu ojca swego w Krakowie widział Ordona i jego opowiadanie słyszał.

Wystąpiła też wnuczka brata kapitana Nowosielskiego z r. 1831 przedkładająca swój materjał i swoje dokumenty.

I cóż się okazuje teraz?

Dzięki artykułowi p. K. Łepkowskiego p. t.: „O Redutę Ordona" prawdziwsza prawda historyczna, raz już na powierzchnię wydobyta, znowu przypomniana może już wreszcie i ustaloną będzie.

Myliliśmy się obaj. Ja, kiedy opierając się na posiadanym materjale starałem się udowodnić, że tak zwana reduta Ordona nie została wysadzoną w powietrze planowo, rozmyślnie, ale że zapasy prochu w reducie zapalił zabłąkany pocisk rosyjski... Również mylił się polemizujący ze mną p. Karol Łepkowski, starając się udowodnić, że jednak tylko Ordon „polski Mucius Scaevola" własnoręcznie słynną redutę wysadził, z czego wniosek: „niechaj już pozostanie nadal w panteonie narodowych pamiątek".

Niekoniecznie.

Cóż się bowiem okazało? Okazuje się, że obaj prześlepiliśmy, czy też wogóle nie znaliśmy ważnej i omal definitywnie rozstrzygającej rozprawy na ten temat zmarłego kilka lat temu publicysty i historyka-popularyzatora Kazimierza Bartoszewicza. Rozprawa ta drukowaną była w „Tygodniku Ilustrowanym" w roku 1912 w numerach 46, 47 i 48. Obecnie dopiero, po zapoznaniu się z tą rozprawą, możemy, jeżeli już nie odsłonić autentyczną prawdę historyczną, to w każdym razie zbliżyć się do niej już tylko o najwyżej jeden krok odległości.

K. Bartoszewicz pracę swoją rozpoczyna od reminiscencji i dziwnym trafem taksamo od gościnnego domu profesorstwa Łepkowskich w Krakowie, w którym poznał właśnie... Ordona. Zaraz na początku myli się Bartoszewicz w dacie, gdyż zamiast r. 1882 lub 1883 podaje rok 1872 i 1873, w którym to roku willa Łepkowskich przy Plantach nie istniała jeszcze, a profesorstwo mieszkali we Lwowie. Ale nie trzeba się zrażać tą przypadkową omyłką. W meritum sprawy nasz rewelator jest ścisły, opiera się na sądach ludzi poważnych oraz na wynurzeniach samego Ordona przedewszystkiem.

Jedna Ordona wypowiedź jest ustna w rozmowie z Bartoszewiczem, druga pisana własnoręcznie, jako relacja ścisła, złożona w „Bibljotece Ossolińskich" we Lwowie.

O relacji osobistej pisze Bartoszewicz:

....„Sam Ordon żadnego bohaterstwa sobie nie przypisywał. Oczywiście nie jestem w możności dosłownie powtórzyć jego opowiadania o wysadzeniu Reduty. Ale z całą stanowczością twierdzić mogę (nie cofnąłbym się przed przysięgą), że według tego opowiadania, ten, któremu Ordon polecił zapalenie prochów, uczynił to w jakąś minutę może pół minuty zawcześnie i z tego powodu, nietylko ci, „co się wdarli", ale i ta część obrońców reduty, która się spóźniła z jej opuszczeniem, stała się ofiarą wybuchu. Sam Ordon, wybuchem silnie odrzucony, stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, znalazł się w niewoli. Takie wysadzenie reduty, według Ordona, było prostym przepisanym obowiązkiem, który o chwilę później spełniony, nie byłby wywołał katastrofy".

Z relacji, złożonej w r. 1882 w Ossolineum, zdaje sprawę Bartoszewicz w tych słowach:

„Mówił on w niej, że Bem kazał mu magazyn prochowy wysadzić w razie niemożliwości dalszej obrony reduty. Gdy więc już na nią wdzierał się nieprzyjaciel, Ordon cofał się z kanonierami ku magazynowi, gdzie stał oficer magazynier, z lontem, aby zapalić stopnie drzwi do prochowni prowadzące. Zbliżywszy się do niego, kazał mu podłożyć ogień. Nastąpił wybuch nagły. Kiedy przyszedł do przytomności, uczuł Ordon ból w twarzy i na rękach opalonych. Przyznaje, że nie wiedział, „jaki skutek wywoła eksplozja, że nie miał też zamiaru ani siebie, ani swoich kanonierów wysadzić".

Tak brzmi relacja, relacja własnoręcznie pisana, dokument przechowany w Ossolineum, raport dla historji i dziejopisów.

Analizując i porównując te obie relacje, osobiście słyszaną i przez Ordona spisaną, wyraża Bartoszewicz zdziwienie najpierw, że Ordon, kapitan artylerji, a więc wyższy oficer, nie wiedział, jaki skutek wywoła eksplozja prochów, a następnie zdziwienie, że Ordon komendant nie wymienia nazwiska „oficera - magazyniera", bądź co bądź bohatera obowiązku, który rozkaz ślepo wykonał, wiedząc, że musi zginąć na miejscu.

Składając przy okazji hołd skromności żołnierza, zrzekającego się aureoli wielkiej, poezją ozłoconej legendy, wykazuje Bartoszewicz jednakże, że sam Ordon w przeciągu swego długiego żywota, nieskończoną

ilość razy przez rodaków interpelowany (w mniej lub więcej natrętny sposób) w relacjach i szczegółach często się „wikłał", i że inaczej brzmią warjanty z r. 1883, 1862, 1872, 1882, inaczej opowiadania Ordona w Paryżu, w Krakowie, we Lwowie". A więc:

Wnet po powstaniu znalazłszy się w niewoli współtowarzyszowi niedoli Świtkowskiemu opowiadał o wysadzeniu reduty przez nieostrożność kanoniera Nakruta, co Świtkowski w broszurze „O wzięciu Woli" (Paryż, 1883) świeżo usłyszawszy wypisał, a co za nim powtórzył historyk z naszych czasów prof. August Sokołowski.

Co innego natomiast z ust Ordona słyszał Ludwik Mierosławski, który to potem także opisał w książce p. t.: „Bitwa Warszawska", pośmiertnie w r. 1887 w Poznaniu wydanej.

I on to po raz pierwszy, wymienia nazwisko właściwego „nieznanego" sprawcy wysadzenia reduty nr. 54, a więc dosłownego bohatera.

Na str. 74-ej „Bitwy Warszawskiej" L. Mierosławskiego czytamy:

...„Bohaterskie to samobójstwo, przypisywane przez poetów komendantowi reduty, kapitanowi artylerji Ordonowi, zdaje się, jest czynem porucznika Nowosielskiego, który wskutek kalectwa jednego (Ordon był raniony) a śmierci drugiego kapitana, znalazł się na czele. To także wynika z rozmów, jakie toczyłem w trzydzieści lat później z samym Ordonem, który nie umiał sobie wytłomaczyć, jak się wygrzebał żywym"...

Jak widzimy więc z tego, relacje nie zupełnie zga-

dzają się z sobą, co wskazywałoby przedewszystkiem, że sam Ordon nie zdawał sobie ściśle sprawy z tego, co się wówczas stało i raz sądził, że był to wynik nieostrożności, a drugi raz, że zawczesne spełnienie ewentualnego rozkazu. I z tej przyczyny co innego opowiadał Ordon Świtkowskiemu, co innego Mierosławskiemu, a co innego w lat 50 potem. Legenda zaś o Ordonie zrodziła się właściwie ze... wzmianki... dziennikarskiej...

Chwilowo wychodząca, tuż po wzięciu Warszawy „Gazeta Zakroczymska" (sic!) w numerze 3-cim podała pierwsza wiadomość o bohaterskiej śmierci kapitana Ordona, który grób swój znalazł pod „zwałami reduty". Do Drezna zawiózł tę opowieść Garczyński i z jego to ust usłyszał ją Adam Mickiewicz. Olśniony blaskiem jakby rzymskiego heroizmu polskiego i wyjątkową dźwięcznością nazwiska, dał w momencie natchnienia perłę, po wszystkie czasy nieśmiertelną.

Właściwie atoli w tytule powinno to brzmieć: Reduta Nowosielskiego.

Jest bowiem jeszcze jeden świadek. Tym razem koronny, najważniejszy, autorytatywny.

Pamiętnik jego wyszedł w r. 1895 omal w trzydzieści lat po jego śmierci (1867).

Jest nim żołnierz spod Raszyna, spod Grochowa, w roku 1831 zastępca szefa sztabu gen. Prądzyńskiego, generał Jakób Lewiński. Głos tego starca, jakby głos zza grobu brzmi już całkiem stanowczo i kategorycznie z wielką siłą przekonania:

„Niech mi wolno będzie wspomnieć tu o jednym z tych heroicznych czynów, które pojedyńczo, ale dość licznie, bez stanowczej korzyści, ale na pociechę serc polskich, upadek naszej stolicy uszlachetniły. Gdy nieprzyjaciel wdarł się do reduty Nr. 54, kapitan piechoty Nowosielski, wysadził ją w powietrze wraz z majorem, kilku oficerami i mnóstwem żołnierstwa rosyjskiego, naturalnie że i sam padł ofiarą swego bohaterstwa. Czyn ten mylnie przypisywano porucznikowi od artylerji Ordonowi, gazety szumnie opisywały śmierć jego, a Mickiewicz odę na cześć jego napisał. Tymczasem Ordon, nie wiedząc nic o sławie swojej mieszkał w Warszawie, naprzeciw Dominikanów, gdzie go sam nawet po powrocie z Prus widziałem. Z dzienników dopiero dowiedziawszy się o chwalebnym czynie swoim wyniósł się za granicę i nie wiem, co się dalej z nim stało. Ze smutkiem zawsze myślałem o tej mimowolnej zaiste, ale bardzo okrutnej pomyłce. Wydarta zmarłemu pięknych i wielkich poświęceń zasługa jest równą krzywdą, jak rzucona na niewinnego potwarz, a takie jest już nieszczęśliwe ludzkie usposobienie, że wszelkie kłamstwo, chwalące się czy potępiające, trwalej się niż prawda w pamięci ludzkiej zapisuje".

Tyle generał Lewiński.

Tych Nowosielskich brało udział w wojnie z Rosją czterech: Feliks, Adolf, Teodor i Leon. Z tych czterech Feliks, podporucznik saperów jest historykom powstania i wojny (Barzykowskiemu, Straszewiczowi) dobrze znany i ma swoją kartę chlubnie zapisaną. Ale temu udało się ocaleć i dożyć późnej starości;

umarł w Londynie w r. 1864. Dwaj inni nie liczą się, gdyż byli urzędnikami wojskowymi.

Pozostaje Leon, w r. 1829 podporucznik 4 pułku strzelców pieszych, we wrześniu 1831... kapitan.

Bronisław Gembarzewski, interpelowany przez Bartoszewicza w kwestji reduty Nr. 54, z notat swoich objaśnił, co następuje:

Komendantem szańca był nie kapitan Ordon, ale major Łabęcki. Konstanty Ordon nie był ani kapitanem, ani porucznikiem, ale dopiero podporucznikiem artylerji; z tą rangą wymieniony wśród odznaczonych Virtuti Militari 6. VI. 1831. Rozkazem Bema z 2 W. 1831 został komendantem artylerji, a więc przełożonym tylko nad artylerzystami, których krytycznego dnia w szańcu Nr. 54 było 43.

Wedle Gembarzewskiego Bem polecenia wysadzenia szańca nie mógł dawać. Również nie wydał major Łabęcki (ranny). W momentach, w godzinach krytycznych komendę mógł objąć mający pod sobą dwie kompanje piechoty kapitan Leon Nowosielski. Skoro Ordon w rozmowach z Mierosławskim jednak to nazwisko (w relacji z Ossolineum przemilczane) wymienił, a ówczesny zastępca szefa sztabu generał Lewiński uroczyście to potwierdził, w takim razie ten, co na reducie Nr. 54 zginął wysadzony w powietrze w każdym razie współudział w czynie heroicznym miał aktywny i decydujący.

Jeżeli poeta mógł i miał przywilej o tem nie wiedzieć, to historja i dziejopise do swej świadomości jednak tę korektę przyjąć muszą.

Późniejszy pułkownik wojska włoskiego Konstanty Ordon zginął, ale znacznie później, bo w r. 1887 i to śmiercią samobójczą.

Redutę Nr. 54 wysadził w powietrze wedle relacji samego Ordona, nie oficer - magazynier (dokument w Ossolineum) i nie porucznik (z opowiadań Mierosławskiego), ale kapitan Nowosielski Leon o nazwisku dłuższem i może mniej poetycznie, mniej „tytułowo" brzmiącem.

Jak rozprawa K. Bartoszewicza okazała się „nieznaną", tak i Leon Nowosielski dotychczas w opinji w tradycji, w książkach „żołnierzem nieznanym" pozostał. Dzięki błędom w pracy p. t. „Ordon nie wysadził reduty" i dzięki błędom w polemice z tą pracą zawartym, szczęśliwie znów się wydarzyło, że Prawda historyczna nieco wyżej odsłoniła swych rąbków. W każdym zaś razie krzywda zasłudze sprawiona już jest przemazana.

Muciusem Scaevolą w roku 1831 był Leon Nowosielski.

SKOROCHÓD

Tak go zwała w potocznej gwarze cała Warszawa. I takim już „Skorochodem" umarł lat temu zgórą sto, bo 5 lipca 1835 r.

I o nim też znów teraz nikt nie wspomniał. A tymczasem mąż to był uczony, „ważny i poważny", zasługi ma w pewnej dziedzinie niezmiernej dla potomności doniosłości, a oryginał to już kompletnie pierwszej klasy. W każdym razie zaś i deputowanym był, kolejno w trzech sejmach zasiadał (1820, 1824, 1826), w sesjach Legislatury żywy udział brał, no a ongiś w Sejmie Czteroletnim do deputacji kurlandzkiej należał, więc już choćby z tej racji przypomnieć się go także godzi.

„Skorochód", to znaczy Walenty Skorochód Majewski, z podlaskiej szlachty wywodził się, w rodzinnych Skorochodach urodzon, skąd i przydomek. Do nauk i intelektualnego mozołu taki miał pociąg przyrodzony, że już w szóstym roku życia rozprawki pono pisywał, a w 15-ej wiośnie do Warszawy piechotą przywędrował, żeby tylko do Ojców Pijarów trafić i tu nastudjować się i nakształcić, co tylko w głowę wlezie. Coś tam po wuju, majętnym dóbr posiedzicielu, odziedziczył, co potem przeważnie na księgozbiór poszło i na podróż niedługą po Italji. Za młodu popróbował wszystkiego. I w austrjackiem wojsku trochę posłużył i pod sztandarami Kościuszki odznaczył

się, pod Maciejowicami ranny i obdarty. Krótki czas w salinach wielickich urzędnikiem, poczem w sądzie w Warszawie praktykował i do palestry wszedł, przedtem prawa mocno liznąwszy. Bakalarka i uczeniem młodszych też nieco dorabiał. Jednocześnie przedziwnie do obcych języków uzdolniony, przyswoił sobie francuski, angielski, niemiecki, rosyjski, włoski, od Pijarów posiadłszy łacinę i grekę. Wielojęzyczność zatem, jaką nie każdy dzisiaj nadobny poseł mógłby się poszczycić, dzięki której jako deputowany wybrany był do delegacji, konferujących z reprezentantami ościennych (rozbiorowych) mocarstw. W finansowości też się orjentować musiał dokładnie, skoro po upadłościach banków Teppera, Prota Potockiego i innych wzywany bywał do komisji, obliczających straty, jakie skarb koronny z tych przyczyn ponosił; w tych to komisjach cztery lata strawił.

Widzimy więc z tego, że osobowość była aktywna, przerzutliwa, w różnych dziedzinach publicznych obrotna, przyczem dużem zaufaniem rodaków obdarzona. Nie na tych wielu specjalnościach ograniczała się jego obywatelska służba i nie w tem kulminowały jego osobiste ambicje i cele. Skorochód był urodzonym „wiedzowcem" i „dziejowcem", badaczem, poszukiwaczem, szperaczem. Od wczesnej młodości pasjonowała go dziejowość, ludoznawstwo, prehistorja Słowian, prapoczątki Lechitów, zaczem i pomocne wiedze: lingwistyka i gramatyka, ściślej filozofja językowa, słownictwo, etymologja. Zanim atoli tym niezmierzonym naukowym obszarom i wynikłym z nich domniemaniem (i fantazjom) całą duszą się oddał,

przeszedł jeszcze przez wstępny, przygotowawczy okres archiwisty na wielką skalę, bo państwowych archiwów organizatora. I w tem leżą jego poważne i jakżeż niegodziwe zapomniane zasługi! Kiedy w r. 1799 przewieziono do Warszawy z powrotem odstąpiony pruskiemu okupacyjnemu zarządowi polski tułaczy zbiór metryk koronnych, Prusacy, orjentując się dobrze w ludziach zdobytego kraju Majewskiemu powierzyli pieczę nad przywróconym zbiorem. W Zamku przeznaczono dlań drugą z rzędu największą salę po senatorskiej, a Skorochód w Zamku też zamieszkawszy, z zapałem i znawstwem zajął się pierwszą inwentaryzacją, rejestracją i uporządkowaniem metryk, aktów politycznych, sądowych, referendarskich, nuncjatorskich, diplomaticów, traktatów jawnych i sekretnych. Na tej, bardzo mozolnej a kunsztownej pracy zeszło mu owocnych w skutkach lat siedem. Kiedy potem nastało Księstwo Warszawskie, nowy rząd rodzimy wyjawił pewne wątpliwości, czy takie archiwum państwowe wogóle jest potrzebne i koszty (zresztą minimalne) czyliby się wogóle opłacały? I wtedy Skorochód oburzony musiał wystąpić ze specjalnym memorjałem, aby tylko skarb bezcennych zabytków historycznych, dokumentów, rejestrów, ksiąg in folio, zaczem źródeł i materjałów historycznych (naufragio erupta) wprost uratować i konserwację mu zapewnić, bą nawet skromny fundusz na zakupy dla dokompletowania defektownej całości uzyskać. Dopomógł mu w tem także autorytet świeżego Staszycowskiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk", którego stał się członkiem bardzo czynnym i gdzie często jako

referent-prelegent głos w różnorodnych kwestjach nukowych zabierał. Tutaj też z katedry wygłosił pierwszą ważną: „Rozprawę o Archiwach", wykazując niepozbędność i nieodzowność takich zbiorów aktów krajowych dla narodu dwunastomilionowego o 800-letniej państwowej egzystencji. Słusznie tedy i sprawiedliwie w roku 1816 królewskim archiwistą krajowym mianowany, na którem to stanowisku już do śmierci dotrwał.

Oto zasługa tego „sejmokraty", o której przepomnieli w stulecie śmierci i koledzy z Sejmu i koledzy historycy, a któremu większe prace poświęcili Bentkowski, E. Dembowski, a A. Batowski wyczerpującą.

Jeżeli atoli w tem jego pozytywny dorobek, to na czem innem polega oryginalność i odrębność naczelnego archiwisty „Metrykantem" lub Skorochodem popularnie wówczas zwanego. Walenty Majewski był wyjątkowo uzdolnionym poliglottą-samoukiem. W wolnym od obowiązków umysłowych czasie zajął się przyswajaniem jeszcze jednej grupy językowej, to jest idiomów wschodnich z sanskrytem na czele. Zrodzonym z tych studjów badaniom ten pionier naszej orjentalistyki prawie 20 lat życia poświęcił! To była jego faculté maîtresse. W erze Napoleońskiej i za Księstwa jeszcze przerzucał się w swych zainteresowaniach z młodzieńczą werwą od wypisania i wydania „Kodeksu Handlowego" (r. 1811) pierwszego w Polsce do puszczenia się na traktat o „Sztuce dyplomatycznej" (r. 1814). Począwszy jednakże od pierwszej „Rozprawy o języku Samskrytskim (sic), wygłoszonej 30 maja 1816 r.

w Warsz. Tow. Naukowem, już się nie rozstaje ze Wschodem i jego problematami i zagadkami ludoznawczymi do samej śmierci. Bardzo wcześnie rodzi mu się w mózgu i opanowuje go *idée persecutive*, poczem *folie* pewna, która zeń czyni warjant, odmianę a nawet prekursora ni mniej ni więcej tylko... hrabiego Gobineau!... Skorochód staje się pierwszym głosicielem polskiej względnie ogólno-słowiańskiej czystej aryjskości, propagatorem hypotezy, że „pierwiastkowi Słowianie" a przedewszystkiem Sarmatowie wywodzą się w linji prostej od ukochanych przezeń „Indoskythów" względnie „Indostańców". W pewnym momencie ta przerodzona w manję tendencja czy doktryna naukowa doznaje takiego nasilenia, że Skorochód własnym sumptem zakłada w Warszawie drukareńkę „samskrytską" ze specjalnymi czcionkami, odlewanymi przez domorosłych artystów. Z polskich archiwalnych badań wieloletnich przechodzi do wyłącznie absorbującego studjowania prapoczątków zamierzchłej Słowiańszczyzny. Aby dojść do prawdy jądra genezyjnego, aby wyśledzić wszystko najskrupulatniej, zanurza się i zatapia w lekturze wszystkiego, co o pierwiastkowości ludów, szczepów, plemion i ras w przystępnych mu językach dostępne. Rozporządzając skromnymi zaoszczędzonymi z pensji funduszami, bo prowadząc z żoną żywot anarchorecki, sprowadza sobie masowo wszystkie dzieła w jakiemkolwiek będące tematowem pokrewieństwie z hypotezą pobratymstwa Słowian-Polaków z Hindusami, a więc wszystko z czlekonawstwa (antropologji), ludoznawstwa, etymologji, archeologji, rasologji i wszystkie po Azji podróże. Z imponującej kolekcji dzieł robi pedantyczne streszczenia, sprawozdania, excerpta, konfrontacje, komplikacje, wyciągi, zarysy, wypisy, z których minimalny procent obrabia i publikuje (wytłacza), a resztę ze skrupulatnością nałogowego archiwarjusza zostawia w bruljonowym, surowym kształcie w *dwudziestu* tomach (poszytach) rękopismów, w Bibljotece Baworowskich zmumifikowanych. Uczeni autorowie dzieł, z których Skorochód referuje, dawno już przeszli do staromodnych „Lexiconów", ich dość naiwna wiedza zwietrzała, a paczulą pachną nazwiska takie jak: Isle de Salles, Herbelot, Klaproth, Adelung, Gatterer, Jornandes, Ballenstedt, Economides (radca Synodu prawosławnego w Pitrze), a jest nawet jeden Pinkerton. Swego czasu były to oczywiście tuzy, kiedy Skorochód dla dobra rodaków wyciągał z nich kwintesencję, to jest ogrom wiadomości o Herulach, Hunnach, Chazarach, Hebrajczykach, Turkach, Tatarach, Mongołach, Ungrach i Lezgach, o Getach czy Gotach i Wandalach, o Amazonkach i Formozanach (sic), no a przedewszystkiem o swych umiłowanych Indostanach i Arjasach, z których w prostej linji pono się wywodzą, jeżeli już nie wszyscy Słowianie to przynajmniej dzielni Sarmatowie. Dla stwierdzenia bezdyskusyjnego tego dogmatu Skorochodowego pomogły mu jeszcze nowe publikacje o „zalewie" (potopie) szczególnie południowym (*alluvium australe*), nowe dzieła o „przenosinach" plemion (wędrówki narodów), wzmianki tu i ówdzie o... Sarmacji azjatyckiej, no i wreszcie odkrycie historyczne (Isle de Salles)

o ogólnosłowiańskiem pramocarstwie legendarnego Samosa... Radca Synodu Ojkonomides udowodnił w trzech tomach podobieństwo języków słowiańskich do greckiego; Skorochód stwierdził bliskie „pobratymstwo" „Samskrythu Indjan" (sic) z lechickim, o czem zresztą 5-go maja r. 1825 w Tow. Nauk. Warsz. prelekcję pięknie wygłosił, poprzedzoną laurką prezesa Staszyca.

W rękopisach zostawił conieco excentryczne (recte naiwne) „Uwagi nad religją, obyczajami i oświatą ludów w pierwszych perjodach od Adama do Mojżesza, czyli od roku 1 do 2373 po stworzeniu świata"... Drukował natomiast w XIV-ym tomie prac Warsz. Tow. Nauk. tablice chronologiczne dziejów Słowian „od 1-szego roku po Chrystusie po rok 1453".

Wreszcie dostała Warszawa i dzieło pryncypalne naszego orjentalisty (i m Biedermeyermaniere) t. j. „Gramatykę mowy starożytnych Skuthów (sic), Budhanów, Herodotow (sic), Samskrythem czyli dokładną mową daną". Rok 1828. Poczem jeszcze dla oświecenia ziomków przetłumaczył z rękopismu Królew. Bibliot. Berlińskiej „Brahma-Wainawartha-Puranam". Wreszcie na dwa lata przed śmiercią niezniechęcony apostoł aryjskości sarmackiej dodaje II-gą część Gramatyki Samskrythskiej, tym razem już atoli z przedmową p r o d o m o s u a. Użala się tu i skarży na obojętność społeczności; książki jego zalegają „pułki" w księgarniach, a ci, co już je nabyli, rychło potem „na pokupne romansiki pozamieniali".

I tak też było istotnie. Lechitowie okazali się conieco Wandalami. Uczonego pana Walentego traktowała Warszawka już raczej jako dziwadło i starej daty jegomościa z fiołem. Nie oszczędzono polihistorowi-fantastykowi tynfa-wartych żartów i kpinek. Wyszydzano ten „samskryth" już nie półgłosem, ale wniebogłosy tak zresztą, jak w samej Francji zbagatelizowano też dokumentnie... hr Gobineau. Podparł go znów w opinji jako uczonego, ale też na krótko, pobyt w Warszawie w przejeździe znakomitego Niemca Humboldta i tegoż... mimochodem dyszkury ze Skorochodem, którym dla jego omniscjencji Humboldt zagustował. Na ostatnie lata znów przyszły dojmujące lekceważenie i szykany nawet u pauprów na ulicy wrzeszczących za nim: „Skorochód się toczy"!

Przeżył samego siebie. Odchodził w kilka lat po powstaniu listopadowem, kiedy o jakiejś tam pospólności, pobratymstwie plemion słowiańskich nikt słyszeć nie chciał. Wiedza o „pierwiastkowych początkach" ludów o „zalewie", o „przenosinach" i wogóle umiejętności „człekoznawcze" też już wtedy wyszły z niemowlęcej fazy. Więc i Skorochoda zagrzebano z kretesem.

A tymczasem na takie doszczętne zapomnienie Skorochód nie zasłużył. I kto tam wie, czy to co istotne i poważne, co może najoryginalniejsze i najekscentryczniejsze z jego naukowego dorobku, nie doczeka się jeszcze ekshumacji? Możliwe.

SZTEINKELERKI

Sto lat temu krągło żyła i działała w Warszawie grupa obywateli, dla których głównem omal zagadnieniem, absorbującem ich energję twórczą i organizacyjną, był problemat wyjścia z prymitywnych form komunikacyjnych, problemat przewozu, transportu, oraz środków lokomocyjnych. Kraj pod tym względem prezentował się fatalnie, był zaniedbany i opóźniony w cywilizacyjnym rozwoju. Już Napoleonowi podczas jego dwukrotnego pobytu dało to pretekst do sarkastycznej uwagi, że dla Polski stworzył pan Bóg jeszcze piąty żywioł to jest błoto. Poeta niemiecki W. A. Schlegel napisał o tem błocie i jego strategicznych dla Napoleona konsekwencjach zabawny wiersz. Stan dróg krajowych państwowych przedstawiał się, jak się to dziś określa: katastrofalnie, a stan dróg powiatowych (dzisiaj samorządowych) już wtedy także był przeraźliwy. Pod względem dróg bitych, to jest bitych gradem, deszczami i kopytami końskiemi, zaczem nienaprawianych i zrujnowanych byliśmy w Europie jeżeli nie aż na 17-em miejscu (jak dzisiaj), to w każdym razie na bardzo szarym końcu. Stąd duże przeszkody, utrudnienia i kamienie pod nogi dla przemysłu, handlu, i gospodarstwa, które dzięki wyjątkowej w Sarmacji inicjatywie i energji genialnego księcia Lubeckiego, zaczęły od roku 1823 aż do powstania i roku 1831 dość szybko rozkwitać i rozrastać się. Pomogło otwarcie granic celnych w głąb cesarstwa i Azji. Pomogło nasilenie kraju kulturalnym „nawozem" omal 150.000 kolonistów z Zachodu, przeważnie Niemców. W krótkim czasie powstaje pierwsza politechnika polska, dalej Towarzystwo kredytowe ziemskie (1825), a wreszcie ważna instytucja finansowa, to jest Bank Polski (1828).

I dzięki temu to Bankowi polskiemu powstają zaczątki i zaczyny szybko rozrastającej się idustrjalizacji, a jednocześnie energicznie przeprowadzona poprawa opłakanego drogostanu. Poczciwy narodek, oczywiście, lamentuje na ucisk fiskalny Lubeckiego i Grabowskiego, ale nie zdekonfiturowani tem ministrowie żelazną ręką przeprowadzają dzieło cywilizacyjne. Otwierają się kopalnie i huty, budują fabryki, powstają cukrownie, browary, cegielnie i papiernie, rodzi się Żyrardów. Jednocześnie zaczynają w szybkiem tempie wytyczać i budować gościńce i trakty, pierwszy Krakowski, dalej Gdański, Wołyński, Śląski...

Stosunki polityczne z metropolią zaboru, z dynastją, z rządem układają się więcej niż poprawnie, a tak Kongresówka jak i kraje zabrane cieszą się przywilejami liberalnego konstytucjonalizmu. W katedrze Świętojańskiej cesarz koronuje się na króla polskiego a wojenna rosyjska admiralska fregata, która pierwsza przejeżdża przez Dardanele, nosi nazwę: „Księżna Łowicka"... Toteż i minister przemysłu i handlu, Ign. Turkuł, wszystkie zamierzenia i inicjatywy europeizacji, industrjalizacji w Królestwie popiera najgoręcej.

Wtedy to zjawia się w Warszawie w. ks. Konstantego, w Warszawie sejmującej i samowładającej sobą młody dwudziestosiedmioletni Krakowianin a nawet Podgórzanin, mający na drugie imię tak samo Antoni, jak tragicznej pamięci pierwszy polski captain of industry Tyzenhaus, na pierwsze Piotr, ale nazwisko także niemieckie, bo Steinkeller. Z zawodu „komersant", jak się mawiało, czyli kupiec i bankier, z dużą „edukacją buchalteryjną", już w świecie bywały. Bucha od niego energja i entuzjazm młodzieńczy dla wszystkiego, czego już dokonał angloman Lubecki. Bez zastrzeżeń podziwia jego działalność organizacyjną, którą brać szlachta odrazu przezwała sobie „brewerje" od angielskiego brevery. Sam ma głowę przepełnioną tysiącem pomysłów, idei, inicjatyw we wszystkich dziedzinach i kierunkach gospodarczych, które to pomysły chce jak najszybciej realizować, byle upodobnić kraj do Zachodu, odkryć jak najwięcej źródeł dobrobytu i otworzyć nowe chlebodawcze warsztaty wytwórczości i pracy. Na samym wstępie zyskuje odrazu poparcie aktywne dwu „braci z nieprawdziwego zdarzenia", bo hrabiów, którzy otworzyli kantor bankierski i zajmują się fachowo operacjami finansowymi. Dzięki protekcji i współpracy Łubieńskich Henryka i Tomasza (późniejszego jenerała) wygrywa Szteinkeller terno na loterji życiowej i rozpoczyna pod hasłem enrichissez-vous działalność fantastycznie bujną i rozległą. Napatrzył się w austrjackich i niemieckich miastach grynderom najrozmaitszych manufaktur i etablissementów. Przez kolejno przeszło 25 lat, omal więc całe ćwierćwiecze będzie to

wszystko transplantował na mazowieckie piaski. Zaczyna od soli, za którą Warszawa musiała przepłacać Austrjakom. Rewanżując się za wyzysk, importuje sól do Anglji i daje stolicy o 15 kop. taniej na centnarze. To mu odrazu wyrabia dobrą markę i zyskuje popularność. Dostaje od rządu w dzierżawę hutę cynkową w Dąbrowie, podnosi jej produkcję i obniża cenę w handlu. Kupuje ruiny pałacu Mniszchów i buduje z nich po dziś stojącą Resursę kupiecką. Drugi atut. Wielka cegielnia w Pomiechówku, browar w Jaworzynku, olejarnia, fabryka resorów powozowych, destylarnia rosolisów i alembików.

Pierwszą erę jego zadziwiająco ruchliwej działalności przerywa rok 1831, rewolucja i wojna z Rosją. Następuje katastrofa klęski i represje także i wobec rozkwitającego przemysłu włącznie z zamknięciem granicy celnej od Cesarstwa. Ale życie normalne i realne ma swoje prawa i konieczności. Przemysł raz dźwignięty już się w ziemię zapaść nie może. W Banku Polskim nowi ludzie na czele: Niepokojczycki, Lubowidzki. Przedsiębiorstwa i „brewerje" pana Piotra zaczęły nieco chwiać się i trzeszczeć w posadach; jedne trzeba było zamknąć, drugie sanować z pomocą to Loevenbergów to Blumenfeldów to innych nowych potentatów. Dużo mu też dały się we znaki fallissements różnych banków zagranicznych, z którymi był w stosunkach, a głównie bankructwo domu „Hans Steiner" w Wiedniu.

I wtedy to nasz „król cynkowy" zwrócił się całą dynamiką organizacyjnej genialności do swej idée maitresse — do komunikacji, do lokomocji, do trans-

portu. I twarzą do Wisły. Tę „wierną rzekę" raz po raz rozlewającą się z brzegów należało wreszcie obwałować i lewe ramię trochę jej naprawić i tamę wybudować, żeby statki pod młyn mogły dojeżdżać, no i wreszcie o tych statkach „własnego chowu" też pomyśleć! Co się rzekło, to się zrobiło. I wnet był i dźwig czyli kran nad Wisłą, i berlinki płaskodenne i statki Steinkelleroskie, i początek żeglugowej organizacji na większą skalę.

Najcharakterystyczniejsze atoli i co długo jeszcze przetrwało po Steinkellerze, to były jego dyliżanse pocztowe. Ponieważ sieć kolejowa rozwijała się dość powoli, a publiczność z tą lokomocją oswajała też niezbyt prędko, więc pan Piotr znów adoptował jeden pomysł angielski i wprowadził komunikację pojazdami wspólnymi na osiem i na dziesięć osób, także „kurjerki" jeżdżące po traktach rozstawionymi końmi. Trakty wtedy były nowe, więc jeszcze nie w stanie katastrofalnym, bez wybojów i dziur metrowych. Tymi Szteinkellerkami jeździły antenaty post Christum natum do Kowna i do Kalisza, do granicy jednej i drugiej. Pod względem gęstości sieci drogowej i jakości konserwacji, i wytrzymałości gościńców, szos i dróg droga Ojczyzna nie stała wtedy aż na... siedemnastem miejscu w Europie...

Nawet fabrykę takich dyliżansów w angielskim fashion założył pan Szteinkeller i interes długie lata prosperował...

Że atoli i wtedy była już era burzliwa i wojennością raz po raz brzemienna, że kryzys i wtedy jako ta grypa grasował raz po raz, że różne korpusy różnych armji maszerowały to tu to tam, to na Węgry, to do Turcji, to do Rumunji (jeden jenerał v. Rudiger dwa razy okupował Kraków 3 maja 1846 i 18 września 1849), więc czasy i wtedy były dla stabilizacji, industrjalizacji, kapitalizacji niepewne i nieprzyjazne. Toteż już w roku 1849 plajtnęły Żarki, to jest centrala i „kernwerk" wszystkich przedsięwzięć Szteinkellera, a po Żarkach krach straszliwy z olbrzymiemi jak na owe lata passywami, bo 2.390.000 rubli!

Bankructwo takiego banku i tylu warsztatów pracy pociągnęło za sobą duże straty materjalne w społeczeństwie. Stąd też duże rozgoryczenie u ludzisków i skargi, przeklinania i złorzeczenia. Pan Piotr gentleman w każdym calu popłacił wszystkich. Nie został nikomu nic winien i wycofał się czysty, i na czysto straciwszy miljony.

Przedwcześnie osiwiały pięćdziesięcioletni captain of industry z romantycznych czasów pożegnał się z terenem i teatrem swych niebywałych tryumfów i wrócił pod Wawel. Osiadł w skromnym mająteczku w cudownie nad Wieliczką położonym Zakliczynie, który potem nabyli pp. Józefowie Kopffowie.

Gościem mieszkałem ongiś w jego gabinecie, na jego wolterowskich fotelach czytając książki z pozostałej po nim bibljoteki...

Osiemdziesiąt lat upływa właśnie od jego zgonu...

Warszawie dał bardzo dużo, nietylko tańszy węgiel, mąkę, chleb, żelazo, sól, ale także Soul (ducha) anglosaskiej inicjatywy. A czy Syreni gród tak zasłużonemu obywatelowi należycie się odwdzięczył?

LOLA MONTEZ W „ŚWIETLE HISTORJI"

Poglądy na wybitne postacie ze świata historycznego, na gwiazdy literatury i sztuki, na wodzów i hetmanów, królów i kanclerzy, ulegają co jakiś czas przemianom, rewizji, korekturze. I na to już nic nikt nie poradzi. O ile na podstawie nowych źródeł i nowych dokumentów pada na postać wybitną nowe światło, to wcześniej czy później muszą się znaleźć nowe pióra, które to skonstatują i wynikami zsyntetyzowanymi podzielą się z ogółem, natrafiając na większy lub mniejszy odpór w konwencjonalnej opinji. Czy to będzie Cromwell czy Colbert, Waszyngton, czy Napoleon, Elżbieta angielska czy Marja Szkocka, Kolumb czy Beniowski, Szekspir, Goethe, V. Hugo, Tołstoj, wszyscy wielcy okazują się kolejno oświetlani to z lewej, to z prawej strony — no i rzecz jasna, prezentują się odmiennie, inaczej, a niekiedy wprost przeciwnie.

Nietylko atoli wielkie pierwszoplanowe postacie z wielkiego świata historycznego, ale i całkiem pomniejsze figurki, czasem nawet z półświatka i zza kulis dziejowości przechodzą z fazy przyciemnienia w próby wybielania i rehabilitacji. Ostatnio znalazły swoich adwokatów po stu, po dwustu latach faworyty królów francuskich i wielkie damy „Wielkiej" rewolucji i gwiazdy ery romantycznej i sławne tragiczki czy aktorki, a więc pani Thalien, pani Recamier, „boska" Rahel i Sarah Bernhardt. Między wydobytemi pod lepsze mocniejsze światło znalazła się też zmonografiwana raz dodatnio, a raz ujemnie jedna ze słynnych tanecznic z pierwszej połowy XIX wieku, hiszpańska Lola Montez.

Urodziwa ta osóbka dość burzliwie przeszła przez krótki żywot. W kulminacyjnym momencie swej biografji zapisana jest też w annałach historji i w encyklopedjach. Kiedy bowiem doszła do 27-ej wiosny, udało jej się po poprzednim zbałamuceniu poety Alfreda de Musset. zawrócić głowę Ludwikowi de Wittelsbach, królowi bawarskiemu. Rządziła wtedy krajem Bawarów długie lata jako hrabina Landsfeld i trwałoby to dłużej jeszcze, gdyby gabinet królewski nie wpadł na fatalny i fiskalny pomysł podwyższenia cła na chmiel i cen piwa, tak en gros jak w detalu i „na wynos", co musiało w rezultacie wcześniej czy później doprowadzić do rewolucji. Doprowadziło wcześniej i skończyło się grubą awanturą, bo exmisją króla i odebraniem mu berła. Hrabinę Landsfeld, jadącą na spacer młodzież uniwersytecka wyciągnęła z faetonu. „Viribus unitis, coram populo, denudato podice wymierzono jej z nakazu ludu chłostę". Nieszczęsna i skompromitowana tancerka zaraz po takiej dla siebie: „wiośnie narodów", emigrowała do Ameryki, gdzie zajęła się wygłaszaniem odczytów, prelekcji, konferencji, z dyskusjami na tematy... religijne. Dla takich paradoksów jest i była zawsze Ameryka, kraj nieograniczonych niemożliwości.

Otóż ta Lola Montez występowała czy występkowała także i w Warszawie swego czasu. Ten „swój czas" to były bardzo ciężkie czasy, bo za Paskiewicza

i Abramowicza. Pierwszy był namiestnikiem i nosił tytuł księcia warszawskiego, drugi generał-policmajstrem i dyrektorem teatrów. Ale choć ta Warszawa żałobna wtedy była miasteczkiem niewielkiem, to jednakże zjeżdżało do niej więcej międzynarodowych artystycznych znakomitości, nie przymierzając... obecnie. Jeszcze dawniej przed powstaniem listopadowem gościła tu słynna śpiewaczka Catalani, dwukrotnie, bo w 1816-tym i 1828. Za pierwszym razem zawadziła także o jeszcze mniejsze grodziszcze: Kraków i tam wzięła osobiście udział w sypaniu kopca Kościuszki, zawiozła taczki z piaskiem... Odwiedziła Warszawę, potem słynna Ristori i grała „Medeę". Murzyński tragik Aldrige grał Otella. Pianista Liszt koncertował dwukrotnie zasypywany podarunkami: kwiatami i wierszami poetów Zmorskiego, Wolskiego, E. Dembowskiego. Gdy ten ostatni i kasztelanic i radykał i bohater w jednej osobie, hołdowniczy pean wręczył Lisztowi osobiście, wzruszony Liszt odpiął swoją szpilkę brylantową i wpiął do krawata rewolucyjnemu poecie; Dembowski na drugi dzień posłał mu pierścionek z brylantem. Takie czasy, takie czasy!

Nic tedy dziwnego, że Warszawę ówczesną, jednak kontakt z Europą utrzymującą, artystów z entuzjazmem przyjmującą, wenerującą i fetującą nawiedzały także słynne mistrzynie piruetów. Było źle, było ciężko i posępnie, ale jednak tak bezprzykładnie nigdy nie było, żeby raz po razu jakaś znakomitość artystyczna ze swoimi popisami się tu nie jawiła. Okna na Europę były jeżeli nie otwarte to niedomknięte.

Tego samego roku z pianistów był Thalberg, Dreyschok i Liszt, a z tancerek słynna Taglioni i wreszcie Lola Montez. Rok 1843.

I otóż z tą Lolą Montez i jej występem w „Teatrze Wielkim" zdarzyła się gruba awantura. Do pewnego stopnia historyczna, do pewnego stopnia atoli awantura także symboliczna, pedagogiczna, pouczająca. Pisała o tem wtedy cała prasa europejska.

Pouczająca. Poucza bowiem na przykładzie maleńkiego zdarzenia z małym przelotnym motylem ludzkim, jak to o tem samem zdarzeniu historycznem czy pół historycznem, czy nawet... histerycznem mogą powstać dwie naoczne autentyczne relacje dwóch wiarogodnych ze wszech miar świadków, a całkiem sobie sprzeczne, czyli jak wszystko zależy od oświetlenia, czyli jak błądzi i myli się w swych sądach i opinjach człowiek normalny.

O występie tancerki Loli Montez w Warszawie wersje pamiętnikarskie są dwie:

Jedna: Fryderyka hr. Skarbka, bardzo poważnego statysty, ekonomisty, męża stanu, polityka, pisarza. Druga: Pauliny z Lauczów Wilkońskiej, żony znanego autora i publicysty, samej także autorki i publicystki, spokojnej, poważnej, prawdomównej, rzetelnej.

Lola Montez przyjechała do Warszawy z listami polecającymi do całego szeregu notablów, między innymi do bankiera i przemysłowca Szteinkellera i do redaktora „Gazety Warszawskiej", popularnego Antoniego Lesznowskiego. Zaraz po przyjeździe była na „obligującej" audjencji u księcia namiestnika. Na zapytanie Paskiewicza, jak może bez obawy wojażo-

wać po Europie i zapuszczać się aż w te strony, będąc tak piękną i młodą, odpowiedziała wyciągając sztylecik... „L'honneur est ma mere et ce poignard mon pere".

Na pierwszym występie była cała Warszawa.

Wilkońska pisze: „Występowała w teatrze w tańcach narodowych hiszpańskich i oczarowała wszystkich wdziękiem urody i powabem tańca, jakkolwiek nie baletniczego wcale".

Skarbek natomiast pisze: „Nie zważając wcale na to, że Warszawa zostawała jeszcze pod wrażeniem rzeczywistego talentu znakomitej tancerki, Taglioni, która w owych czasach na scenie naszej z jaknajwiększem powodzeniem występowała, ogłosiła mniemana jej współzawodniczka wyżej wspomniana za nader wysoką opłatą przedstawienia swoje w tańcach hiszpańskich. Widowisko to szumnie zapowiedziane, odznaczało się zrazu wspaniałą dekoracją, pięknem urgupowaniem figur w strojach narodowych niby sławnej tancerki oraz śpiewem przy gitarach, ale gdy pomiędzy tem wszystkiem ukazała się ona sama, niebawem przekonano się, że była to najpospolitsza co najwięcej ludowa tanecznica niemająca najmniejszej znajomości sztuki choreograficznej".

Tak zaopinjował Skarbek.

Na drugi dzień zaszła jakaś scysja między owacyjnie przyjętą Hiszpanką a panią generałową Abramowiczową. Krążyły na ten temat różne pogłoski. Że Lola Montez miała zakontraktowany jeszcze jeden występ, więc generał Abramowicz najpierw domagał się, aby występ nie doszedł do skutku, a gdy Lola Montez

upierała się, że wystąpi, zdecydował, że należy ją wygwizdać. Wieść o tem natychmiast rozeszła się po mieście. Z występu tancerki zrobiło się politicum. Szteinkeller i Lesznowski zmobilizowali wszystko i wszystkich. Teatr Wielki był więc przepełniony. Kiedy urocza Lola Montez ukazała się na scenie, natychmiast odezwały się piszczałki, gwizdy, syki, ryki czynowników, podoficerów, stupajków i policji cywilnej. Ale kontrakcja była przygotowana. Równocześnie więc ogłuszające oklaski, brawa, owacje, wiwaty. Paskiewicza na tym spektaklu nie było, ale w loży dyrekcyjnej siedział Abramowicz z żoną i żandarmami wprost wściekły. Policja wokoło Teatru i na korytarzach.

Kiedy po kwandransie dzikiej burzy i walki oklasków z gwizdami Warszawian z Abramowczykami ucichło się, śliczna dziewczyna z nad Tagu i Ebro w bajecznym kostjumie, z kameljami we włosach stanęła na froncie sceny, blisko dyrektorskiej loży złożyła kilka ukłonów podexcytowanej, rozdrażnionej publice i wskazując rączką na lożę Abramowiczów przemówiła.

Zrobiła się martwa cisza.

„Spotkała mię tu wielka, gorzka nieprzyjemność. Zgotowali mi ją... ce monsieur et cette dame. Ale z Varsovie wywiozę zawsze najmilsze wspomnienia".

Kolosalne brawa, oklaski, grzmot oklasków, gwizdy, syki, kurtyna spada. Generał Abramowicz i moskale z lóż wstają.

Skandal. W powietrzu elektryczność. Spektakl zerwany.

Paulina Wilkońska, irredentka pisze:

„Przed hotel Rzymski, gdzie mieszkała Lola Montez zaszedł powóz extrapocztowy, a do jej pokoju wpadło dwóch policjantów, bez uwagi na starego sługę, Hiszpana, który ich chciał powstrzymać. I oznajmili pięknej Loli, że ją natychmiast do granicy odstawią. Zaledwo tyle pozostało jej czasu, aby się na drogę w ciepłe opatrzyć odzienie. Pan Piotr Szteinkeller został aresztowany i osadzony na odwachu. Toż samo i pan Antoni Lesznowski. Obaj w tej kozie pozostali przez cztery tygodnie".

Całkiem inaczej brzmi wersja ugodowego Fryderyka hr. Skarbka. Według Pauliny Wilkońskiej Warszawa oczarowana, a sympatje całego miasta po stronie szykanowanej i relegowanej tancerki. Wedle równie naocznego świadka, prof. hr. Skarbka:

„Rozczarowanie przeto nastąpiło bardzo prędko, skutkiem tego przyjęcia ze strony publiczności jaknajgorsze i zakaz powtórzenia widowiska stanowczy, a wdalszym ciągu zajście z policją, uderzenie szpicrózgą niższego jej urzędnika i w konkluzji z rozkazu wyższego wywiezienia zagranicę awanturnicy". Potem zaznacza Skarbek, że znaleźli się gorliwi „obrońcy" prześladowancj, „że zbyt śmiało za nią obstawali"..., przeto pomieszczono w gazetach „za natchnieniem widocznie władzy" komunikat urzędowy, który Skarbek cytuje:

„Burzliwa tancerka postąpiła wtenczas w sposób uchybiający wszelkiej przyzwoitości, a gdy posunęła zapalczywość swą do tego stopnia, że ośmieliła się

uderzyć dozorcę policyjnego; ten w sposób mniej delikatny poskromił ją użyciem swej ciężkiej dłoni".

Od siebie dodaje Skarbek jeszcze: „Ktoby to przewidział wówczas, że ta kobieta publicznie znieważona w mieście naszem stanie się kiedyś ulubienicą jednego z niemieckich panujących". (Strona 299).

O tem znieważeniu nic nie wspomina Paulina Wilkońska, relacjonując tylko o tem, jak Lola Montez znieważyła brutalnych, barbaryjnych policyjnych funkcjonarjuszów znienawidzonego regimu carskiego.

Jak więc widzimy z tego, całkiem sobie rzekomo podrzędny, drobiazg, incydent z kroniki życia teatralnego, to jest występ tancerki zagranicznej, całkiem inaczej i odmiennie (po latach go sobie przypominając) oświetla dwoje osób — świadków z miasta, dwoje osób najwiarygodniejszych, różniących się ze sobą politycznie to jest orjentacyjnie... tylko pod jednym względem.

I odrazu na tym całkiem obojętnym, incydentalnym, egzotycznym, nie politycznym, nie światopoglądowym punkcie tak olbrzymia różnica nastawienia, ujęcia, zapatrywań. I tyle tendencyjności. I tyle „partyjnictwa".

Ciekawe to chyba i pouczające? I jak ludzkie, jak bardzo ludzkie!

KOKULAR

Jeżeli się w apartamentach starszych, zasiedziałych warszawskich familij ogląda portrety antenatów, a gospodarstwo zaambarasowane nie jest w możności odpowiedzieć na pytanie: kto zacz malował ten olejny wizerunek, lub tę akwarelową miniaturkę, wtedy można śmiało zaryzykować:

— No to pewnie Kokular!... A to Marszałkiewicz.

W dziesięciu przypadkach można liczyć na... „wielkiego szlema". Przy kobiecych portretach można jeszcze przy prababce zaproponować Pfanhauzera, przy babce Hadziewicza lub Lessera, przy dziadkach Kaniewskiego lub Simmlera, ale jednak najpewniej stawiać na Kokulara i na Marszałkiewicza.

W Poznaniu, przy analogicznej sytuacji wobec portretów, mówi się:

— To pewnie będzie albo Kwiatkowski, albo Kapliński.

W Wilnie można, od biedy ryzykując, powiedzieć:— To ten Turek, Rustan, a przy miniaturach: może Wańkowicz? W Krakowie: Stattler, Loeffler? We Lwowie: Szlegel?, może Rodakowski? (szczególnie przy generałach). W Warszawie natomiast śmiało występuje się z hipotezą: Kokular, a jeszcze śmielej — Marszałkiewicz. Nazwiska te mało dziś mówią i nieznanie dźwięczą nowemu pokoleniu, w I. P. S. I. E. n o m i n a t o t a l i t e r i g n o t a. Ale ileż to, ile

nazwisk cenionych i przecenianych w swoich czasach plastyków wyszło lub wcale nie weszło w świadomość naszej inteligencji? Przepadają, jak kamienie, rzucane w wodę, obchodzą współczesność tyle, co zeszłoroczne śniegi. A jednak swego czasu głośne były i ogółowi znane, swoją rolę spełniały, zasługi miały i odchodziły w chwale, żegnane stereotypowemi: niezastąpiony! niezapomniany!...

Obronną ręką w walce ze śmiertelnością czy uśmierceniem, poniechaniem, zapomnieniem wyszli jeszcze ci artyści, co weszli do muzeów i do encyklopedji, a to jako twórcy historycznych scen („pokrzepienie serc"), a to religijni, a to jako portreciści, uwieczniający mężów publicznych, mężów stanu, nauki, literatury, muzyki, teatru. Vogel dał cara Pawła i Iwana, Suchodolski — Kordeckiego i Zamoyskiego, Lesser — Jadwigę, Obronę Trembowli, Habdanka Skarbka, Stachowicz — Kościuszkę, Smuglewicz 200 obrazami ozdobił ołtarze. Dobrze asekurowali się od niepamięci rodaków ci, co uwieczniali Mickiewicza na Czattyrdachu lub Lipińskiego ze skrzypkami (Wańkowicz), co rytowali Abrahama Sterna (Piwarski), proroka Norwida lub aktora ulubieńca Komorowskiego (Simmler), względnie generałów z r. 1812 lub 1831. Biada atoli tym, co nawet wielkie mając talenty, nie wpadli nigdy na te proste pomysły! Znamy więc dość elitarnemu ogółowi Piwarski a całkiem nieznany Pęczarski (olejowiec). Jakżeż niewielu się ostało i wyratowało! Komu to dziś coś mówią firmy całkiem nieposlednie: Gryglewski, Benedyktowicz, Cynk, Tondos? Gdzie kto wspomni komu o dwóch Kopeckich?

A iluż to braknie nawet w regestrach Mycielskiego i Rastawieckiego? W podręcznikach literatury figuruje nawet całkiem drobniutkie ptactwo, a poloniści wypiekają z nich seminaryjne i doktorskie zakalce; już się trafiają nowe „przyczynki" o walorach firm słusznie zapoznanych a fonetycznie... zakazanych. A przecież byli i malarze wcale, wcale znośni, o takich nazwiskach jednodniowo sławnych, jak: Niemczykiewicz, Drewaczyński, Murzynowski, Wojniakowski, a Piekarczek i Koniuszko także, nie mówiąc już o genjalnym Kurzawie, który wygrał miejsce w dziejach sztuki, rozwalając herostracko swą własną rzeźbę.

Nazwisko Kokular też się może dzisiejszym wydać obce i dźwiękowo może nawet śmieszne, a jednak swego czasu rozbrzmiewało w stolicy forte i fortissime. Uczeń mistrzów Vogla i Lampiego, w Wiedniach i w Rzymach na studjach bywał, po powrocie do lubej ojczyzny nietylko twórczość intensywną rozwinął, ale co więcej — szkołę nową otworzył i pierwszy dał inicjatywę pierwszych Wystaw dla P. T. publiki, nie już w pracowniach, ale w wynajętych salach, najpierw w Ratuszu miejskim, a potem stale i systematycznie w „Towarzystwie Dobroczyności", tam gdzie b. Resursa Obywatelska. Wsławił go wspaniały „Edyp przez Antygonę wiedzony" (prowadzony), a także portret teściowej, ale nie własnej (bo był kawalerem) tylko Mickiewiczowej, słynnej pianistki pani Szymanowskiej, którą portretował także Wańkowicz podczas swego w Petersburgu pobytu. Wystawy przez Kokulara zainicjowane cieszyły się niezwykłem powodzeniem, szczególnie u płci nadobnej, która na nie w po-listopadowej erze tłumnie uczęszczała.

Że już wtedy wystawiały swoje dzieła i koleżanki (Goldberżanki) i że ich płótna cieszyły się też specjalnem powodzeniem, tego dowodem byłaby recenzja krytyka malarskiego, Wincentego Smokowskiego, uchodzącego za rzeczoznawczą znakomitość wybredną a surową, który w ówczesnym „Dzwonie Literackim" w ten sposób, może nieco patrjarchalnie naiwnym entuzjazmem („ogorzałym") na widok „Holenderki"... panny Bauman eksplodował:

„Jest to arcydzieło z jakiem w całem mojem nie spotkałem się życiu. Dni i miesiące przypatrywałem się cudnej robocie głowy i rąk. Co za studya, co za natura, miękkość, świeżość! Dla panny Bauman dość tej jednej roboty, bo ona ją uwiekopomni. Każdym razem, kiedy tylko wspomnę o tej robocie panny Bauman, przychodzi mi na myśl, co to twórczy geniusz, nawet w krótkim czasie dokonać może, jeżeli Bóg nim udaruje kobietę. Angelika Kauffman i pani Lebrun były to wielkie mistrzynie i na równi z artystami pierwszego rzędu uważane były; przy pannie Bauman tak one giną, jak świętojański robaczek przy słońcu. Mówią, że Rubens, malując swoje obrazy, maczał pędzle gdzieś tam w niebie. Panna Bauman zaś, gdzieś w sferze niebieskiej siedząc maluje".

Wystarczy?

Na tych to wystawach w „Dobroczynności" (nomen omen) przez lat zgórą dwadzieścia, bo do 1846 r. największemi gwoździami (clou) były stale portrety pra i prapradziadków onegdajszej (nie dzisiejszej) toute

V a r s o v i e, wiszące obok płócien Pfanhauserów, Lesserów, Simmlerów, Hadziewiczów, Kaniewskich, no... a także... Niemczykiewiczów i Drewaczyńskich. Namalował ich Kokular pono omal sto.

Znacznie więcej bo 1,000 (tysiąc) miniatur pozostawił po swoim długim, znojnym żywocie Stanisław Marszałkiewicz. Ten artysta, obok drugiego Marcina Zaleskiego, przeżył, można powiedzieć, omal całe malarstwo polskie od kolebki do pieluch aż po rok siedemdziesiąty któryś. Marszałkiewicz, uczeń Bacciarellego i Brodowskiego, bywał pod Blachą i w Jabłonnie i znał... Poniatowskiego, a mógł na stare lata jeszcze czytać pierwsze artykuły... Świętochowskiego. Nie czytał atoli, bo wogóle mało czytywał, mało miał czasu na czytanie, gdyż poza swą pracą subtelną a precyzyjną, poza „centkowanem cieniowaniem" najpiękniejszych pań i panów między latami 1822 — 1872, wysiadywał sporo godzin, wygrzewając się w Saskim Parku, stale na tej samej ławce i w tej samej peruce, w tym samym cylindrze kosmatym, starannie odprasowanym. Wogóle był w każdym calu c h e r m a î t r e m dystyngowanym, a jego akwarelki owalne (i okrągłe!) h a u t e c o t é. Studjował oczywiście w Dreznie i oczywiście w Wiedniu (Amerling). Za czasów jego rozkwitu poszedł do Bonifratrów genjalny sztycharz z rokoka i empiru — Płoński, Marcin Zaleski obchodził złote gody z małżonką i ze Sztuką, Grottger narodził się i umarł, były trzy rewolucje, cztery wojny, a Marszałkiewicz, nie dając się wytrącić z równowagi, robił swoje piękne miniatury, trzem kolejno generacjom. W Wilnie miał konkurenta Wańkowicza: we Lwowie Medveya; w Warszawie był bez konkurencji, dopóki nie przyszły daguerrotypy. Zepsuło się mocno, kiedy nastała wulgarna, popularna, demokratyczna, „plebejska" manja fotografowania się. Aparaty bowiem dawały konterfekty j e s z c z e podobniejsze, a także... niebardzo wielkim artyzmem grzeszące i szablonowe i na ten sam manier, tylko bez tego p r e t i u m a f f e c t i o n i s, jakie mają w s z y s t k i e miniatury starodawne. Szczęśliwym trafem skrzywdzono go i to ciężko, ale dopiero znacznie po śmierci. Nie wspomniał o nim ani słówkiem Jerzy Mycielski w „Stuleciu Malarstwa Polskiego" i nie raczono wybrać na lwowską retrospektywną Wystawę polskiej miniatury i akwareli tych jego prac, które najlepsze...

Ponieważ zaś było ich tysiąc i przeważnie uwieczniały t o u t e V a r s o v i e tak jak zresztą i sto portretów Kokulara, przeto w większej części przypadków w momencie gdy gospodarstwo zakłopotanie nie umie odpowiedzieć pędzel jakiego to pacykanta uwiecznił pradziadka, można śmiało wyrwać się z przypuszczeniem:

— To będzie Kokular ...a to Marszałkiewicz, chyba że może... Hadziewicz albo... Kaniewski...

BRAT PANI BALZAKOWEJ

Ród, szczep trzeba najpierw poznać, żeby o najważniejszym ze szczepu coś autentyczniejszego można powiedzieć, klan Rzewuskich, drzewo genealogiczne, kolligacje, atawizmy.

Po Czartoryskich, Radziwiłłach, Potockich i Raczyńskich jest to jedna z familji możnowładczych, najbardziej dynamicznych, expansywnych i równocześnie w pełni zdecydowanie intelektualnych. Mało wśród nich a raczej wcale szaraków, tępaków lub nijakich, a przeważnie same oryginalne obrysowane indywidualności, a mózgi o bardzo skomplikownych zwojach. Co który Rzewuski to nigdy szablon, nigdy przeciętnik, nigdy jeden z wielu, a zawsze ktoś, nigdy duplikat, często unikat, rzadki egzemplarz, gotowy materjał powieściowy. Karmazyny z odcieniem „bordo". Czy będzie hetman czy kasztelan czy biskup czy marszałek (seymu lub szlachty) zawsze w dodatku będzie i rezonował i pisał, bo to już leży im we krwi, a zawsze piszą z wewnętrznej konieczności, a przeważnie piszą doskonale, ale zawsze contra; będą te pisaniny contra nazywali sobie „zabawami", „zabawkami", a to właśnie okażą się sprawy całkiem poważne.

Splendor zaczyna się od Stanisława, Mateusza, co miał buławę wielką za Króla Jana. Potem idzie drugi hetman z rzędu syn tamtego, Wacław na imię, pan na Rozdole, orator w Senacie, autor „Zabawek" (1760),

Moskali wróg zajadły, przez Repnina porwany i do Kaługi wywieziony, tamże przeszło sześć lat ciężkiej banicji, męczennik z zaciśniętymi zębami. Pozatem pan całą gębą, a do Moskali mówił stale: ty.

I znów hetman Seweryn, to niemiecka, to rosyjska orjentacja, konstytucji 3 Maja (przez francmasonów według niego oktrojowanej) wróg nieprzebłagalny, marzyciel o dyktaturze (dla siebie), Hohenzollernów do pomocy namawiający, sukcesyjnej monarchji antagonista, sui generis patrjota taki sam jak tamci; rozeźlony na Króla i Naród, buławę złożył, do Wiednia się przeniósł, tam umarł.

Jemu współczesny, Stanisław Ferdynand, konfederat Barski, wypisz wymaluj, najbardziej typowy i tradycyjny „u n u s d e f e n s o r M a r i a e"... „nigdzie z Królami nie będziem w aljansach"...

Idzie potem dyplomata Adam Wawrzyniec z Pohrebyszcz, poseł na Seym, poseł-rezydent w Danji, później kasztelan (witebski) kończy życie jako marszałek szlachty kijowskiej (1825). Ten już głowa nowocześnie ministerjalna, senatorska. Obok „Zabaw przyjemnych i pożytecznych", rzecz, studjum, traktat dzisiaj jeszcze i dzisiaj znowu aktualny „Myśli o Reformie Rządu Republikańskiego". Gdy Seweryn rozmiłowany w Hohenzollernach, to Adam Wawrzyniec pisze memorjał przeciw cesji Gdańska (1791) i jest najżarliwszym propagatorem nibyto dzisiejszego hasła: „niema Polski bez morza".

Od początków XIX wieku klan Rzewuskich zaczyna małżeńsko rozlewać się po całej Europie z przyległościami i conieco międzynarodowieć. Syn „Targowicza-

nina" zmarłego w Wiedniu, jest jak książe Pepi (i jak... Orlątko) w latach młodzieńczych Wiedeńczykiem, uczy się w Terezjanum, nosi mundur austrjacki, a potem przerzuci się aż do... Palmyry. W tej Palmyrze (którą teraz dopiero odkrywają) on jest jeden z pierwszych. Wreszcie się muzułmani, zostaje emirem (Tadż el Fehar).

Jedna z Rzewuskich wychodzi za Włocha, hrabiego Gaetani principe Basjano i zostaje Rzymianką di primo cartello. Jedni Rzewuscy niepomni dziadka, męczennika z Kaługi, co nieco „moskwiczeją" pozornie, powierzchu; w każdym razie to służą w armji rosyjskiej, to łączą się małżeńskiemi węzłami z rosyjską arystokracją. Inni zaś lub inne paryzjanizują się i francuzieją.

W powstaniu Styczniowem jeden z Rzewuskich, Zygmunt Napoleon („Krzywda") z linii kieleckiej służy pod Chmielińskim i Hauke-Bossakiem, o czem oczywiście zostawia pamiętnik („Wspomnienia Obozowe"), drugi Rzewuski Adam, brat pani Eweliny Hańskiej-Balzakowej, walczy po stronie rosyjskiej. Dyplomata Adam Wawrzyniec, marszałek szlachty kijowskiej, zostawia po sobie spory majątek (Cudnów, Sławuta, Pohrebyszcze) i na to pięcioro dzieci. Ernest, najstarszy, pułkownik rosyjski, ożeniony z Iwanowską Konstancją, która też pisze (pseud. Nehemar), zostawia dwie córki i syna Adama, ożenionego z Potocką. Drugi syn, Adam, generał adjutant carów Mikołaja i Aleksandra II, dwa razy żonaty z Rosjankami, raz z Polką; z Rosjanki Daszkowej ma jedną córkę, wydaną za Wilhelma Radziwiłła, słynną Kitty Radziwiłł,

rozwiedzioną w r. 1909, poczem przyjaciółkę Cecil Rhodesa, literatkę awanturniczą, piszącą w trzech językach, głównie po angielsku, autorkę skandalicznych „Memuarów", dziś sędziwą staruszkę, mieszkającą w Nowym-Yorku. Z małżeństwa z Polką Jaczewską ma generał-adjutant Adam hr. Rzewuski trzech synów, t. j. Leona z Pohrebyszcz (Humańszczyzna), Adama pułkownika wojsk polskich właściciela Wierzchowni, ożenionego z słynną światową śpiewaczką Baronat, także zmarłą niedawno. Trzeci syn Stanisław dla odmiany sfrancuział zupełnie, był jakiś czas literackim redaktorem „Figara", bardzo renomowanym autorem dramatycznym („Faustyna", „Hrabia Witołd" etc.), osobistością w Paryżu w latach dziewięćdziesiątych bardzo wpływową i pierwszym biografem swojej ciotki Eweliny i stryja Henryka Rzewuskiego, trzeciego syna Adama Wawrzyńca. Córek było dwie. Starsza Ewelina, trzechkrotnie zamężna, za Sobańskim, za literatem francuskim Lacroix, a wreszcie za pułkownikiem rosyjskim; umarła jako dziewięćdziesięcioletnia „barinia" Czyrkowiczowa w Cannes.

Druga, młodsza, Ewelina, miała czterech mężów, których też wszystkich przeżyła (Hański, Balzac, Champfleury, Gigout). Umarła jako prawie osiemdziesięcioletnia staruszka (1882) na trzy lata przed pułkownikową Charlottą Czyrkowiczową primo voto Sobańską.

Jak jeden Rzewuski (Seweryn) pretendował do godności dyktatora Polski, tak znowu inny, Stanisław (nie literat), postawił swą kandydaturę do tronu belgijskiego... (1830). Jeden był per ty z carem Miko-

łajem, inny z... Cousinem i Montalambertem. Jedna Rzewuska tańcowała kadryla z cesarzem Napoleonem III, a druga walcowała z Fryderykiem Wilhelmem. Jeden z Rzewuskich pozował do powieści Cherbuliezowi, a jedna z Rzewuskich jest prototypem komedji Dumasa; jednej grywał na fortepianie Liszt, a z innym Rzewuskim przyjaźnił się Maupassant i Goncourtowie. Jedna z Rzewuskich mieszkała długo w... Transwaalu, druga w Rzymie, trzecia Londyn, czwarta Petersburg.

Widzimy więc z tego pobicżnego podszkicowania, że ród co się zowie dynamiczny, ekspansywny, nic a nic nie mający z parafiańszczyzny, powiedzieć możnaby nadnarodowy, imperjalistyczny.

Z tego to żyznego podglebia psychofizycznego wyszedł najważniejszy z nich, a zarazem jeden z najciekawszych intelektów polskich XIX wieku, to jest polski Walter-Scott, Henryk hr. Rzewuski.

Możnaby go śmiało teraz jeszcze nazwać L'Inconnu czyli Autor Nieznany, bowiem nadal jeszcze nieodkryty. Olbrzymia plejada naszych uczonych w piśmie zajmuje się kolejno wszystkimi wyciąganymi z lamusów i z niepamięci pisarzami, a na niego nie natrafiła. Nie świadczy dobrze o mózgach nieprzeliczonego mrowia badaczów, poszukiwaczów, przyczynkarzy i komentatorów, że tyle mozołów termitowych, tyle tomów poświęciwszy „Trójce Wieszczów", dotychczas nie weźli na ślady i tropy prowadzące „zbożnych pielgrzymów" do dwudziestotomowej puścizny Rzewuskiego. Do Camoensa doszli. W swej radosnej twórczości agentów-odkrywców już się dowąchali i do-

szperali do Angelusa Silesiusa, do Boehmego, do Svedenborga, do Fichtego i Schellinga. Do Henryka Rzewuskiego jeszcze nie dotarli. Dlaczego tak? Czy tylko stadowy daltonizm? Nie. Nie tylko. O Rzewuskim mają dziedzicznie blade pojęcie, jako o zamierzchłym, staroświeckim, przeciętnym prozaiku, jednym z takich jak Kraszewski czy Korzeniowski, beletryście swego czasu płodnym i modnym, ale nie głębinowym.

No a tymczasem, to stwierdzono nawet przez potężny kartel polonistów: nikt z literatury tak olbrzymiego wpływu nie wyżłobił swego czasu w umysłowości Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, jak pisarz nieznany: Henryk Rzewuski. Kilka arcydzieł naszej poezji romantycznej jest bez Rzewuskiego nie do pomyślenia, nie byłoby powstało. Ni mniej, ni więcej, tylko: „Pan Tadeusz", „Beniowski", „Irydjon", dalej „Horsztyński", „Nieboska" i „Zborowski", fragment „Konfederatów", „Ksiądz Marek"...

Dość tu zwrócić im jednak uwagę na zetknięcie nie pierwsze Mickiewicza z Rzewuskim, w zimie r. 1829 w Rzymie, kiedy to przy Odyńcu, Garczyńskim, księdzu Chołoniewskim padło od genialnego narratora i gawędziarza ziarno Soplicowskie i pierwsze na kowieńskiego wolterjanina i farmazona sugestje i inspiracje religijne, katolickie, rzymskie.

Decydujący wpływ Rzewuskiego na Trójcę romantyczną i na całe wogóle piśmiennictwo polskie między latami 1830 i 1860 względnie między Listopadowym a Styczniowym powstaniem, przyznać w całej rozcią-

głości będzie uczonym trudniej także jeszcze z innego powodu.

Henryk Rzewuski, tak z dziedzicznego, rodzinnego obciążenia, jak i w swej samoistnie i przekornie ukształtowanej osobowości zalicza się do tak zwanych w literaturze „natur problematycznych". Ponad polską normalną miarę jest odrębny, niezwykły i skomplikowany. W piśmiennictwach zagranicznych istnieje specjalny smak i rozkoszowanie się takimi właśnie indywidualnościami niepodręcznikowymi, zagadkowymi, dziwacznymi. W Anglii istnieją gminy wyznawców Shelley'a, Pope'a, Disraelego, Thackeray'a; we Francji Rabelais, Villon, Beaumarchais, Rousseau, I. P. Courrier, Vieuillot, Verlaine, właśnie jako takie „problematyczne natury", pełne psychicznych zagadek i zawiłości, mają rzesze swoich akolytów. W Niemczech: Grabbe, Hebbel, i t. p.. ...zbiorniki defektów i mankamentów, a przenigdy modele dla dorastającej młodzi, nie potrzebują czekać latami na pełny mir i uznanie i to u elity intelektualnej. Tołstoja nie pomnicjsza hulactwo w jego młodości, a Dostojewskiego karciarstwo w jego wieku dojrzałym, ni w oczach czytelników ni w werdyktach historyków literatury.

Nasz Rzewuski poszedł w cień, w zapomnienie zepchnięty tam przez bakałarzy-historyków a nie wydobyty jeszcze na jaśnię przez dzisiejsze pokolenie polonistów tkwi tam z całkiem innych powodów. Nie obciąża go żaden z tych mankamentów struktury psychicznej, które współcześni lub biografowie wyciągnęli przeciw Poemu lub Verlainowi, Os. Wildowi lub Shelleyowi, Strindbergowi czy Baudelairowi. Rzewuski

nie był ni alkoholikiem ani homosexualista, ani karciarzem, ani sadystą, ani blasfemistą, czy erotomanem pansexualistą. Wprost przeciwnie, był to sobie wzorowy, modelowy syn, ojciec, mąż, pater familias, obywatel. A jednak kolejno, aż do naszych czasów generacjami idąc wydziedziczyli go belfrowie literatury i ze sławy i z pozycji mu należnej i z autorytetu.

Jeszcze stary ale europejski Bartoszewicz Juljan pisał o nim: „jak Mickiewicz tak i Rzewuski pchał silnie dalej kolej przeznaczeń piśmiennictwa polskiego" i śmiało stawiał autora Seweryna Soplicy obok twórcy... Jacka Soplicy. Późniejsi natomiast profesorowie przeżuwacze idąc linją od Chmielowskiego do Chrzanowskiego swoim nieco stadowo-filisterskim wzrokiem nie raczyli dostrzec fenomenu Rzewuskiego w jego całej rozciągłości. Przepisując nadal krytyczne wartościowania jedni od drugich byli nań dziedzicznie rozsierdzeni i obrażeni. Młodzież zaś literacka (uniwersytecka) brała gotowe szablony i patrony sądów od popularnych pedagogów wierząc ślepo i święcie w *verba magistrów* często pospolitych majstrów od literackiego kopyta.

Crimen Rzewuskiego polegał na tem, co świetnie sprecyzował w rozmowie z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem jeden z najgenjalniejszych regentów, (nam osobiście zresztą mniej sympatyczny) bo car Mikołaj Pierwszy: „Il est plus catholique que le pape, plus russe que moi et plus aristocratique que tous les rois."

Lepiej nie można! Rzecz prosta że taki Rzewuski, Don Kiszot wstecznictwa jako „moskalofil paniedzieju

in summo gradu" nie mógł konwenjować nauczycielom wykładającym na katedrach literackie „Wieczory pod Lipą", łasym na popularność i czepiającym się pietystycznie wyłącznie „ciepłych" firm jak Lenartowicz lub Goszczyński ongiś, za naszych czasów Sienkiewicz i Prus. Jako exponentom i wyrazicielom przeciętnej opinji publicznej nie można się tym dawnym lub dzisiejszym bakałarzom ani dziwić ani tembardziej im wydziwiać. Z której strony mógł mieć „podejście" psychologiczne do tak niezwykłego okazu jak Rzewuski tak parafjalny gourmand literacki jak np. Piotr Chmielowski lub pewne dzisiejsze katedralne miernoty, zgrywające się pseudopozycyjnie a zawsze jednak z prądem i z wiatrem płynące?

Tymczasem oryginalność i wyjątkowość Rzewuskiego polegała właśnie na tem, że zawsze był zasadniczo i programowo antypopularny, zawsze przeciw przeciętności i zawsze na przekór wszystkim. W Petersburgu w latach czterdziestych, gdzie z młodziutkim Kraszewskim, z Przecławskim, z Sztyrmerem i innymi zorganizował „Tygodnik Petersburski" (tam się „Listopad" drukował), chadzał na złość swym braciom generał-adjutantom stale w polskiej czamarze i rogatywce; taksamo w Dreznie, gdzie po powstaniu Styczniowem osiadł. W Warszawie, natomiast, kiedy tylko został urzędnikiem przy Paskiewiczu i na Zamku bywał jako gość stały, stale kłuł rodaków nawdzianym zielonym mundurem rosyjskim i czapką z gwiazdką. Inna rzecz, że na tego Paskiewicza (herbu Radwan) wpływał najdodatniej i że za tego Paskiewicza, wyjątkowo rozumnego i umiarkowanego administratora-

satrapy powstały w Warszawie pierwsze bruki i latarnie na ulicach. Inna też rzecz taka idylliczność ówczesnych (1856) stosunków, że gubernator Radwan-Paskiewicz wydrukował raz swój artykuł nawet w... „Bibljotece Warszawskiej".

W Petersburgu żył Rzewuski w szczególnej serdecznej przyjaźni z wielkiemi księżnemi Olgą i Marją (Leuchtenbergskiemi) i dla nich to napisał (po francusku!) satyryczną powieść o „Paziu Złotowłosym"; w powieści tej opisał bezlitośnie towarzyskie stosunki na Wołyniu („Skotostan"), najostrzej obszedł się z generał-gubernatorem Bibikowem. I w ogóle ten konfident sfer dworskich i sfer zamkowych w Warszawie a ugodowości wobec „Moskali" apostoł, najwięcej i najczęściej tępił ostrze swego sarkazmu właśnie na „Moskalach". Przeliczne anegdoty, aforyzmy, bonmoty, kalambury, kosztem „Moskali" powiedzionka fabrykowane kursowały wonczas po obu stolicach. Rosyjska biurokracja i koterja Nesselrode-Muchanowych w Warszawie nienawidziła i bała się hrabiego intruza-weredyka jak djabeł święconej wody, aż wreszcie byle tylko jego majordomostwo na Zamku utrącić, podgryzła i zwaliła nawet „opolaczonego" „batiuszkę" grafa Erywańskiego-Paskiewicza już jako namiestnika; przyszedł po nim na krótko ojciec Zygm. Krasińskiego, by wnet ustąpić Gorczakowowi.

Cała też działalność Rzewuskiego i literacka i polityczna i publicystyczna miała miejsce stale pod hasłem: przeciw prądowi, przeciw wszystkim, na udry, na przekór.

Może najwierniej go odgadł i odcyfrował sam Mic-

kiewicz (współtowarzysz przejażdżki krymskiej) w „Konfederatach Barskich" jako „Adolfa", strofującego ostro swoją siostrę (Karolinę Sobańską) żyjącą „na wiarę" z Moskalem.

A trzeba tu jeszcze przydać, że ten okrzyczany za ugodowca i „fagasa przy Paskiewiczu" (Askenazy *dixit)* hrabia Henryk nie pochodził jak inni Rzewuscy z klanu targowickiego. Dziadek dziedzica z Pohrebyszcz był Barszczaninem i z obrzydzenia do Mochów emigrował do Wiednia, gdzie z czasem mianowano feldzeugmajstrem. Ojciec Adam Wawrzyniec, choć wróg „jakobińskiej" Konstytucji 3-go Maja, senator, dyplomata (nasz poseł do Danji), też z Targowicą nic wspólnego nie miał a nawet popularnością wśród patrjotycznych ziemian się cieszył i marszałkiem szlachty obrany. Dopiero bracia i siostry przeszły na orjentację carską. Brat Ernest Warszawę szturmował w r. 31-szym, za co został generałem, brat Adam też kozacki generał i dwukrotnie z Rosjankami się żenił. Od wstąpienia do wojska rosyjskiego Henryk Rzewuski „się odmówił", i odmiennie od swoich braci ożenił z Polką (Grocholską) także na przekór rodzinie. Cały zaś swój światopogląd zbudował sobie na totalnej negacji „zdobyczy" tak zwanej „Wielkiej Rewolucji francuskiej i na antypatji do wszelkiego postępu o ile w masonerji i w jakobinizmie brał swój początek i swoje dyrektywy.

W jego programie europeizacji nadwiślańskiego zatęchłego zaścianka Paskiewiczowskiego leżało także ufundowanie w stolicy pod nosem Zamku pierwszego w okcydentalnym stylu dziennika w Warszawie. Do-

brawszy Wilkońskiego i komplet najzdolniejszych młodych, Rzewuski pierwszy z prasy w swym „Dzienniku Warszawskim" zamieszcza poezję, naukę, życiorysy znakomitości, prace historyczne, pierwszy też *daje śmiało stałe rubryki: Litwa i Ukraina* (sic!!) wyraźnie akcentując przynależności tych ziem do orbity kulturalnej polskiej. Na przekór jednak zaraz w pierwszym numerze „Dziennika Warszawskiego" zamieszcza własny artykuł p. t.: „Cywilizacja i Religja", występując w nim jako prekursor... Huxleya czy też Tołstoja (z ostatniej fazy), jako spadkobierca Rousseau, kontynuator... de Maistre'a, czem oczywiście opinja publiczna Pikutkowa czuje się formalnie sprowokowaną. Ale nie pierwszy to raz i nie ostatni. Co wyjdzie nowy tom rozważań i rozmyślań Rzewuskiego, to uderza ogół pałką w łeb i znów dyskredytuje w oczach inteligenckiej gawiedzi powieściopisarza, zyskującego sobie świetnymi barwnymi powieściami fawory i rzesze entuzjastów. Gdybyż był pisał tylko takie romanse historyczne jak „Zamek Krakowski", jak „Rycerz Lizdejko", jak „Adam Śmigielski", „Zaporożec",! Wtedy wszyscyby go wychwalali. Walter-Scottem okrzyknęli go i Grabowski i Tyszyński i Wiszniewski i inni rzeczoznawcy. „Pamiątki Seweryna Soplicy, cześnika Parnawskiego" pierwszy raz wydane aż w Paryżu (1839), drugie skastrowane wydanie w Warszawie (1844), ale już bez nazwiska Soplicy w tytule, tylko jako „Pamiętniki szlachcica litewskiego" (sic) natychmiast tłumaczone na niemiecki („Der Fürst mein Liebchen"). Extazowali się tem genialnem podrobieniem staropolskości i Chopin i Norwid. Cała literatura

szybko się „zasoplicowała" nie tylko Wieszcze ale i prozatorzy (Kaczkowski, Kraszewski, Chodźko, Pol, Dzierzkowski). Już w tem apoteozowaniu przeszłości szlacheckiej już w tem adorowaniu staroświeckiej Polski, starodawnych szlacheckich prerogatyw, przywilejów, obyczajów, już w tych powieściach broniących prymatu Rzymu i hierarchji kościelnej, a wyraźnie potępiających 3 maja i francmasonów i... Targowiczan (sic!), szedł Rzewuski przeciw wszystkim doktrynom demokracji i wskazaniom Emigracji, przeciw Lelewelom i Mochnackim i ich ideowej progeniturze. Co tamci potępiali, Rzewuski fanatycznie rehabilitował. Z postaci najnienawistniejszej franc-masonom warszawskim (Kaliszanom Konstytucjonistom i Listopadowym insurgentom), to jest z warcholskiego rasowego opozycjonisty „Księcia Panie Kochanku" zrobił Rzewuski czarującego indywidualistę - tradycjonistę wybielając przytem rębajłów (Rzędzianów), dworaków, pieniaczy i trębaczy. Wychodził z maksym światopoglądu swego dziadka: „Szlachcic jest cnotliwy bo szlachcic, mieszczanin jeżeli cnotliwy to pomimo że mieszczanin"... „w Polsce szlachta katolicy, mieszczaństwo lutry, chłopy szyzmatyki" i t. p. W powieściach takie paradoksy i tym podobne prowokacje jeszcze uchodziły, choć już przy drugim podrobionym genialnie staropolskim „Pamiętniku Michałowskiego" (8 tomów) jednak liczne sprzeciwy wywołały. Natomiast gwałtowne oburzenie zrywało się kolejno po różnorakich, w różnych latach wypisywanych traktatach, po dzisiejszemu essayach świetnego narratora i ewokatora kontuszowych czasów. Już przypiski do „Listopada"

wzbudziły szereg zastrzeżeń u prawowiernych demokratów. Już „Adam Śmigielski" zirytował do żywego konstytucjonalistów, parlamętników, liberałów (merkantylisów) francmasonów. Ale autorowi tak świetnemu, narratorowi tak genialnemu, wybielaczowi szkalowanej przeszłości tak fascynującemu łatwo przebaczono „hrabskie fanaberje".

Epik i malarz obyczajów Rzewuski, od Paska i Kitowicza autentyczniejszy, opowiadacz tak poczytny mógł sobie pozwolić nawet na niepoczytalności w wyszydzaniu wszelkich „zdobyczy" postępu, nauki, techniki, ekonomji ad maiorem gloriam dogmatów, ortodoxji, hierarchji, przeszłości rzekomo patrjarchalnej sielskiej-anielskiej i... pańszczyźnianej. Powieściopisarzowi Rzewuskiemu wybaczano nawet przyjaźń z Paskiewiczem i obwożenie po Warszawie gościa z Berlina Króla Fryderyka Wilhelma, nawet prezent od tegoż króla złoty zegarek, którym hrabia-literat drażnił stale szare bractwo literackie w Warszawie, Walter Scott też był w swych tendencjach skrajnym nie tylko konserwatystą, ale wstecznikiem. Grubsze i drastyczniejsze scysje wybuchały tylko po wyzywających wystąpieniach publicystyczno - politycznych hrabiego-weredyka. Wtedy dopiero sarkania zgorszonych przechodziły w chóry protestów i vetów, co znowu było tylko *wodą* na młyny Don Kichota feudalizmu i ultramontanji. Brat pani Lacroix i pani Balzakowej, po kilka lat przemieszkiwał w wysoce kulturalnym w owe lata Petersburgu, dalej w Paryżu, w Rzymie, w Dreznie, w Berlinie, zapoznał się i orjentował doskonale w całym ruchu ideowym europejskim. Rze-

wuski zgłębił wszystkie systematy religijne, filozoficzne, ekonomiczne, socjalne, artystyczne i miał wiele, wiele do powiedzenia swoim rodakom i czytelnikom nie tylko w formie fabularnej gawędowej i beletrystycznej. I stąd te dyssertacje i rozprawy *de omnibus rebus*, stąd „Wędrówki filozoficzne", „Teofrast", „Przeróbki historyczne" (pośmiertne wydanie z przedmową „Bolesławity" Kraszewskiego, Paryż 1868), „Rękopis znaleziony w Arce Noego", „Mieszaniny obyczajowe... Jarosza Bejły" i wreszcie artykuły w „Dzienniku Warszawskim". To jednak co w nich mówił, wypowiadał w stylizacji apodyktycznej, aroganckiej, impertynenckiej, rozdrażniającej nawet najtolerancyjniejszych i najwyrozumialszych. Naprzeciw siebie miał audytorjum symplistyki, ignorancji, parafiańszczyzny i najtańszego, często kuchennego patrjotyzmu. Hrabia-polihistor, z głębokim, wszechstronnem, encyklopicznem wykształceniem, cytował im raz po raz nawet Bahgavad-Gitę, zwalczał namiętnie aż J. B. Vico!, przestudjował i Babeufa i Owena, i również piorunował przeciw Fourrierowi i Proudhonowi, wzywał często imion Kartezjusza i Kanta (nadaremno), powoływał się na Spinozę i Leibniza, popularyzował Bonalda i de Maistra, afektował kult dla Guizota, no i tem wszystkiem nieco puszył się i brylował przed czytelniczą bracią (szlachtą głównie), która co najwyżej straszyła się w one czasy wzajemnie Saint - Simonizmem ale wogóle była raczej ciemną jak „tabaka w rogu", intelektualnie samostarczalną, więc rękami i nogami broniła się przeciw inwazji i narzucaniu jej tylu, tylu nowinek, nowości, nazwisk, pojęć,

systemów, ideologij i doktryn. Ale nakształcony, naładowany, naszpikowany erudycjami hrabia-anomalja, zresztą raczej... myślący jak myśliciel nie dawał nigdy za wygraną, ale pedagogizował bez wytchnienia i obnosił się wysoko ze swej oświaty kagankiem.

Naród wyczerpany krwiotokiem w r. 1831-ym, komunistyczną krakowską rebelją w r. 1846, razzią chłopską w Galicji, ruchawką wielkopolską w r. 1848 chciał wonczas tylko leczyć się z ran, przychodzić do siebie i poprostu spać, a każda dzielnica i każda stolica dzielnicowa chciała żyć tylko swojem własnem życiem, Warszawa także. Wszędzie też potworzyły się podobne do siebie śmietanki (śmietniki) pisarskie powiatowego fasonu i formatu. Zaroiło się od dorogatkowych literackich Genialkiewiczów. A ponieważ z Paryża szły mody wówczas tylko na liberalizm i demokrację, więc był to typ Genialkiewiczów radykalizujących, wolnomyślących, panów... Homais. Z Emigracji to szło, od „Polsk. Tow. Dem." któremu patronowali tacy latyfundyści polscy nawet z dość rodzimych stron Rzewuskiego, jak Xavier Branicki, Stanisław Worcell, ex-przyjaciel hr. Gustaw Olizar, dalej Szczeniowski i jeszcze kilku „déracinés"; Hański Wacław szwagier, mason wielkiego kalibru, wielkoobszarnik liberalniczył także. Widział tedy nasz *laudator temporis acti naocznie* jak to „zaraza Lelewelowska" sięga daleko, skoro dochodzi aż pod Żytomierz, pod Humań, pod Kijów. No i zląkł się syn szlachecki, *Hrabia Henryk*, no i zaczął z „drugiej beczki". A że był przeuczony, napompowany a wygadany więc rozpuściwszy paszczę popuścił cugli i zaczął

zwalczać spectre-rouge po Cieszkowsku i po Krasińsku, jeno szarżując do niemożliwych granic. Jakby się czytało różnych myślicieli i moralistów i socjologów i polityków... naszych dzisiejszych czasów (1924 — 34), a to jeszcze z dawnych J. Sorel, a to Bainville a to Massis a to Maritain, Mauriac, Daudet, a to nowi Włosi i nowe Niemcy. A to że zło się zaczęło od zburzonej Bastylji, a to Frygijska jarmułka, a to „stupide XIX siècle" a to bankructwo nauki a to „mit demokracji", „legenda liberalizmu", „tępota każdej większości", precz z parlamentaryzmem! dobra biurokracja przedewszystkiem! pańszczyzna ale nowego stylu... jedynowładztwo, cezaropapizm, nawrót do średniowiecza, prymat dogmatu, ster należy do elit, gmin niemowlęciem, parlamenty i sejmy to gadalnie, wolność jednostki czy warstwy zabobon... Moc takich „nowalij", które dzisiaj dzień w dzień czytamy we wszystkich językach jako ewangelje najnowsze dla jutra, odnaleźć może ciekawski szperacz w osławionych broszurach i tomach naszego Don Kichota reakcji. Pod tym względem może Rzewuski uchodzić za prekursora różnych Mussolinizmów i Maurrasizmów, że rozmaite zdobycze „głupiego" XIX wieku traktował per nogam i pod psem, plując na nie co się zmieści. To też nawet w dość sennej i zaspanej atmosferze wytworzonej uciskiem satrapów i stupajków, wywoływały hrabioskie Rze-wu-skandalizy stadowe sprzeciwy i protesty. Na „Mieszaniny" (1841 i 1842) odpowiedział hrabia Olizar broszurą „Pomieszanie Jarosza Bejły". Kłócił sę z nim przyjaciel Kraszewski, wykłócał Kaczkowski (za kampanję przeciw Lyceum Krzemienieckiemu), gwałtownie występowali kijowscy postępowcy zgrupowani koło tygodnika „Gwiazda". Kalumniowały też paryskie potępieńczo pyskate wrzaskuły w swych anti-Czartoryskich i anti-Lambertowskich świstkach. Zarzucano mu dowcipnie, że de Maistra „rozbarszczył" (sic!), że chorągiewka na dachu raz wychwala Hegla (przedmowa do „Mieszanin"), a raz wyszydza Hegla (II Tom „Wędrówek"), że niekonsekwentnie raz apoteozuje staropolskie „liberum veto" a raz znowu przeklina sejmokratyzm i „złote wolności" a broni monarchji dziedzicznej i absolutyzmu. Pały, które urągały, pojęcia nie miały, że takie same niekonsekwencje można bez wielkiej fatygi wyłowić u Dantego i Goethego, u Carlyla i Macaulaya i że jest dwóch Mickiewiczów, jeden biały jak śnieg, a drugi czerwony jak krew („naszą długo lały katy"), a tylko jeden ksiądz Baka, jeden Soter Rozbicki, jeden Molski i jeden Syrokomla...

Najordynarniejsze „nastawienie" czy też najordynarniejsze „podejście" do Rzewuskiego musiało być oczywiście w samej stolicy. Nie była bowiem stolica metropolją lecz była parafją, małą prowincjonalną parafją i podwórkiem, ale mającem też swoje podwórkowe szanteklery, wielkości i archikonfraternie i zebranka nieprzeliczone, na których pytlowano, plotkowano, bajkowano i wydziwiano na „czarnego rycerza" wstecznictwa. „Siedzą na kanapie i się oburzają". „Pisali, drukowali, wzajem się wychwalali i się oburzali". Dziwić się takiej mizerocie intelektualnej nie można chyba ani przez sekundę. Jak mogły te drobnoustroje wogóle sympatyzować z kolegą hrabią, który

chadzał na czaj na Zamek, grał ferbla z pułkownikami żandarmskimi w Belwederze, miał brata w Carskim Siole, dwie siostrzyczki mocno awanturujące się po Paryżach, córkę wydał za grafa Orłowa, przez całe życie nie nauczył się mówić po...rusku, w kościele słuchał mszy świętej klęcząco, często wyszydzał i... „ultramontanów", Moskalom gadał impertynencje, jadał tylko polskie potrawy i nie znosił francuskiej kuchni, po francusku mówił jak Paryżanin, rosyjskich pisatieli nie brał do ręki, o Imperatrycy Jekaterinie mawiał stale „najjaśniejsza ober...k...wa", nie znosił lamp i pisał tylko przy świecach, chadzał stale w białych rękawiczkach, a gdy się urzynał, natychmiast zdejmował sztyflety i zostawał w onucach choćby przytem asystował fine-fleur arystokracji międzynarodowej. Taki był hrabia Henryk „napodomu", nie przestając ani na chwilę i mówić i pisać herezji od których uszy puchły.

To wszystko rzecz naturalna w głowach (do pozłoty) literatników ze „salonów Warszawskich" się nie mieściło, bo się mieścić nie mogło. Bo: albo... albo. Albo jesteś ugodowiec i z Moskalami tak jak... Kościuszko z Pawłem a... Mickiewicz w Moskwie... Albo jesteś insurgent (powstaniec) i psioczysz na sobacze draństwo a potem emigrujesz i siedzisz w Paryżu. Takiego zaś Rousseau-fila, co fraternizuje z Moskalami a przy nich na nich wydziwia od barbarzyńców nie... kapowali. Tak samo zresztą nie orjentowali się i w jego utra-katolicyzmie który często wypowiadał się nieco z wolterjańska jak... jak u wielu ojców Jezuitów, ba nawet i wśród samych kardynałów niekie-

dy. Nigdy zaś nie żywił kultu dla kultury francuskiej, a jawnie pogardzał takimi baletrystami paryskimi, którymi już zachwycał się salon literacki słynnej pani Nakwaskiej, ton nadający w stolicy, a którzy jak Sue, jak Dumas, Paul de Cocqu... tak stali się modnymi nad Wisłą.

Nawet o własnym szwagrze sławnym nigdy nie pisał i nie mówił po salonach autor „Listopada"! A przecież tak podobno byli do siebie podobni sądząc z jednego listu pani Eweliny, w którym czytamy: „*Balzac vous rapelle beaucoup mon cher Henri il est gaj, rieur aincelle*". Nie poznał osobiście Balzaka Rzewuski, nasz również genialny a zapoznany malarz „tableau des moeurs" jeno że przeszłościowych i historycznych. Dziwne doprawdy, że się z Balzakiem nie chciał poznać czy też nie miał czasu bo się musiał wykłócać z Myrmidonami z Warszawy...?

Nie umiała rozgryźć takiej zawiłej, skomplikowanej psychicznie zagadki, takiego *monstrum prodigium* ówczesna całkiem prowincjonalna Warszawa intelektualna. I „hrabia Henryk" też się niewyraźnie czuł w tej stanowczo za małej dla siebie klatce. Z jednego sporu wpadał w drugi, z polemiki w polemikę, z awantury w awanturę. Obs-kuranty nie mogły poprostu trawić jego arcymistrzowskich bon-motów, sofisterji, przeskoków, ekiwoków, metamorfoz, warjantów, contradykcji, kameleońst w i saltomortaliów. Skrybifaksy od ramotek i zakalców dławiły się mędrkowaniami urodzonego *dissentera* i *debonkera*. Drwi, kpi czy o drogę pyta, czy serjo reprymenduje? Heglista czy nie Heglista? Ultramontain czy sceptyk?

Toteż i ze swoim „Dziennikiem Warszawskim" rok tylko popasał i popisywał i szybko się znudził i odstąpił kuzynom Sobańskim. I jakże mógł dłużej wytrzymać mając przeciw sobie całe czeredy prowincjuszów, ignorantów, kołtunów opychających się kołtunami i zalewających pały wiadrami gorzały, a potem żygających polemikami beznadziejnie ignoranckiemi. Mając takich głównie antagonistów z Papkinów i Tartuffów od dziennikarskiego kopyta i pocięgla, takich arendarzy patrjotyzmu, liberalizmu i demokracji, wpadał Rzewuski nie tylko w furję ale w drugą ostateczność i skrajność i pisał wtedy w tym sensie jak to określił Car Ruski, gdy go pytał Król Pruski: więcej katolicki od Papieża, więcej ruski od cara, więcej arystokratyczny od wszystkich monarchów...

Zacny, światły i oświecony historyk literatury, Juljan Bartoszewicz, broni Rzewuskiego kampanji ideowych z Ciemnogrodem tymi słowami: „rozgniewawszy naród paradoksami dał mu czas do zastanowienia się nad sobą i myślenia o poprawie".

I tak też było istotnie. Przekorny i zadziorny hrabia, urodzony oponent, dziedzicznie arbitralny i apodyktyczny, królewiąt wnuk nieodrodny, opanowany nadto pasją pedagogizowania a głównie „europeizacji" Sarmatów podniecał i podrażniał opór i przeciwstawianie się właśnie przez tę swoją napastliwość, drastyczność, maxymalizm i przesadę. Żydów jako drożdży na powierzchni życia wówczas nie było. Rzewuski zastępował tedy ten czynnik, który teraz reprezentują w literaturze Żydzi, nie pozwalający Sarmatom zasypiać i zarastać żywcem. Kpinkując, kpiąc,

drwiąc, wyszydzając, urażając, obrażając kwietyzm i kismet ówczesnej inteligencji głównie szlacheckiej (hreczkosielskiej i buraczanej) zmuszał do reakcji natychmiastowych. Nasz niedorozwój czy też chroniczne opóźnianie kulturalne (bez stipulansów-żydów) przybierało wtedy takie rozmiary, że usprawiedliwiało całkiem końskie czy konowalskie zabiegi kuracyjne. Tak samo twardo, obcesowo, bezceremonjalnie musieli jeszcze w kilkadziesiąt lat później iść w połaniecką i w wokulską inteligencję ze swoimiż znowu „prawdami" w Warszawie: Al. Świętochowski, A. Niemojewski, St. Brzozowski; w Krakowie pierwsi Stańczycy, we Lwowie pierwsi radykali narodowi. Toteż i nasz w jednej osobie (równocześnie) Barbey d'Aurevilly, J. P. Courrier i Vieuillot pozwalał sobie co się wlezie i co się zmieści. Puszczał w świat koncepty i o braciszkach i o bratankach, gdyż ozór miał nieposkromiony a dla ledwo dobrego kalamburu gotów był stracić najlepszego przyjaciela.

Można więc sobie wyobrazić, z jakim tedy demonicznym sarkazmem ścigał obcych sobie Genialkiewiczów, Geldhabów, Tromtadratów, Jakobinów wołyńskich, bigosowych bigotów, wolterjanów, z Kiernozi francmassonów, smorgońskich uczonych i tak zwane „ministerjalne głowy" spod Żytomierza, spod Humania, spod Lipowca... I można też sobie wyimaginować panikę jaka wybuchała wśród trzódek literackich, gdy się hrabia Wyrwidąb i Zawalidroga zaczynał dobierać do jakichś śmielszej natury (podnoszących łeb do góry) katarynkowych liryków, syroskomlących kwestarzy i lirenkarzy rymujących. Gdy-

by nie ostre pióro Rzewuskiego i nie jego czekająca na gości gilotyna, grafomanja poromantyczna przybrałaby chyba katastrofalne rozmiary a przedrzeźniaczy Wielkiej Trójcy byłoby w bród i po pas. Toteż ci co mieli powody obawiać go się, przepłoszeni szyli buty, podstawiali mu stołka i suchej nitki na nim nie zostawiali. Aż się wreszcie znudzony „komeraźnictwem" „trzepietarzy" (filistrów) sam w cień usunął.

Od ostatniej jego powieści (1856) od „Zaporożca" aż do śmierci (1885) upłynęło omal trzydzieści lat. Jeden z najzdrowszych polskich mózgów przedwczesnem skończył... rozmiękczeniem. Niemożliwie zdziwaczały starzec zgasnął w rodzinnym Cudnowie. Niósł wilk, ponieśli i wilka.

Mało kto wiedział, gdy umarł, kto tam był właściwie ten Rzewuski. Wszyscy byli przekonani, że Rzewuski — Soplica już chyba dawno nie żyje. Przeżył siebie samego omal o całą generację. Umiał żyć interesująco ale nie zdołał w porę odejść. Kiedy dość lichy i mizerny typ, niejaki Odyniec, miał w Warszawie pogrzeb z trzema biskupami, „balkony się łamali"; kiedy Siemieńskiego Lucjana, trywialny egzemplarz prowincjonalnego skryby-karjerowicza, pochowano... na... Skałce (sic!), hrabiego Henryka na wsioski cmentarz odprowadziła bardzo szczupła garść kuzynów, służba, gracjaliści. Nekrologi i wspominki pośmiertne też były bardzo skąpe a już całkiem mikroskopijne, gdy się je porówna z nekrologami takich warszawskich celibritasów (od siedmiu boleści) jak Deotyma, Pług, Jenike itp.

Tymczasem zaś Rzewuski, choć tam hrabia i senatorskiego rodu moriturus, to jednak zasłużył i na inny pogrzeb i na inny nagrobek i na inną pozycję w literaturze. Gdyby się urodził Anglikiem, istniałyby towarzystwa imienia Rzewuskiego, któreby dwa razy rocznie solenne odbywały zjazdy. Gdyby się urodził Francuzem, byłaby o nim obfita i bogata literatura monograficzna i specjalne prace p. t. „Feudalizm Rzewuskiego", „Rzewuski jako katolik", „Miłosne życie Rzewuskiego" i gruby tom rewelacji o „Nieznanej kochance Rzewuskiego". U nas ni stąd ni zowąd został zdegradowany w hierarchji i przez kartel belferski wysabotowany. Przyczynkarze nie piszą o nim przyczynków. O wpływach Rzewuskiego tak na romantyczną Trójcę jak i na całą powieść polską XIX wieku niema specjalnego dzieła. O wpływach takiego okpiświata, prostaka, razpustina jak Towiański są specjalne liczne dzieła. O brudnej oszustce Mieczysławskiej (Egerji Wieszczów) też są dzieła. O Rzewuskim niema dzieła.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami exhumacji i beatyfikacji Norwida. Dużą w procesie kanonizacyjnym rolę odegrało rzadkie i fascynujące imię: „Cyprjan", dalej portret w stylu proroczym, dalej „śmierć w przytułku" (Św. Kazimierza w Paryżu) wreszcie bezprzecznie pozytywne wartości artystyczno poetyckie w puściźnie, wreszcie laurowociemna nieodcyfrowalność myślowa, zbliżająca Norwida do poety Roberta Browninga, odstręczająca mob inteligencki a dająca duże znów pole do popisów kameralnych różnym uroczystym fakirom i clerkom. Odkrycie było jednak całkiem fortunne, gdyż i nielicznym u nas sno-

bom dało moc tematów i sprawiło wiele rozkoszy już choćby przy odszyfrowywaniu palimpsestów, zawsze fragmentarycznych, niekiedy świetnych a często gęsto także wpływy właśnie hrabiego Henryka Rzewuskiego „zdradzających".

Teraz byłaby już pora na exhumację i samego Rzewuskiego. Zasługi jego bowiem są niezaprzeczalne i ostatecznie nawet łaskawie zahipotekowane w historji piśmiennictwa. Pierwszy Rzewuski dał nowoczesną powieść, pierwszy rozbudził czytelnictwo w szerszych warstwach, pierwszy odgrzebał wiek XVIII i przerzucił pomosty uczuciowe do przeszłości i dziejowości. Dalej: pierwszy wypowiedział wojnę masonerji i pierwszy demaskował przesądy postępowości za każdą cenę, zabobony republikanizmu, zdobycze demokracji, zbawczości liberalizmu i imperatywy bogacenia się, gromadzenia „własności", merkantylizmu (enrichissez-vous) czyli pierwszy tępił świeckie ideały życiowe mieszczaństwa (burżu-azji), równocześnie dysredytując u samych początków rozpędy utopijnego socjalizmu. Odegrał więc doniosłą rolę jako czynnik retardujący, hamujący romantyczno-anarchiczne szały i obłędy („Trybuna Ludów").

Na zarzut pomniejszycieli Rzewuskiego, że przytem miewał zbyt i często irytujące pańskie grymasy i fanaberje, trzeba przytoczyć jako okoliczności łagodzące: pochodzenie, środowisko, predyspozycje rodzinne i rodowe, dziedziczne obciążenie, spadek we krwi po możnowładcach-królewiętach.

Na ustosunkowanie się zaś Rzewuskiego do „Caratu" i „Moskali" dziś w państwowej Polsce możemy

też już nastawić się znacznie *liberalniej*, bez Aszkenazyjskiej awersji. Tak jednak bądź co bądź się nie zapędzał jak swego czasu Kościuszko (wobec Pawła) jak Mickiewicz swego czasu (dedykacja Wallenroda, okropny list do cenzora Serbinowicza), nie mówiąc już o Chodźkach, o Odyńcach itp. Jak na brata generał-adjutantów jak na teścia Orłowów itp. koligacje i parantele zachował Rzewuski wprost imponująco twardy kark i czyste ręce. W zestawieniu czy z.. Z. Kaczkowskim czy z wieloma innymi to Rzewuski jest bronz, bronz podobnego kalibru, co Wielki Margrabia jeden z najpiękniejszych charakterów polskich XIX wieku.

Używać dziś jeszcze choćby jednokrotnie w wartościowaniu ich pozycyj i zasług takich słów jak „odszczepieństwo", „zdrada", „moskalofilizm", dowodziłoby już nie symplizmu, pierwotniactwa, barbarji ale wprost zwyczajnego, przeciętnego, *kretynizmu.*

Był Hrabia Henryk w swojem milieu arystokratycznem takim samym dobrym czy doskonałym patrjotą, jakim był... Mierosławski w swojem środowisku i w swoich życiowych warunkach. Nie wszyscy bowiem w czas insurekcji urodzili się na powstańców i nie wszyscy mogli iść do lasów tak jak i w r. 1914 nie wszyscy kwalifikowali się do Oleandrów.

Wśród tych Polaków, których życie skazało na asekurowanie polskości w obozie zaborczych imperjalizmów, Henryk Rzewuski był jedną z postaci najzasłużeńszych. Dla pewnego zaś gatunku elity intelektualnej, nie gustującej w faworytach ciżby, nie zrażającej się ani na moment jakąś tam „niepopularnością"...

właśnie autor różnych pomieszanych „Mieszanin" może zostać najsympatyczniejszą w galerji wyblakłych antenatów postacią.

Jakto pisze Giovanni Papini w swej apologji odbronzowywanego Dantego? „Udało mi się pokochać go prawdziwie, ponieważ wiem, że oprócz olbrzyma żył w nim człowiek ze wszystkiemi ludzkiemi słabościami".

CONRAD I JEGO OJCIEC KORZENIOWSKI

Przedewszystkiem imię. Skąd takie imię niezwyczajne, mało pospolite, utrudniające, zobowiązujące: Apollo? Jakiż to pretekst na całe życie do przycinków sarkastycznych, o ile, jak w danym wypadku, wyobrażenie, związane z tym dźwiękiem, będzie kolidowało z fizycznymi warunkami tego, któremu imię przypadło w nietrafnym udziele?

Była w pierwszych dziesiątkach XIX w., w erze, jak wiadomo, romantycznej i romansowej, moda na takie imiona wśród bene-natów. Moda tych ekscentrycznych imion opanowała w Polsce głównie i omal tylko kresowe prowincje i to tak wschodnie jak i zachodnie kresy, a więc Wołyń, Podole, Ukrainę i... Wielkopolskę. W Środkowej Polsce brano imiona potoczne, szare, wyświechtane, kalendarzowe. Na ziemiach Mohortowych jednych i drugich imiona z mitologji, z historji, z literatury, z romansów. Bywali więc tu i tam: Cyrus, Kanut, Hektor, Cezar, Tytus, Darjusz, Sokrates, Hamilkar, Tertuljan, Artakserkses, Postumus, Oktawjan, Korjolan. Bywali z dziwaczniejszych Pamfil, Pantaleon, Platon, Pius, Dezyderjusz, Porfiry, Gaudenty, Mamert, Narcyz, Cyrjak, Arsen, Gwido, Witalis, Gracjan, Hiacynt, Protazy, Aryst, Hugo, Heljodor. Gdzie kto teraz w prozaicznych czasach słyszał o takich obciążających imionach męskich? Oczywiście, odpowiednio do tego i kobiece: Wirginja,

Imogena, Prowidencja, Pulcherja, Bibianna, Olimpja, Dalej: Eufrozyna, Ewelina, Genowefa, Narcyza, Delfina, Pia, Kordelja, Adina, Taida a nawet Nymfa! Dochodziło do tego, że panna... Szuszkowska Ottolina wychodziła za Napoleona... Bujalskiego; Narcyz okazywał się pękatym, roztyłym, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi, brzuchaczem, Pius — abstynentem, Korjolan — najtchórzliwszym ugodowcem w powiecie, Salomea („której święto nam przypada ostatniego... października") taką plotkarą pod Żytomierzem, jaką jej imienniczka pod Zanicmyślem. Bywały też zatabaczone safanduły... Cezary a nienormalnie rozwiązłe Genowefy, bywały Pulcherje chude jak szczapy a Nymfy czy Delfiny pulchne i słynnie „nagłos się" pocące i z tej przyczyny nadmiernie paczulą czy werbeną wonne...

Apollo Korzeniowski, „mało znany poeta", był słynnie brzydki. Stwierdza to dwukrotnie jego rodzony szwagier (w Wielkopolsce mówią antygermańsko: dziewierz) Tadeusz Bobrowski: „miał na wsi ustaloną reputację brzydkiego", „kobiety pociągał swoją brzydotą", dodaje przytem: „oryginalnością i talentem". Na czem polegała ta oryginalność i w czem się talent okazał powoli się dowiemy, oparci na materjale pamiętnikarskim, przed i po r. 1863 dość obfitym.

Przedewszystkiem, oczywiście, genealogja po mieczu i po kądzieli. Mówi się: po mieczu w tym wypadku słusznie ściśle, gdyż ojciec, ziemianin ale „wysadzony z siodła", służył w wojsku polskiem już przed r. 1807 jako porucznik a kapitanem został w trzydziestym pierwszym. W tym charakterze i z tą oficerską „dystynkcją" spodobał się pannie Dyakiewiczównie, która w posagu dostała mająteczek pod Winnicą, zdaje się, Łuczyńce, w szybkim tempie potem przepuszczony. Wtedy to kapitan, wiano normalnie po kapitańsku roztrwoniwszy, dostał w administrację duży majątek Korytnę, wieś rządową, skonfiskowaną Jagiełłowiczom. W tej Korytnej już dobrze i umiejętnie gospodarzył.

O familji ojca i matki Apolla wiadomości bardzo imponujących pod ręką niema. Jeden z braci kapitana, Napoleończyk, po trzydziestym pierwszym „przebywał" w Rosji, poczem wrócił i kręcił się przy rodzinie, scharakteryzowany jako „antypatyczny egoista", „samotnik", „dziwak". Jedna z ciotek wyszła za Hiacynta Colonna-Czosnowskiego, który po jej śmierci ożenił się powtórnie z panną Żeromską. Prawdopodobnie i... Conradowi i Żeromskiemu podczas ich rencontre'u zakopiańskiego (sierpień 1914) ta drobnostka genealogiczna albo nie była znana albo wypadła z pamięci.

O ojcu kapitanie (zaczem Conrada dziadku) pamiętnikarz, szwagier Apolla, mówi twardo i z małym respektem. „Bił się dobrze" ale „ciasnej głowy szlachcic", „utopista" i „łgarz", „przekonany, że był i pierwszym wojownikiem w Europie" i „pierwszym gospodarzem" i „najzasłużeńszym mężem w kraju" i „wielkim politykiem" i „jedynym patrjotą". „W domu despota, żona „zahukana", synowie dojrzali traktowani jak mali chłopcy i łajani od głupców. Ale że „dla siebie samego niemałe miał uznanie", więc coram publico i dla tych „głupców" synów „żywił admirację". Było ich

trzech: Hilary, Robert i Apollo, wszyscy trzej wielorako uzdolnieni.

O najstarszym Hilarym, który jeszcze przed powstaniem wysłany był do Tomska, wyraża się kuzyn Bobrowski jako o „spekulancie" i imputuje mu „złośliwość". O drugim zrzędu Robercic podaje szczegóły fatalne: „karciarz", „pijak", „niemało do upadku rodziny przyczynił się". Jak wielu wówczas nieudanych synów, „letkiewiczów", lumpów i skrachowanych egzystencyj, ekspiował to współudziałem w powstaniu, w którem bohatersko zginął. W rok po jego śmierci umarł może i ze zgryzoty capitano pater familias.

Apollo, najmłodszy brat „spekulanta" Hilarego i „karciarza" Roberta, którzy atoli dość ciężkie chyba ofiary na ołtarzu ojczyzny złożyli, urodził się, zdaje się, w samej Winnicy a nie w Korytnej, w każdym razie dzieciństwo upłynęło mu w Winnicy. Po skończeniu gimnazjum w Żytomierzu zapisał się na uniwersytet petersburski, gdzie uczęszczał na wydział języków wschodnich (1844, 1845 i 1846) i gdzie nauczył się rzekomo... języka arabskiego, ale „gruntownej w jakiejkolwiek gałęzi" wiedzy nie posiadł a tylko zaprawiał się i zabawiał literacko, pisząc wierszyki okolicznościowe i patrjotyczne strofki, mniej drukowane, a raczej w odpisach i sztambuchach między studenterją kursujące. W tych to latach portretował go Szczyt, pono bardzo uzdolniony amator. Nie dokończywszy żadnych studjów, wraca Apollo na Wołyń, pomaga ojcu Teodorowi w gospodarstwie, wyjeżdża razporazu to do Kijowa to do Żytomierza, bierze udział w życiu towarzysko-bałagulskiem, jeździ

od dworu do dworu i wreszcie zakochuje się całkiem normalnie.

Bogdanka jest od niego omal o dziesięć lat młodsza. O tę pannę stara się czyli „atentuje" siedem lat z pewnemi przerwami.

Rodzina wybranej, znacznie bardziej interesująca, nosi się wyżej i produkuje oryginalniejsze odmiany sarmackiej fauny kresowej. Jedni jeszcze siedzą po majątkach, inni już pracują w kadrach inteligencji miejskiej (Humań, Berdyczów, Lipowiec). Jedni przeszli do rządowej służby i doszli do wielkich stanowisk, inni doszli daleko... na Sybir. Matka panny Eweliny Bobrowskiej z domu aż Biberstejn-Pilichowska, a babka Poradowska. Stąd szerokie koligacje z Syroczyńskimi i Florkowskimi, Kołyszkami i baronami Taube; dwaj znani nam dobrze w Warszawie baronowie Taube, t. j. Gustaw (ożeniony z Kronenberżanką, członek Komitetu Narodowego w r. 1915), oraz Roman (opisany przez niżej podpisanego w „Walcu baro Molskiego") byli taksamo pupilami Bobrowskiego jak J. K. Korzeniowski. Dwaj „zimni dziadkowie" Poradowscy, bracia babki Apollina, dosłużyli się wysokich rang w wojsku rosyjskiem, co i dla Conrada nie mogło być tajemnicą. Starszy Aleksander, generał artylerji, był faworytem wielkiego księcia Konstantego w Belwederze (1868) a drugi, Karol, generał kawalerji i kawaler wielu orderów austrjackich, pruskich, ruskich, — faworytem feldmarszałka Paskiewicza. Ten to Poradowski z Paskiewiczem brał udział w kampanji węgierskiej, i przed nim to składał broń zdrajca kapitulant gen. Georgcy. Pułk Poradowskiego należał

do najlepszych, najwierniejszych cesarzowi i najbardziej w wojnach odznaczonych. Obaj Poradowscy mieli wielkie wpływy i wysokie przyjaźnie w Petersburgu; w rodzinie uchodzili nieco za kondotjerów i odszczepieńców, ale z którymi nie zrywało się stosunków. Siostra ich (prababka Conrada) rozwiodła się z mężem, i mieszkała we Lwowie; w Galicji też mieszkał „zimny" pradziadek Pilichowski, kapitan wojsk polskich, legendarny skąpiec, który dożył do 1880 r.; ten z rodziną nie zerwał i na ten przykład na wesele Bobrowskiego przyjechał.

Bardzo interesującą figurą był „pater familias" Bobrowskich, taki sam despota domowy jak kapitasio Teodor Korzeniowski. Legendarnie złośliwy i sarkatyczny (jak i wuj Korzeniowskiego) dziedzic Terechowa pod Berdyczewem na całe sąsiedztwo oraz na rodzinkę matki i żony koncypował ulotne, jadowite wierszyki, w licznych odpisach kursujące. Adolf Pilichowski wuj skazany był do Orenburga jeszcze przed powstaniem w r. 1861, do kraju wrócił dopiero w r. 1864 a umarł w r. 1874, już po śmierci Apolla.

Z rodzeństwa pani z Bobrowskich Korzeniowskiej siostra starsza wyszła za patrjotę i działacza Zaleskiego. Braci miała trzech: Stanisław, Tadeusz i Stefan. Stanisław poszedł linją życiową Poradowskich, wstąpił do wojska rosyjskiego i dosłużył się wysokiej rangi w huzarach grodzieńskich. Tadeusz wybrał drogę cywilną, obywatelską, normalnie ziemiańską, społeczniczą; był umiarkowanym, postępowym torysem i honorowym sędzią powiatu lipowieckiego, nadto prezesem, wiceprezesem i t. p. Trzeci zaś Stefan wprost przeciwnie do tamtych, skrajnie rewolucyjny, linja raczej Pilichowskich, działacz wichrowaty a niepożyty, bohater, charakter wskroś romantyczny ale koniec tragiczny; los jego zasługiwałby na szersze omówienie, bo są o nim nawet broszurki. Z ciekawszych szczegółów rodzinnych dodać jeszcze można, że matka Apolla, która przez siedem lat przeleżała w łóżku wpół sparaliżowana, przypadkowo odzyskała władzę i zdrowie i przeżyła potem dwie córki i dwóch synów (zmarła w r. 1875 w Krakowie). Najważniejszym tuzem rodzinnym był, zdaje się, bardzo majętny ugodowiec, szambelan Poradowski z Palczy.

Kiedy Apollo (bardzo nie apolliński) zaczął się starać o pannę Ewelinę Bobrowską, cała rodzina panny była przeciw niemu. Panna jeszcze młodziutka też nie żywiła skłonności. Papa panny nie widział w Apollu żadnych kwalifikacyj na zięcia, bo „mieszkał u ojca, niczem nie zajmując się i nic nie posiadając"... „nie był do pożądania". Z powodu towarzyskich zalet atoli starzy Bobrowscy lubili go bardzo a już szczególnie pani matka. Dostając od bogdanki odkosza razporazu, Apollo obraził się i wycofał a nawet z tych stron wyprowadził na Podole. Skorzystał z propozycji przyjaciela swego Aleksandra Sobańskiego i wziął w zarząd dobra jego matki Melanji Sobańskiej, żony emigranta: Derebczyńce. I wtedy zaczyna się równocześnie z większym zapałem oddawać znów literaturze, czyli pisaninie. Przedewszystkiem tłumaczy. „Oczytany bardzo w lżejszej francuskiej i polskiej beletrystyce", jak komentuje Bobrowski, zaczyna tłumaczyć na-

przemiany Heinego i Victora Hugo. Zawiązuje też teraz mocne kontakty z piszącymi, z radykałami szlacheckimi, przedewszystkiem z dawniej zawieszonej kijowskiej „Gwiazdy". Tym przewodzi Albert Jaxa-Marcinkowski (Gryf), polemizujący zażarcie z retrogradami z byłej pentarchji petersburskiej (z Rzewuskim i z Grabowskim). Stefan Buszczyński wciąga go do swej „Niwy Rodzinnej". Za cel sobie kładą zgalwanizowanie, zintelektualizowanie i rozbudzenie znów ducha narodowego w hreczkosiejskiem, buraczanem, bogacącem się a bezmyślnie wegetującem ziemiaństwie. Równocześnie walczą też o radykalne reformy w sprawie włościańskiej. W tym „ruchu" ideowym biorą gorący udział Żeligowski Antoni („Sowa") autor „Jordana" i... „Nocnic"... (czyli nokturnów), trzej bracia Krzywiccy, Tytus Szczeniowski („Bleporński"), Władysław Tadeusz Rakowski, (później rozstrzelany). Wielu z tych pierwszych „ruchowców" idzie potem na Sybir do Ołoniecka wtedy, kiedy Austrja znów pakuje swoich Polaków do... Ołomuńca. Inni pokutują za swoją młodość w fortecy kijowskiej. Małe miasteczko Żytomierz słynne jako centrum agitacji i konspiracji.

Z rodziną Bobrowskich Apollo utrzymuje atoli stałe stosunki. Na wesele Tadeusza z panną Lubowidzką (1858) pisze zabawnie patetyczny wiersz okolicznościowy. Wreszcie, kiedy zmarło się ojcu panny, Apollo dobija swego i po siedmiu latach staje na ślubnym kobiercu z Bobrowską w kościele w Oratowic. Jest już wtedy także autorem dramatycznym, granym, co tu gadać, i w Żytomierzu i w Kijowie! Leonard Sowiński przed nim popisał się wściekle antyarystokratyczną satyrą sceniczną: „Na Ukrainie" a dziedzic z Derebczyniec równie ostrą i surową komedją „Dla miłego grosza". Kandydaturę jego do siostry musieli popierać obaj bracia Stefan i Tadeusz. Tadeusz, uchodzący w rodzinie za „retrograda", realistę i antyromantyka, orjentującego się raczej konserwatywnie, nie dał się zrazić i nastraszyć czerwonością autora „Dla miłego grosza", gdyż rewolucjonizm Apolla traktował jako całkiem powierzchowny i nieszkodliwy i tak to charakteryzował:

„Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za ultrasa i za „czerwonego", było w nim sto razy więcej „żyłek szlacheckich" — jak mu to nieraz dowodziłem — niż we mnie, którego ani on, ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali. W rzeczy samej miał on bardzo czułe i miękkie serce, a stąd dużo współczucia dla biednych i uciśnionych, i dlatego zdawało mu się i innym, że jest demokratą Tymczasem były to tylko porywy serca i myśli „dobrze urodzonego" Nałęcza, ale nie przekonania iście demokratyczne. Nigdy nie mogłem dojść ostatecznego składu jego przekonań politycznych i społecznych, oprócz mglistego pociągu do rzeczypospolitej jako formy, a w niej coś równie mglistego per modum praw zagwarantowanych konstytucją 3-go Maja, co na nasze czasy już było za mało. W kwestji włościańskiej naprzykład wahał się co do uwłaszczenia; sympatyzował z moją myślą w tej kwestji, jeszcze w r. 1854 wypowiedzianą, ale obawiał się i twierdził, że wypowiedzieć ją chyba mogą ci, którzy posiadają ziemię".

Trzeba ten szczegół dobrze sobie zapamiętać i mieć na uwadze, aby sobie pewne rzeczy i w późniejszym jego życiu i w... Conradzie wytłumaczyć.

Popierał jego kandydaturę do ręki siostry i drugi brat, Stefan, antypoda ideowa Tadeusza, popierał znowuż z całkiem innego powodu, gdyż jako rewolucjoner „enragé" dopatrywał się znów w Apollu swoich rysów i wierzeń i widział w nim chłopomana, „hugenotę" i ruchowca di primo cartello. Teściowa znowuż zaczęła genjalnego literatę w familji obdarzać pełnymi faworami, przepadała za jego towarzystwem i konwersacją, asystowała przy narodzinach światowej gwiazdy klanu Nałeczów i protegowała (typowa Pilichowska) przeniesienie się małżeństwa ze wsi do Żytomierza, kiedy... Konradek miał już lat trzy.

Tutaj to w Żytomierzu musiał... Mickiewicz hustać na kolanach przyszłego autora „Lorda Jima". Oczywiście nie nieboszczyk ojciec, ale syn Władysław, który wtedy na jakiś czas znalazł się i w Żytomierzu jako... emisarjusz. Był młodziutki, mówił źle po polsku. Jechał niby do Charkowa do stryja, do mocno zmoskalonego profesora Aleksandra Mickiewicza, który potem osiadł tu w Kobryniu. W gruncie rzeczy wydelegowała go Centralizacja Paryska, aby wśród bogatej szlagonerji zebrał fundusze na wielki dziennik francuski w Paryżu, broniący polskich interesów. Wysłali go z Kijowa wprost do Korzeniowskich czerwoni działacze, szwagier Zaleski (z drugą Bobrowską ożeniony) i Stefan, brat Apollowej. Mickiewicz musiał głównie przesiadywać czy też ukrywać się u Korzeniowskich, gdzie zbierały się czerwieńce, podczas, gdy

w apartamentach bliskich kuzynów mecenasa Poradowskiego (z Zagórską ożenionego, ojca paryskiej powieściopisarki) — zapewne ugodowcy i retrogradzi. Z bardziej znanych w późniejszych dziejach postaci bywali tam wtedy: Adam Pietkiewicz (Pług), Zygmunt Sierakowski, kolega gimnazjalny Apolla, powieściopisarz Jaxa-Bykowski, Walerjan Wróblewski, późniejszy sybirak, generał komuny i J. Ign. Kraszewski. Incognito paryskiego ultrasa wnet się jednak wydało, i Mickiewicz nawet jakiś czas posiedział w fortecy kijowskiej, szybko wypuszczony i przeproszony. W ruchu reformistów agrarnych (wywłaszczenie za indemnizacją w terminie lat trzydziestu trzech), czemu orędował wtedy w licznych prelekcjach dla ziemian szwagier Bobrowski, Apollo Nałęcz żadnego udziału nie brał, jak również nic nie miał wspólnego z t. zw. „Złotą Hramotą", kolportowaną po wsiach i siołach przez kijowskich akademików, szlachciców czerwonego pomazania. Pod rok 60-ty bowiem rozbudziła się w nim (może po stryju Robercie?) żyłka spekulacyjna, związana zresztą z literaturą i z idealnymi celami. Chodzilo o zgalwanizowanie, zintelektualizowanie i rozbudzenie ducha narodowego u buraczanych latyfundystów. Tym razem tedy kooperatywa literacka, handel książkami i kolportaż po dworach na ziemiach „zabranych". Zebrano więc fundusze odpowiednie, za 20 000 rb. kupiono dwie księgarnie Glücksbergów w Kijowie i w Wilnie, na czele stanął bogacz Kaczkowski, wśród członków wybitnych Kraszewski, Berezowski, mecenas Poradowski, mecenas Budzyński, retrograd, przyjaciel Rzewuskiego, tłumacz Schil-

lera i Byrona. Prowadzić mieli przedsiębiorstwo: poeta Groza (panie Grozo, lepiej prozą) i młody żonkoś Apollo Nałęcz, w owych czasach dla odmiany piszący jakoweś poematy natchnione w stylu... Zygmunta Krasińskiego.

Niedługo trwała ta kooperatywa i jej pismo „Bibljoteka Domowa", gdyż pożarli się prezes Kaczkowski ze znakomitym Kraszewskim, a przedsięwzięciu wnet kijowski generał-gubernator łeb skręcił w momencie gdy bankrutowało. Wtedy to powstał u małżonków Korzeniowskich plan przeniesienia się do Warszawy, w samo centrum literatury i... przygotowującej się rewolucji, plan, który chyba gorąco protegowała ruchliwa teściowa. Tam należałoby założyć coś w guście „Revue des Deux-Mondes", albo może i codzienne pismo, „Słowo" może się nazywać czy „Kraj". Wszyscy co wybitniejsi kresowiacy już się tam przenieśli, o ile ich nie przeniesiono... na Sybir, (par exemple nawet Aleksandra Branickiego, ożenionego z hr. Szuwałow!). Szwagier Tadeusz prawdopodobnie odradzał, wiedząc co się tam święci nad Wisłą i przygotowuje, ale musiał znów doradzać szwagier Stefan, dwudziestoletni gorączka, który niedawno z cytadeli kijowskiej uciekł i na nadchodzące wybuchy i rozruchy tylko czyhał (krew Pilichowskich). Za Warszawą przemawiało i to, że tam w Warszawie już osiadło wielu „swoich" („najazd barbarów"), swoich ze Wschodu. „Tam łatwiej będzie wsławić się literacko Apolciowi" — musiała mawiać ambitna teściowa. Miała na oczach przykład jednego już Korzeniowskiego, najznakomitszego i najpopularniejszego w Warszawie teatralisty i beletrysty, radcy stanu, Józefa, a nie brała pod uwagę (co ważne), że Józef był z Galicji, zaczem rozważny i ostrożny, a Apollo z południowo-wschodu, zaczem romantyczny, niezrównoważony, nietrzeźwy. Dla takich zaś wulkanowy teren Warszawy z 1861 r. w najwyższym stopniu był ryzykowny...

Zjechali tedy do stolicy: nieodstępna babcia, wnuczek (chrześniak Kraszewskiego!) Apollo Nałęcz i Ewelina z Bobrowskich. I odrazu wpadli w wiry i gejzery. Jakąż śpiącą dziurą wyglądał stąd Żytomierz z jego salonami politycznemi, z jego cichemi, demonstracyjnemi nabożeństwami za poległych, z jego ciągłemi kłótniami literackiemi jeszcze o... Rzewuskiego, z jego literatami śpiącymi, z jego „polskimi pomieszczikami", targującymi się z sobą nazabój o to co już dać chłopom a czego jeszcze nie. Jakąż dziurą zakazaną wobec tej Warszawy rozfalowanej, rozgorączkowanej, rozdemonstrowanej, dzień w dzień manifestującej!

Przyjechali w maju 1861 r., i Korzeniowski odrazu znalazł się w najosobiściej swoim żywiole, tem bardziej że pilotowali go wśród... hugenotów i Ruchowców sami swoi z kresów: Wereszczyński, Szachowski, Wasilewski, Sowiński. Szkodziło mu w stosunkach z Czerwonymi jedynie nazwisko, które tutaj wsławiło się nietylko pisaniem, ale jeszcze więcej skrajnem wstecznictwem, ugodowością lojalnością i służbą rządową. Podobnie jak Józef Korzeniowski, prorządowcami byli inni świetni pisarze, Skarbek i Faleński, nie mówiąc już o nieobecnych Odyńcach, których za zaprzaństwo i cezaryzm zgromił bezlitośnie

ultrapatrjota i ultraantagonista antysemickiego caratu: Juljan Klaczko. Korzeniowskiego Józefa także tenże archisarmata Klaczko zaczepił, karcąc idee w powieści „Krewni" szerzone, za co znów Korzeniowski, rewanżując się, potężnie obsmarował go jako Centaurowicza w „Złotych kajdanach". W Warszawie czerwonego roku 1861 ten niedawny publiki faworyt, autor „Tadeusza Bezimiennego", teraz ani faworytem ani popularnym nie był. Mocno musieli państwo Apollostwo wśród swoich Czerwieńców akcentować, że nic a nic wspólnego nie mają z radcą stanu Korzeniowskim Krzemieńczaninem ale spod... Brodów. Wspólnie mieli Apollo i Józef tylko to, że obaj byli hugonotami, t. j. wielbicielami Victora Hugo, ale podczas gdy Apollo stanął odrazu wśród spiskujących... hugenotów, Józef był najtypowszym „millenerem", t. j. jednym z tych co niepodległość i zmartwychwstanie państwa odkładali aż za lat tysiąc (mille). I jak u Józefów zbierali się we czwartki najznakomitsi starej daty biali i białe, tak w mieszkaniu nieznanego tu szerszym kołom Apolla zaczęła gromadzić się czerwona młódź, korsykanie, karbonary, garibaldczyki, przywódcy studenterji, szefowie i hersztowie „kółek", często „smarkaczami" nazywani. Ale był ruch, było życie, otwieranie i zamykanie klubów, spory, afery, „kipiatok" ideowy. Babci Bobrowskiej, née de Biberstejn-Pilichowskiej, w to graj.

Na Zamku po Gorczakowie, po Suchozenacie rezydował prokonsul, „damski kawalir", elegancki Lambert. Miastem rządził von Gerstenzweig a na wysokich stanowiskach cywilnych i wojskowych wszędzie

sami Niemcy kurlandzcy, estońscy i pruscy. Zamiast wydawać polską „Revue des Deux-Mondes", Korzeniowski od sierpnia prowadził tajną bibułę „Strażnicę". Zamiast tłumaczenia Victora Hugo rzuca się we wszystkie poczynania... hugenockie i w organizowanie najskrajniejszych ruchowców. Dla zewnętrznego zaznaczenia swej demokratyczności ubiera się w baranią ludową czapę. Jeszcze w pierwszych miesiącach urządza zebrania „adresowe" w znanej manierze adresów wprost do cara, tym razem zresztą ze wskroś „imperjalistycznym" programem przywrócenia i przyłączenia natychmmiast „prowincyj zabranych". Potem po kilku miesiącach demonstrowania już idą dalej w „radykalizmie". Żadnych postulatów, żadnych reform, żadnej poprawy stosunków, „tylko im gorzej tem lepiej" i fora ze dwora (z Zamku). Historyk tych czasów Berg, w swoich „Zapiskach" dużo miejsca Apollowi Nałęczowi poświęcający, pisze: „Na obradach manifestantów zachodziły między stronnictwami żarliwe kłótnie, w jednej z nich między partją Korzeniowskiego omal nie przyszło do krwawej rozprawy".

Manifestanci śpiewają pieśni patrjotyczne po wszystkich kościołach i zamawiają msze żałobne. Wybijają szyby tym kupcom, którzy nie dają składek na cele propagandowe (cukiernia Clota, piekarnia Bartla). Korzeniowski jest wszędzie od świtu do nocy i rozwija niepożytą energję. Mały jedynaczek Konradek dlań nie istnieje; tym opiekuje się głównie babka, gdyż matka ciągle zapada na zdrowiu. Wrogów ma Apollo coniemiara, głównie w obozie własnym wśród konkurentów na przywódców, którzy roz-

przestrzeniają o nim nicstworzone kalumnje. Berg cytuje dwukrotnie, że „podejrzewano Korzeniowskiego o stosunki z rządem", że „zachowanie jego w niektórych wypadkach było istotnie dziwne", że kiedy chciał stworzyć Towarzystwo Czarnych Braci, nie dopuszczono do tego, bo „wzięto go za szpiega". Utworzył natomiast tych „Czarnych Braci" Adam Prot Asnyk, poeta i student z Wrocławia ,który zresztą wnet aresztowany (za manifestację z gimnazistami w kościele św. Krzyża) uciekł z więzienia do Krakowa, aby tu potem przez całe życie chodzić w aureoli powstańca i bohatera. Z innych literatów, którzy w tym roku „demonstracyjnym" stykali się często z Apollem Nałęczem, przypomnieć się godzi Wolskiego (libretto do „Halki") i Syrokomlę, lirycznie skomlącego przy lada patrjotycznej okazji a wdzięcznego Korzeniowskiemu za to że tenże jeszcze w Żytomierzu wziął w obronę jego drumlę liryczną, polemizując nieco brutalnie ze świetnym krytykiem Grabowskim.

Najwyższe w tych miesiącach wyczyny agitatorsko-rewolucyjne naszego Czerwieńca z Żytomierza, to była opozycja przeciw wyborom do rady miejskiej i zahamowanie tych wyborów, kontrowersja publiczna z Andrzejem Zamoyskim, przemawiającym z balkonu, no a wreszcie organizacja już istotnie wielkiej i historycznej demonstracji, t. j. zjazdu w Horodle, dla uczczenia 448-ej rocznicy Unji Horodelskiej i dla przypomnienia związku Polski z Litwą i z Rusią. Zasługę tej manifestacji dzieli Korzeniowski tylko z księdzem Ławrysiewiczem i z poetą Karolem Brzozowskim; historyczną odezwę z dn. 10 października skoncypował sam Korzeniowski.

Tego atoli było już Moskalom a raczej Niemcom rosyjskim za dużo. Dn. 14 października 1861 r. ogłoszono stan oblężenia w Warszawie, a już 21-go aresztowano tysiąc kilkaset działaczów, wśród nich słynnego szewca, patrjotę Hiszpańskiego, poetę Wolskiego i literata Apolla Nałęcz-Korzeniowskiego. Żona z matką i z dzieckiem zostały teraz w obcem mieście z prawem odwiedzania męża raz na miesiąc i na krótko. Owczesnym zwyczajem musiały poruszyć niebo i ziemię i zapewne kuzynów Poradowskich i Lubodzieckich dla interwencji, ale nie pomagało. Sądzony był w cytadeli przez trybunał, na którego czele stał gubernator wojenny Warszawy, płk. Rożnow, kolega pułkowy... szwagra, Stanisława Bobrowskiego... z grodzieńskich huzarów. Skazany został na osiedlenie „w dalekich gubernjach" i wysłany do Wołogdy, przyczem pozwolono towarzyszyć mu żonie wraz z czteroletnim synkiem... Conradkiem.

I teraz jest z tej podróży „polskim utartym szlakiem" pewien szczegół tak ważny, że trzeba go przytoczyć w dosłownej relacji szwagra Bobrowskiego z jego „Pamiętnika": „W drodze na przedostatniej przed Moskwą stacji rozchorował się Korzeniowskim synek, a gdy eskortujący ich żandarmi zatrzymać się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakiś ludzki podróżny jadący do Moskwy przyrzekł im posłać lekarza, a Korzeniowski, przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego dra Młodzianowskiego, profe-

sora uniwersytetu, który kiedyś był jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem owego uczynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadjechał zacny eskulap i odratował *dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu,* a posiadając rozległe stosunki w Moskwie, wyrobił kilkodniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło". *Zapalenie mózgu!*

W Wołogdzie gubernatorem był humanitarny liberał, b. marszałek szlachty jednego z powiatów gub. mohylewskiej, Białorusin Chomiński. Kolonja składała się z 21 mężczyzn, przeważnie księży. Ewelina Korzeniowska była 22-gą osobą, synek czteroletni Konrad 23-cią. Ponieważ warunki klimatyczne okazały się jednak niedozniesienia, z Wołogdy pozwolono im, nawet bez eskorty, a na słowo grażdańskie, przenieść się do Czernihowa. Ponieważ dalej pani Korzeniowska mimo tego zapadała na zdrowiu, pozwolił jej gubernator książę Golicyn na jakiś czas wyjechać do Nowofastowa, do brata Bobrowskiego Tadeusza, któremu wcześnie zmarła żona. Po kilku miesiącach rekonwalescencji w kraju musiała pani Korzeniowska wracać do męża i dziecka, i tym razem towarzyszyła jej matka, która wielką porcję tego całego bigosu życiowego swej córce uwarzyła.

W pierwszym roku długiego pięcioletniego wygnania zmarła młoda Korzeniowska, nie zaznawszy wielkiego szczęścia z tym Apollem i zostawiając sierotkę na opiece babki. W r. 1867 dostaje wdowiec, zgnębiony i złamany doszczętnie tem wszystkiem, pozwolenie na wyjazd leczniczy na Maderę lub gdzieindziej, oczywiście, pozwolenie nie bez użycia wszelkich możliwych protekcyj, poruszonych przez tych krewnych, którzy się trzymali pańskiej, rządowej klamki i ratowali egzystencję rodziny po straszliwym historycznym pogromie. Nie wstępują do żadnych kuzynów po drodze, bo zakazano, ale jadą we troje wprost do Lwowa. Tu mieszkają przez zimę r. 1867, poczem przenoszą się we troje do Krakowa i zamieszkują przy ul. Poselskiej w „pałacu" „hrabiów" Hussarzewskich.

Biedny, stary, a raczej przedwcześnie postarzały, Apollo ma tu jeszcze szczęśliwym trafem swoich z pod Winnicy, Żytomierza, Berdyczowa, podobnych do niego wygnańców - rozbitków. Jest Stefan Buszczyński, prof. Kopernicki, dr. Marceli Dobrowolski, kilku kijowian, kilku sybiraków. Dzieckiem opiekuje się babka. Chodzą w konfederetkach i wyglądają z ruska. Apollo próbuje coś pisać, coś komponować, coś tłumaczyć. Naturalnie nie żadnego Szekspira i nie coś z angielskiego (gdyż po angielsku nigdy nie umiał) i nie z Chattertona ale... „Chattertona", dramat Alfreda de Vigny. I Victora Hugo „Pracowników morza". W życiu intelektualno-literackiem Krakowa nie odgrywa Korzeniowski omal żadnej roli, aczkolwiek coś tam pisuje i do ówczesnego „Kraju" krakowskiego i gdzieindziej. Wreszcie po niecałym roku męki, schorowany, w maju 1869 r. umiera.

Czy Korzeniowksi wiedział, że w tym Krakowie, w tym hotelu Saskim, gdzie mógł bywać u znajomych, rozegrała się bolesna tragedja jego przyjaciela i szwagra, młodziutkiego Stefana Bobrowskiego? rzecz to wątpliwa. Cała prawda o tym tragicznym bohate-

rze wyszła bowiem znacznie później na światło dzienne. Opisał ją szczegółowo Rawita-Gawroński w broszurce p. t. „Stefan Bobrowski a dyktatura Langiewicza". Szwagier Apolla, Stefan, który przed 1860 r. wywierał nań wielki wpływ, dzięki urokowi swej żarliwości patrjotycznej i moralnej czystości, rozagitowawszy do powstania dużą część akademickiej młodzieży kresowej, późniejszy członek Tymczasowego Rządu Narodowego, w r. 1863 znalazł się w Krakowie, gdzie roztoczył gwałtowną propagandę przeciw dyktaturze Langiewicza. W obronie tegoż stanął młody hrabia Grabowski. Do pojedynku nie przyszło na razie ale był sąd honorowy w hotelu Saskim, w którego konsekwencji potem pojedynek w Wielkopolsce z rezultatem śmiertelnym.

Nie mógł jeszcze wiedzieć szczegółów tej tragicznej pomyłki Apollo, przyjaciel swego szwagra. Musiał je natomiast poznać, bo musiał się o nie wywiadywać brat zmarłego, Tadeusz, kiedy ze swej Kazimierówki pierwszy raz w r. 1873 do Krakowa zawitał, aby opiekę nad osieroconym chłopczyną roztoczyć.

W starodawnym Krakowie została o Apollu Korzeniowskim wśród ludzi starej daty legenda jako o conieco „Tymonie Ateńczyku", o posępnym, uciążliwym, bo retorycznym, patetycznym, zgryźliwym mistyku, niezwykle surowym w ocenie wszystkich „wielkich ludzi" z r. 1863, znanych nam z fotografji Bayera i z albumów, dziś już relikwijnych i rzadkich.

O dawnym Korzeniowskim z przed zesłania i z Wołogdy Bobrowski pisze: „Złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach ani w czynach

nigdy jej nie dostrzegłem. W uczuciach gwałtowny, wylany i szczerze kochający ludzi, w czynach niepraktyczny a często niezaradny nawet. W mowie i piśmie często nieubłagany, w życiu codziennem nieraz aż nadto pobłażliwym bywał, snać dla równowagi, jak mu to nieraz dowodziłem, jak niemniej i to, że miał dwie wagi i miary dla maluczkich i głupiutkich i dla wielkich świata".

Na innem miejscu jeszcze raz dodaje Bobrowski szczegóły charakterystyczne o tej Apolla złośliwości: „Mężczyznom zaś podobał się łatwością rozmowy i uprzejmością, staropolską uwagą na starszych, delikatnością względem młodszych, bo jak powiedziałem, gwałtownym i gorzkim bywał tylko z piórem w ręku, a złośliwej rozmowy tylko z kobietami w granicach wszelkiej przyzwoitości. Dla publicznej że tak powiem, złośliwości swojej wybierał osobne ofiary wśród osób, które albo jego samego w czemkolwiek uraziły, albo które wogóle rozdęte były majątkiem i pozycją".

To sympatyczne!

Co do literackich i artystycznych walorów jego drobnego i skąpego dorobku drukowanego, dyskusja jest jeszcze otwarta i czeka na jakiegoś specjalistę-polonistę. Historycy literatury zbywają go najlakoniczniejszemi wzmiankami i wymieniają bagatelnie „w rządku". Chlebowski przemilcza a Bartoszewicz zaznacza tylko: „znakomity tłumacz Victora Huga". Już to jednak oznaczałoby dość dużo, skoro wśród Hugonotów, tłumaczów i entuzjastów, są takie firmy firmamentowe jak Norwid i Falcński, jak Deotyma,

Pług, Kaszewski. Meloman literacki Bobrowski, ale koneser, twierdzi, że jako tłumacz Victora Hugo był „niezrównany", gdyż „wcielać się umiał" w styl i fakturę autora „Nędzników" i „Ostatniego dnia życia skazańca".

Przez znane tylko w rękopisach „Siedem słów z Krzyża" Korzeniowski wedle opinji swego szwagra „do rzędu najudatniejszych naśladowców Krasińskiego zaliczony być może". Szekspira musiał tłumaczyć z francuskich transkrypcyj. „Lust zum Fabulieren", czyli żyłkę do wyimaginowywania, fantazjowania, rozpowiadania, miał tym razem nie po matce, ale po ojcu. Aktywność i wojowniczość — od wszystkich po mieczu. Literat nieszczególny i trzeciej gildji, ale człek interesujący, nieprzeciętnik, nie szarak. W każdym zaś razie tłumacz „Pracowników morza" ojcem był autora „Zwierciadła morza". No i co się w życiu wycierpiał to się wycierpiał.

* * *

Kiedy August Cieszkowski wydawał już coś trzecią czy czwartą pracę naukową w języku obcym, ze środowiska a raczej z rykowiska czy tokowiska spółczesnych mu warszawskich literatów, typowo jenowarszawskich jętek jednodniówek, zerwał się drumlarz śmielszej natury i nastroiwszy instrument na patos, uderzył w struny. Rzecz prosta, nie miał pojęcia o wyobrażeniu. Jako i całe bractwo stołeczne, nie czytał ani „Gott und die Palingenesie", ani „Prolegomena zur Historiosophie", ani „Du crédit et de la circulation", ani „De la pairie et de l'aristocratie moderne", gdyż prace te, pisane w latach 1838—44, były za poważne, za specjalne i niewarszawskie. Ale drumlarz wraz z innymi „siedział na kanapie i się oburzał" i wreszcie kropnął wierszyk. Nazwisko oburzonego „do żywego" nie przeszło do dziejów piśmiennictwa nawet swojskiego. Nazywał się Antoni, oczywiście nie Malczewski ale Czajkowski, nic z Michałem nie mający wspólnego. Cierpliwość tego Antoniego oddawna już z różnych stron równocześnie była narażona na ciężkie próby. Nietylko bowiem autor „Ojcze-Nasz" zaryzykował pisanie w niezrozumiałych dla tego Czajkowskiego językach. Coś to już za często zaczęło się powtarzać. Taksamo hrabia, taksamo za głęboko uczony ekonomista i moralista i myśliciel i filozof Fryderyk Skarbek taksamo sobie poczynał. Za mało mu było widocznie sławy u swoich domowych za komedje, za powiastki, za prelekcje, więc już w r. 1820 wydał sobie w Paryżu „Théorie des richesses sociales", poczem w Brukselli „Idées generales sur la législature pénale dans ses rapports avec le système pénitentiaire" (1848), a zachęcony wysoce pochlebnemi ocenami specjalistów francuskich i włoskich, rozszerzył dawną swą pracę „Traité de morale publique" w „Essai de morale civique" (Bruksella 1861), zyskując sobie aplauzy wielkiego w onych czasach autorytetu prof. Roberta Mohla w Heidelbergu, no i szczery podziw różnych zagraniczników („inostranców"). Ale żeby to ci tylko pisali po obcemu dla obcych! Zły przykład pobudza innych. Już taki Teodor Morawski, publicysta spółczesny i równomierny... Mochnackiemu,

główny leader prasowy konstytucyjnej partji liberałów kaliskich na sejmach Królestwa Kongresowego, zamiast ograniczać się do renomy u swoich nad Wisłą i Wieprzem, w r. 1826 pisywał po angielsku „Letters on Poland" do jakiejś „Morning Chronicle", a potem o Polsce pouczał Francuzów w „Encyklopédie des gens du monde". Także znów znany poeta Konstanty Gaszyński, na emigracji się znalazłszy, zamiast brać udział w nocnych rodaków rozmowach (i bitkach), splunąwszy na potępieńcze swary, osiadł w Prowancji, tam redagował organ prowansalski („Mémorial d'Aix") i pisywał stale za dwoma nawrotami (1833 i 1862), a to dzieła o sztuce prowansalskiej, a to o kościołach w ziemi trubadurów, a to o poezji tamtejszej, zyskując sobie zresztą duży mir u Prowansalów zamiast u... prowincjałów warszawskich. Jeszcze inny arystokrata podolski, Jan Potocki, rzucił się znowu w wojaże i podróże i potem to opisywał, ale też nie po naszemu. Zamiast siedzieć w rodzinnej Uladówce („nigdzie nie jeżdżając"), w Berdyczowie, w Żytomierzu, na kontraktach kijowskich, on zwojażował: Chiny, Persję, Kaukaz, Arabję, Hiszpanję, i po całym Wschodzie, no i potem o tem dzieła, w stu egzemplarzach dla amatorów drukowane a po francusku pisane, wydawał!! I cóż tam tedy z tego, że na Żółtem morzu geografowie ku czci wielkiego wojażera (ryzykanta) nawet przezwali kilka wysp „Archipelagiem Potockiego", kiedy jego najlepsze, najciekawsze dzieło, „Rękopis znaleziony w Saragossie", dopiero tłumaczyć trzeba było w francuskiego na polskie! Ale i ten, co tę maurytańską „Szecherezadę" (przechwalaną swego cza-

su przez paryżanów) tłumaczył na nasze i u Brockhausa w Lipsku (1847) wydał, sam przecież także niezbyt się popisał. Edmund Chojecki to był, Podlasianin, zamiast Edmundem Chojeckim dozgonnie zostać i w Warszawie jubileuszu doczekać jako inni, jako Pług lub Skiba (Groza, Sowa lub Ilnicka), zapragnął obcych wawrzynów i na paryżanina się przenicował. Zawsze zresztą był to duch niespokojny i człek wichrowaty. W młodości barykadzista i czerwieniec, saint-simonista, fourierzysta, proudhonista („Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne w r. 1848"), takim też z temperamentu czerwieńcem właściwie zawsze pozostał. Zamiast do kraju wrócić i statecznie chadzać do Deotymy na improwizację i na literackie kolacje i koronacje, Chojecki też w podróżniczą manję popadł. Ze słynnym ks. Plon-Plonem, Napoleona III kuzynem pół świata objechał, bo to i Arabję i Egipt i znowuż Skandynawję i t. p., poczem to opisał szczegółowo — ale po francusku. I ten także wielkim mirem u cudzoziemców się cieszył, w „Komedji Francuskiej" i w „Odeonie" sztuki swe wystawiał, w różnych dziennikach paryskich współpracował, niektóre nawet sam zakładał („Gaulois"). Wreszcie nawet Legji Honorowej się dochrapał. Wogóle dużo rodakom-emigrantom dzięki swym wyrobionym stosunkom i pozycji w prasie paryskiej nadopomagał. No ale cóż z tego? Znów i jego powieści trzeba było z obcego na rodzimy tłumaczyć. Toteż nie miały dużego powodzenia wśród rodaków i ziomków ni „Harald" ni „Dzień zaduszny". Natomiast trzecia powieść, trzeba to przyznać, swego czasu zrobiła olbrzymią fu-

rorę. Nosi tytuł „Alkhadar", co znaczy z arabska: fatum, przeznaczenie, ananke. Krytyk Tokarzewicz-Hodi wróżył jej nieśmiertelność równą „Panu Tadeuszowi", co rzecz prosta, nie spełniło się ani w jednej uncji, bo spełnić nie mogło. Autor, Charles Edmond, puścił się bowiem na satyrę i na szyderstwa i obsmarował co się wlezie Galicję między latami 1848—70, rywalizując z Lamem, Dzierzkowskim, Borkowskim, Zacharjasiewiczem e tutti frutti. Osnową powieści jest: coby się stało z bohaterem Kazimierzem Porajem, gdyby los czy przeznaczenie (alkhadar), zamiast trzymać go za granicami, rzuciły Poraja do Lodomerji, obsmarowanej przez podlasiaka Chojeckiego bez pardonu i bez litości. Tak się bronił Charles Edmond i ekskuzował swoje wynarodowienie może przed wyrzutami własnego sumienia?...

Nie jednego więc i tylko Cieszkowskiego miał na myśli Antoni Czajkowski, poeta sam profesor prawa uniwersytetu nawiasem mówiąc petersburskiego... pisząc w onych dobach swój wierszyk, olbrzymim aplauzem w warszawskich kółkach się cieszący. Winowajców było jeszcze więcej! A Hoene-Wroński nie pisałże swych „Prodromusów" i „Metapolityk" w języku przystępnym zagranicy a niedostępnym dla własnych? Ale ten był i bardzo daleko i bardzo gdzieś wysoko w regjonach niedosiężnych spekulacyj metafizycznych. Znacznie zaś, znacznie bliżej był... „ojciec Bronisław"... I zdaje się, że wypuszczając swoją strzałę rymowaną przeciw Cieszkowskiemu, miał też i Trentowskiego na myśli Krakauerski wierszoskładacz Antoni Czajkowski.

Cieszkowski, podobnie zresztą jak Gołuchowski (Erlangen), dość szybko wyswobodził się z czarów Heglowskich i z odurzenia niemiecką filozofją, poezją, romantycznością, rewolucyjnością i rzekomem „Weltbürgerthum". W burzliwych czasach Wiosny Narodów i ludów przerzucił się całkowicie do działalności politycznej. Dzięki szczęśliwemu rozgłosowi swych świetnych prac, w obcych językach ogłoszonych, zyskał sobie wielkie imię w inteligencji niemieckiej, zaczem wybrany do pierwszej izby, został odrazu jednym z jej sekretarzów. Jego mowy w pierwszym parlamencie niemieckim jako ekspektoracje autora i „Prolegomenów" i „Du crédit" słuchane były zawsze z głębokim respektem.

Niekiedy bowiem zyskuje na tem i prestige narodu, gdy jego członkowie znani są ze swych prac nietylko na rodzimych grzędach i pastwiskach.

Trentowski był trudniejszym orzechem do zgryzienia dla warszawskich tromtadratów, wśród których zawsze bywało sporo tromtadraństwa. Trentowski był typem dogruntu problematycznym, bo to coś z kamelona a coś z piskorza a skłonność do metamorfoz nietylko Owidjuszowa, ale nawet coś z Odysseusza. Właściwie, zdaje się z pochodzenia „warszawiaczek ci ja"; inne źródła twierdzą, że w Opolu koło Włodawy się narodził. Czy protestant i dysydent, czy katolik z rodu, to jeszcze niewiadomo, choć on sam dysydenctwu potem zaprzeczał. Ożeniony był z Niemką córką prof. Humbergera, i dzieci chował po niemiecku. W młodości był nauczycielem w Szczuczynie. W powstaniu listopadowem udział brał bezsprzeczny,

i to wraz z uczniami. Poczem emigracja: Heidelberg, wreszcie Freiburg w Breisgau.

W r. 1843 w „Bazarze" poznańskim prelekcja o Fryderyku Wielkim: panegiryk.

U jednych oburzenie, u drugich potakiwanie za to że słynny już filozof rewanżuje się teraz potomkowi Fryca, królowi, który pierwszy dał pewne liberalne swobody obywatelskie. Heglista Trentowski pisze wyłącznie tylko po niemiecku: „Grundlagen der universellen Philosophie" (1837). We wstępie atoli do „Grundlagen" apostrofa do Polski „Du mein theures, unaussprechlich allerliebstes Vaterland, von dem ich verbannt bin". A w przedmowie do nieco późniejszych „Vorstudien": „Ich bin ebenso stolz dass ich ein Pole bin als dass ich jetzt dem Deutschland angehöre".. Pomimo tego hommagium dostaje ktoś inny profesurę. Aczkolwiek Trentowski ma duży autorytet w branży filozoficznej a Baader i Hayn piszą o nim traktaty, ale się wnet degustuje i tej przerzuca do polityki. Posłuje do Frankfurtu w r. 1848 i jest objektem wspaniałych owacyj młodzieży krakowskiej w wielkiej sali gimnazjum Nowodworskiego. W Warszawie atoli w jej kółkach i kółeczkach, na salonach i zebrankach (pomimo tego, że i finansowo protegowany ni mniej ni więcej tylko przez Zygmunta Krasińskiego), w warszawskim „piccolo mondo" uchodzi za wcielenie Woltera i Belzebuba, za... odstępcę i odszczepieńca. Napisanej i wydanej po polsku „Chowanny" wszyscy przeważnie nie rozumieją a jeszcze przeważnie nikt nie czyta, gdyż spowodu nawału stosunków towarzyskich i współżycia w kupie (kupą panowie! kupą!) nie mają

czasu literaty na czytanie czegoś „egzo", a najwyżej nałogowo czytają samych siebie. Dla podkadzania. Nie znają więc „Chowanny" jak nie znają „Grudlagen" czyli podstaw filozoficznej uprawy goście literackich salonów państwa Łuszczewskich, państwa Wilkońskich, państwa Nakwaskich, państwa redaktorstwa Iksińskich. Nie mają czasu na to, ale czas i preteksty do „siedzenia na kanapie i się oburzania"... mają.

No i na jednem z takich niezliczonych zebranków „wieszcz" we fraczku granatowym, Antoni Czajkowski, założywszy rękę w kamizelę, przy głośnych aplauzach salonowego pasorzytnictwa, drżącym dyszkantem pod adresem Cieszkowskich, t. j. Trentowskiego, Skarbka, Wrońskiego, Morawskiego, Potockiego, Chojeckiego, Gaszyńskiego a może i... Klaczki („Die beiden Hegemonen") odczytuje następującą inwokację:

Błogosławieni pomazańcy Pana,
Boć błogo naród ich sławi...

(brawa)

A Ty Auguście, gdy Twe skronie
Światłem wybrańców Pańskich płonie,
Pragniesz Babelską wieżę wznieść,
Gdy Ci Twój naród niesie cześć.
I jakby obcy między swymi,
Błądzisz po dziejach obcej ziemi
W obcym rynsztunku, w obcej zbroi,
A swoim nic? Przecież to swoi.

(brawa)

A dzieje nasze, Boże daj,
Żeby miał takie każdy kraj!
(brawa)
Może się straszysz słowy temi,
Nie jesteś prorok między swymi!
A przecież nawet Zbawca Sam,
Gdzie się urodził umarł tam,
A choć o męce wiedział wprzód,
Kochał swój język i swój lud".

Tak piał i wypiał swe „j'accuse" na domowej gęśli mało znany poetata zadżumionych prowincjuszów i prowincjałek. Program swój w imieniu grupy talentów z Bożej łaski marnych i nijakich wyłuszczył jasno: nie wyjeżdżać nigdzie! tu siedzieć w kupie! zrazy z kaszą i kotlety z groszkiem a potem na wety: sonety i dumki, oraz mazura, wszystkie pary! z życiem panowie! z życiem!... A ci, co nosa wychylają za podwórzec i za opłotki, to Babel, Babilon... „Nawet Zbawca Sam, gdzie się urodził umarł tam"...

I teraz proszę sobie wyobrazić, coby to było, gdyby programu Antonina Czajkowskiego i jego parafjalnej archikonfranterni literackiej trzymali się różni tacy rodacy przedtem i potem? Coby było, gdyby „z granic miłey oyczyzny nigdzye nie yeżdżając", tu się paśli i „paśli jako w lesie zayąc"? Kościuszko i Pułaski, gdyby byli ostali doma i nie roznieśli sławy oręża za Ocean? Pułaski, gdyby był wrócił do rodzinnych pieleszy? Niemcewicz jakie miałby wymiary i pozycję w piśmiennictwie? Domeyko i Chodźko? Norwid, gdyby był gnił i butwiał między Goszczyńskimi i Garczyńskimi? Mickiewicz, gdyby tkwił w Wilnie, Słowacki w Krzemieńcu, Krasiński w Opinogórze, Chopin „pozostał siedzieć" w mazowieckim grodzie, skazany na komponowanie ziomkom i poziomkom! I teraz pomyśleć, coby było, gdyby nie „ekspatrjowały się" na czas jakiś z kretesem Modrzejewska lub Curie-Skłodowska, a tylko wśród swoich, dla swoich, ku swoim, przez swoich rozwijały po domowemu swe talenty. Czyż nie należy właściwie błogosławić tym wszystkim Emigracjom, pierwszej, drugiej, trzeciej, nawet czwartej (w czas wojny europejskiej), za to że dość ciężki, zasiedziały i przyziemny słowiański materjał rasowy kolejno wyrzucały z siodeł, wykorzeniały, wysypywały na świat i szlacheckim synom (powiatowym i wojewódzkim) rozszerzały perspektywy i horyzonty? Czyż bez tych, kolejno co trzydzieści lat następujących wysiedlań elity i przymusowego bytowania wśród obcych, nie bylibyśmy dzisiaj li tylko odmianą czy warjantem Bułgarów, Jugosławów, Słoweńco-Kroatów, conajwyżej Słowako-Czechów, pozbawioną wszystkich *literalne wszystkich wielkich nazwisk, światowych firm i nazwisk?*

Pod tym kątem pod europejsko-polskim, historyczno-polskim kątem widzenia radować i kontentować się należy nietylko tymi, co poszli na Europę, ale nawet tymi co się.. zbisurmanili, skozaczyli, sturczyli, zbałkanili, i to począwszy od...pułkownika Strasza. Tylko Anglja druga miewała takich jak nasz Emir Rzewuski! A cóż nas tam dzisiaj może irytować jeszcze przelotny kult Sadyka-Paszy dla zresztą imponującej figury despoty Mikołaja (niema to teraz carów i stupa-

jów sklepikarskiego fasonu?), jeżeli tenże Michał Czajkowski sturczeniec dał nam takie archipolskie historyczne wizje jak „Stefana Czarnieckiego", „Kirdżali" i „Wernyhorę", którego potem tuzin poetów obrabiał, persyflował i wyeksploatował? T. T. Jeż też wygrał tylko pisarsko na tem, że na Bałkanach wysiadywał a potem nam sympatję Szwajcarów zjednywał. Ale idźmy jeszcze dalej po linji tej tezy, hipotezy. Weźmy takiego „renegata", który zresztą nie był renegatem, bo choć z polskiego szlacheckiego rodu ale już się Niemcem urodził; czyż nie korzystniej było dla nas, że Alexander von Bronikowski przez lata krytyczne dla nas niemiecką publiczność karmił historycznymi powieściami pisanymi z gorącą sympatją dla naszej dziejowości, czy też żeby jeszcze powiększył niezliczoną falangą domowych opowiadaczy, przeżuwających po raz setny te same tematy, temeibardziej, gdy dał też Niemcom pierwszą źródłową, objektywną, ciepłą „Geschichte Polens"?... i Gołuchowskiego na polskie tłumaczył!

Patetyczne warszawskie wierszysko petersburskiego rymoraba, skierowane do Cieszkowskiego, mogło tedy przypaść do smaku salonowym patrjotom lub cyganerji nadwiślańskiej (losem i finansami deportowanej dożywotnio na pobyt w stolnicy) ale wykazywało też tępą krótkowzroczność, płyciznę tych środowisk zresztą intelektualnie niemożliwie podrzędnych. Mogli się już byli kontentować autorką „Czarnej Mary", Syrokomlą, Deotymą, Sową i innem domowem ćwierkającem ptactwem, a nie czepiać indywidualności umysłowych pierwszej rangi i europejskiego wymiaru. Ten

napastowany przez warszawskie muchy i komary Cieszkowski („prusofil") dał potem „Ojcze-Nasz" i odegrał wielką polityczną rolę i jeden z pierwszych nakreślił pierwsze zarysy ideologiczne wszechsłowiańskiej, rasowej solidarności, sam „spiritus rector" i dusza zjazdów w Berlinie, w Wrocławiu, w Krakowie, twórca programu pierwszej Ligi Polskiej (150.000 członków).

A Trentowski, przezywany odstępcą, odszczepieńcem, „kainitą" (sic!), Prusakiem? Nie wchodząc już w to, że później w r. 1868 najsurowszemi (przesadnemi) słowami gromił Niemców („nikczemny, podły, pieniędzy chciwy naród"), ale jakiżto położył zasługi, wzbogacając obszar językowy polski przez siebie stworzoną całą terminologją filozoficzną! Zapewne, że dużo z tych słów-inwencyj autora „Myślini" nie przyjęło się i nie weszło w użycie na stałe, ale ileż zostało? Przepadły: wiedzobłamy, prawdobłamy, wstępień, bożnica (teologia), sącz (dialektyka), siestrzan, bezbożeństwo, dwójgamiec i t. p., ale wieczyste obywatelstwo wyrobiły sobie: całokształt, jaźń, jednia, inność... i wiele, wiele innych, bez których nie mogli już się obejść Libelt, Kremer, Gołuchowski i... Norwid, na którego największy wpływ wywarł właśnie... Trentowski „kainita"...

I jeżeli teraz jeszcze przypominamy tu Trentowskiego rówieśnika, Klaczkę, to trzeba zasłużenie w światło podnieść mądrość przewidującą, spryt i rozum stanu krakowskich konserwatystów (uniwersytecko-senackich), że nie dali się zrazić pisaniem Klaczki do prasy „innoziemców" i jego wydawaniem po fran-

cusku a to „Causeries florentines" a to „Rome et la Renaissance", ale z respektem przygarnęli do siebie i zaakaparowali, robiąc zeń nawet wyrocznię polityczną i artystyczną i nie dając mu sfrancuzieć.

Gdy Klaczko drukował swych „Deux chanceliers", nie wołano mu: „I jakby obcy pomiędzy swymi, błądzisz po dziejach obcej ziemi", aczkolwiek w tym wypadku ta „obcość" jeszcze byłaby nie... „bez pewnej kozyry", mówiąc staromodnie.

W naszych czasach co znaczy w rozwoju artysty czy pisarza jaknajdłuższy pobyt jaknajdalej wśród obcych, mamy przykłady chyba olśniewająco wymowne. Jak szeroko rozpostarł skrzydła talent Sienkiewicza, gdy mu Modrzejewska i Chłapowscy dopomogli do dłuższych wędrówek po obcych nieznanych lądach? Jak dobrze dalej się stało, że Paderewski jaknajwcześniej i jaknajdłużej pozostawał w kręgach promieniowania kultury anglosaskiej! Jak dobrze się stało, że choć dzięki przypadkowi Reymont mógł przez dłuższe lata popodróżować tu i ówdzie. Vice versa jaką szkodę ponieśliśmy, że takie jak Żeromski i Wyspiański tuzy nie mogły poza krajem popasać dłużej, byle *nie ze swymi i nie wśród swoich*, przez co dorobek ich twórczości, strawny tylko dla naszych zdolności absorbcyjnych, dla cudzoziemców wszelijakich (mimo tylokrotnych zakusów) pozostaje nadal niedoprzezwyciężenia. Cóż to byłby za europejskiej poczytności dramaturg autor „Sędziów", „Protesilasa", „Klątwy", gdyby był niekoniecznie w krakowskim Krähwinklu przesiedział, opychany wieszczowemi objatami kapłanów krytyki jednego dnia, drugiego —

gorczycą i piołunem, gdyby raczej na dobrowolnej banicji pozostał byle pod kontrolą i presją światłej opinji koneserów nietylko domorosłych. A czy „Popioły" nie byłyby przy innej konjunkturze bytowej Żeremjasza polskimi „Wojną i pokojem" a „Dzieje grzechu" — „Anną Kareniną"? Czy następnie ponieśliśmy jakąkolwiek istotną szkodę, że Wyzewa (Wyżewski), Fortunat Strowski lub Kazimierz Waliszewski, w drugim już pokoleniu sparyzjanizowani, pisywali swe wytworne i delikatne essaye „w obcym rynsztunku i obcej zbroi", podczas gdy szczęśliwie polskie nazwisko nosił znakomity inicjator i animateur Stendhalowskiego kultu, krakowianin Kazimierz Stryjeński? I czyż tak wielkie straty i raczej czy jakąkolwiek stratę poniosło nasze piśmiennictwo przez to, że jakiś czas popularne powieści pisywała dla feljetonów bulwarówek pani Poradowska, że jakiś czas wpływowym w Paryżu recenzentem był Stanisław Rzewuski, autor kilku „pièces" teatralnych („Faustyna"), że jakiś czas redagował „Renaissance" Cipa Godebski, że jakiś czas roztaczał swe pawie demonizmy Apolinary Kostrowicki, że jakiś czas modna była poetessa Krysińska lub że najznakomitsze kulinarno-gourmandzkie podręczniki dla słynnej francuskiej kuchni komponowali potomkowie najautentyczniejsi nadwiślańskich żarłoków, i do tego z profesji... lekarze? Miałoż to wszystko koniecznie gnieździć się w Warszawie, deptać sobie po piętach i piętrach, użerać się o dziadowskie zaliczki, łazić po jour-fixe'ach do Geldhabów, do pani Eydziatowiczowej na flaki, do Benniego na tartinki? Czyż nie lepiej, nie stokroć lepiej się stało, że taki babsztyl przemą-

drzały jak Kitty z Rzewuskich Radziwiłłowa zapełniała wszystkie „magasiny" angielskie i amerykańskie całymi latami wspomnieniami swego przewspaniale awanturniczego żywota, niż żeby tym petersburskim kawiorem dzieliła się z czytelnikami „Kaliny", „Biesiady", „Wędrowca" lub „Kłosów"?

Pozostaje nam jeszcze Przybyszewski i Rittner. Z tych dwóch pierwszy był jakiś czas naszym ambasadorem literackim w Berlinie, gdzie nas chyba wonczas taksamo dobrze reprezentował jak ekscelencja Fred Wysocki po nim; drugi zaś, Rittner, posłował we Wiedniu, chyba z nieco większemi sukcesami, niż następcy już od oficjalnej Polski...

Oto jak prezentowałyby się podstawy czy premissy konieczne i ważne przed omawianiem fenomenu największego powieściopisarza, jakiego Polska wydała po Sienkiewiczu, wydała nie dla siebie ale *ad usum* całej ludzkości, specjalnie zaś ludzkości anglosaskiej, a więc co to ukrywać, ludzkość wyższego rzędu czyli noblessy człowieczej.

W pamiętniku swoim, wydanym już w r. 1905, tam gdzie Conrad apeluje do „wyrozumiałości"... rodaków?... znajduje się także taki passus:

„Jestem przekonany, że istnieją ludzie o *niezłomnej prawości*, którzy gotowi są wyszeptać z pogardą słowo: dezercja. W taki to sposób smak niewinnych przygód może się stać gorzki dla podniebienia. Oceniając ludzkie postępki, należałoby uwzględnić to co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wyjaśnienie nie bywa ostateczne. Nigdy nie powinno się rzucać na wiatr *oskarżenia o niewierność*. Pozory tego

kruchego życia są zwodne i jak wszystko podpadają pod sąd naszych niedoskonałych zmysłów. Wewnętrzny głos może pozostać *lojalny* w swych tajnych podszeptach. *Wierność dla pewnej tradycji* może przetrwać wśród wydarzeń życia zupełnie od pnia oderwanego a zarazem trzymać się uczciwie drogi wykreślonej przez niewytłumaczalny popęd".

To co tu powiedziane, a w czem każde słowo, każdy rzeczownik, każdy przymiotnik najgłębiej rozważony, zanim na papier przelany, mają dziś wagę dokumentaryczną..., to co tu powiedziane skonfrontować trzeba z drugą również najosobistszą enuncjacją:

„Zdolność pisania po angielsku jest mi tak przyrodzona jak pierwsze lepsze uzdolnienie, które mogę posiadać od urodzenia. Mam dziwne i przenikające uczucie, że ta zdolność stanowiła zawsze nieodłączną część mojego ja. Angielszczyzna nie była dla mnie nigdy kwestją przyswojenia czy też wyboru. Ma się tu do czynienia z intymnem i przez to bardzo tajemniczem oddziaływaniem. Jest to tak trudno wytłumaczyć jakgdyby się ktoś pokusił wyjaśniać *miłość od pierwszego wejrzenia*"...

Sapientibus satis, czyli dla umysłów dojrzałych, ogarniających definitywnie z perspektywy całość najniezwyklejszego literackiego zjawiska, to zwięzłe a najprecyzyjniej skonstruowane „confiteor" wystarczy dla absolucji totalnej.

Nic tu dodać ni odjąć ni przykrawać, ni fryzować czy tuszować. Możemy być bardzo wdzięczni czy to Szwajcarowi Morfowi za jego seminaryjną, doktorską żmudną pracę „The Polish Heritage of Joseph Con-

rad", i równie wdzięczni Jean Aubry'emu, francuskiemu klerkowi, który nawet do Polski pofatygował się po materjały Conrada „polish heritage" stwierdzające. I tak samo Gide'owi oraz tym wszystkim lubownikom Conrada w różnych nacjach i językach, którzy z tych lub innych racyj (bywa, że i z animozji do imperjalistyczno - monarchistycznego perfide „Albjonu") z dużym naszym benefisem kładą nacisk na jego polski „heritage". Sami nie powinniśmy ustawać w systematycznem przypominaniu światu, że największy marynista największego na morzach imperium nie miał w sobie jednej uncji innej krwi jak tylko i wyłącznie polską. Powinniśmy dołożyć wysilonych starań, aby dobywać pod światło wszystko, co jeszcze ukrywa się nieznane z jednej trzeciej części żywota Conradowego, t. j. z dzieciństwa, pacholęctwa i z pierwszej do siedemnastego roku życia, gimnazjalnej młodości.

W Polsce powinniśmy, wydobywszy go spod różnych przygodnych matronatów i protekcyj, oddać cały skarb, w tomach spopularyzowany, przedewszystkiem naszej marynarce, tak wojennej jak i handlowej. Oddać jako lekturę, wyłącznie jako lekturę. Całkiem na miejscu byłby też jakiś polski klub Conradologów, jak są asocjacje Browninga w Anglji.

Natomiast najstanowczej powinno się zaprzestać jakiegoś akaparowania go czy adoptowania przez piśmiennictwo polskie oraz zaprzestać niezdrowej i niezapetycznej manicry doszukiwania się czy dopatrywania w jego dziełach par force jakichś koniecznych śladów polskości, jakichś aluzyj, alegoryj, transpozycyj, co wszystko jest fikcją conicco w parwenjuszowskim guście. Jeżeli za Polaków i reprezentantów polskości bez reszty uważamy Jagiełłę i Batorego, Chopina i Matejkę, Pola i Lindego i pięciuset innych wmieszkanych krwi włoskiej i wołoskiej, semickiej i niemieckiej, francuskiej, szkockiej, greckiej, litewskiej, białoruskiej i czerwonoruskiej i jeżeli rozdrażnia nas i irytuje arogancja paryżan, wywłaszczających nas z Chopina, lub zabawny tupet Litwinów, odbierających Mickiewicza, no to nie mamy żadnych praw i nic możemy zgłaszać żadnych pretensyj o Conrada, równocześnie też zaprzestając niewczesnej zabawy z doszukiwaniem się u Conrada jakiegoś podwójnego patrjotyzmu i miłości do dwóch ojczyzn równocześnie. Nie można być żadnym patrjotą dubeltowym, obojnackim i hybrydą hermafrodytycznym. Można wyznawać przynależność do całej ludzkości, allright, i być obywatelem planety, planetarzystą, ale patrjotą można być tylko jednej ojczyzny i to na codzień i od święta. Żadnej nie ulega wątpliwości, że Conrad patrjotą był, i to w całem tego słowa znaczeniu i to właśnie patrjotą angielskim. Analiza tych wyżej przytoczonych cytat nie pozostawia chyba żadnych wątpliwości. W Anglji zakochał się „od pierwszego wejrzenia", a poślubił ją nie dopiero przy pierwszej wydanej książce (1894), ani też z wzięciem Angielki za żonę (1896), ale już w r. 1886, kiedy wraz z kapitanatem w marynarce handlowej naturalizował się i przyjął obywatelstwo angielskie. Znacznie przed nim optowała na rzecz Anglji solidna dynastja Hannover, zmieniając w czasie wojny nazwisko na Windsor; Niemców zresztą zanglizowało się

co niemiara z wnukiem gen. Blüchera von Wahlstatt (pogromcy Napoleona) na czele. Polaków zanglizowanych rozsypanych po r. 1863 po całem Trójkrólestwie, mieszkało przeszło *stu*, narodowościowo poznawalnych już tylko po nazwiskach. Dwadzieścia lat wiernej służby w marynarce zrobiło z exulanta Conrada przedewszystkiem pioniera brytyjskiej ekspansji handlowo-politycznej i fanatyka cywilizacji anglosaskiej tak konsekwentnego, że kiedy go pod jesień żywota zaszkoczyła „kwestja polska", to ojczyźnic swych przodków mógł życzyć tylko jednego, t. j. wciągnięcia jej do wielkiego „commonwealth" brytyjskiego z księciem Connaught jako... monarchą a w stosunku prawnopaństwowym do Anglji takim jak Kanada, ewentualnie możc co najwyżej jak Portugalja (sic!). Na patrjotyzm angielski bezkompromisowy, żarliwy, aktywny, przytoczyć możnaby dowodów bezliku a starczyć powinny: odmowa podpisu na proteście literatów przeciw egzekucji irlandzkiego rewolucjonisty Casementa (1916) oraz oddanie siedemnastoletniego syna jako ochotnika w szeregi armji angielskiej (1917). O żadnym tedy podwójnym patrjotyzmie niema mowy. I do Anglji, tylko do Anglji odnoszą się w „Lordzie Jimie" te zdania, kiedy jest mowa o „konieczności złożenia rachunku swego życia", zdania najopaczniej interpretowane jako adresowane do Polski: „bo każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siły, i taksamo człowiek wrośnięty jest w kraj, z którego czerpie wiarę wespół z życiem".

Conrad od dwudziestego roku życia szerpał *siły i życie i wiarę wespół z życiem* tylko z przybranej Wielkiej Brytanji. Idąc po życiowej linji największego oporu, utrudnienia i skomplikowania swego zadania, osiągnął w rezultacie rekord rekordów, największy o jakim mógł zamarzyć kiedykolwiek genjalnością pisarską ustygmatyzowany „Polonus gente".

Narodowi, z którego ten Sindbad się wywodził, razem z niepodległością odebrano ongiś dostęp do morza, zresztą przez dypomację albjońską systematycznie kwestjonowany. I oto jak rewanżuje się za to Nałęcz-Korzeniowski? Właśnie tej wszechmożnej Anglji, na wszystkich oceanach panującej („rule the waves"), dał po magnacku szereg dzieł z dziedziny, którą każdy Anglik uważa od wieków za narodową, najspecjalniejszą specjalność i domenę (dominion). Ale mało tego, że dając zrównał się ze wszystkimi najpopularniejszymi marynistami i narratorami przygód i „adventures" morskich, egzotycznych, tropikalnych, kolonjalnych. On ich pobił o głowę wszystkich (przeszło stu kilkudziesięciu) i w cień usunął, sam stając się morskiej opowieści protagonistą i solistą. Pysznemu narodowi żeglarzy, korsarzy, wilków morskich, zdobywców kolonij i kupców pół-piratów rzucił w rynki księgarskie najoryginalniejsze, najdziwaczniejsze, najwyrafinowańsze wizerunki tych ultra-Britons, posługując się językiem zbogaconym dziesięciokrotnie, „umuzykalnionym", ucyzelowanym (nietylko starannym i poprawnym) w strukturze i w kadencji stylistycznej, uważanej dotychczas za niedostępną dla cudzoziemców, z syntaksą najautentyczniej angielską. Wszystko to razem od pierwszego debjutu odra-

zu wzbudziło respekt u takiej selekty intelektualnej jak Galsworthy pierwszy, Bennet, bracia Garnett, Cunnigham Graham, wreszcie i Wells, który pisał wtedy:

„A przecież umiał Conrad wytworzyć niezwykle bogaty styl w opisowej prozie angielskiej, jakiś rodzaj angielszczyzny swojej własnej, wybitnie i prawie kategorycznie wolnej od stereotypowych frazesów i wyrażeń zużytych; obce zwroty i wyrażenia splątały się w tym języku z niezwykłymi wyrazami rdzennie angielskiemi, użytemi w sposób niezwykły"...

Tak pisała znakomitość literacka o angielszczyźnie Polaka, który trzydzieści lat temu nie sklecilby jednego zdania w języku Nelsona, Gordona i Gordona Byrona. I wystarczyło kilka tomów obcego, nieznanego przybysza, aby zaczęły o jego współpracę ubiegać się pierwsze magazyny: „Saturday" i „English" i ekskluzywne dzienniki: „Pall-Mall" i „Daily Mail", a z propozycjami zaczęli zgłaszać się editorzy: Pinker, Page, Harris i t. d.

Aby dojść do tego literackiego rekordu rekordów „drogą wykreśloną przez niewytłumaczalny popęd" trzeba było wszystko co na drodze przeszkadzało przezwyciężyć, odgraniczyć się od wszystkiego coby mogło zwycięstwo opóźnić lub zahamować, trzeba było wywalczyć sobie niezależność i niezawisłość duchową, pojęciową, narodową, partyjną, polityczną i finansową. Wysoce uzdolnieni Irlandczycy, synowie narodu katolickiego i skatowanego (Moore, Yeats, Shaw), dawali świeżo podniecający przykład, że zwycięstwo w języku „lords-people" jest osiągalne a na-

grodą: „civis britannicus", zaczem „glory" globalna i prestiżowy benefis dla narodu, z którego się wyszło. Ani więc nie był to u kapitana marynarki handlowej Konrada Korzeniowskiego dobór oportunistyczny, ani asymilacja przygodna, ani odstępstwo, zaparcie, dezercja, zdrada, wallenrodyzm, a jeno imperatywny „głos wewnętrzny" i najtrafniejszy nieomylny instynkt genjalnego unikatu („uomo singulare"), dyktujący mu w podświadomości, że tylko na tej niezwykłej skalistej, wąskiej ścieżce kompletnej „splendid isolation" dojść będzie mógł do ostatecznej mety, t. j. do narzucenia panom świata pana Korzeniowskiego .. nawet i w „Encyklopedia Brytannica!".

O żadnym zasię podwójnym partjotyzmie mowy być nie może.

Było to „życie zupełnie od pnia oderwane". Omal dwadzieścia lat „navigare necesse est". Zbieranie w dziesięcioleciach żeglugi i włóczęgi skarbów obserwacji, doświadczeń, doznań i ciosów losów; kolekcjonowanie reminiscencyj, materjału, osnów, tworzywa, surowca. Stosunków i zetknięć wtedy z rodakami nie było żadnych, ale jednak dwukrotna jazda kapitana królewskiej marynarki handlowej do Polski, do Kazimierówki pod Oratowem na Wołyniu, do wuja i opiekuna familji (1890 i 1893). Zaczem „wierność", dla *pewnych tradycyj* zachowana. Z tym wujem, Tadeuszem Bobrowskim, pamiętnikarzem (czterdzieści lat temu przez jeden rok słynnym) korespondencja przetrwała lat kilka a przepadła cała przy zniszczeniu Kazimierówki przez bolszewików... czyli klucz do „tajemnicy Conrada" zatopiony. Po pierwszej książce

przecięcie ostatnich pępowin łączących z polskością a mozolna, upragniona metamorfoza w „country gentlemana", w „csquire'a" dystyngowanego, z samochodem, z garażem, monoklem, żoną, synami, służbą w liberji, bibljotcką selekcyjną, z pozorami dostatku. Odseparowanie od polskości staranne i tendencyjne. Nawet ze zanglizowanymi Polakami żadnc kontakty nie nawiązane, jak oczywiście i z tymi z Thomas-Street lub z Soutbourne-on Sea, którzy wydawali „Przedświt" i broszurki niepodległościowo-rcwolucyjne. Kiedy jeszcze skromnie i biednie bywało w Capel-Housc, musiał anachoreta pracy chyba jak ognia bać się różnych łazików, żulików, trampów, „Polaczyszków" i naciągaczy łasych na picniądze, na wywiady, na „tołkowania po principjach", dyskusje ponocne. I w tych latach „wierność dla *pewnych* tradycyj" ujawniała się tylko chyba w tem że po polsku mruczał powożąc do konika „kentyjskiego" i kiedy miał gorączkę, i kicdy go nękała srodze podagra. „Wicrność" dla *pewnych* tradycyj przejawiła się też w spotkaniu ze sympatycznym cx-rcwolucjonistą zegarmistrzem Kliszewskim w Cardiff oraz na Capri w nawiązanej przyjaźni z imponująco rasowym galicyjskim arystokratą Szembekicm; dziedziczna żyłka grandseigneurska (po kądzieli) oddźwięczała wtedy z utajoną sympatją i znalazła rezonans w „Il Condc". Arcypolskie też pozostało mu to z manier naszej arystokracji atawistycznej wplątywanic w angielskie zdań i powiedzionek francuskich (z marsylskim akccntcm podobno). Najwiarogodniejsze jest, że się z „Panem Tadeuszem" nigdy w życiu nie rozłączał. Autentycznc-

to, że ważne dokumenty personalne cywilne podpisywał pełnem nazwiskiem.

Do polityczności i jakichkolwiek akcyj i imprez rodaków nie dał się wciągnąć nawet już podczas wojny i po dwumiesięcznej wizycie w Zakopanem („polski „sitzbad"), ani grupie Lednickiego i Zaleskiego (nagabywany natarczywie), ani grupie Paderewskiego nawet wtedy, kiedy sam jako już „celebrity" światowa wypisał kilka kazań politycznych w prasie. Ze swego stanowiska i planu życia rację z tem nieinterwenjowaniem miał najupełniejszą. Raz wciągnięty w „potępieńcze swary" i spory, byłby już brnął dalej z dotkliwą szkodą dla swej twórczości, byłby się dał wepchnąć w którąś z orjentacyj, co i artyście i pisarzowi mogło potem dać się we znaki. O spokoju i ciszy w Oswalds (Bishopsbourne) już wtedy nie byłoby mowy. Dostał zresztą ongi przed latami bolesną, niezapomnianą za takie „ustępstwo"... „nauczkę".

Było żc raz, raz tylko odstąpił od kategorycznego rygoru bczwzględnej izolacji, odstąpił przed natarczywością rodaka-dysputanta (1897 czy 1899). Odpokutował za to ciężko. I domowemi małżcńskiemi zatargami i na czas jakiś zatraconą wewnętrzną równowagą. Możc właśnie wtedy byłby sobie znów odświeżył „pewne stare tradycje", gdyby nic to żc dumnego „wilka morskicgo" z Nałęczów klanu urażono w najczulszc miejsce. Podczas gdy w niemieckiej prasie *właśnie wtedy* pojawiały się pierwsze biuletyny o Conradzie z zaznaczeniem, że „gente Polonus" właśnie wtedy w petersburskim ultraugodowym, broniącym najnotoryczniejszych „pierckińczyków" i zrusz-

czałych odszczepieńców tygodniku, w „Kraju" pojawiły się pod jego adresem najpierw niezbyt wybredne apostrofy prof. Lutosławskiego (gość nieproszony), potem Waliszewskiego (autora osławionego panegiryku na cześć Katarzyny II). Wreszcie zabrała głos z „oskarżeniem na wiatr rzuconem" i „prawość niezłomna" (jak to nazwał Conrad) t.j. Orzeszkowa. Passus z odpowiedzią przygodną, cytowany w „Some Reminiscences" wywołało prawdopodobnie to wystąpienie w „Kraju" i z kraju, na czas jakiś spokój w pracy zakłócające. O żadnem atoli poczuciu się do „winy" (odstępstwa, zaparcia, dezercji) na tej wyżynie moralnej nie może być mowy, tak jak nie mówi się o pronapoleonizmie Goethego (w najcięższych latach dla Niemców), antyangielskiej propagandzie Byrona czy antyniemieckiej furji Nietzschego. Pisaniny jakoby od tego czasu datowała się jakaś hipochondrja, stany przygnębienia i depresji, „typowa tragiczność renegata", to są truizmy dla mobu i parafjan nawet i stołecznych. Conajwyżej dadzą się u niego skonstatować pewne fazy nostalgji, normalne u déracinés (wykorzenionych Korzeniowskich), u wysadzonych z siodła (Nałęczów), u exulantów. W związku z niemi uczucie osamotnienia („sentiment de solitude"), pospólne wszystkim szczytowym indywidualnościom („sam wśród ludzi"). Toteż jak niema sensu identyfikować w większej rozciągłości autora „przygód" („adventures") z jego postaciami powieściowemi i coraz to w innej postaci dopatrywać się li tylko objektywizacji autorskich przeżyć, tak też niema sensu w każdym znów statku, w każdym szkunerze czy pa-

quebocie doszukiwanie się alegoryj... Polski. Ani go zagadnienie expatryzacji nie „męczyło" à la longue, ani nie „nurtowało" w nim, ani chronicznie nie absorbowało mu więcej czasu niż absorbuje w starszych latach każdemu przemęczonemu po oceanach włóczędze.

W związku z tem naszej Conradologji chwalebnie patrjotycznem ale bywa że i part--idjotycznem dowęchiwaniem się par force „śladów" polskości i alegoryzmu, pozostają też dwa mity, rozkrzewiane u świeżej daty koneserów Conrada. Jeden, to jego rzekome rozkochanie się w polskiej literaturze (i sztuce?), a drugi, to jego zagorzała wrażda do strasznych Moskali. I w tem i w owem mitoróbstwie decydowała dobra wola, najlepsza wola (przeważnie damska), przeważnie ad captandam rodaków benevolentiam dla uprzystępienia go ziomkom. W tem ufryzowaniu i umileniu zapędzono się dość daleko. A tymczasem i grammatici certant. Czytało się raz o zachwytach nad malarzem Rembowskim i o tem, że „największe wrażenie zrobili na nim Wyspiański i Żeromski", że były mu „ulubione" „Popioły" i „Syzyfowe prace", że w Zakopanem (lipiec i sierpień 1914) pochłaniał (sic!) stosami Prusa, że później unosił się nad „Pożogą" Szczuckiej itd. itd.

Pochłanianie takiej masy lektury w tak krótkim terminie już robiło wrażenie paradoksalne a budziło grube wątpliwości u każdego co nie od wczoraj starał się cośkolwiek choć poznać ten intelekt fascynujący, wybredny a wskroś w angielszczyźnie myślowej tkwiący. Skąd nagle taki smak dla bigosu i swojskiej kuch-

ni? S. p. Maciej Wierzbiński, który ongi dwanaście lat w Londynie i też w środowiskach literackich przebywał, rewelował całkiem inaczej; bliski Conradowi znów w ostatnich latach Józef Retinger pisał wyraźnie: „ani znawcą ani miłośnikiem współczesnej literatury polskiej nie był", „ani Żeromskiego ani Wyspiańskiego nie odczuwał zupełnie", „zresztą nie czytał dużo po polsku".

Prawda tym razem wcale nie leży w pośrodku, ale przechyla się ku drugiej tezie. Dużą rewerencję żywił Conrad dla polskich autorów tylko starej daty i raz ich wyliczając, wśród czterech nie zawahał się obok Mickiewicza i Kraszewskiego postawić dwóch „retrogradów" i ugodowców: Henryka Rzewuskiego i Józefa Korzeniowskiego jako mistrzów, z którymi konkurencja trudna. We współczesnej natomiast literaturze polskiej przypadkowy dobór jego był kapryśny i niespodziewany. Oficjalnie popularnych kultów nie podzielał i odnosił się do nich z całkiem zrozumiałym sceptycyzmem. „Wielkie wrażenia" i „ulubienia", to sentymentalna damska demagogja tłumaczek.

Zrozumiały natomiast zresztą notoryczny i stwierdzony pozostaje kult Conrada dla Tołstoja i Turgeniewa, znanych mu z tłumaczeń osobistych przyjaciół Garnettów. W sferę legendy należy zaliczyć także opowiadanka o „spluwaniu na słowo car", o wychodzeniu z mieszkania gdy wchodził Moskal lub Moskalka i t. p. allotria ad usum pierwszej rzeszy czy brygady czytelników, ad maiorem gloriam P. O. W. czy „szlachciców z P. P. S.". Rzecz prosta że dla caratu, cerkwi i samodzierżawia nie żywił afektów ani

jako „torys", ani jako Europejczyk, ani jako potomek ziemian, w którego rodzie choć po kądzieli było *wielu* wyższych wojskowych w służbie rosyjskiej, to jednak kilkunastu bliskich i *najbliższych* przeszło przez katorgi, Sybir i z ziemi naddziadów wywlaszczenie. W żaden sposób nie można Conradowi imputować jakiejś prolongowanej od dziecięctwa aktywnie zapiekłej, zagorzałej, nieprzejednanej nienawiści do Moskali i Moskalek, jeżeli ten autor zdecydował się na danie inteligentnej spółczesności angielskiej tak wspaniałych i w tak wysokiej temperaturze uczuciowej poczętych projekcyj psychiki rosyjskiej jak... Natalja Haldin, jak... Tomasow.

Najmądrzej antyrosyjskim posunięciem Conrada było najpierw uczuciowe, poczem cywilne optowanie za Wielką Brytanją, która w duchu, w obyczajowości i w polityce jest i pozostanie po wieki Wielkiej Barbarji antypodami. Obywatel państwa, dającego poddanym J. K. Mości największą sumę cywilnych swobód i wolności, musiał organicznie ze stanowiska stricte „quite english" gardzić tak ustrojem absolutystycznym, policejsko-żandarmskim jak i totalną rabją, wiekową cierpliwością i uległością Słowian.

Odciążając znakomitego pisarza angielskiego ze sztucznego balastu wmawianych weń „rozkochań" i przypisywanych nacjonalnych nienawiści, zastrzec się też trzeba przeciw podmalowywaniu go na jakiegoś znów „obywatela świata", tęskniącego do jakiejś planetarnej powszechności, pobratymstwa narodów i ludów i łącznie z tem zmierzającego do dyskredytowania kapitalizmu i apelującego do ideałów wszech-

miłości i admirującego całą ludzkość bez reszty. Przenigdy! Admirował Conrad... admiralicję i flotę J. K. Mości i wszystkie Wielkiej Brytanji instytucje, normy, doktryny, obyczaje, włącznie ze wszystkiemi metodami i manierami imperjalistycznej ekspansji kapitalistycznej, solidaryzując się zawsze z oranżyzmem, z landlordyzmem, z żingojizmem nawet, z prasą diehardów (Avellanów), której był zapamiętałym czytelnikiem. O żadnym podwójnym patrjotyzmie, t. zn. angielskim i... planetarnym, nie może być mowy. Rację też ma zbankrutowany socjalistyczny gaduła amerykański Upton Sinclair, „zarzucający" Conradowi obronę kapitalizmu, podczas gdy cienia prawdopodobieństwa niema w naszych sentymentalnych (także damskich) egzegezach literackich, dociągających (czy degradujących) skroś i z heroizmem antydemokratycznego powieściopisarza do wymiarów holenderskiego malkontenta - egzotysty Multatulego. Czerwienią Conrada była wyłącznie i jedynie czerwień flagi morskiej J. K. Mości. O żadnych ciągotach kosmopolitycznych w sensie wszechhumanitarnego, wszystkie klasy i rasy w ucisku ogarniającego altruizmu, nie może być mowy. Patrjotą był w tej skali stuprocentowo angielskim, w jakim... Chopin polskim.

Z dniem wyjścia z druku „Szaleństwa Almaycra" „w obcym rynsztuku, w obcej zbroi", obiit Sclavus, natus est Conradus; słowo „cantans" do „sclavus" mogli i mogą dodawać dziś jeszcze tylko podludki, podjadki, drób podwórzowy, jętki-jednodniówki, tschandala literacka, miałł ludzki fasonu wierszoklety Antoniego Czajkowskiego, ogarniającego świat ducha i jego fenomeny z perspektywy żab kumkających.

Czas więc i nie pozostaje nam nic innego jak nietylko tak się oswoić z *angielskością* Korzeniowskiego jak Anglicy oswoili się z Conrada *angielszczyzną*, ale iść jeszcze dalej w wy*(rozum)*iałości (od *rozum!)*, t. zn. błogosławić datę 14 października 1874 r. kiedy to siedemnastoletni Sindbad opuszczał szczęśliwie kraj na zawsze, aby (ku wieczystej chwale swego polskiego pochodzenia), zyskać z czasem epolety i rangę najwyższą w literaturze, liczącej wśród komandorów swoich Walter Scottów i Dickensów. Nie na rzecz dziedzicznie wrogich nam sąsiadów Niemców lub Rosjan przychodzi zrzekać się nam tego fenomenu i nie w erze już przywróconej własnej państwowości, ale na rzecz pięknej nacji lords-people. Utraciliśmy go zaś jeszcze wtedy, kiedy tylko dzięki takim artystom i duchowym ambasadorom byliśmy reprezentowani w świecie a na Zachodzie przypomniano sobie łaskawie o egzystowaniu zapomnianego narodu od Wschodu tylko dzięki... „artystom". I aż nieprzyjemnego uczucia doznaje się na samą myśl, że Korzeniowski mógł trafunkiem *(chance)* między swymi w gromadzie zostać, może i dla ziomków zakalce wypisywać, swojskiemi bobkami się kontentować, babki na kanapach emablować, bubkom z młodszej generacji schlebiać, honorowe obywatelstwo otrzymać, prezesować, wiceprezesować, wśród ramolów ramoleć, wśród tumanów tumanieć, wreszcie w estymie rodaków jubileusz obchodzić (złote gody z bryndzą) i wreszcie syt sieczki i sukcesów doczekać końca...

Pysznimy się monumentami Pułaskiego w Ameryce (Pułaski-Day). Notujemy z dumą, że w Nowym Yorku przemianowali Exterior-Avenue na Marie Curie-Avenue.

Niedawno w tymże samym New Yorku przy świątyni marynarki amerykańskiej otwarto muzeum poświęcone największemu narratorowi marynarskich przygód w języku angielskim piszącemu: jest nim Józef Konrad Nałęcz-Korzeniowski.

Nie możemy więc żywić ani cienia żalu czy pretensji do autora „Prince Roman" za to, że w „obcym rynsztunku, w obcej zbroi" szedł od zwycięstwa do zwycięstwa *mocny człowiek.*

Natomiast na miejscu jest tylko podziw i wdzięczność za to, że tę drogę wyniosłą i osamotnioną, właśnie tę a nie inną najtrafniej wybrał, że niczem odstręczyć i zastraszyć się nie dał, aby tylko żeglarskiej i marynarskiej elicie elit pośrednio polskie prawo przystępu do oceanów precyzyjnym sposobem sprezentować. Ułatwionego życia nie miał i nie chciał mieć. Inni raczej wygody, on tylko przygody.

Napracowawszy się najsurowiej i najsumienniej, wszystko swoje spełniwszy „summa cum laude", leży tam gdzieś na angielskim wiejskim cmentarzu sam wśród swoich, ale obcych swoich. Dożył tego, że książki jego błądzą po morzach i oceanach. Ale i tego, że każdy po przeczytaniu zachwycony, zamyślony, zdumiony powtarza i powtarzać będzie:

„A jednak to był Polak, niewątpliwie Polak!".

Tak. Najrasowszy.

„WIERNE RZEKI" I „URODY ŻYCIA"

Nie było wskazane, aby zmarła niedawno pani Jessie Conrad, wdowa po znakomitym angielskim pisarzu Conradzie-Korzeniowskim, przypuszczała, że jej dwie publikacje „Conrad jakim go znałam" i „Conrad i jego koło" nie wywołały w Polsce żadnego rezonansu. Tak nie było. W grupach entuzjastów wielkiego narratora nawet już pierwsze notatki dziennikarskie o obu jej książkach wywołały jaknajfatalniejsze wrażenie, spotęgowane oczywiście u tych, którzy walcząc z niesmakiem i z rozżaleniem, przebrnęli przez obie libelle. Godzi się to najstanowczej stwierdzić, aby relacja o jednomyślnem zdegustowaniu do niefortunnej rewelatorki w rodzinnym jej męża kraju doszła tam gdzie należy. Słowo *oburzenie* w danym wypadku jest właściwem słowem na właściwem miejscu.

Przypomnijmy sprawę.

Dziesięć lat temu umiera wielka znakomitość w piśmiennictwie anglosaskiem, z pochodzenia Polak z kresowej wykorzenionej sfery ziemiańskiej, w każdym calu gentleman. Pozostała po nim z dwoma synami dorosłymi i z dużemi dochodami z literackiego dorobku nieboszczka wdowa, w opinji tak angielskiej jak i polskiej ustabilizowana jako „wierna rzeka".

W galerji małżonek wielkich pisarzy czy artystów istnieją (niekoniecznie zaraz odróżniają się od siebie), jak wiadomo czy też niewiadomo, t. zw. „wierne rze-

ki" i t. zw. „urody życia". Niekiedy „urodami życia" bywają „wierne rzeki", niekiedy niekoniecznie. Zofja Tołstojowa jest klasycznym typem „wiernej rzeki"; wdowa po Dostojewskim była i jego „urodą życia", Celina Mickiewiczowa była tylko „wierną rzeką", podczas gdy wdowa po Prusie przysparzała „urody życiu" zmarłemu pisarzowi. Tylko „urodą życia" Balzaka była pani Ewelina, jak znów Anatole'owi France tylko „urodą życia" była Emma Laprévotte, dawna pokojówka jego przyjaciółki-protektorki, pani de Caillavet. Heinego „wierną rzeką" była Teresa, Niemka, która go przez sześć lat leżenia w łóżku pielęgnowała, a „urodą życia" była Camille „la Mouche", która do chorego sparaliżowańca codzień o godzinie piątej przychodziła. „Wierną rzeką" Krasińskiego była hrabinna Eliza, która mu troje dzieci urodziła, a „urodą życia" Delfina Potocka, która miała cierpliwość tysiąc jego listów odczytywać i tysiącem odpisywać. „Wierną rzeką" pozostała Strindbergowi z trzech żon jego pierwsza, która go trojgiem dzieci obdarzyła a którą niewdzięcznik w trzech książkach najszkaradniej i najpogardliwiej sprezentował. Niezwykle rzadkiem połączeniem zalet „wiernej rzeki" i „urody życia" były u nas żony filozofa Gołuchowskiego, bojownika Niemojewskiego, męczennika Brzozowskiego. Tylko „urodami życia" są o czterdzieści lat młodsza żona 74-letniego dramaturga niemieckiego Hauptmanna lub Marja Michaiłowna Kudaszewa, urodziwa była sekretarka a obecnie małżonka 70-letniego Romain Rollanda, komunistyczna emisarjuszka, która go w objęcia sowieckie pchnęła, zdepopularyzowała i wykończyła. Na jeszcze ujemniejszy typ urody życia natknął się sędziwy Maeterlinck, poślubiając hałaśliwą aktoreczkę Georgette Leblanc, która w rok po rozejściu się z poetą szpetnie go opisała.

Pani Jessie Conrad nie poszła za pięknymi wzorami tych wdów po wielkich pisarzach, które długie dziesięciolecia milczą, choć miałyby zawsze dużo do powiedzenia, skoro jest rzeczą notoryczną, że im większy genjusz tem mniej ma talentów małżeńskich. Nie. Pani Conrad nie zamknęła drzwi przed natrętnie nadchodzącymi kusicielami, wysyłanymi przez firmy profitujące z sensacji, przez editorów-traditorów. Na usprawiedliwienie żałosnych wyczynów pisarskich nie miała literalnie ani jednego argumentu i na żaden przykład powołać się nie mogła. Wdowa po Verlaine'ie wydała książkę o potworze, za którego mając lat szesnaście wyszła zamąż, ale książkę w szesnaście lat po zgonie poety, którego mimo jego degeneracji, alkoholizmu, pederastji, sadyzmu i okrucieństwa wybielali par force i per nefas biografowie, z niej, z męczennicy, bitej, kopanej, plutej, tratowanej, robiąc monstrum małomieszczańskiej dulszczyzny i ignorancji. Pełne prawo miała bronić się przed wściekłą nagonką homokseualistów, którzy jak wiadomo, tworzą sui generis masonerję seksualną, a w tym wypadku z „kupca kolonjalnego" Rimbauda zrobili sobie patrona.

Również pełne prawo rozpisywania się mają córki innych wielkich Europejczyków, stając w obronie swych poniewieranych w opinji matek. Tak z oskarżeniem ojca Strindberga wystąpiła pani Karin Smirnow, kiedy już mocno szpakowaty a zawsze wichro-

waty skandynawski Casanova znalazł wreszcie drugą „urodę życia", wiedenkę aktorkę Friedę Uhl, a kiedy pierwsza po żonie „uroda życia" Harriet Bosse, porzucona, wydała sobie bezceremonjalnie tom listów miłosnych do niej pisanych. Ponieważ w świetle tej korespondencji i znanych powieści Strindberga matka, która opuściła spokojnego barona Wrangla z miłości do dzikiego autora „Ojca" i „Panny Julji", uchodziła za prostaczkę i jędzę, przeto elementarnym obowiązkiem córki, gdy matka ze stoicyzmem milczy, było stanąć w obronie... „wiernej rzeki".

Taksamo elementarny obowiązek swój spełniła i nadal spełnia niestrudzenie Tatjana Suchotina, stająca w obronie Sofji Andrejewny Tołstoj. Tej sytuacja bez porównania trudniejsza od córki Strindberga, bo wymagająca bohaterstwa, apostolstwa, czujności. Tatjana Suchotina ma przeciw sobie wielkie moce i potęgi. Przeciw niej staje zwarcie duży procent ludzkości, wdzięcznej Tołstojowi przez synod wyklętemu za rozbudzenie głodu reformy agrarnej, za wypowiedzenie wojny latyfundystom, za jego rewolucyjny lucyferyzm i prekursorstwo komunizmu. Inny procent ludzkości, wdzięczny Tołstojowi za arcydzieła, poprostu arcydzieła, dosłownie nieśmiertelne. Tołstoj, to już dla nich nietylko jeden ze słupów milowych rozwoju ludzkości, to nietylko przez całą ludzkość gloryfikowany genjusz, ale to Słowiańszczyzna wcielona, Prometeusz, Mojżesz z Jasnej Polany, Prorok, Święty. Takie oblicze od strony świata. Inaczej dla Tatjany Suchotiny. Wobec systematycznego nie już postponowania ale poniewierania w opinji matki-męczennicy,

to dla córki Tatjany tylko „straszny ojciec" i okrutny dręczyciel. Przecież świeżo, niedawno (1935) „wytworny" francuski pisarz, gentilhomme Montherlant nazwał żonę Tołstoja „wściekłą suką"! Toteż elementarny obowiązek spełnia sędziwa dziś Tatjana Suchotina, jeżeli nie spocznie a wszelkiemi siłami zwala z pamięci matki-męczennicy balast bezecnych oszczerstw, szkalowań, przekręcań.

Nad zabronzowanym Tołstojem czuwa i trzyma straż tysiąc piór. Odbronzować go nie będzie łatwo! Jakżeż to bezceremonjalnie w ostatnich latach zminimalizowali Wagnera i Goethego, jakich to olbrzymów nie pomniejszają (Dante, Milton). Do jak mizernych poziomów obniżono Victora Hugo. Tołstoj, pogromca caropapizmu a apostoł rzekomo „bezkompromisowego chrześcijaństwa", dotychczas nieomylny, nietykalny, tabu, prorok. Coprawda Bierdiajew odmawia mu jakichkolwiek praw do tytułu proroka i w całym żywocie i działalności tego chrześcijanina dopatruje się pogaństwa i wiary tylko w... sztukę i piękno, ale od czegoż apologeta i gloryfikator Goldenweiser i takich Goldenweiserów tysiące! Jako ojca i jako męża atoli Lwa Mikołajewicza nie wybielą i nie wybronią. I Tatjana Suchotina (jak przedtem zresztą jej bracia) nie powinna przestać bronić czci i pamięci swej matki, choćby przeciw nie sprzysięgły się wszystkie Czert-kowy i Gide'y, literaty i reformaty, radek-ały i rewolucjonery obu półkul!

Genjusz jako małżonek był straszny. Prorok, ale co rok to prorok, trzynaścioro dzieci, sześć pomarło i pogrzebano, przez dwadzieścia pięć lat karmienie,

i to sama Sofja Andrejewna, bo „chłopki karmiły same" i „natura tak każe", a choć doktorzy zakazywali, bo wrzody na piersiach, ale doktrynie ślepego, zajadłego despoty musiało stać się zadość. Odetchnąć nie dawał tyran. Całe gospodarstwo wiejskie, administracja dóbr i lasów, wszystkie rachunki i podatki, kontrakty, umowy na jej głowie. Edukacja i higjena potomstwa na jej głowie. Genjusze na te sprawy poziome nie mają czasu, choć bywały czasy i okresy całe że nic a nic nie robił, ziewał, kontemplował i przeszkadzał. Przepisywanie rękopisów. „Wojna i pokój" siedem razy od początku do końca, kilka też razy „Kreutzeroską sonatę", dziś już zwietrzałą ramotę, wówczas wstrząsającą, wyszydzającą małżeńskie porubstwo i grzech śmiertelny „rozpusty" małżeńskiej, ją właśnie Zofję Andrejewnę obrażającą. Pilnował żeby się śpieszyła i była punktualna. Spać nie potrzebowała, on spał za nią. Dzieci czytać i pisać uczyć musiała ona sama, choć od guwernerów w hrabskim domu anachorety (z wściekłym apetytem) aż się rojiło. W „wolnych" chwilach (od robienia korekty) grać musiała na fortepianie Mozarta i Beethovena (to samo co Mickiewiczowa), ale żaden fałsz mu nie uszedł, za każdą omyłkę admonicja i irytacja. Młodość miał burzliwą i rozpustną, ale się tyran animalicznie nie wyżył i nie wyczerpał, starczyło na czterdzieści osiem lat pożycia, żeby chwili spokoju nie miała dla siebie i nie ścigały jej te lisie oczka, z których potem zaraz padały pioruny gniewu i złości a z ust morały o inferiority kobiety, „nieczystego stworzenia", przeklętego wroga wszelkiej duchowości, wszelkiego postępu, wszelkiej humanitarności. W pierwszej połowie życia jeszcze i grymasy. Bywała zaznaczana wyższość w hierarchji ducha i w skali powabów i uroków rodzonej siostry Sofji Andrejewny, Tatjany, którą przekornie najprześlicznej opisał jako Nataszę w „Wojnie i pokoju". Druga połowa małżeńskiego pożycia to już czysta gehenna. Lwia libido sexualis uspokaja się, ale świetnemu, na wszystkie języki tłumaczonemu romansierowi już nie wystarcza literacka sława. Zarozumiały, szatańsko dumny i pyszny graf, który „Wojnę i pokój" równał tylko z „Iljadą", zblazowany laurami i sukcesami, daje się oszołomić upojnie podchlebnymi toksynami adoratorów, akolitów, apologetów. Mesjanizm. On! Tołstoj, wieszcz, zbawi ludzkość. On *drugi* po Chrystusie. Ale musi dać sam przykład i jak Chrystus rozdać maluczkim dobra doczesne... bez odszkodowania.

I zaczyna się metamorfoza kostjumowa i fotografje „za pługiem", co szalenie imponuje demokradzkiej Europie i literatnikom, jakoże przecież pan z panów. Dostojewskij, chrześcijanin dosłowny, głoduje dosłownie (nie kuracyjnie), cierpi nędzę przerażającą, cudem ratuje się od szubienicy i w bezsennych nocach pracując o chlebie i wodzie, daje światu arcydzieła; Tołstoj przyjmuje deputacje, delegacje, reporterów amerykańskich i całe czeredy snobów i znów maszeruje za pługiem przy... fotografach. Kiedy przychodzi wiadomość o zgonie Dostojewskiego, Tołstoj wybucha płaczem, tak jak Goethe popłakuje raz nad niedolą pani... Walewskiej. Ale Goethe nie idzie na pogrzeb swej biednej żony, tylko odłożywszy na chwilę

gazetę (sic), przypatruje się pogrzebowi z okna. A Tołstoj, choć stale głośno litował się nad niedolą Dostojewskiego, obiecanych mu... dwustu rubli jakoś nigdy czasu ni okazji nie miał wysłać. Absorbowała go bowiem obok pisania ustawiczna walka i żarcie się z żoną. Tak, to było prawdziwe Inferno.

Gdy tedy taką bezprzykładną martyrologję matki—rehabilitująco prześwietlają córki, jak w wypadkach myzogina Strindberga lub wskroś fałszywego (w porównaniu z Dostojewskim) humanitarysty Tołstoja, wszystko jest w porządku, bo jest to ludzkie, arcyludzkie, z czwartem przykazaniem dekalogu zgodne. W porządku jest dalej, gdy po stuleciu panegiryzowania literackich potentatów dostajemy teraz nowe „podejścia", wizerunki bez retuszu, roentgenowskie zdjęcia, „wielkości napodomu" dokonane nawet przez „Eckermannów" jak np. oskubanie z piór pawich Anatola France'a. Tego rodzaju negatywy-konterfekty demijurgów, olimpijczyków, tytanów bywają często upragnionym odczynnikiem na staromodne wyolbrzymianie klikowe, na partyjnickie gloryfikacje, na beatyfikacje, deicyzacje i na nagminnie grasującą i czepiającą się szczególnie t. zw. „wieszczów" (szczególnie słowiańskich) hagiografomanję, hagio-grafomanję. W porządku moralnym jest więc np. wdowa po Verlaine'ie swoją małżeńską martyrologję odsłaniająca. Usprawiedliwić też można wdowę po Krasińskim, gdy wnet po śmierci stale zdradzającego ją (po trojgu dzieciach) męża wychodzi (mając lat czterdzieści) za zakochanego w niej młodziutkiego Ludwika Krasińskiego. Wdowa po antysemickim publicyście francuskim Drumoncie też całkiem słusznie bezprzykładną swoją nędzą i lodowatą obojętnością obozu męża usprawiedliwiła swoje przejście do obozu Zoli i Clemenceau i objęcie stanowiska gospodyni w famılji... Loevy. Wdowie po Jaurèsie długie lata pozwoliła bogata Francja z głodu ginąć, dopóki się nią nie zaopiekowali... nacjonaliści. Te wdowy po wielkich a biedaczki usprawiedliwione są całkowicie.

Publikacje zmarłej pani Conrad nastąpiły już w kilka lat po świeżej śmierci, kiedy jeszcze nawet się nie rozrosły krzaki róż zasadzone na grobie pisarza, który jako człowiek był antypodą, biegunowem przeciwieństwem despoty z Jasnej Polany i innych małżonków poligamistów. Wywołała czy sprowokowała te publikacje tłumiona długie lata przypadłość grafomańska i przerost ambicyj niebacznie podrażnionych bo urażonych przez przyjaciół z otoczenia zmarłego (Garnett). „Wierna rzeka" nie chciała poprzestać na skromnej roli gospodarnej, zabiegliwej, skrzętnej gospodyni i normalnie poprawnej towarzyszki niedoli i doli, ale zapragnęła widocznie roli i aureoli Egerji i inspiratricy, do czego zdaje się nie było minimalnych predyspozycyj. Że w dwudziestu latach pożycia jako stenotypistka przepisywała wszystkie rękopisy (jak Tołstojowa), że grywała mu na fortepianie (jak Tołstojowa), że asystowała przygodnie dialogom intelektualistów, gości przybywających do Capelhouse czy Bishofsbourne z Londynu i że ci goście, elita najwyższych dziesięciu tysięcy, nie odnosili się do niej tak jak do lady Balfour czy Elżbiety Browning, więc w osobie o małomieszczańskim poglądzie na świat

i manierach wyrodziła się demonicznie przekorna pasja wymierzenia sobie satysfakcji i zabłyśnięcia w nieprawdziwem świetle „urody życia"... Tytanji, na której nie poznał się... Oberon i jego orszak. Tymczasem fizycznych warunków też poskąpiło Przeznaczenie bardzo korpulentnej, cierpiącej na opuchlinę nóg i stale po mieszkaniu o lasce a przeważnie w kierunku kuchni chodzącej. Przy dosłownym braku wszelkich znamion Arjelowych najmniej miała pani Jessie danych aby w towarzyszu lat dwudziestu (raczej szekspirowskim Prosperze) doszukiwać sią motywów... Kalibana. A tak w rezultacie wyszło w drukowanem słowie.

Znamy dziś odwrotną stronę kobierca różnych wielkości. Conrad w pantoflach nas tedy ani nie przestraszy, ani nie rozczaruje, ani nie odstręczy. Wysoce odstręczające natomiast, bo niebywałe jest tylko to, że tego „uczłowieczenia wielkości" i tego przybliżenia perspektywicznego dokonała zbyt pośpiesznie „nieutulona w żalu" wdowa, dotychczas za „wierną rzekę" uchodząca a tak bezceremonjalnie chorobliwość swych ambicyj demaskująca.

Jakżeż bowiem wyszedł na swej patrjarchalnej monogamicznej wytrwałości, jakżeż nagrodzony został „mąż idealny", za to że nie poszedł za przykładem wielkich literackich Faustów, odmładzających się ponownie... „urodami życia"? Przykładów dokoła i wstecz miał chyba coniemiara. Sam Goethe... czternaście przez Leporellów Eckermannów notowanych, i coraz to młodszych, omal dziewczątek. Milton święty od „Raju utraconego" trzy żony. Dickens, Wells,

Bennett!! każdy po „wiernej rzece" i „urodzie życia". Po trzy żony Liszt i Lenbach. Po trzy żony Sienkiewicz i Przybyszewski. I jakiż to chyba środek regeneracyjny, impulsy twórcze i aktywność wzmagający, jeżeli taki 70-letni Rolland idzie po zastrzyku młodości odrazu jaknajdalej na łeb i na szyję w lewo (ale idzie) a taki Hauptmann pod wpływem „urody życia" zgłasza akces... do Hitleryzmu (ale zgłasza) i zdobywa się na energję wygłaszania szeregu odczytów w Stanach i na zdawaniu egzaminu na pilota i jeszcze pisze kolejno szereg nowych doskonałych rzeczy.

Conrad żeni się w wieku lat czterdziestu, zastrzegając się, że nie leży w programie jego pożycia małżeńskiego mieć potomków, spadkobierców i sławobierców. Pomimo tego Opatrzność obdarza go dwoma synami. Żyjąc w wiejskiem ustroniu nie widzi poza rodziną i poza swoją twórczością pisarską ni świata ni jego rozkoszy. Tak przeżywa wiek męski, całe lat dwadzieścia bez żadnej pasji, bez żadnego nałogu czy narowu jak przy pastorowej pastor, jak Filemon przy Baucis. Jeżeli gdzie wyjeżdża, pisze do niej listy codziennie! Wierniejszego małżonka nie miała chyba żadna „wierna rzeka". Pani Jessie nie przeżywała nic z tego co przeżywała żona świętobliwego Chateaubrianda, wracającego nad ranem o piątej od piątej z rzędu „urody życia". Nie grał w karty Conrad (jak Dostojewskij), nie pijał (jak Poe), nie miał pojęcia o narkotykach ani zboczeniach jak tylu innych wyrafinowanych panów z tej i z tamtej strony kanału. Okazuje się teraz, że tak także źle i że szczęście małżeńskie w wyższych regjonach nie na tych niewczes-

nych cnotach i zaletach mężowskich polega. Pani Jessie bowiem skarżyła się czytelnikom że jej mąż *za dużo* w domu wysiadywał i że tygodniami z domu nie wychodził. Poczem w dwóch tomach zebrała przymiotniki składające się w sumie na obraz cyklotymika: nierówny, zmienny, kapryśny, pobudliwy, drażliwy, podejrzliwy, porywczy, rozdrażniony, wybuchowy, gadatliwy, milczący, zamknięty, skryty, zaczajony, zatajony, uparty, przekorny, nietolerancyjny, egocentryczny i t. d. i t. d. Takie samo „naręcze" przymiotników z przeróżnemi niuansami można zebrać w grze towarzyskiej o każdej wybitnej osobowości siedzącej na cenzurowanem. Każdy mniej lub więcej trochę: astenik i schizofrenik. Zależy od dozowania. Gadatliwy i rozgadany całe noce z obcymi, będzie milczącym mrukiem wobec korpuletnej jejmości szczebiocącej o podskokach cen targowych, o kiepskich konserwach i o przewrotności kucharek nowoczesnych. Z żabiej perspektywy pani Dulskiej każdy typ cyklotymiczny wydaje się już anomalją. O jakże ciężko jest być „wierną rzeką" cyklotymika, oscylującego na codzień między dur a mol, od pogody do posępności! Dała nam zmarła wdowa cykl zwierzeń kumoszkowatych, maglowych, w stylu „weź pan sobie żonę sprosta, duże szczęście małe koszta". A to że całe dnie w szlafroku, a to że szlafrok zapalił się od pieca, a to że lepił przy lunchu kulki z chleba, niedopałki z cygar rzucał bądź gdzie, popiół na serwety i na dywan, zamykał się w łazience, pisywał w oranżerji, śmiecił na podłodze papierkami, których trzeba było potem szukać, bo na nich fragmenty z...

„Nostromo", ze „Zwierciadła morza". Jakże ciężko być żoną wielkiego pisarza! A te niespodzianki! Wracała z podróży i oto cała służba oddalona! Albo znowu zaproszeni goście z sąsiedztwa a pan domu nie wychodzi ze swego studio (bo się „zapisał"). Tych gości, których powinno się z ostentacją, przyjmował ozięble i z pańska, z frenezją zaś i serdecznie jakichś obcych, którzy nie ziębią ni grzeją. Jakże ciężko było być połowicą Proteusza z wątrobą Prometeusza! No a ta dystrakcja, a to roztrzepanie, a ta nieporadność, niezaradność, niepraktyczność, nierachunkowość! Aha i jeszcze jedno, jeszcze jedno. Gdy pisywał te egzotyczne powieści, bywało, że kazał jej się przebierać w egzotyczne kostjumy dekoltowane i tak paradować po mieszkaniu; nie mieli wtedy jeszcze dzieci, nie ważyła tyle, była jeszcze „smart", „swelt", była „chica" (tak ją zwał z hiszpańska), ale było przecież niekiedy zimno, więc „marzła". Victor Hugo i wielu innych mieli też takie pomysły, ale ze swojemi... „urodami życia". Conrad z „wierną rzeką", za co pokaran słusznie i sprawiedliwie i normalnym obywatelom z Trójkrólestwa sprezentowan jako dziwadło, okaz, curiosum. Nawet do fryzjera musiała z nim chodzić jak z dzieckiem i pilnować, żeby mu głowę ostrzygli! A zarost miał twardy, szorstki, szczecinowaty!... Anglicy miewają miękki...

I oto w czem rzecz! gdzie punctum saliens? W tem że pani Jessie przy okazji zemściła się na nieco bagatelizujących jej wielmożność przyjaciołach męża i w tem że na swoje „poświęcanie się" (najnormalniejsze z normalnych) patrzyła przez szkła powiększające

i to że robienie korekty i przepisywanie rękopisów awansowała na inspirację i na heroizm. Całkiem zabawny i groteskowy jest też leitmotiv, że „psychologja kobiet była mu całkiem obca", jeżeli się przypomni piętnaście tomów i trzydzieści kobiecych dusz mistrzowsko ewokowanych. Niezabawny, niesmaczny i całkiem w plebejskim guście jest drugi „leitmotiv": „the polish husband" i nacisk na tem demagogicznie położony w sensie: jak ciężko było być żoną cudzoziemca, człowieka np. polskiego pochodzenia!

I z tem już musimy się rozprawić twardo.

Anglicy wynaleźli termin *gentleman*, więc uchodzą in corpore za naród gentlemanów. Swift, Sheridan, Shaw i kilku czy kilkudziesięciu innych zgłosili pewne zastrzeżenia co do tego. Nadaremnie. W opinji konwencjonalnej kobiet z kontynentu każdy przeciętny i nieprzeciętny Brytyjczyk musi być idealnym mężem, bo jest idealnym mężczyzną-gentlemanem. Powieść, dramat, komedja angielska mają w tej materji zdanie cokolwiek odmienne i odrębne. „Stadło" angielskie jak również rodzina angielska cieszy się renomą poprawności, wzorowości, doskonałości. Rubryka kroniki towarzyskiej w dziennikach angielskich natomiast dostarcza z tej dziedziny wielką obfitość materjału contra. Na dowód atoli jak piękne, przykładnie i normalnie, bez ekscesów żyją na wyżynach harmonji i zgody małżeństwa angielskie literackich „prominents", przytaczano przez całe można powiedzieć stulecia a to Miltona, pobożnego wieszcza narodowego, a to znowu bożyszcze solidnej gentry, pogodnego humorystę Dickensa. Pomijano nie bez pewnej hipokryzji Szekspira, Byrona, Burnsa, Wordswortha, Wilde'a a z dumą wyciągano błogosławione żywoty Miltona i Dickensa, jako najbardziej reprezentatywne, przeciwstawne francuskiemu, rosyjskiemu czy kontynentalnemu rozluźnieniu obyczajów. I ta legenda trzymała się długo i mocno. Likwidowanie jej zaczęło się już w r. 1918. Od tego roku zaczęły wychodzić różne publikacje bardzo przykre i kompromitujące.

Najpierw, poszedł na szafot odbronzowania Milton, schizofrenik, dysplastyk, cyklotymik, lekki zboczeniec i monstrum prodigium. Rzadko psychopatyczny okaz, choć nieszczęśnik na stare lata niewidomy. Kłamca nałogowy, pijak, tyran, trzy żony zmienił, a każda uciekła, również uciekały kolejno terroryzowane trzy córki. A na obrazkach dla narodu i oleodrukach: „Milton z córkami czytający Pismo Święte". Purytańska świętość.

W rewanżu za tak okrutne odbronzowanie wieszcza przychodzi publikacja dokumentów o Byronie. Już stary J. G. Byron, par angielski, to okaz patologiczny. Z jedną żoną miał ułomnego syna genjusza. Z drugą córkę Augustę. Kiedy byli dziećmi, Augusta broniła brata przed tyranią zwyrodniałej macochy. Potem wyszła zamąż za pułkownika Leigha. A młody lord Byron poślubił baronessę A. I. Milbanke. Przeżyli rok miodowy i mieli córkę Adę. Po roku żona dowiaduje się, że poeta już ma kochankę. I tą kochanką jest... jego przyrodna siostra; miłość kazirodcza trwa już od r. 1813. Ucieka więc od Byrona a Byron musi emigrować z Anglji. Córka z tego stosunku przeciw naturze nosi imię Medory i uchodzi za dziecko colo-

nela Leigha. Jako Medora Leigh wychodzi zamąż za męża... swej rozwiedzionej siostry i umiera w obłąkaniu; poczem umiera Augusta kazirodczyni, poczem żyjąca w odosobnieniu Ada Byron, wreszcie nieszczęsna ofiara lady Anna Izabel. Pamiętnik ekshibicjonistyczny poety spalono. W latach stosunku kazirodczego napisał największy poeta Brytanów: „Manfreda", „Kaina", „Child-Harolda", „Korsarza", „Narzeczoną z Abydos"...

Ledwie przebrzmiał ten straszliwy skandal, kiedy Pruderja anglikańska dostaje do przełknięcia rewelacje z koła anhellicznych Prerafelitów. Okazuje się bowiem, że żona poety malarza Rosettiego, nieziemskiej urody „Beata Beatrix" z obrazów szkoły prerafelickiej, jednak sama sobie śmierć zadała. Nie mogła znieść dalej złego traktowania przez tego artystę najdelikatniejszego z delikatnych, nie chciała stać na przeszkodzie rozwojowi jego talentu warunkowanego miłością nowej „urody życia", żony Morrisa, też tylokrotnie malowanej. Otruła się. Zrozpaczony poeta włożył do trumny ofiarnie tom niewydanych wierszy. Uchodził długo za najbardziej idealistycznego mistyka, marzyciela, fantastę. W r. 1869 namyślił się i tom poezji z trumny Beaty Beatrix wydobył. Wydał.

Z współczesnych Conradowi notablów literackich twardo profilują się jako małżonkowie Bennett i Wells. Nie przypomina się nawet Oscara Wilde z jego notorycznym i można powiedzieć, spopularyzowanym homoseksualizmem. Również chyba godzi się pominąć nieszczęsnego suchotniczego rudowłochatego goryla D. H. Lawrence'a, który uwiódłszy żonę

swemu profesorowi Niemcowi, bił ją, tłukł, kopał i torturował, aby następnie lepiej smakowały posiniaczonej obleśne karesy rozwydrzonego a pozatem bezsprzecznie genjalnego plebeja. Ten Anglik nie był chyba pokaz-okazem gentlemana, któregoby można przeciwstawić „the polish husband"? Ale czy byli wzorami małżonków idealnych burżuazyjni pisarze Bennett lub Wells?

Bennett, przywiązany normalnie do swej „wiernej rzeki", dał pewnego razu Londynowi widowisko jeszcze efektowniejsze od jego „Grand-Hotel Babylon". Wyszedł sobie z domu i już nie wrócił, przesyłając „wiernej rzece" przez adwokata wezwanie, aby się natychmiast wyprowadziła; przeznaczył jej takie a takie apanaże, motywów nie podał...

Wielki Wells znowuż sam się dość naobnażył najpierw w swych powieściach omawiających małżeński problem, a potem w swojej autobiografji. Ożeniony z własną kuzynką, rozwiódł się po kilku miesiącach, aby z p. A. C. Robbins przeżyć potem lat dwadzieścia, doczekawszy się syna i córki, w tej fazie „anti-fashionable" stosunku broniąc zajadle wszelkich nowalij w dziedzinie reformacji seksualnej, „nierozerwalności miłości", małżeństw koleżeńskich, ograniczenia gatunku i t. p. Wreszcie po latach dwudziestu stosunek został ulegalizowany. Jako model też zatem służyć nie może.

Pozostaje Dickens. Długie lata i dziesięciolecia cytowany jako wzór i model anglosaskiej „correctness" rodzinnej i małżeńskiej. Taki wielki niezrównany stylista i artysta a jakto i jakże zrównoważony so-

lidny pan domu i pater familias! Szereg nieśmiertelnych arcydzieł dał swym ziomkom a z pisaniem tych arcydzieł umiał pogodzić życie stateczne, spokojne, normalne. Jedenaścioro dzieci miał, więc płodny i w znaczeniu biologicznem a jakże wyrafinowany i wykwintny, wzruszający narrator, jakiż pogodny, słoneczny, harmonijny charakter!

A co to zaszło w r. 1858?

Oto w r. 1858 Dickens po dwudziestu dwóch latach wzorowego pożycia małżeńskiego, z „wierną rzeką" się rozwiódł. Po dwudziestu dwóch latach!

Dickens, jakim go znała i kochała jego „wierna rzeka", był w „trzeciej połowie" swego życia co się zowie schizofrenikiem, cyklotymikiem, hipochondrykiem, omal tak uciążliwym i wampirycznym jak... Tołstoj. Anglosas najrdzenniejszy, mało się różnił w usposobieniu, w charakterze, w biegunowości swej natury, w despotyzmie i w egotyzmie od rozwichrzonego, rozmierzwionego Słowianina. W momencie kryzysowym małżeństwa, kiedy miłość przechodzi poprzez etap wzajemnej idealizacji (transfuzja jaźni), w fazę dozgonnej przyjaźni Dickens na całej linji zawiódł. Ongiś wzruszający angielskich widzów i słuchaczów duet romansowy Dickensów stał się szarpaniną, gmatwaniną, kakofonją z samych dysonansów. Zachodziły też komplikacje jeszcze pod jednym względem analogiczne do Tołstojowskich. Kiedy młodziutki Charles, z procederu reporterek z „Morning Post", poznał trzy córki redaktora „Chronicle" Hogartha, zakochał się właściwie we wszystkich trzech... Ale ożenić się można było tylko z jedną. Wybrał więc Kitty. Ale kiedy

wkrótce potem, zmarła nagle i niespodziewanie szesnastoletnia Mary Hogarth, mąż Kitty wpadł w obłędną rozpacz i przyszedł do przekonania, że on właściwie kochał tylko nieboszczkę, tak jak Tołstoj dawał żonie do poznania, że właściwie ideałem jego była Natasza... nie Sofja Andrejewna. A kiedy po dwudziestu dwu latach małżonkowie Dickens się rozstali, w sporze poważnionych po stronie Charlesa a przeciw Kitty stanęła... trzecia siostra... Georginia, przyjaźnie dlań usposobiona do samej śmierci. Faktem jest, że nie natrafiwszy na swoją „urodę życia", na swój regeneracyjny gatunek, na swoją „podporę starości", na kobiecy stipulans aktywności i odrodzonej twórczości (sublimowany *sex)*, nie wykąpawszy się w nowem „źródełku młodości", nawet ten największy z humorystów sposępniał, skwaśniał, sfermentował i tak zaczął wyziewami mizantropji zatruwać domową atmosferę, że z tego ongiś Edenu familijnego wolały emigrować i progenitura i magnifika i uciekać gdzie nogi poniosą, gdzie pieprz rośnie, byle jaknajdalej, jaknajdalej. I faktem też jest, że nawet za najlepszych czasów w stosunku do Kitty Hogarth Dickens zachowywał się nie gentlemanlike, postponował ją, lekceważył, ośmieszał ją, wyszydzał i to nawet wobec obcych ludzi.

Ideałem małżonka tedy Dickens mianowany być nie może. I wogóle angielscy „prominnents", inteligencje pierwszorzędne, reprezentanci wysokiej rafinady towarzyskiej, cerebralne cyple i wirchy, „fine fleur" noblessy ludzkiej, na punkcie małżeńskiej doskonałości mają pewne mankamenty (manka i męty).

Z tej przyczyny dwutomowe lamentanda i gorzkie żale zmarłej wdowy Jessie Conrad były całkiem nie na właściwem miejscu. Wiadoma rzecz, że genjusze i genjalni nie mają talentów na normalnych mężów. Autor „Zwierciadła morza" *wyjątkowo* posiadał i ten talent, ale jego winą było znów, że nie poszedł za przykładem Victora Hugo, Chateubrianda, Wagnera, Hauptmanna, Strindberga, Romain Rollanda, Goethego i... Fausta, ratującego się przed przemocą starości w wiadomy, patentowany sposób. Zatrzymawszy się przy „wiernej rzece", nie znalazł czasu dla „urody życia". Nadto nie potrafił zrymować sobie japońskiego: „kobiety nie bij nawet kwiatem" z Nietzscheańskiem: „nie rozstawaj się z batem", który jak wiadomo, może być spleciony i z pajęczyny... Za te winy spotkała go kara, szczęśliwie przynajmniej że po śmierci.

SZERMIERZ NIEZNANY

Niema w piśmiennictwie polskiem nowoczesnem ani jednego autora tak przemilczanego, zapomnianego, zagrzebanego, wymazanego, jak pewien niecałe czterdzieści lat temu zmarły, do którego pisał w dłuższym liście nie kto inny jak bądźcobądź Victor Hugo co następuje: „Dzieło pana jest tego rodzaju, że o niem z autorem chciałoby się pomówić".

Inny poeta, także romantyk, tym razem rodak Kornel Ujejski, w jednym z listów tak zniechęconego Nieznanego pocieszał: „Narzekasz na nieuznanie! Czyż myśliciel kiedy za życia uznany został? Pracujesz dla Polski, a Polska, to przecież nietylko ci co dziś żyją, ona jest tem czem była i czem będzie. Więc ruszajmy się i naprzód!".

Inny poeta współczesny, Teofil Lenartowicz, we wspomnieniu pośmiertnem pisał: „Niezmiernie mi smutno! — Polak, poetyczna dusza, pełna świętych uniesień, irytująca się, ale nigdy w osobistej rzeczy; jakiś jakby z napoleońskich czasów starej gwardji żołnierz, orzeźwiający się piosenką, wymowny i ruchliwy, — typ natury polskiej"...

Dla J. Ign. Kraszewskiego: „każde jego słowo oddychało Polską, Polsce służyło, Polskę przynosiło".

W samą wilję śmierci „dzielnego szermierza" ogłoszono w prasie adres podpisany przez kilkuset obywateli dzielnicy, w której osiadł. Adres zaczynał się od

słów: „Czcigodny Panie! Trzydzieści lat krwawej pracy, poczętej w imię najczystszej miłości Ojczyzny, a dokonywanej w poczuciu świętego obowiązku bojowania o lepszą przyszłość narodu, o nieprzedawnione jego prawa, o wolność, to jest o zwycięstwo prawdy, — ten olbrzymi zakres czasu, poświęcony wyszukiwaniu faktów dziejowych, dla oświecenia drogi pochodu naszego, dla zwalczania fałszów rozmyślnie przez wrogów na szkodę naszą głoszonych, — to święta dla Matki Ojczyzny służba. Przed tą żmudną, mrówczą pracą, Czcigodny Panie, chylimy dziś czoła nasze, Wielki, Zacny pracowniku na niwie dziejów ojczystych!"...

Musiał więc chyba być kimś wybitnym i ważnym, kiedy tak się do niego odnosiła jego generacja.

Otwieramy najważniejsze tomy dziejów literatury. W Chmielowskim nic, w Tarnowskim nic, w Brücknerze nic, w najnowszej „Literaturze polskiej porozbiorowej" Chlebowskiego (Lwów 1935) także nic. Ani słówka w Kridlu, w Pinim, w Grabowskim. Ani u Lorentowicza ani u Konrada Górskiego. Cowięcej ani w Smoleńskiego „Szkołach historycznych w Polsce", ani w drugiem wydaniu „Dziejów polskiej myśli politycznej" Wilhelma Feldmana i uzupełnieniu Józefa Feldmana. Zaczem już tedy całkiem wyraźnie formalne zagrzebanie. Nazwiska nawet omal nikt sobie nie przypomina.

Wobec tego, stanowczo należy odkopać, niesprawiedliwość naprawić, szermierza i działacza przypomnieć, indywidualność pisarską zrekonstruować, dorobek i zasługi sprezentować, znaczenie i rolę nietylko

w kraju ale i zagranicą rozświetlić, krzywdę, wieloletnią krzywdę całkiem przypadkową a niczem niezasłużoną, jakotako byle coprędzej wymazać. Nakazuje obowiązek kombatanta-epigona, z którym to obowiązkiem tym razem kojarzy się harmonijnie specjalny afekt do niezwykłych ludzi walczących z otoczeniem i z epoką, afekt do płynących przeciw prądom, do przekornych i zadziornych. Taki był przez całe swe życie Buszczyński Stefan, nomen totaliter ignotum, szermierz i bojownik niepodległości w erze i środowisku jawnie tej niepodległości nieprzychylnem.

Nazwisko i działalność Bolesława Limanowskiego zna dzięki jego szczęśliwemu dożyciu naszych czasów każdy inteligent polski w odnowionem i odbudowanem państwie; na pogrzebie tego rówieśnika i w pewnych punktach stycznych współzapaśnika Buszczyńskiego paradował z ostentacją nawet rząd ad captandam benevolentiam i tolerantiam. Innym a tych dwóch rówieśnikiem (sic) Juljanem Klaczką, ciągłością jego legendarnej renomy i pisarskiego autorytetu, nadal opiekuje się obóz, którego Klaczko był „lumen de coelo"; więc i nadal pojawiają się czy to dzieła czy rozprawy mocno rozdętej wielkości poświęcone. Obóz zaś, którego jednym z ideowych antenatów (obok Jeża) możnaby uznać Buszczyńskiego, nie uważał za stosowne i wskazane zainteresować się nim kiedykolwiek, poczem ekshumować i włączyć do partyjnego panteonu, gdzie przecież miejsca jest sporo a torsów na miarę Fidjasza niewiele. Tymczasem nikt tak się tam nie kwalifikował jak właśnie Buszczyński, przez lat trzydzieści „szkoły krakowskiej" i austrjackiego

poglądu na świat niezmordowany, najaktywniejszy antagonista.

Jak każdy pisarz i działacz typu Mohortowego, pochodził Buszczyński oczywiście z kresów, tym razem z południowo-wschodnich, skąd hetmani i wodzowie, konfederaci i excentrycy, skąd ojciec Marek i brat Albert, wielcy poeci, muzycy, malarze. Uniwersytet kijowski, ożenek podolski, gospodarka w Niemierzu (Mohylewszczyzna) do roku krytycznego, w którym za powstańcze organizowanie trzech powiatów zaocznie na śmierć skazany, poczem na 20 lat katorgi, „ułaskawiony", z chorą żoną uciekłszy, na emigracji w Szwajcarji się znalazł. Gdyby nie katastrofa historyczna i tragedja osobista, Buszczyński byłby może pędził żywot zamożnego hreczkosieja, raczej plantatora buraczanego, zostawszy dzięki wykształceniu i niepospolitej inteligencji jakąś powiatową wielkością, może nawet marszałkiem szlachty. Współudział w powstaniu, nawet nie zbrojny ale organizacyjny, wysadził go z siodła, wykorzenił z ziemi, rzucił w tułaczkę, w świat, i zrobił zeń publicystę w czterech językach piszącego. Debiutantem atoli nie stał się dopiero na emigracji. Miał już za sobą dwie broszury polityczne; jedną z r. 1862 p. t. „Cierpliwość czy rewolucja?", w której stojąc wówczas po stronie Białych (Wielopolskiego), polemizuje z gen. Wysockim i z Mierosławskim; a druga wydaną we Lwowie po polsku „Podole, Wołyń, Ukraina" (1862) a w Szwajcarji po francusku (1863) p. t. „La Pologne et ses provinces méridionales".

Lata szwajcarskiego pobytu, to dla Buszczyńskiego okres najintensywniejszej pracy głównie dokształceniowej. Po stracie przewczesnej ukochanej żony w Montreaux, rzuca się w studja historyczne i pochłania literalnie całe bibljoteki. Owocem tych studjów jest wreszcie dojrzałe pełne dzieło, krytyka cywilizacji politycznej i socjalnej, analiza wszystkich ustrojów europejskich pesymistyczna a nawet desperacka p. t. „La décadence de l'Europe", pod pewnym względem antycypacja tak niedawno modnego „Untergangu", (des... Morgan- czy des Nordenlandes?). Dzieło to pisze po francusku doskonałym językiem i własnym sumptem wydaje w Paryżu. Ta to książka (dziś biały kruk) jasnowidząco wróżąca Europie obłęd militarystyczny, szereg kataklizmów wojennych, przewrotów komunistycznych a wreszcie rozkład, upadek, zniszczenie i powrót barbarzyństwa, ta to kassandryczna zapowiedź Polaka (dzisiaj w Polsce nieznanego), zyskuje sobie szereg pochlebnych recenzyj w całej prasie szwajcarskiej i paryskiej, z potężnym wonczas „Siècle", z „Opinion" i „Nation" na czele. Czyta ją i wypowiada się o niej i Napoleon III („c'est triste mais c'est vrai"), zapoznają się z nią podobno i Gorczakow i Garibaldi i Bismarck i Disraeli.

Z Paryża przenosi się Buszczyński z dwojgiem małych dzieci do Krakowa (1869), gdzie przyjmują go niemal owacyjnie jako do pewnych granic europejską capacitas. Finansowo jest całkiem niezależny a nawet majętny, co pod Wawelem także pomaga mocno w narastaniu respektu i estymy. Z jego ziem „merydjonalnych" rozbiło tu namioty jeszcze kilku emigrantów. Przyjazne stosunki nawiązuje przedewszystkiem

z antropologiem Kopernickim. Ale serdeczna przyjaźń łączy go z pewnym przedwcześnie zestarzałym tetrykiem z ul. Poselskiej, sybirakiem, łaskawie z Wołogdy wypuszczonym, Apollem Nałęcz-Korzeniowskim. Kolegowali na uniwerku w Kijowie. Spokrewnieni są choć odlegle przez Bobrowskich trzech braci, z których Tadeusz, mecenas, osławionych „Pamiętników" autor, nawet zagląda czasem do Krakowa. Apollo tłumaczy teraz kolejno po „Pracownikach morza" „Legendę wieków", tego samego Victora Hugo, który przecież zaszczycił Buszczyńskiego swym listem. Ma tam cośniecoś do opowiadania przyjacielowi Apollowi Buszczyński, który w Paryżu zaprzyjaźnił się także z Mickiewiczami, córką i synem wydawcą broszury Buszczyńskiego o prawach Polski do jej trzech prowincyj południowo-wschodnich. Szczególne cuda cudeńka musiał opowiadać peregrynant światowy Buszczyński o pierwszej Wystawie paryskiej, z której trzydzieści korespondencyj drukował w krakowskim ...„Czasie". A tym rozmowom ojców przy herbacie przysłuchiwali się dwaj mali chłopcy, którym było na imię Konstanty i Konrad... *Conrad.*

Za pierwszym pobytem Buszczyński był, jak się rzekło Krakowa faworytem. Z Paryża przywiózł także dyplom honorowego członka Tow. Historyczno-Literackiego, podpisany pięknie przez księcia Władysława przez generałów: Zamoyskiego i Bystrzanowskiego, przez Bronisława Zaleskiego i niejakiego... Kalinkę księdza.

Zaimponowało to matadorom krakowskim. Toteż po dyplomie paryskim (1867) przychodzi odrazu pośpiesznie dyplom krakowski na honorowego członka Tow. Naukowego Krakowskiego, późniejszej Akademji. Owacje i rewerencje idą tak daleko, że kiedy w r. 1869 tworzy się pierwsza katedra historji polskiej, Buszczyński jest pierwszym kandydatem. Katedrę dostaje atoli kto inny. Dostaje reprezentant młodych z całkiem nowej koterji „Przeglądu Polskiego", wchodzących na arenę naukową i publiczną z całkiem odrębnymi i odmiennymi koncepcjami, doktrynami, planami i programem.

Buszczyński za pierwszym swym trzyletnim pobytem w Krakowie nie zdawał sobie jeszcze sprawy z możliwości potencjalnych nowej grupy naukowej, a z... czasem politycznej. Wogóle nie mógł przypuszczać, aby z tego małego zaspanego „Krähwinklu" mogło wejść w świat coś oryginalnego, coś na większą skalę. Poznał przecież niedawno w Paryżu tego chudego, drobnego, suchego księdza Kalinkę, który musiał uciekać z Krakowa, skoro się wydało, że to on pod pseudonimem „Pęcławskiego" wydał w czerwonym Poznaniu u Woykowskich najsurowszy paszkwil na Kraków a wogóle najstraszliwszą satyrę jaką ktokolwiek gdziekolwiek napisał o jakiemś mieście, tym razem *rodzinnem* mieście.

Ale przesądzając beztwórczość u starych Krakowian, mylił się już Kalinka co do młodych, kiedy pisał że młodzicż z tego nieszczęśliwego ogółu też nie tworzy jakiegokolwiek wyjątku, bo w niej ta sama „apatja"... „najstraszliwszy dowód zgnilizny". Otóż tu się nie orjentował, gdyż właśnie wchodziła w życie publiczne grupa bardzo świeża i śmiała ideowo,

inteligencje pierwszorzędne o kulturze intelektualnej solidnej, a przedewszystkiem dużej wiedzy historycznej. Przewodził im poeta historjozof Szujski, a należeli do grupy Tarnowski, Wodzicki, Dębicki, Kłobukowski, Popiel, Siemieński, Koźmian, Walewski, ksiądz Golian, a zczasem doszli do nich wielki Klaczko, wielki Bobrzyński no i sam... ksiądz Kalinka. Tarnowski też debjutował kryptonimowo paszkwilem, i to także na rodzinne miasto, bo „Szopką" drukowaną w pierwszym roczniku nowego „Przeglądu Polskiego. A w tymże „Przeglądzie Polskim" zaraz potem (1868) programowe prowokacyjne prace o dziejowości i o przyszłości polskiej pod wspólnym tytułem „Teka Stańczyka". Już więc Kraków nie spał, już się budził, już się zaczynał nowy ruch ideowy, coprawda także sui generis. Kiedy sejm galicyjski uchwalił w r. 1866 słynny adres wiernopoddańczy („Przy tobie stoimy i stać chcemy"), najmocniejszy rezonans znalazło to odrazu pod Wawelem. I tu realiści młodzi wiekiem podjęli trud zmontowania pełnej ugody z austrjackiem państwem i dworem. Non est salus propter Austriam.

Do tego celu wielkiego trzeba było poświęcić środki i skonstruować całą nadbudowę ideologiczną. Pendant do warszawskiej organicznej pracy od podstaw. Przedewszystkiem więc wykazać polską „niższość" czyli młodszość cywilizacyjną (Szujski). Po spopularyzowaniu takiego „inferiority-complexu" udowodnić chroniczne braki, wady i usterki każdego ustroju polskiego w niepodległej republice (Szujski, Bobrzyński). Dalej niezaradność i chorowitość wszelkich prób re-

generacyjnych (Kalinka). Poczem już twardo i na całym froncie wystąpić przeciw wszelkim „snom o szpadzie", przeciw ciągłościom powstań, przeciw ideologjom poetów, wieszczów i mesjanistów i przeciw narzucaniu krajom (Korony Św. Szczepana) wszelkich dyrektyw emigracyjnych. Tylko tutejsi decydują o tutejszych; bohaterowie nawet, skoro są z banicji, nie mają nic do gadania.

Zanim jeszcze grupa młodych z „Teki Stańczyka", czyli stańczycy, objęła całkowicie rząd dusz, nasz romantyk jeszcze się na czas jakiś z Krakowa wycofał. Jednak było dla człowieka z kresów w Krakowie stańczykoskim za duszno i za parafjańsko. Trochę go zraziło i zniechęciło, że dla katedry historji okazał się „zbyt szybko postępowy" (tak to sformułowali młodociani stańczycy, t. j. Szujski), a trochę chciał jeszcze odetchnąć europejskiem powietrzem. Buszczyński przeniósł się do Drezna. Tu przeżył lat zgórą sześć, dzięki resztkom pańskiej fortuny poświęcając się pogłębieniu swej wiedzy, pozostając w stałym kontakcie z Rapperswilem i z jego ludźmi, głównie z Gałęzowskim, Bukowskim, Laskowskim i Lewakowskim. Tu koncypował swoje nieszkodliwe ale i bezwartościowe poematy („Niewolnik", „Duch światła", „Lucyfer"), stąd korespondował z wszystkimi europejskimi „prominents", zapoczątkowawszy usus i formę t. zw. „listów otwartych" do Bismarcka, do Szuwałowa, do Suworina („Moskowskije Wiedomosti"), do Spasowicza i do wielu innych. W Dreznie również, gdzie najbardziej przyjaźnił się z Kraszewskim, dokończył swego drugiego dzieła na większą skalę, t. j. niejako dal-

szego ciągu „Décadence", pisząc po niemiecku „Die Wunden Europas" zwrócone przeciw Marxizmowi, socjalizmowi i nihilizmowi, ostrzegając przed ich w fałszywym kierunku rozrostem i rozpowszechnieniem. Ponieważ francuskie wydanie tej znów pacyfistycznej dysertacji, zwróconej przeciw dalszemu procesowi pauperyzacji ludów europejskich przez forsowne zbrojenia nosiło tytuł: „Le catéchisme sociale" (Lipsk 1877), przeto rząd pruski ni stąd ni zowąd, na kredyt węszą propagandę socjalistyczną (sic!) w Niemczech rozszerzania dzieła zabronił. W każdym razie Buszczyński jako publicysta i myśliciel polityczny już miał w granicach możliwości konjunkturalnych renomę europejską.

W międzyczasie przez te lata z małej koterji - jaczejki torysów-ugodowców z „Przeglądu Polskiego" zrobiło się potężne, zwarte, zdyscyplinowane stronnictwo, podpora tronu i Burgu, a wzamian za to szafarz łask, mandatów, dygnitarstw, awansów. Akademja w ich rękach (Szujski generalnym sekretarzem), Alma Mater w ich rękach, kurja biskupia także, a w sejmie elita a w Reichsracie języczek u wagi. Stolica Jagiellonów stała się twierdzą Popielów. Ksiądz Golian grzmiał na wszystkich antagonistów „Czasu" z ambony Panny Marji. Ongi młodzi, teraz już w sile wieku, mają olbrzymi narybek pierwszorzędnych talentów, jak Morawscy, Dunajewscy, Badeniowie, Ulanowski, Potkański, Piekosiński, Popowski, Wicherkiewicz, Jordan, Jaworski, ekonomistów, jurystów, lekarzy, historyków, chemików. Jak góra magnesowa opiłki, tak Okopy Stańczykowskie przyciągały wszystko co inteligentniejsze, światlejsze, bardziej europejskie i nowoczesne.

Lwów (zwany Tygrysowem) broni się dzielnie przeciw supremacji idcowej pomniejszycieli Polski. Naprzekór tym, co o historycznej Polsce piszą „jawnogrzesznica" z uporem i zapałem nieuleczalnego mesjanizmu powtarza nadal: „Chrystus narodów", bo umęczony i ukrzyżowany. Sztandar niepodległości wysoko trzyma Ujejski a obok niego są i „czerwoni książęta" i Pol i Giller, jest Zacharjasiewicz antygermański, jest hr. Bobrowski, ząb za ząb kłócący się z wszystkimi „szwarcgelberami", są: Romanowski i... Romanowicz.

W Mohortowym Lwowie, krwią obrońców przesiąkniętym, nasienie zaprzaństwa i „ciągłości zdrady" nie wzeszłoby. I pluć na sarkofagi i szkalować antenatów (byle z profitem z tego wyszli epigoni) we Lwowieby się nie dało i nie uszło. Tu czerwono-biali zawsze górą a dla Emigrantów szeroko „patent portae".

W Krakowie sytuacja dla panów patrjotów pogorszyła się do niemożliwości. Konserwa bryluje z takimi atutowymi asami jak Matejko i jak Klaczko, z którego reklama Arcybractwa Wzajemnej Racji i Adoracji na poczekaniu robi stały „filar" „Revue des Deux-Mondes", przed którego piórem drży w kolanach sam Bismarck; Klaczko rzekomo znany w całej Europie (sic), Klaczko maestro, wirtuoz, Paganini...

Buszczyński osiada za drugim nawrotem w samem kłębowisku żmij wtedy, kiedy akcje opozycji antystańczykowskiej stoją poprostu poniżej zera i omal na giełdzie politycznej nie notowane. Owszem, są

tam pewne próby, donkichotowskie potykania się z wiatrakami, ale nie można upierać się żeby były całkiem serjo lub al pari. Przeciw „Tece Stańczyka" z dużem opóźnieniem wydał polemiczną „Tekę Nieczui" Kaczkowski, już od dość dawna w Paryżu osiadły finansista, aferzysta, giełdowiec, geszefciarz zbijający miljony. Rżnie stale Stańczyków w swej „Strażnicy" omal dziewięć lat wychodzącej, atoli rżnie tępym, szlagońskim nożem ogrodowym Jan z Oleksowa Gniewosz, przez Lama przezwany „Gęboszem z Obełgowa". W samym Krakowie przeciw Stańczykom specjalnie tylko założono satyrycznego „Dyabła" sumptem Bartoszewicza, ale dowcip w nim pożal się Boże archiparafjalny a karykatury jakby przez Kafrów pacykowane. Trzeba więc było przeciw „Czasowi", jego klice i klace wytoczyć większą kolubrynę.

Podjął się tych syzyfowych zabiegów i wyczynów syt już obczyzny członek krakowskiej Akademji Buszczyński. Kampanję dozgonną ze Stańczykami zaczyna od „Smoczej Jamy", satyrki wydanej w radykalizującym Poznaniu. I od ostrego rozprawienia się z genjalnym małomieszaninem z Andrychowa Michałem Bobrzyńskim, adoratorem absolutystycznego „dictatorship", potępiającym w czambuł „jawnogrzesznicę" a kompletnym ignorantem w dziejowości europejskiej, przez całe życie zresztą nosa z Austrji nie wychylającym. Wnet przychodzi Buszczyńskiemu skrzyżować szpady z innym mieszczankiem, z Kalinką, namiętnym pomniejszycielem Sejmu Czteroletniego i reformistów z trzeciego maja. Poczem kolejno przychodzą batalie z Popielem, z Walewskim, z Koźmiana splugawieniem ostatniego powstania („Rzecz o roku 1863"). Równocześnie każdemu z poetów (niepodległościowców) poświęca Buszczyński to pracę literacką, to przyjacielskie rzewne serdeczne wspomnienie (Goszczyński, Ujejski, Pol, Korzeniowski Apollo, Lenartowicz). Podkrakowskim i galicyjsko-mieszczańskim uczeńcom i wiedzowcom, doktoro-docentom, skrzętnym, zabiegliwym, propagującym utylitarny i praktyczny pogląd na świat z żabiej perspektywy, przeciwstawia rozwichrzony fantasta niejako tych „szlachciców co są piękni", wykolejeńców z ziemiańskiej warstwy, wysadzonych z siodeł, wykorzenionych ale pełnych romantycznych szałów i uniesień, nie poddających się jarzmu oportunistycznemu, „Stróżów Znicza". Wojna idzie na całym froncie zajadła i zaciekła. Tutejsi chcą posad, tromtadraci chcą Polski. Celem tutejszych jest, aby Galicja zrobiła wielką karjerę w Cis-Litawji, dostarczała dynastji ministrów i ambasadorów i aby na tej linji programowej w konsekwencjach finalnych wzmagał się prestiż Polaków i w innych dwóch zaborach; restytucję zaś państwa można odłożyć ad feliciora tempora, aż Polacy wogóle zmądrzeją a natura przestanie ciągnąć ich do lasów na powstańka i porywania się z motykami na słońce. Tak w symplistycznej formule możnaby streścić tę wonczas imponującą mądrość stanu przereklamowanej do niemożliwych granic „szkoły krakowskiej", czyli historjozofów rezygnacji i abnegacji. Była to nauka także poniekąd „życia ułatwionego", filozofja płaziej i antyheroicznej wegetacji, nauka przystępna, łatwo wpadająca w ucho

i przeto popularna, pozornie wiążąca się z pozytywizmem warszawskim, w gruncie rzeczy wspólne z nim mająca tylko „enrichissez-vous". Gdy się dziś wertuje jeszcze tę kwintesencję z krakowskich doświadczeń i rozmyślań, te sponiewierania styczniowych desperatów, te wyszydzania polskiego parlamentaryzmu (z którego to i owo weszło w procedurę Ligi Narodów), ten cielęcy zachwyt miełkobiesnych myślicieli nad Piotrem Wielkim czy nad carosławiem, — istotnie nie można wyjść z podziwu dla tupetu plejady prowincjonalnych Genialkiewiczów, którzy nadto zbierali laury za „cywilną odwagę" (sic!) mówienia współczesnym rzekomo „czystej prawdy", będącej tylko brudną wodą na koła młyńskie najgrubszego, najtrywjalniejszego materjalizmu czynowników, czyli biurokracji.

Rymowany wyraz obrzydzenia dla tej ewangelji niewoli, ewangelji tłustych garnków i złotych kołnierzy, dał kaliszanin Asnyk w wierszu mało a raczej całkiem nieznanym (bo niszczonym), który miał być wstępem do długiego satyrycznego poematu w typie „Beniowskiego" o Galicji i Lodomerji, z taką strofą:

„Ty jedna tylko z wszystkich kraju części
Szczególnej losu zażywasz protekcji.
I rząd ci sprzyja, i niebo ci szczęści,
I nie masz knuta zbyt wymownej lekcji,
Ani krzyżackiej na swym karku pięści,
I nic ci nie brak oprócz... dezynfekcji.
Ale Herkules żaden się nie zgłasza
Aby oczyścić tę stajnię Augjasza".

I tu Asnyk się mylił.

Herkulesem, który dokładał wszelkich sił, jakiemi jednostka (nie stygmatyzowana wyjątkową genjalnością) może dysponować, był właśnie szermierz nieznany Buszczyński. Gdyby nie rozmieniał się na moc pobieżnych, przeciętnych artykułów dziennikarskich, byłby więcej dynamiki mógł zarezerwować dla kampanij walnych i prochu dla dzieł-dział prażących ogniem. Ale autor *„La décadence"* miał moc może i zbędnych zainteresowań dla przerozmaitych problemów, kwestyj i politycznych i filozoficznych. Jedną ręką pisał „przestrogę dla Serbów" (przed ciągotami panslawistycznemi), a drugą ręką rozstrząsał spór o Rapperswil. Raz wpadał do pobratymczej Pragi, aby tam Czechom przypominać zbrodzieństwa i łajdactwa caratu, to znowu do Wenecji, aby tam wygłaszać w r. 1883 (w mowie Dantego) odczyt o nieprzedawnionych Sarmatów prawach do niepodległości, to znowu zagrzebywał się w nowoczesnej Ameryce, aby dać gruby tom paraleli między dwoma kontynentami z ostrzeżeniami i wróżbami dla Amerykanów, dziś dopiero (1937) i dziś właśnie aktualnemi!

Niezwykle, anormalnie chłonny, wiecznie ruchliwy, na wszystko ciekawy a przez to nieco rozmierzwiony i nieuporządkowany intelekt poliglotty podolskiego, przerzucał jego zainteresowania z jednej sfery i grupy zagadnień w drugą całkiem inną, obcą, odmienną, co w sumie nie mogło przyczynić się do pogłębienia w pracach pisanych ale co zawsze „służyło Ojczyźnie", przypominało o jej minionej wielkości i stwierdzało stale, systematycznie, że bez państwa niema na-

rodu, niema państwa a jest dziadostwo, wegetacja, marazm, letarg. Buszczyński już wtedy dowodził stale i logicznie, że tak rozrastająca się Moskwa („Bestandteile der russichen Bevölkerung, 1875!), to prędzej czy później niebezpieczeństwo zagrażające nietylko wszystkim kontynentalnym państwom, ale cywilizacji nowoczesnej, cywilizacji śródziemnomorskiej, zachodniej. W myśl tego on też pierwszy rzucał plan dzisiejszej Ligi Narodów („O potrzebie zebrań kongresu narodów"), ale bez Moskali.

Raz znowu najniespodziewaniej chwytał (mówiąc po ówczesnemu) za lutnię zapajęczoną, wracał od prozy do rymów i rytmów i pisał „Hymn do pracy", który stał się ulubioną pieśnią chóralną młodzieży małopolskiej i przetrwał, stale śpiewany, aż do naszych czasów włącznie. Tak, tak, to jego!

Przeciw „wielkiemu" Bobrzyńskiemu i jego komilitonom wystąpił Buszczyński ze swym fundamentalnym standard-workiem to jest z „Obroną spotwarzonego narodu".

Wychodziła ta praca polemiczno-polityczna zeszytami kolejno w trzech tomach: 1888, 1889, 1890, obmyślana na bardzo wielką skalę, argumentami dosadnymi przepełniona, niemałą erudycję i wiedzę wykazująca, poczęta pod egidą: *nil desperandum*, o ogromie dobrej woli i żarliwości patrjotycznej świadcząca. Niestety, nie stało to dzieło na poziomie dzieł graczów znaprzeciwka. Zbyt dużo było w tem rozgadania, wadliwej perspektywy, kłótliwości w drobiazgach, staroświecczyzny, szlafroka i pantofli. Nie posiadając ścisłej dyscypliny naukowej a tylko pełne śpichrze

nagromadzonych wiadomości i wiadomostek, sędziwy a nieco przemęczony życiem i pracą polihistor strzelał często godzinami w zarośla, gdzie wrogów już nie było, cytował autorytety dawno zdegradowane lub zwietrzałe, nieco się też plątał i gmatwał, „dobrem potykając się potykaniem".

Jako „biblia pauperum", jako podręcznik polemiczny w dyskusjach z adorantami stańczykierji „Obrona" oddała jednak niesłychane usługi współczesnym. Może większą jednak zwartość, precyzyjność i lapidarność miało ostatnie opus, omal przedśmiertne: „Otchłań".

Buszczyński umarł w październiku r. 1892, pogodzony z Bogiem, choć za żywota *sapere ausus*. W pogrzebie wzięły udział tłumy, młodzież uniwersytecka i demokraci z „Reformy". Akademji Umiejętności, której był jednym z pierwszych członków nie pozwolono wziąć udziału w pogrzebie; „Czas" jednego ze swych byłych współpracowników a trzydziestoletniego antagonistę pożegnał w dwóch linijkach druku.

I dzieła i działalność tego szermierza niepodległości i zjednoczenia łatwo poszły nie już w zapomnienie ale w jakieś zatracenie, w „otchłań" niepamięci. Ale: *non omnis moriar*. Idee niezmożenie i niestrudzenie siane, w pozorny ugor rzucane, w tysiącu artykułów popularyzowane, tu i owdzie natrafiały na grunt całkiem podatny. W czasie największego szczytowego natężenia i nasilenia negacji i abnegacji krakowskiego konserwatyzmu, dopatrującego się w każdym wolnościowym romantyzmie przedewszystkiem „spectre rouge", w czasie największych sukcesów politycznych

(wiedeńskich i lwowskich) historycznej „straży pożarnej", równocześnie już wszędzie gdzie spojrzeć pokazywały się znów płomyczki w popiołach i zgliszczach. Nie na Wawelu kasarnianym ale może w szwajcarskim zameczku Rapperswil przechowywali brodaci rycerze w pelerynach święty Graal. Już rok 1880 dał w ręce Czujnych i Czynnych „Rzecz o obronie czynnej", będącą odpowiedzią na wszystkie krakowskie rzeczy o powstaniach i wszystkie pomniejszania, dyskredytowania i deformacje. Zwycięstwa... Japończyków stały się pierwszymi memontotami dla... Stańczyków.

Poczem przyszedł szereg pisarzy i dzieł jakby z Buszczyńskiego testamentu poczętych. On sam znikl i jego nazwisko, tak jakby go nigdy nie było. Wydaje się czasem jakby niejako wypadł z pociągu, a nikt z pasażerów nie spostrzegł, że jechał także taki starszy pan z obliczem uczonego, nawiasem mówiąc, dziwnie podobnem właśnie do antypody, do Szujskiego. Nikt już choćby i przelotnie nie wspominał o redaktorze... krótkotrwałego „Postępu" i nikt o autorze „Obrony spotwarzonego narodu", kiedy w Warszawie pojawiały się ważne tomy „rehabilitacyjne" Korzona, Rembowskiego, Smoleńskiego, Jabłonowskiego, Kochanowskiego, wreszcie Askenazego, może najsilniejsze antidotum na Bobrzyńskiego „venenum". We Lwowie był już Balcer ze swoimi uczniami. W Krakowie podtrzymywali walkę ze Smokiem na swoich słabych barkach przygodnych dziejopisów Sokołowski, Bartoszewicz, od których puścizna przeszła do kompetentnych, do Konopczyńskiego, Sobieskiego, Kukiela, Kutrzeby,

Szelągowskiego, aż znowu tempore belli zabrali głos publicyści wskroś w duchu „wybielacza" Buszczyńskiego i przemówili: Chołoniewski w popularnem „Duchu dziejów Polski" i Artur Górski w świetnem „Ku czemu Polska szła".

Dzisiaj już debaty i dysputy na temat, czy była „Chrystusem narodów" czy „jawnogrzesznicą", są wprost niedopomyślenia. Motywy to całkiem staroświeckie z epoki gazowych ampli, welocypedów i zacnych brodatych liberałów, „szermierzy postępu". Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą z nieprzeliczonych książek o parlamentaryzmie angielskim w XVIII w., aby stwierdzić jak ograniczony był do własnej jego parafji zasięg porównawczy historjozofów krakowskich i o ile straszliwszą jawnogrzesznicą była przodownica narodów „merry old England".

Pisarzem, który jeżeli nie pierwszy to jeden z pierwszych to „odkrył", był właśnie Stefan Buszczyński. Tenżesam chwalców niewoli piętnował żelazem rozpalonem gniewliwych słów przez krągło trzydzieści lat, i to najposępniejszych!

Często też wplątywał w swoje ostrzeżenia i nawoływania: lud, lud... Ulubionem jego słowem było dziś dziwacznie niemodnie brzmiące: człowieczeński. Znaczy się humanitarny.

ADAM I KONSTANCJA

Pod koniec roku 1830 pewien młody poeta z litewskich Kresów miał już za sobą piękny dorobek literacki i wyjątkowo świetną renomę, tak w zaborze rosyjskim jak i w zaborze niemieckim. Żadnemu poecie nigdy i nigdzie nie udało się się szybko, tak powszechne zyskać uznanie i odrazu stać się sztandarowem nazwiskiem przedewszystkiem całej młodzieży studjującej.

Zaczęło się to właściwie bardzo skromnie. Dziewiczym, pierwszym drukiem była przedmowa i komentarz do nowego wydania Trembeckiego „Zofjówki", przez jakiegoś pokątnego żydowskiego księgarzynę, (Berka Neumana) puszczonego, o czem wiadomo dziś z korespondencji Jeżewskiego z Malewskim, a co się w monografjach trzyma w... cieniu. Przedmowa miała 27 stron. Ale w tym samym roku już: „Oda do Młodości" wspanialsza od pierwowzoru „An Die Freude". Równocześnie „Kartofla". Dalej jedna tłumaczona pieśń z bezbożniczej i bluźnierczej „Pucelle" Woltera (Darczanki) i przepiękny, wzniośle religijny „Hymn na Dzień Zwiastowania". Poczem już zaczęło się sypać jak z rogu Amaltei: pierwszy tom w roku 1822, litewska „Grażyna", ballady, podobne do tych, które pisywał pierwszy Żukowskij. I już nietylko w Wileńszczyźnie, ale w Kaliszu i w Lublinie, w Szamotułach i w Jarocinie deklamowano „Pana

Twardowskiego", przepisywano do sztambuchów „Świteziankę", „Trzech Budrysów", „Lilje". Potem przyszły „Dziady" kowieńskie, potem jedne Sonety, drugie Sonety. Poczem patrjotyczny a problematyczny „Konrad Wallenrod". Wreszcie „Farys", wreszcie „Alpuhara". Nie należy zapominać i o polemicznym pamflecie: „O krytykach i recenzentach warszawskich".

Dorobek twórczy zatem bezprzykładny, dający karm duchową i materjał dyskusyjny w niesłychanej obfitości wszystkim i entuzjastom i antagonistom. Warszawa, warszawscy krytycy i recenzenci reagowali na każdy nowy utwór litewskiego barda najaktywniej w sensie pozytywnym, w małej grupie negatywnie. Cała młodzież intelektualna we wszystkich zaborowych stolicach ze Lwowem i Poznaniem włącznie: hosanna! Po ostrej krytyce macchiavelskiego „Konrada Wallenroda" pióra niby faworyta młodzieży Mochnackiego, młodzież warszawska obrażona była na ...Mochnackiego. „Oda do Młodości" i „Alpuhara" stały się ładunkami dynamitu rewolucyjnego. Widmo „złego pana" dziedzica z „Dziadów" pasowało ognistego romantyka na zwiastuna i orędownika najgłębszych socjalnych reform.

Do tej niesłychanej popularności poety musiały się przyczynić jeszcze: nowe wydanie paryskie Barbezata sumptem szlachetnej matrony emigrantki, dalej renoma przyjaźni z wolnościowymi rosyjskimi pisarzami (Puszkin, Bestużew i t. p.), dalej wieści *przesadzone* o męczeństwach filomatów i filaretów w więzieniu bazyliańskiem i o siedmiomiesięcznej kaźni

Mickiewicza. Dużym splendorem otoczyła też poetę „Grażyny" wizyta u jubilata Goethego i gościnne przyjęcie tamże polskich pielgrzymów, zyskane dzięki polecającemu listowi słynnej pianistki Szymanowskiej, w której Goethe (kobieciarz nieuleczalny) swego czasu na stare lata krótko się podkochiwał.

Z końcem roku 1830, czyli przed wybuchem powstania, Mickiewicz już był tedy nomen magnum, celebritas, duchowym wodzem jeżeli nie narodu, to w każdym razie młodzieży. Tradycjonalistów zdobył sobie „Hymnem na Dzień Zwiastowania", liberałów i humanistów „Dziadami" i „Odą", płeć niewieścią: „Grażyną", rewolucjonistów „Alpuharą" i siedmiomiesięcznem więzieniem.

W krytycznym tedy momencie historycznym jego akces do jakiejś Sprawy ogółowej mógł porwać za sobą całą młodzież i mógł dynamikę tej sprawy spotęgować do zenitu. Przykładów szczytnych nie brakło w dziejach Włoch, Anglji, Francji, Węgier, Rosji. Byron, Byron kresowym romantykom ukochany, krwią pod Missolounghi stwierdził realnie swój popęd do wolności tak indywiduów jak i ludów. Nasz poeta miał wszystkie atuty w ręku i na sercach młodzieży mógł grać, jak na harmoniki kręgach. Jego słowo już wonczas miało urok magnetyczny i działało upajająco, egzaltująco, surmowo, rozkazodawczo...

Kwestję tedy postawić dzisiaj już można w ten sposób: jak byłaby się potoczyła wojna z najazdem i okupacją rosyjską w r. 1831, gdyby Adam Mickiewicz (już wtedy „wieszczem" nazywany) spełnił wówczas swój normalny obowiązek obywatelski i zgłosił akces

do wojny, jako w Niemczech Kleist czy Koerner, w Węgrzech Petöfi? Czy przykładem swoim podziałałby na resztę ociągającej się młodzieży? Czy autorytet autora „Wallenroda" i „Grażyny" mógł był wpłynąć na uzgodnienie wśród wodzów i na wytrzebienie wśród nich sceptycyzmu i hamletiazis? Czy Mickiewicz swojemi odezwami (odami?) nie byłby porwał malkontentów, a wpływem swych sugestyj demokratycznych czy nie zdołałby, obok „Konrada" postawić zmobilizowanego „Chama" i w ten sposób przyczynić się do ewentualnego zwycięstwa? Mógł przecież i z wojny dziewięciomiesięcznej wyjść cało i bez szwanku, jak wyszli inni pisarze i poeci, jak Garczyński, Pol, Berwiński, jak Libelt, Moraczewski i tylu innych.

Pamiętnego Listopada wieszcz litewski bawił w Rzymie. Dosłownie „bawił". Ale przedtem dłużej przebywał: w Berlinie. Wraz ze swym Eckermanem Odyńcem słuchał tam prelekcyj... najnudniejszego (?) z filozofów ówczesnych Hegla i tam w Berlinie zetknął się po raz pierwszy z Wielkopolanami, z liczną tam studenterją wielkopolską. Nie był to jeszcze materjał ludzki z wielkopolska pozytywistyczny, ale to byli także romantycy, przeważnie całkiem rewolucyjnie nastrojeni. Już od 1817 roku spiskowało to wszystko i konspirowało w związkach młodzieżowych. W zawiązaniu tajnych stowarzyszeń, takich jak „Panta Koina", „Polonia", różnych „Tugendbundów" i „Landsmanschaftów" istniał stały i ciągły kontakt między Warszawą a Berlinem. Za „wolność i ojczyznę" brzmiało ich hasło. Jeszcze wcześniej bowiem niż w Wilnie, byli polscy filareci i filomaci w... Berlinie.

Drożdżami Warszawiacy: Mauersberger, Heryng, Koehler. Kiedy więc (taksamo jak w Wilnie) w r. 1823 konspiracyjne Bundy nakryto, okazało się, że kwiat studjującej młodzieży wielkopolskiej należy do tajnych patrjotycznych związków, do Wolnych Braci Polskich. I jak w Wilnie poszli do więzienia Januszkiewicz, Januszewski, Żegota-Domejko, Jakób Jagiełło, ksiądz Lwowicz, i inne d r a m a t i s („Dziadów") p e r s o n a e, tak i tu, w Berlinie i w Poznaniu, choć nie było Nowosilcowa czy Bajkowa, poaresztowano, skazano i poumieszczano w kazamatach fortec cały szereg akademików, wśród których: Stablewski, Szczaniecki, Skórzewski, Babski, Bukowiecki, Potworowski, Marcinkowski, Matecki, Jędrzejowski, Libelt, Machnicki i moc innych. Księdzem Lwowiczem tych filaretów był ksiądz Loga, późniejszy bohater z r. 1831. O wielkopolaninie Machnickim, napoleończyku, współtowarzyszu Łukasińskiego, wspomina się też w „Dziadach", ale pod później zmienionem nazwiskiem: „Cichowski". Był też wśród takich uczniów i słuchaczów Hegla i heglista Stefan Garczyński. No i był też późniejszy generał Umiński, wówczas przed powstaniem, łącznikowy Związków berlińskich i poznańskich z czerwoną, a raczej amarantową Warszawą, skazany za te konspiracje na sześć lat fortecy pruskiej.

Wszyscy ci mało nam znani, bo w żadnych „Dziadach" nie gloryfikowani, a właściwie p i e r w s i polscy filareci i filomaci, gdy tylko pierwsze walki Listopadowe zaczęły się na ulicach stolicy, pomknęli do powstania i na wojnę z Rosją. Właściwie Moskale nie ziębili ich, nie grzali i od caratu żadnych krzywd

nie doznali. A jednak, gdy tylko zagrzmiały armaty pod Stoczkiem, wszystko, co młode, zdrowe, inteligentne z Wielkopolski ruszyło odrazu.

Bawił wtedy Mickiewicz w Rzymie, kiedy przez granicę przekradało się moc Napoleończyków, ułanów, księży, mieszczanów, arystokratów spolszczonych Niemców, szewców, dzieci, starców.

Z twierdzy Głogowskiej, której był więźniem od r. 1826, wykradł się generał Umiński.

Poszli Bnińscy, Potworowscy, Działyński, Rembowski, Kraszewski, Turnowie, Osten, Niegolewski, Brudzewski, Lipski Wojciech, starszej daty generał Łubieński, generał Mielżyński, literaci Jarochowski, Libelt, J. Moraczewski, doktorzy Marcinkowski, Matecki, Guttry (adjutant Dwernickiego), Kalkstejn (adjutant Umińskiego), Maciej Mielżyński, (adjutant generała Dezyderego Chłapowskiego, organizatora kawalerji, ożenionego z siostrą Joanny Grudzińskiej, żony W. K. Konstantego). Poszedł Gustaw Dąbski z Reymontowskiego później Kołaczkowa, dziedzic, kaleka, w pantoflu na nodze, jako zwykły żołnierz całą kampanję odbywający hrabia. Poszli nauczyciele i magnaci, księgarze i winiarze, kupcy z niemieckiemi nazwiskami (Arnold, Lorentz), uczeni: Cybulski i Braun, panny z najwyższych rodów: Szczaniecka i Potocka. Wszystko, co normalnie patrjotyczne poszło przeciw carskiemu satrapie, choć to nie ich był satrapa i nie ich ciemięzca. Poszli Trentowski i Hoene-Wroński...

Z pięciu Mickiewiczów, braci spod Moskala, poszedł jeden: Franciszek, podporucznik 3 p. ułanów. Ale-

ksander był nadal w Charkowie profesorem, zruszczonym setnie; o Jerzym i Antonim nic nie wiemy.

Adam bawił w Rzymie. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że już właściwie drugi s e a s o n. Między jedną a drugą zimą wojaż po Szwajcarji i Niemczech.

Otóż o tym pobycie w Rzymie można referować normalnie, z rewerencją, po dewocku, komentując wszystko najśliczniej i najdelikatniej. Takie jest ujęcie („podejście") pietystów i scholastyków polonistyki, ujęcie monografów oficjalnych. Tak musiał pisać biograf — syn Władysław Mickiewicz. I wykładowcy dla młodzieży i dla narodu.

Niezależnego i wolnego badacza nie będą egzaltowały i w ekstazę wprawiały nowe wyszperane szczególiki dla dawnego materjału faktycznego. Może jeszcze zapatrywać się na wątpliwej monumentalności okresy biograficzne z wyrozumiałością i dyskrecją, O ile atoli wchodzą w sprawę motywy społeczno-politycznej wagi pryncypalnej, jak w tym wypadku (zerwanie się narodu do walki z najazdem) to zbyt długo prolongowana metoda niedowidzeń, niedomówień i absolucji generalnej w stosunku do Mickiewicza jest nie na miejscu. Przykłada się najsurowsze miary i kryterja etyczne do takich, co przegrali (Stanisław August), do takich, co się potknęli (Mochnacki, Odyniec, Sobieszczański, Kaczkowski) no to nie należy znów przesadzać w tolerancji dla tych, co stoją na cokołach i w Walhallach. Krasińskiemu, Słowackiemu, Norwidowi badacze i rozdętolodzy jednak wypominają stale i bezceremonjalnie każdą słabiznę, wszystko co ludzkie, arcyludzkie. W Mickiewicza młodości

górnej i chmurnej, nie mówiąc już o „wieku... klęski", istnieją partje ze stanowiska konwencjonalnej etyki obyczajowej wcale nie budujące i nie kwalifikujące się naprzykład do naśladownictwa dla „dorastającej inteligencji". Ani w Norwidzie, ani w Słowackim, ani w Wyspiańskim, czy Żeromskim takich wątpliwie monumentalnych epizodów niktby nie znalazł. Do takich ciemnych partji zaliczyć musimy miasta: Kowno, Moskwę, Odessę, Krym i Rzym, tak w roku 1829 i 1830 jak i Rzym w roku 1848.

Kowno, Tuchanowicze (rok 1823): r ó w n o c z e s n o ś ć a m o r e s a c r o i p r o f a n o a m o r e są w przybliżeniu dzisiejszem poprostu przykre i irytujące, już choćby przez horrendalną niedyskrecję Werthera, który nietylko ze sukcesów swoich dwutorowych zwierza się przyjaciołom w obfitej korespondencji, ale unieśmiertelnia to genjalnie po bajrońsku ekshibicjonując.

Filaretów i filomatów, którzy już się zdobyli na tolerowanie tragicznego, wzniosłego romansu z hrabiną Puttkamer i nawet po Leporellosku pomagają profesorowi — don Juanowi, jednak to rozamorowanie irytuje i oburza. Profesor musi się bronić przed zarzutami „wszetecznictwa" (sic!). Kiedy Mickiewicz całkiem s a n s f a ç o n opisuje przyjaciołom wdzięki, łóżko, negliż, białość i różowość doktorowej Kowalskiej (kowieńskiej Wenus) i z detalami realistycznymi wszystkie perypetje „erotometru" („przeszkodzili chrust ścinający ludzie"), oburzony Jeżowski pisze mu wyraźnie reprymendę:

„Nie sofy, nie wezgłowia, nie kobiecych pieszczot nam potrzeba!". „Brutusów nam potrzeba!"...

A kiedy w r. 1823 wychodzą „Dziady" z bajrońską spowiedzią romansową, oburzony Zan pisze do Malewskiego:

„Przeczytasz „Dziady" — nie wielebym co miał pisać o Adamie; sądzę, że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie".

Tak to osądzili rówieśni, najbliżsi, najżyczliwsi, którzy protegując Marylę, „Peri" z Tuchanowicz, marząc o jej rozwodzie z dość wyrozumiałym hrabią i o poślubieniu najgenjalniejszego wśród nich asa, równocześnie musieli interwenjować osobiście w Kownie w nieco frywolnej a trywialnej aferze pobicia kandelabrem drugiego jeszcze konkurenta do pani Kowalskiej, to jest galicyjskiego szambelana Nartowskiego. W cichem Kownie taki skandal... filarecko-filomacki!

Od tego epizodu do... „Nocy Listopadowej" i bawienia w Rzymie upływa lat siedem, czyli cała młodzieńczość. W tych siedmiu latach jest siedem miesięcy pięknych: więzienia bazyljańskiego, unieśmiertelnionego w „Dziadach" zresztą nie tak znów tragicznego i ciężkiego w porównaniu z więziennictwem... Berlińskiem. Ale w tem siedmioleciu są też lata nad wyraz nieprzyjemne, nad którymi biografowie-hagiografowie przechodzą z zażenowanym pośpiechem dalej, wydobywając z nich pod światło tylko drobiazgi prestiżowo podnoszące, a przemilczając faktyczności realne. Cztery lata wieszcz z Kowna przeżywa jako urzędnik kancelarji generał gubernatora Moskwy (1825 — 1829), żyjąc przeważnie wśród Moskali, bywając w moskiewskich domach, kochając się w Rosjankach, przyjaźniąc się z urzędniczą noblessą moskiewską. Unieśmiertelnił te lata w sensie filorosyjskim słynny obraz Miasojedowa, gdzie Mickiewicz figuruje jako jeden z czołowych intelektualistów... ówczesnej Moskwy. Również unieśmiertelnił ten okres wiersz przyjaciela z tych lat Puszkina. Przypomnieć sobie jednak trzeba, że jest to już po roku 1823, po Łukasińskim, po zlikwidowaniu idyllicznej symbiozy Aleksandroskiej w Warszawie, w erze represyj i prześladowań, obostrzonej cenzury, przepełnionych więzień, demonstracyjnych pogrzebów (Staszyca, Bielińskiego), po dymisji St. Potockiego i liberałów, a w czas pełnej władzy także i... Nowosilcowa. Autor „Wallenroda" pozostaje przez cztery lata urzędnikiem kancelarji generał gubernatora w Moskwie. Usprawiedliwia to przystosowanie się sam, przed potomnością, w zdaniu: „pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę". A w wierszu Puszkina (1843) czytamy:

„On żył wśród nas, wśród obcego sobie plemienia. W duszy swej żadnego ku nam nie okazywał żalu. Myśmy go kochali. Cichy i uprzejmy, podzielał nasze biesiady. Nie były mu nigdy tajne nasze najczystsze marzenia, znał nasze pieśni. Miał on zaiste z nieba natchnienia, zwysoka poglądał na życie. Nieraz rozmawiał z nami o przyszłych czasach, w których narody, pozbywszy się zobopólnych nienawiści, w jedną zleją się rodzinę".

Cichy więc i uprzejmy podzielał „biesiady" i roz-

mawiał z braćmi Moskalami w Moskwie o zlaniu się narodów w jedną rodzinę wtedy, kiedy w Warszawie panował już kurs despotyezno-prowokaeyjny, który musiał wreszcie doprowadzić do spisków, do konspiracji i do... Noey Listopadowej.

Po miodowych miesiącach i lataeh moskiewskieh (Polacy... my lubim sielanki...) przychodzi półroczny epizod Odeski. Biografowie pietystyczni nazywają to po „wygnaniu do Moskwy" (sic), „wygnaniem do Odessy". Inni filareci i filomaci wygnanie mieli znacznie dalsze, bo do Orenburga, Archangielska i Tobolska... Trzeba tylko zestawić los „zesłańczy" Mickiewieza z katorgami postaei z „Dziadów". W każdym razie najwzględniej nastawiająe się do epizodu Odeskiego, Miekiewicz był wtedy faworyzowany przez generała de Witta, który mu, jako kurator lieeum Riehelieu, dał w lieeum synekurę nauezyciela z pensją bez konieeznośei wypełniania obowiązków pedagoga. Badacze polonistyezni, którzy tak bezwzględnie surowo traktują ugodowca Henryka Rzewuskiego, zresztą Wieszcza przyjaciela długoletniego i inspiratora („Pamiętniki Soplicy" a „Pan Tadeusz"), tak służbę rządową w Moskwie, jak i odeskie awantury traktują z tolerancją, nie praktykowaną w stosunku do Norwida lub Krasińskiego. A tymezasem właśnie te „epizody": moskiewski i odeski, a w części i petersburski należy plastycznie przypomnieć, aby sobie wyjaśnić psychologicznie epizod rzymski i... ośmiomiesięezny pobyt Mickiewicza w Wielkopolsce podczas wojny wyzwoleńczej Polaków z najazdem i z okupaeją rosyjską.

Do Rzymu przybywa ze swoim Eckermanem, nieodstępnym Odyńcem. Ten to Odyniee, nawiasem mówiąc, przy końcu swego życia kompromituje się tak skrajną ugodowością wobee Moskali, że młodzież patrjotyczna p a l i n a u l i c a c h jego książki; jedyny to pośród pisarzy polskich, który doczekał się tak... negatywnego sukeesu. W Rzymie w r. 1829 i 1830 jest Odyniec nieodstępnym towarzyszem Wieszcza, z którym wyjechał z Petersburga i był z propagandową, reklamową, hommagialną wizytą w Weimarze u Goethego, gdzie ich wyeksportowała mądra pani Szymanowska. Pierwsza wizyta Mickiewieza jest u ambasadora rosyjskiego Gagarina. I odtąd już stałe bywanie i zażyłości i arcaby. I znów i tu to z „Moskalami" pobratymstwo i fraternizowanie i przyjaźnienie i wiersze sztambuchowe i romanzero, ezego niema ni w Krasińskim ni w Słowackim, Norwidzie i Fredrze, Chopinie, Matejce, Michałowskim, Moniuszee, ete ete. Jakieś tam w tym Rzymie Lieveny i Turgieniewy (nie autor!), konieeznie Chlustiny i Wolkońsey jako milieu.

W Warszawie koronaeja, spisek koronacyjny, raz po raz krótkie spięcia, wulkan dymi, więzienie Karmelickie przepełnione, prasa wzięta w żelazne rękawiee, awantura Krasińskiego z Łubieńskim, sąd sejmowy, pogrzeb Bielińskiego, w kawiarniach rewolucyjne mowy i śpiewy, koledzy Mickiewicza po piórze prześladowani, romantyey uezą się strzelać po lasach, wulkan dymi. Czyżby Wieszcz nie o tem, eo się dzieje w Polsee nie wiedział?

Na sceny żywota występuje teraz Ewunia Henrietta Ankwicz. Pietyści — hagiografowie robią z niej romantyezne bóstwo a la eomtessa Guiceiardini, ezy a la

Maryla z Wereszczaków grefini Puttkamer. Zdaje się, że wszyscy się zaegzaltowali. Galicyjska gąska, o nieco staranniejszej edukacji, córka świeżo upieczonego austrjackiego rozbiorowego hrabiego spod Krakowa (z Woli Justowskiej) o „zmokłych oczach" (Krasiński), zgrabnej kibici, ładne kostjumiki i trochę starożytniczej, malarsko-rzeźbiarskiej erudycji. Stary Goethe i przy takich „pupkach" się zatrzymywał i próbował swoich olimpijsko-kogucich mizdrzeń; opowiadano o tym detale pikantne chyba i Mickiewiczowi. Nie uważał zatem poniżej wieszczego dostojeństwa ogorzeć nagle i na widok tej dziewczyneczki. W Berlinie dwunastoletniej hrabiance Mycielskiej wpisał się do sztambucha, wtedy, kiedy równocześnie chodził na prelekcje... „nudnego Szwaba" Hegla. Henrietta ma już lat... dziewiętnaście. Ogarniał ją spojrzeniem „jakby cały świat obejmującem", notuje w regestrze Leporello-Eckerman, ugodowiec Odyniec. Mała snobka romantyczna też oczywiście gorzeje od pierwszego wejrzenia szaleńczo, co nie przeszkodziło jej zresztą wyjść wnet potem normalnie zamąż w „sferze", za Sołtyka, poczem za już całkiem galicyjskiego „hrabiego Kuczkowskiego" no i wreszcie przeżyć Wieszcza o lat coś ze czterdzieści, zawsze w aureoli tej, w której kochał się z Największych Największy.

Nietylko jednak w niej w one czasy. Dla niej był napisany w Neapolu: „Znasz li ten kraj" (wedle Goethego), ale dla księżnej Zeneidy „Grecki pokój"... Nie jest to ten pokój, jaki Grecja capta musiała zawrzeć z Turkami po bohaterskiej walce, w której padł pod Missolounghi poeta Byron, ale jest to pokój w greckim stylu, w apartamentach rzymskich rosyjskich książąt Wołkońskich, z rodu którego zresztą niektórzy członkowie szli właśnie na Warszawę... Wieszcz polski bywał ozdobą salonów willi Wołkońskich, gdzie z księżną Zeneidą w „rajskich rozmowach", w „rajskiem półświetle" doznał rajskiego „półzbawienia" (sic). Powtórzyło się tu, nad Tybrem to, co tam ongiś było w Kownie: dwutorowość, przyczem nie zapomniał też z kretesem i o... „Peri" Putkamer, gdyż i ona dostała z Rzymu poświęcany pamiątkowy... różaniec. Była tu jednak jeszcze i „ta trzecia", tym razem trzecia Rosjanka (po pierwszej Bakuninie i po drugiej Jaenischównie), to jest pianistka Anastazja Chlustin; zjechała tu na season z bratem i z matką i grywała na pamięć całego Beethovena...

Oczywiście byli i Polacy. Kilku prałatów, bardzo światowych i inteligentnych (Chołoniewski) i kilku arystokratów piszących, jak np. hrabia Rzewuski Henryk zaprzyjaźniony z Mickiewiczem jeszcze z czasów krymskich i odeskich. No, a dalej Gaszyński z Wielkopolski, rodzony z Radolińskiej wychowaniec i kuzyn hr. Skórzewskich z Lubostronia, heglista, filozof, pokryjomu piszący wiersze. Wreszcie malarz krakowski Stattler, z którym Wieszcz się wtedy zaprzyjaźnił i jego ślubowi i weselu w Rzymie patronował. Ten atoli Stattler na sumieniu patrjotycznem też nosił sobie pewną skazę przesadzonej w stronę „braci Moskali" ugodowości. Kiedy w r. 1824 namalował wspaniały obraz biblijno-historyczny „Kain i Abel", wniósł podanie do warszawskiej „Komisji Wyznań

i Oświecenia", aby obraz zakupiono jako prezent dla Cara („Archanioła") Aleksandra; doczekał się tego, że Komisja, odrzucając ofertę orzekła dnia 20 maja 1824: „Pan Stattler może obraz wymieniony sam od siebie ofiarować Najjaśniejszemu Monarsze".

W interpelacji komentatorów pietystycznych s e a s o n y w Rzymie prezentowane są narodowi i młodzieży jako zwrot do katolicyzmu, religijności, wiary i kościoła. Cośkolwiek jest w tem i prawdy, jeżeli się ery: odeską, moskiewską i petersburską uzna jako epoki kompletnego indyferentyzmu religijnego na tle prawosławnego, liberalnego środowiska urzędniczo-bojarskiej elity. W tych zaś rzymskich apartamentach, dużo bywało kosmopolityzujących turystów, wytwornych i mądrych prałatów i Ojców. Szczególnie wiele ich gościło przy via Mercedes, w willi zbogaconego od niedawna galicyjskiego arystokraciny Ankwicza. Jak każde nowe środowisko, tak i to, z watykańska rzymskie i nieco dewockie (siostra Ewy, Marcelina), musiało silnie mimikryzująco wpływać na Mickiewicza, zawsze szybko wpływom ulegającego, szybko się akomodującego, wśród czarnych czarnego, wśród czerwonych czerwonego, wśród białych białego. Toteż bywało w Rzymie, że myślał tam o wstąpieniu do stanu duchownego... w antraktach między „rajskimi rozmowami"... z Ewą... z Zeneidą... z Anastazją. Sam zaś zeznaje: „po Rzymie biegam bez celu za dnia", to jest zwiedza galerje, bazyliki, ogrody, cmentarze, katakumby. Urocza Ewunia bywa Ciceronem Cicisbea w czerwonym płaszczu pelerynowym. Te czerwone płaszcze to był ówczesny f a s h i o n Byronowski, angielski. Norwidowi przez długie lata arystarchy polonistyki „mieli za złe", że się po ruinach rzymskich konno włóczył z panią Calergis. Mickiewiczowi nie. A to był Listopad! Listopad roku 1830... W admiracji wzajemnej, to przy muzyce pięknej Chlustiny, to na konnych szpacjerach po ruinach i zwaliskach, to w ogródkach bodeg i austeryj, to w greckim salonie Wołkońskiej, to na arcabach z ambasadorem Gagarinem, to na dysputach o nicości filozofji germańskiej z wielkopolskim Gaszyńskim upływały tygodnie i miesiąc d o l c e f a r n i e n t e, aż do zmiany roku 1830 na 1831.

I wtedy Gaszyński z Rzymu znikł. I kilku innych kongresowiaków, którzy w Rzymie bawili, ale dłużej już „bawić" nie mogli... też znikli. Tym, co kiedyś studjowali Kanta, widocznie jakiś „kategoryczny imperatyw" kazał natychmiast zgłosić się do szeregów polskiej armji.

Mickiewicz został. I nadal bywał na arcabach i assamblach u ambasadora Gagarina i w greckim pokoju rosyjskiej kniahini. Niektórych współczesnych jednak musiało to irytować i gorszyć, jak przedtem jednak dosłownie gorszyły: Kowno, Moskwa, Odessa, epizody n i e b y w a ł e u Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Fredry i wszystkich pomniejszych.

Do Rzymu chyba musiały dochodzić już wieści z Warszawy: przepędzenie despoty, entuzjazm wojenny, organizowanie armji osiemdziesięciotysięcznej, masowy współudział Poznaniaków, pierwsze zwycięstwa z lutego i z marca. Dwernicki v i c t o r, Skrzynecki t r i u m p h a t o r, Prądzyński bije Rosena i Pa-

hlena. Najprawdopodobniej już nietylko Ewunia, ale chyba nawet i Zeneida i Anastazja musiały nieco zdziwionemi oczyma patrzyć na młodego, zdrowego Polaka, w czerwonym, hidalgowskim płaszczu, podziwiającego wiosenne kwitnienia drzew migdałowych w g i a r d i n o Farnese, czy na Monte Pincio.

Wreszcie w kwietniu zdecydował się młody poeta na zgłoszenie się do wojska polskiego. Dalej już przeciągać nie było można. Francuski poeta romantyczny dał Polakom walczącym śliczny wiersz o... Warszawiance... Powstali i poszli do boju nawet starzy „klasycy" i wielu ze sponiewieranych „krytyków i recenzentów warszawskich"...

Więc wybrał się i Mickiewicz.

Niestety, zamiast jechać wprost, jak normalni śmiertelnicy, lub jak bożyszcze Byron do Grecji, obrał Mickiewicz drogę okólną, bardzo okólną: Florencja, Genua, Genewa, Paryż, Würzburg, Lipsk, Drezno. Z Rzymu wyruszył 19 kwietnia. W maju zatem już mógłby był się przekraść przez komory graniczne i dostać do rodaków. Tymczasem stosunkowo zbyt długo zatrzymał się w Paryżu. Z Paryża wyjechał razem z Antonim Góreckim bardem i bajkopisarzem. Górecki do Polski i do powstania dojechał a Mickiewicz w Dreznie znalazł się dopiero... 6-go sierpnia.

Komentator pietysta usprawiedliwia to dosłownie tak:

„Do tych początków ruchu powstańczego nie miał ani sympatji, ani zaufania, nie ulegając wpływom atmosfery warszawskiej, trzeźwo mógł ocenić wszystkie jego wady"... Sic!

Argumenty kauzyperdy.

A przez ten czas, przez tych kilka miesięcy istotnie zaczęło się coś psować na polach chwały. Przyszły klęski i przyszła obrzydliwa cholera. Wszystkie szpitale i lazarety w Kongresówce zapełnione. Despota armję najazdową wzmógł i postawił na jej czele twardych Niemców: Pahlen, Rosen, Toll, Dellinghausen, Geismar... A tylko von Diebitscha naczelnego zluzował białoruski szlachcic, Radwan Paszkiewicz.

Dopiero w drugiej połowie sierpnia znalazł się twórca przepięknej „Ody do Młodości" w Wielkopolsce, nad granicą, aby się przekraść...

Jak się przekradał, to zobaczymy.

Śmiełów, to w Wielkopolsce w powiecie jarocińskim ongi wielki rentowy majątek wyjątkowo w pięknej okolicy położony. Dokoła lasy. Śliczności park, przez który przepływa rzeczka Lutynia. Bardzo ładny szeroki wjazd z dużym klombem. Dwa skrzydła pałacu nie przymierzając w minjaturze Wilanów. Fasada z czterema kolumnami i greckim trojkątem, gdzie mogłoby być oko Opatrzności czuwającej jeszcze nad ziemianami... W pałacu freski pendzla „samego" Smuglewicza, wspaniały okrągły salon, meble wszędzie autentyczne, starodawne, najlepszego gustu i smaku. Dużo gościnnych pokoi w skrzydłach i na pierwszem piętrze.

Wśród tych pokoi jeden uroczysty na pierwszem omal nad wejściem, blisko kolumn, otoczony czcią i rozciekawiający już trzecią generację. W parku dąb był na polanie, specjalnem nabożeństwem otaczany

i adorowany, a pod dębem stały rzecz prosta, ławeczki: „świątynia dumania".

Śmielów pozostaje w rękach rodziny, pietystycznie do starych pamiątek się odnoszącej, rodziny, której pradziad (nawiasem mówiąc), szambelan Stanisława Augusta dziedzic z Górki Michał Chełkowski, założył illo tempore jedną z pierwszych w Warszawie lóż wolnomularskich („Catherine, pod Północną Gwiazdą").

Z tym to dworem pańskim, ziemiańskim i z jego dawnymi posesjonatami i z ich krewniakami i przyjaciółmi i sąsiadami związany jest pewien epizod w dziejowości kultury polskiej bardzo ważny, bo przyjazd a potem w tych okolicach, na tej ziemi ośmiomiesięczny pobyt największego raz i na wieczne czasy pisarza polskiego. Podczas tego to pobytu musiały zrodzić się już zalążki dwóch największych arcydzieł literatury ojczystej.

A było to lato, sierpień r. 1831.

Na dworze taksamo skwarno, we dworze taksamo gwarno jak bywa dziś.

Przed palac pod kolumny zajeżdża w powozie dwóch mlodych jegomościów w szarych cylindrach w podróżnych pelerynkowych rajzemantlach. W oknach rozciekawione panie, panny, chłopaczyska i dzieciska. Psy szczekają. Służba ściąga z kozła sakwojaże i tłomoki. Podróżni zakurzeni wchodzą, a dumny ze swego towarzysza Xawery Bojanowski z Konarzewa (pod granicznym od Niemiec Rawiczem) prezentuje specjalnie glośno i dobitnie, żeby garderobiane słyszały:

— Pan Adam Mühl, nowy guwerner dla Antka i Władka...

Wszyscy zebrani udają, że w to wierzą. Tak ułożono przedtem i ukartowano. Incognito.

Dobra Gorzeńskich-Ostrorogów leżały blisko granicy tej nieszczęsnej Kongresówki, po drugiej stronie za Prosną zaraz Pyzdry. A cała granica obstawiona wojskami z Niemiec. Dwa korpusy inwigilacyjne i wzmocnione straże policyjne czuwały niby dla zapobieżenia przywleczeniu „cholera morbus". Patrole konne penetrowały okolice i zaglądały z wizytami do szlacheckich dworów. „Chcąc ujść baczności policji przybrał wówczas nazwisko Mühla, pod którem bawił w Śmiełowie, a jeszcze w listopadzie i grudniu każe sobie listy (ostrożności zbytek!) pod tem nazwiskiem adresować". Że maskarada była jednak wskazana, przekonano się potem, kiedy w czas gościny Mickiewicza — Mühla u Taczanowskich do ich Choryni zjechał z asystą zbrojną landrat Liebeskind, węsząc za autorem „Konrada Wallenroda", gdzieś tu pono wśród obywatelstwa się ukrywającym.

Właścicielami Śmiełowa była sto cztery lata temu familja obszarnicza, wysoko się nosząca, Ostrorogi-Gorzeńscy. Mieli na swojem drzewie i wojewodów i przedewszystkiem pierwszego poznańsko-gnieźnieńskiego arcybiskupa z imienia Tymoteusza, no i wogóle parantele i koligacje first class. Jeden z nich, niedaleko w Jarocińskiem posiadał Witaszyce, z Turnianką ożeniony Michał, aż w Meksyku... poległy. Właściciel Śmiełowa, późniejszy długoletni deputowany Hie-

ronim, z dziedzicznego wielkopolskiego obciążenia był w połowie agrarjuszem a w połowie militarystą-wojakiem, gdyż przebył całą epopeę napoleońską w części jako adjutant marszałka Davout, o czem jako wszystkie Napoleończyki opowiadać lubiał bez wytchnienia, szczególnie chyba o królu Hieronimie dykteryjek kopami, jak Henryk Rzewuski o Radziwille, o Niesiołowskich, Siemiradzkich, Horeszkach, Orzeszkach, Czaplicach, Soplicach. Piękna pani małżonka de domo Bojanowska już się tych epopejek i anegdotek oczywiście nasłuchała aż do znudzenia, ale każdy nowy gość musiał znów cały worek da capo al fine. Taksamo chyba i pan Adam Mühl, którego tu przywiózł brat dziedziczki Ksawerek, gorączka (Rejent...), Konarzewa posiedziciel. Drugi brat Kalikst, powaga (Asesor...), ożeniony z Serafiną Potworowską, gospodarzył w Krzekotowicach i ten „pana Miczkiewicza" (jak wymawiano wonczas) nie znał. Ksawerek zaś znał, znał z Berlina jeszcze, gdzie w większej polskiej kompanji z Libeltem, Garczyńskim, Cybulskim, Moraczewskim chadzali na prelekcje przesławnego Hegla, heroicznie walcząc z lechickiej, rycerskiej młodzi notoryczną do abstraktu i absolutu awersją.

Wedle ułożonego między panami planu, guwerner Mühl po dwóch trzech dniach wypoczynku (przybywał przecież z Paryża) miał, nie zaczynając nawet z elewami lekcyj, zaraz jechać dalej, aby przekraść się przez zieloną granicę, przepłynąć Prosnę i znaleźć się tam gdzie wszyscy, wszyscy młodzi:

Niech do boju każdy biegnie:
Piękne tam skonanie.
Na jednego, który legnie,
Stu mścicieli wstanie!

Jak ukartowali szwagrowie Xawery Bojanowski z Hieronimem Gorzeńskim, tak się też zrobiło, tylko tak jakoś po dziwnemu. Chodziło o to, aby się dostać do nadgranicznego folwarku Komorza i tam pana Adama Mühla zostawić, a już Gutspächter Florkowski, spezialist, zajmie się przeszwarcowaniem, jak bywało. Przekradało się przecież tylu młodych magnatów, hrabiów, profesorów, generałów, majorów, księży (30), kleryków i dezerterów z pruskiej landwehry. Z jednego tylko gimnazjum poznańskiego stu sztubaków z katechetą księdzem Logą. Coprawda inaczej jakoś się przekradali. Nie karetą. Tu panie namówiły na karetę. Pojechali tedy do powstania i na wojnę powozem: dziedziczka, dwóch synków Gorzeńskich-Ostrorogów i niejaka panna Markiewiczówna. Ta zaś panna Markiewiczówna opowiadała to potem po latach literatowi Kanteckiemu a literat nic miał nic lepszego do roboty jak to spisać. Od Kanteckiego potem przepisywali prywatnie i inni.

Rzeka Prosna była wtedy wezbrana, pan Adam Mühl nie umiał pływać, pełne zwierza bory i landwehry pruskiej wałęsało się moc i zaczepiało raz po raz jadących. Wobec takich impedimentów zdecydowano się cofnąć, wrócić, odłożyć aż za kilka dni, nie przewidując zapewne, że to będzie ad calendas graecas...

Otóż ze stanowiska biografów-hagjografów i historyków literatury, traktujących rozdziały naszej poezji romantycznej jako Gemarę i Misznę, a to jako herbarz (almanach gotajski) literackiej wysokiej szlachty-dynastów, a to jako Monsalwacz i Sinaj, byłoby i poręczniej i dogodniej, gdyby tej eskapady z paniami i z dziećmi w powozie wcale nie było. Wtedyby, *tylko* wtedy można ekskuzująco-pedagogizować: „nie poddał się atmosferze warszawskiej" (sic!), był zasadniczo przeciwny, jasnowidział bezowocność wysiłków. Gdyby tej jazdy „w powozie na wojnę" nie było, ocalałby dogmat egzegetów, że wieszcz, tak jak tylko jeden papież, we wszystkich poczynaniach jest infallibilis! Co tylko uczynił i co tylko rymem lub rytmem powiedział jest nietykalne, tabu. Wycieczka atoli ku granicy, do Komorza, i powrót z paniami i dziećmi i odłożenie aż za kilka dni — cały ten wielkopolski rozdział w biografji nieprzyjemnie komplikują. Epizod jest i pozostanie ze stanowiska obywatelsko-państwowego obciążający i żadnymi pospolitymi argumentami dialektycznymi prościnkowej sofisterji wybronić się nie da.

Wobec czego zakłopotane augury tacitu omnium consensu zdecydowały się na to co najłatwiejsze, na conspiration... na... silence. Przeskakują i jadą dalej. Przemilczają całe osiem miesięcy może i *najważniejszych w dojrzewaniu*, w procesie pierwszej krystalizacji, właśnie wtedy obmyślanych na olbrzymią skalę planów twórczych. Chmielowszczyzna czy Tarnowszczyzna i jej epigonerja, natknąwszy się na stromą ścianę, poprostu obeszła ją sobie dokoła. Czegoś się

tam pastory literatury przestraszyły i przepłoszyły. Coś tam dewoty przeczuwały czy przewąchały niezbożnego czy nawet zdrożnego, a w każdym razie skomplikowanego i gordyjskgo-węzłowego. Jak to pogodzić i zrymować z „Odą do młodości" i młodzieży podać do strawienia? W mózgach pedagogów, pedamagogów i pedademagogów nigdy nijak pomieścić się nie mogło, żeby Hetman, Prorok, Pielgrzym, zstępujący z Monsalwaczu, mógł się po ludzku, po człowieczeńsku potykać i to nawet ciężko. O tej możliwości i ewentualności augury trzech generacyj nawet słyszeć nie chciały. Jak Mojżesz to Mojżesz zawsze z dwoma w górę sterczącymi promieniami z głowy, a bez cudotwórczego kostura ani rusz. Niezdolni są belfrowie organicznie do uświadomienia sobie tego, że Bajronizm wyrósł pod obłoki aż tak wysoko dzięki ...kazirodczemu stosunkowi (adulterji) wieszcza z przyrodnią siostrą, że Goethe pozostaje Montblankiem mimo tego, że jak się okazało, był najgorszym mężem, ojcem i... Niemcem. Jak to było dysputować z Pierre Chmielowskim o błogosławionych owocach alkoholizmu Poego? Jak tu tłumaczyć profesorowi Szperaczkowi, docentowi Zukleinerowi lub doktorce filozofji z Kurków Burkowej Kunegundzie, że kiła, czyli lues alias syfilis kilka wysoce predysponowanych mózgów przekształciła na lucyferycznie genjalnych twórców? Taksamo też niema sposobu, aby uprosić prostaczków, którym czteroletnie ślęczenie seminaryjne i bibljoteczne dało w ręce dyscyplinę naukową, metodologję, technikę, doktorat, lektorat i veniam legendy, aby przestali zajmować się problemami przerasta-

jącymi ich sprawność przyczynkarską, aby przestali tuszować, retuszować, zamazywać, zatajać, zaczem i fałszować. Niema żadnych prawd, których mędrzec nie mówi nikomu. Jedną zaś z tych prawd jest, że Monsalwacze, Wieszcze, Prorocy, Pielgrzymi też bywali młodzi, że nie odrazu rodzili się z aureolami, że mogli błądzić, brnęli po pas w gaffach i głupstwach, że dopuszczali się rzeczy i przykrych i brzydkich, i że pomimo tego niezależnie od tego, a niekiedy *właśnie dlatego* te dopiero defekta, delicta, manca, mankamenta w ogólnym rozrachunku, w finalnym rezultacie okazywały się właśnie podłożem podniet twórczych najważniejszych i glebą pod arcydzieła! Arcydzieło zaś czy arcyczyn daje sankcję (warunkową) nawet małodusznościom, nawet małostkom, nawet...

Tak też jest in casu Adam Mühl...

Wracamy do Śmiełowa.

Pewnego wieczoru sierpniowego 107 lat temu wracała tedy kareta z Komorza z młodym poetą, z paniami i z dziećmi. Nie do pozazdroszczenia żałosna sytuacja i mina tego, co się do powstania wybierał i dojechać nie mógł. Drugi raz już w stronę Kongresówki nie jechano i koni nie zaprzęgano. I tak już został w tych okolicach kapuańskich aż osiem miesięcy. Przez sześć miesięcy od Nocy Listopadowej jechał z Rzymu via Paryż do Wielkopolski, aby w lipcu znaleźć się w Lipsku a w sierpniu wreszcie w Konarzewie u Bojanowskiego. Od listopada aż do marca czekał w Rzymie aż mu odda pieniądze pożyczone przyjaciel, Moskal, Szymon Chlustin (brat uroczej pianistki Wieroczki), aż wreszcie gotowiznę na wojaż i wymarsz dostał czy odebrał od Garczyńskiego. Śpieszyć to mu się tam najstanowczej nie śpieszyło. Ale jednak do Komorza i komory dojechał, aby ostatecznie się cofnąć. Gdyby całkiem nie ruszył w drogę czy z Rzymu czy z Paryża, wszystko byłoby w porządku. Tak zaś nie jest w porządku, skoro nie kto inny a on pisał:

Wszak Polak tem między narodami słynny,
Że ponad wszystko kocha kraj rodzinny."

I On też pisał: „...gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni".

Mógł jednak nie iść i nie jechać. Byli tacy co nie poszli. Poszedł wprawdzie syn Napoleona, kapitan Walewski i poszedł margrabia Wielopolski. Z księży poszło 160 i to jeszcze dalej, bo aż na Sybir, który wtedy nie był Syberją z czasów... Sieroszewskiego. Z samej Wielkopolski uciekło „klechów" 33 mimo surowego listu pasterskiego („przeciw podszeptom") arcybiskupa Dunina, późniejszego zresztą więźnia w kazamatach królewieckich. „Gdy naród do boju wystąpił z orężem", pierwsi oczywiście ochotniczo stawili się pisarze, a więc Berwiński, Bernatowicz, Garczyński, Libelt, Pol, Hoene-Wroński, Trentowski, Cybulski, Witwicki, dwóch Koźmianów, Jędrzej Moraczewski z bratem, Maurycy Mochnacki z Kamilem i pomniejsi. Z Wielkopolski moc szła młodych ludzi o nazwiskach niemieckich... gente Germani.

Ale jednak wielu ważnych i ważkich, którzy potem

wielkie role grali, nie poszło. Na ten przykład dziedzic z Antoszwiniec na Litwie, Andrzej Towiański, chłopów swoich ciemiężyciel (później Rasputin Emigracji paryskiej) nawet kontr-agitował i „odwodził" (Wańkowicza). Nie poszli też z piszących Henryk Rzewuski, kompan z Krymu i z Rzymu, nie poszli dwaj najbliżsi wieszcza przyjaciele Ant. Edw. Odyniec i Aleksander Chodźko, ten ostatni zresztą stale pozostający na carsko-rosyjskiej służbie, konsul w Persji. Można więc było nie pójść i zostać i przeczekać. Filomaci i filareci przeważnie poszli, ale jeszcze przeważniej poszła młódź z Wielkopolski, poszli niedawno wypuszczeni z fortec członkowie różnych tajnych organizacyj („Kosynierzy"). Z berlińskich znajomków, heglistów i panteistów kilku zostało. Ale większość poszła.

Kiedy więc się w sierpniu rozeszło po okolicznych dworach, że u Gorzeńskich w Śmiełowie zatrzymał się jeden z naszych sławnych co nie poszedł, a przecież i poeta i patrjota chyba bez pochyby i przygany, zaczął się odrazu zjazd pań i panów, i zapraszania na wszystkie boki i strony.

Wiedziano dobrze, kto zacz i jakiego kalibru może nawet więcej niż w reszcie Polski i gdzieindziej, w każdym razie o sto procent więcej niż w Galicji. Antykrzyżacki „Wallenrod" otworzył mu serca Wielkopolan, „Grażyna" — Wielkopolek. Już w r. 1828 rozeszło się tu po całem ziemiaństwie pierwsze kompletne wydanie poznańskie. I tu z Poznania szli Adama apostołowie, dotychczas mało znani i uznani apostołowie, Józef Muczkowski, Józef Królikowski,

Edward Raczyński, mecenas, hrabia i uczeniec, oraz Munck, księgarz, Żyd i patrjota.

Najbardziej rozciekawiona i zaintrygowana i najniecierpliwiej momentu poznania oczekująca musiała być, oczywiście, ta którą nazywano „naszą panią Staël".

Dziedziczka z Budziszewa (pod Rogoźnem) była najrodzeńszą siostrą pani Antoinetty, dziedziczki Śmiełowa.

Druga Bojanowska z domu, odznaczała się urodą jeszcze wabniejszą od pierwszej. Wyszła zamąż za Łubieńskiego nie z hrabiowskiej ministerskiej linji, ale z kalisko-wielkopolskiej, z tamtymi skuzynowanej, ale także bardzo konserwatywnej i arcykatolickiej, co jest ważnym szczegółem wobec bardzo wzmożonego w owych czasach w ziemiaństwie franc-masońskiego indyferentyzmu religijnego. Kontrastowo do tego niektórzy Łubieńscy, podobnie zresztą jak Gorzeńscy, Morawscy, Chłapowscy, bywali wogóle więcej ultramontańscy niż sam Ojciec Święty. W Kongresówce trzymali Łubieńscy za Lubeckim i za Belwederem, za co ich tak ostro zerżnął Adolf Młocki; jeden z nich asystował papieżowi na wygnaniu, inny założył wielką asocjację ściśle rzymską i ofensywną. W każdym razie klan Pomianów: pro aris et focis. Bądźcobądź jednak i w insurekcji też udział brali i poszli.

Mąż pani Konstancji, szambelanic Józef Łubieński, nie poszedł za „złymi podszeptami". Napoleończyk, przebył całą kampanję rosyjską z cesarzem, ozdobiony krzyżami. Napoleończycy przeważnie nie dali się „porwać atmosferze warszawskiej" i byli sceptycz-

nie nastawieni co do rezultatów wojny; sami na własnej skórze przekonali się kiedyś o potędze kolosa na glinianych nogach, więc też i krakali defetystycznie. Józefa Łubieńskiego całą energją absorbowały rodzina, progenitura i gospodarstwo rolne. Bądźcobądź dobra były olbrzymie i liczyły pono 5.700 morgów. Było o czem myśleć. Nadto małżeństwo nie żadne jakieś z białych małżeństw, jak np. niejacy państwo Puttkamerowie na Litwie (ona... Maryla-Peri), ale normalne i przykładne ubłogosławione trójeczką potomstwa żyjącego (dwoje umarło): syn Stanisław, który przeniósł się potem do Galicji, syn Bogusław, dziedzic Kiączyna, który dorósłszy, odegrał dużą rolę w życiu politycznem Księstwa; wreszcie córka Marja, chrześniaczka Mickiewicza, będąca potem żywem ogniwem łączącem Budziszewo z Mickiewiczami, późniejsza pani Wierzbińska, której znów córka, pani Dobrzycka, pierwsza z rodziny właściwie ustosunkowała się pozytywnie do pamięci i tradycji babki. Tak wyglądało więc to ultrakatolickie i dawnego autoramentu gniazdo szlacheckie, z którego wyszła ta Korynna, ta Lelia, ta Indiana, ta... Nora (Ibsen) pani Konstancja. Tak prezentowały się rodzinne stosunki w ważnym biograficznie Budziszewie. Już bowiem w pierwszych dniach września zaproszony przeniósł się do Budziszewa Adam Mühl ze Śmiełowa, aby być bliżej „naszej pani Staël".

W interpretacji Piotra Chmielowskiego, archipasterza historji literatury ad usum Delphini przedstawia się ta ośmiomiesięczna Kapua w ten deseń społeczno-narodowo-pedagogiczny: „za pośrednictwem

Wielkopolan dowiadywał się o usposobieniu ludności w Prusach polskich i na Śląsku"... „zetknął się z masami szlachty i ludu"... „...z natury ówczesnego położenia" „prowadził rozmowy"... „dotykające kwestji najżywotniejszych dla narodu"..., co w rezultacie dało „zasilenie nowym dopływem nurtu patrjotycznego" i „wywarło wpływ na wyrobienie charakteru".

Oczywiście co słowo to dym, to kadzidło, to konwencjonalny frazes, dętologja. Ponieważ atoli nawet w takich literackich „Wieczorach pod Lipą" nie można było ominąć szczegółu, jeżeli już nie ważnego, to w każdym razie najważniejszego, przeto pisując i persyflując z Kanteckiego, podaje Piotr Chmielowski (wszystkich Gallenbachów i Zukleinerów fons unica) co następuje: „najchętniej i najczęściej przestawał z Konstancją Łubieńską"... Poczem dodaje Chmielowski: „na wrażliwy umysł poety i ta przelotna fantazja wpływ podobno miała znaczny".

Przelotny i ...znaczny... fantazja...

„Dla uniknięcia podejrzenia spotykali się w Konarzewie pod Rawiczem".

Taki pogląd na tę sprawę przeznacznego edukatora przedpaństwowej generacji przeszedł w spadku na falangi bakalarskie, na wszystkich znanych i cenionych Przyczynkowiczów, Wpływakowskich, Zukleinerów.

Tymczasem:

W żadnym Konarzewie nigdy się ani nie spotykali ani nie „przestawali".

Nie żadna „przelotna" i nie „fantazja", gdyż przyjaźń z Konstancją Łubieńską była najbardziej con-

stans w całem życiu Mickiewicza i jak o tem świadczy drukowana (a więc przystępna i fachmanom) korespondencja, t. j. 25 listów (Ludwik Merzbach, Poznań 1863) i 5 listów (Ludwik Posadzy, Poznań 1924), przetrwała z interwallami wszystkie miłości i przyjaźnie i miłostki, przetrwała małżeństwo, towianizm, deiblizm, 48 rok i dociągnęła się omal aż do samej śmierci; ostatni drukowany list jest z 26 lipca, sądząc z tekstu z r. 1854. Zaczem: „przelotna fantazja" od sierpnia r. 1831 do sierpnia r. 1854.

Pozostaje teraz do rozwiązania zagadka: w jaki to sposób tajemniczy a kunsztowny mogła tak długo pozostawać w cieniach zakonspirowanego zatajenia postać nietylko w życiu pierwszoplanowa, ale *jedyna serjo* postać niewieścia w galerji kobiet Mickiewiczowskich? Dlaczego? Z jakiej przyczyny?

Otóż takowe przyczyny dadzą się jednak odszukać, odcyfrować, zarejestrować, na forum i przed aeropag wytoczyć.

Przedewszystkiem nie życzyła sobie ekshumacji pani Prudencjanna Wielkopolska.

Poczem jej rodzina bliższa i dalsza i jej dzielnica, nadal żyjąca sobie po swojemu, antiquo modo. Zacna kanoniczka Prudencjanna imaginowała sobie bowiem, że z tego znów wyjdzie jakiś nowy „duch Adama i skandal" (patrz Norwid), że to może „żenować" cały klan Pomianów Łubieńskich, że w grobowcach mogą się poprzewracać nawznak szokowani przodkowie. Że dalej to może zaszkodzić opinji Wieszcza, Pielgrzyma, Proroka a może i... Wawelowi. Że dalej

dorastająca młódź sarmacka obojga płci różnorodnie a opacznie gotowa sobie tłumaczyć i komentować to „przestawanie" Adama z Konstancją, skoro przecież sam polonistorum pater Petrus Chmielowski zmuszon był pisać: „dla uniknięcia podejrzenia spotykali się w Konarzewie pod Rawiczem". Prawdę bowiem mówiąc, spotykali się wprost przeciwnie, wszędzie indziej dla uniknięcia podejrzenia, ale nie aż pod Rawiczem.

W Śmiełowie samym państwo Gorzeńscy jakoś nie chcieli nadal patronować najchętniejszemu i najczęstszemu „przestawaniu". Sam Ostroróg, mając oczy ku patrzeniu i mając w familji prezydenta apelacji i arcybiskupa, nawet na „przestawanie" dłuższe i częstsze konsensu widocznie dawać nie chciał. Więc zaproszono pana Adama Mühla do Budziszewa. Tam też krótko. W drugiej połowie września wiezie go rozradowana, dumna sawantka znów do Oporowa i do Luboni do Morawskich. Prosił dziedzic, więc musi się pochwalić Adamem Mühlem przed przyjaciółką. Jest nią Paulina z Łubieńskich, wonczas także sawantka, która jako wzór matron polskich (druga obok generałowej Chłapowskiej) dożyje do 93 lat, ciesząc się „czcią rodaków i miłością wieśniaków". Przy jej boku rezyduje referendarz Morawski („podkomorzy stuknął w tabakierkę") Józef, co to i Berezynę przeszedł i znał westfalskiego Hieronima i mówił ty do jenerała „co go Polska cała". Teraz zaś był wdzięczny pani Kostusi, swej pupilce, „naszej pani Staël", że mu przywiozła przesławnego literatę, który rad dykteryjek napoleońskich będzie słuchał, także pono

na filozofji zęby zjadł i tego Lucyfera Hegla w beczce maziby utopił.

W październiku zaczął się pełny okres polowańkowy. Pani Konstancja pilotowała poetę po obszarnikach od dworu do dworu. Asystował przy pukaninie, choć sam był „błahy strzelec". Tu raz miał w ręku strzelbę bohaterskiego generała Piotra Szembeka z dziwacznym napisem: „Sagalas. London (firma) Berdyczów, Bałabanówka". Raz u Mycielskich w Dębnie, raz w Krzekutowicach u brata Konstancji. I wtedy kłótnia Xawerego z Kalikstem (Asesora z Rejentem). Najdłużej u przemiłego też gaduły Taczanowskiego w Choryni. Tu panowie literaci bywali specjalnie mile widziani. Tu znajdują schronienie po już ukończonej wojnie Pol, Garczyński i najrodzeńszy brat najstarszy, podporucznik Franciszek „Miczkiewicz". Potem tu zjadą na dłużej Wężyk i Syrokomla. Tu pan Adam Mühl trzyma do chrztu córkę pani Kasi i Józia, a pomagają mu trzymać panny Grabska i Hersztupska (nie śmiać się! stary ród). Concursus gości znaczny, roztruchany z węgrzynem, słynny serwis saski, walą z moździerzy, polonez, mazur, kujawiaki. (...Jednemu z Gorzeńskich na imię zgoła dziwacznie bo podwójnie... Gerwazy Protazy Ostroróg-Gorzeński). W listopadzie jest Adam Mühl u Ksawerka Bojanowskiego aż w Konarzewie, sam, krótko, by zaraz najechać Turnów w Objezierzu. Tutaj piękna dziedziczka, też sawantka, patrzy zza wachlarza może z pobłażaniem może bez, jak na tle wspaniałej bibljoteki białokruczej (po Braneckiej kolekcjonerce) wzdychają do siebie pani Staël i pan

Mühl. Stąd wyrywa go pewnego dnia, by mu pokazać swój Łuków Józef Grabowski, późniejszy patron i dobroczyńca przelicznych insurgentów. I tu w Łukowie osiędzie na całe życie brat Adama i tu umrze w 62-im roku i pogrzebion będzie w Różnowie jako gracjalista i rezydent Grabowskich.

Adam Mühl jest w tym okresie sam jakby rezydentem. Nie zaraz „Wojskim", bo przecież z tych okolic wielu zostało i na wojnę rusko-polską nie poszło, ale wojażującym rezydentem. W tej roli nie możnaby sobie wyobrazić... kapryśnego, grymaśnego i zbyt dumnego... Słowackiego. Ten nie miał daru przystosowania się, akomodowania i mimikryzowania i to bez reszty. U Adama Mühla wszyscy ówcześni wychwalają prostotę, naturalność, powaby, urok, w sumie „przymilność" no, i humor pogodny. A jakżeż to chyba trudno było o pogodę umysłu w tych miesiącach tak ciężkich, tak ciężkich! Nie trzeba bowiem zapominać, że właśnie podczas tych fêtes champêtres przewalała się Historja. Tu sobie strzelali do kuropatw i sarenek, a tam jeszcze walono z armat do ludzi, do rodaków. Wulkan jeszcze dymił, ale już wygasać zaczynał. Podziemne grzmoty już cichsze i słabsze. Do tych okolic, do tego zakątka dzielnicowego nie dochodziły zupełnie. Tu było pacyfistycznie, pokojowo, sielankowo, „niech na całym świecie wojna, byle" „wsi spokojna, wsi wesoła"... Adam Mühl tonął w tej pokojowości. I nie mógł się dość naradować, nacieszyć tymi Polakami i Polkami. Właściwie tu po raz pierwszy zetknął się i poznawał rdzennie rasową, autentyczną, stuprocentową lechic-

kość... złotopszczołą, czarnoleską. Właściwie znał dotychczas tylko Polaków-Litwinów, spolaczonych Białorusów, wostoczniaków, kresowców wschodnich. Nadto tyle w ostatnich latach naobcował się z Rosjankami i z Moskalami i z wielkomiejską biurokracją carską (liberalną! liberalną!), tyle z kosmopolityzującą arystokracją najpierw krymską potem rzymską, tyle z socjetą potocznie parlującą po francusku (Maryla z Wereszczaków nawet listy), że tu właściwie, w Wielkopolsce dopiero, gdzie procent ludnościowy 99 i pół (reszta landrathy i kupcy w. M.) poprostu pławił się w ziemiańszczyźnie i swojszczyźnie. W galopującem tempie tracił rosyjskie priwyczki, odruszczał i żył ot całkiem po Kochanowsku. Konno jeździł, ryby łowił, po borach z Zosiami i Telimenami chadzał, grzyby zbierał, dęby sadził, strzelał, pudłował, baraszkował. Nanowo czuł się generosus, wśród Pomianów Poraj. W akomodowaniu tradycjonalistycznem tak się zapędzał, że nic tak nie lubił jak reyowską piwną polewkę, a to bigos, a to flaki, a to zrazy i aż się „żalil", że mu gdzieś kawę podawano ranną w srebrnych imbrykach a nie w glinianych kamionkach czy jak tam, i to we wrześniu (7 września upadek Warszawy), tak jakby już większych zmartwień wtedy nie było. Trochę także szarżował w religijności zbyt pokazowo tu obnoszonej.

„Najchętniej i najczęściej przestawał z Konstancją Łubieńską" (jak stwierdza purytanin Chmielowski). Ale Łubieńscy jednak widzieli, że się żegnał i modlił przed jedzeniem i po jedzeniu, no i upominał o różne starodawne zresztą przepiękne obyczaje (w wilję

siano pod obrus!), no i wogóle conieco dewocił, okazywał się arcywielkopolski czyli mówiąc trywjalnie, „kiedy wszedł między wrony, to tak krakał jak i one". Norwid modlił się godzinami i tkwił po kościołach i klęczał i krzyżem leżał bywało, ale przeważnie kiedy ludzie nie widzieli. Mickiewicz-Mühl coram publico. O tem zelanctwie Adama Mühla dużo i szeroko i poważnie rozpisywała się potem, później w starszych latach nie kto inny jak właśnie pani Konstancja, kiedy Jan Koźmian Mickiewiczowi bałwochwalstwo, odszczepieństwo, herezjarchstwo (sic!) zarzucał. Również interesujące psychologów szczegóły spisał dziedzic z Choryni Taczanowski: „Łatwy w obejściu, pogodny, miły, przystępny", „roztaczał niezapomniałe uroki". A przedewszystkiem nabożny. Był tedy całkiem a całkiem już inny nie ten z Krymu, z Moskwy, z Petersburga, gość Wiaziemskich czy Wołkonskich[1]), grający w arcaby to z ambasadorem Gagarinem to z generałem de Wittem (teraz właśnie mianowanym gubernatorem Warszawy). Już bo szczęśliwie nie potrzebował wdziewać na siebie zielonego czynowniczego fraka, jako na „bały" u gubernatora Moskwy Golicyna... W szczęśliwie, ratowniczo nadarzonem środowisku wielkopolskich szambelanów i referendarzy, wśród ex-szwoleżerów, siwiejąco-wąsatych wiarusów, wśród przyjaciół Kniaziewiczów i Dąbrowskich i w girlandzie pięknych dziedziczek tracił osad czy nadmiar „wostoczności" i wracał do

[1]) W Karlsbadzie w Kurliście wpisał się Mickiewicz jako *„Kaiserlicher Regierungsrath"*.

polskości zachodniej, sielskiej, piastowskiej, Kochanowskiej. A „najchętniej i najczęściej przestawał z Konstancją Łubieńską".

A ile razy bywało, że zbyt nerwowo dymił ze swojej lulki mocny tabak turecki („panowie w stolicy") i ile razy odurzony bladł, zamyślał się, przestawał parlować z damami, odsuwał podawane sztambuchy, nieruchomiał, wpadał w posępne odrętwienie i tkwił zaniemiały w fotelu z obliczem tragicznem i oczami utkwionemi w przestrzeń... posępny, piękny... tyle razy argumentowano mu ze wszystkich stron, jak tam kto umiał i myślał. Nie trzeba bowiem zapominać, że właśnie podczas tego dolce far niente ...przewalala się Historja.

Więc ci dowodzili jasno, jak na dłoni, że nie można się z trzydziestoma tysiącami porywać na trzystutysięczną armię! Łubieńscy prezentowali zasługi Lubeckiego i prosperitas gospodarczą za jego rządów. Gorzeńscy przypominali list pasterski arcybiskupa Dunina (późniejszego męczennika i więźnia w fortecy Königsberg), ostrzegający przed „złymi podszeptami". Ex-wojskowi opowiadali horrendalia o niedołęstwie, nieuctwie, intryganctwie, kłótniach i żarciach safandułów generalskich Chłopickiego, Skrzyneckiego, Krukowskiego, Rybińskiego:

Chłop-ck nas zawiódł,
Skrzyn-ka przyskrzyniła,
Kruk oko wykolił,
Ryba zatopiła.

No a cóż to za confusionsrath był ten „guter Mensch aber schlechter Musikant", statysta od siedmiu boleści, ten Lelewel! A wymordowanie siedmiu generałów nie byłaż to zbrodnia wołająca o pomstę do nieba! A ta straszliwa omyłka początkowa z generałem Nowickim zamiast Lewickiego! A ta niewdzięczność Warszawy względem generała Krasińskiego! A to brutalstwo warszawskie wobec „Burłaka" z Belwederu, który przecież najlepiej chciał, dynastji i Niemcom się narażał a z Polką się ożenił i z Chłapowskimi spowinowacił! A Mochnacki, pański adorant? przecież z trudem życie wyratował, bo go już w Klubie ze stołu ściągnęli i chcieli zlinczować jako szpiega, agenta, zdrajcę, co dyktatora Chłopickiego („Nasz Chłopicki dzielny, śmiały!") krytykował, przezywał kunktatorem i potępieńcze swary szerzył. A nie miałże to racji sam Chłopicki, że zgóry w żadną wygraną nie wierzył? A jak się to skompromitował nasz Potworowski, że z awanturą wpadł na dyktatora i go za defetyzm wyszympfował? A potrzebnie to wdał się w to wszystko Chłapowski Dezydery, szwagier (dziewierz) Burłaka! Konstantego! Odpokutuje, że listu pasterskiego nie wziął sobie do serca! A co pocznie teraz biedny Umiński generał, który słowo złamał, z fortecy uciekł i będzie chyba dezercjusz rozstrzelany jak wróci! Ksiądz Loga, ukochany katecheta naszych chłopców, potrzebnież to śluby złamał, do ułanów poszedł i jeden z pierwszych padł pod Szawlami! Ludwiś Mycielski pod Grochowem! Ileż wdów! Ile sierot! Ile matek w żałobie! Ilu gimnazjastów z Poznania, co w grudniu buńczucznie śpiewali:

Woltyżery, chociaż mali,
Jednak dużo dokonali,
Bo do sławy, do zwycięstwa,
Nie trza wzrostu tylko męstwa.

Takich to post factum, post festum (esprit d'escalier) mętnych argumentów musiał się dużo nasłuchać w tych pałacach sterczących dumnie, od tych różnych ale starszej daty przezacnych Sarmatów. A już szczególnie od tych, co wzięli sobie do serc wersety z jego „Konrada Wallenroda" i krzyżaka a Prusaka nienawidzili stokroć więcej niż pobratymczych Słowian i ich cara, który przecież dał Polakom parlament, konstytucję, armję, komendę polską, koronował się po katolicku, no i jak to ekonomicznie, gospodarczo, finansowo, wysoko podniósł Kongresówkę!

Im więcej atoli w Śmiełowie, Oporowie, Choryni, Konarzewie, Objezierzu argumentowali, dowodzili, przegadywali, tem słabiej te narkotyki i oleje działały. *Robak* się lęgnął nawet w młodym kwiecie. Zbyt często Adamowi Mühlowi przypominało się, że tych samych motywów i kruczków zaraz po Listopadowej Nocy w różnych warjantach dialektycznych nasłuchał się kiedy się wojna zaczynała już przecież w Rzymie, a to przy arcabach z ust kniazia-ambasadora, a to od „przyjaciół Moskali" Lievena, Turgieniewa, Chlustinych! Taksamo o „niewdzięczności polskiej", o braku dyscypliny w pułkach, o rywalizacjach konkurujących generałów, a to komunizmie i jakobinizmie i terroryzmie swołoczy, gminu warszawskiego... To samo!

W grudniu był Adam Mühl po raz pierwszy w Poznaniu z panią Staël czy nie z panią Staël, to obojętne. Czy stanął w hotelu Saskim u Langnera, czy w Krakowskim przy „Wodnej" ulicy, niewiadomo. Od tego prof. dr. Szperaczek i panny Seminaryjki. W każdym razie musiał się tu widzieć z grupą swoich adorantów, z wydawcami, z Munckiem, z Królikowskim, z Łukaszewiczem. Napewno był z wizytą w Casino Ziemiańskiem, napewno u Raczyńskiego w bibljotece, napewno w cukierni Douchégo, gdzie abonowano francuską gazetę, gdzie były już ciastka „napoleonki" do „chińskiej" herbaty i gdzie zbierali się po nowalje z Warszawy profesorzy gimnazjalni, księża, hegliści, panteiści ci co nie poszli.

Miasto robiło wrażenie posępne i tragiczne, bo w stanie wojennego pogotowia zostające. Książę-namiestnik, lubownik i protektor Goethego, kompozytor, kuzyn królów, Antoni Radziwiłł, złamany tem wszystkiem już ustąpił; nie mogło być inaczej; brat Michał był ostatnim wodzem naczelnym „rewolucji", skierowanej przeciw skuzynowanej z Prusami Rosji. Władzę w Poznaniu objął 9 grudnia satrapa Flotwell, generałowie, soldateska, zaczem represje, a wśród Polaków depresje.

Na ulicy Zamkowej musiał Adam Mühl, przechodząc z profesorami w halsztukach, widzieć naocznie to co w swoim pamiętniku opisuje w tych samych dniach w Poznaniu bawiąca córka Marsz-Marsz-Dąbrowskiego, pani Bogusława Mańkowska:

„Było to coś dziwnego i niepojętego, że na pierwszy rzut oka nie można było odgadnąć co się widziało. Wprost, naprzeciwko zakratowanych okien więzienia

sądowego, gdzie sąd apelacyjny (przy Frydrychowskiej ulicy), stały zwyczajnie ociosane bardzo wysokie dwa słupy w dość bliskiej odległości od siebie, na nich zaś leżała belka, która wyciągała swoje ramiona w lewo i w prawo. Wszystko to miało wyobrażać zaimprowizowaną szubienicę, pod którą stał posterunek, a którą postawiono do wieszania portretów tych Polaków, którzy z wojska pruskiego uszedłszy, przechodzili granicę, aby się łączyć z powstaniem. Rozwieszone tedy były w lewo i w prawo na belce ich portrety czyli popiersia naturalnej wielkości, malowane olejnemi farbami. Srogi ten widok tem przykrzejszy był, że mimo najokropniejszej malatury można było znajomych poznawać, którzy odmalowani byli według fantazji malarza, jedni w zwyczajnych pruskich mundurach, drudzy w szarych bluzach a nawet i w białych koszulach jak zwykle ubierają przestępców, którzy na powieszenie skazani".

To samo musiał także widzieć i autor „Konrada Wallenroda"...

Afisze na rogach ulic obwieszczały i zwiastowały erę ciężkich prześladowań. Tysiąc sześciuset polskich pruskich poddanych J. K. Mości szło pod śledztwo. Panna Ludwika Szczaniecka i pani Klaudyna Potocka, siostra insurgenta hrabiego Tytusa, miały być natychmiast aresztowane, skoro ośmielą się przekroczyć granicę, za to tylko, że w lazaretach warszawskich przez osiem miesięcy opatrywały rannych. Zapowiadano konfiskatę majątków tych wszystkich obszarników, którzy gdy naród do boju wystąpił z orężem, przekradali się do narodu i wypełnili swój najnormalniejszy obowiązek. Doktór Marcinkowski, legendarny Arystydes poznański, musiał iść na wieloletnią banicję za to, że walczył na froncie nietylko z Moskalami, ale i z czarną zarazą (cholera morbus). Literatom wszystkim powrót do Wielkopolski wzbroniony, czy to poetom czy filozofom (heglista Wojciech Cybulski trzykrotnie ciężko ranny). Już kiedy tylko wiadomość o upadku Warszawy przyszła do Poznania, Niemcy iluminowali. Na ulicach insultowano Bogu ducha winnych. W Warszawie działy się podobno dzikie okropieństwa rozbestwionych kozaków. Aresztowanych masowo wypraszała u de Witta (amfitrjona eskapady po Czarnem morzu) pani Charlotta Sobańska... donna Laura czy Giovannina, czy jak tam, w każdym razie reminiscencja... Krymska a nadal tegoż de Witta, pacyfikatora, przyjaciółka.

Biorąc więc teraz całą tragedję i straszliwe następstwa Listopadowej Nocy, biorąc rozumowo i rozsądkiem (mędrca szkiełkiem i okiem), rację mieli jednak ci, którzy nie dali się porwać „atmosferze warszawskiej" a wcale nie panny Plater lub Szczaniecka i nie dwunastoletni Niegolewski lub czternastolatek Bentkowski, co dwa razy się wymknął przez zieloną granicę, wreszcie do Legji Akademickiej się dorwał i przy baterji artyleryjskiej służbę odbywał. A jednak?

A jednak w swoim pamiętniku, pisząc o tych szubienicach i o tych in effigie powieszonych przy ulicy Zamkowej w Poznaniu, dodaje pani Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska: „Powieszeni byli dla polskiej

ludności przedmiotem czci, młodzież szkolna zdejmowała czapki przechodząc koło szubienicy".

Najprawdopodobniej zdjął także i swój cylinderek szary młody Wieszcz, figurujący w Poznaniu pod pseudonimem: Adam Mühl. Choć bowiem via Rzym — Paryż — Drezno — Śmiełów — Komorze do powstania nie dojechał, choć po Piotrowemu potrzykroć się zaparł, choć po Goethowsku olimpijską obojętność okazał, to jednak swoje sumienie obywatelsko-narodowe ponad miarę ludzką obciążył. Ale właśnie to obciążenie psychiczne, to załamanie tragiczne, ta bezsprzecznie i pozadyskusyjnie wina „palenia cygara" (lulki) w miesiącach Stoczka, Wawra, Ostrołęki, ta właściwie zdrada, tak — zdrada, musiała w definitywnych konsekwencjach swoich wywołać tak głęboko wstrząsający proces psychiczny, z którego dopiero mogły powstać genjuszem natchnione najwyższe dzieła patrjotycznej ekstazy, to jest drezdeńskie „Dziady" i paryski „Pan Tadeusz".

Bez utajonego ale całą istotę twórcy pochłaniającego i żrącego poczucia winy te arcydzieła dla ekspiacji i rehabilitacji — by nie powstały.

Bez ośmiomiesięcznego bytowania wśród Grabowskich, Gorzyńskich, Turnów, Taczanowskich, Łubieńskich, Morawskich, Mycielskich, Bojanowskich „Pan Tadeusz" jest nie do pomyślenia. Przyjaciołom i kolegom Zanom w... Orenburgu, filaretom i filomatom po lazaretach, szpitalach i na tułactwie i w nędzy... też znalazła się jakaś najwyższa moralna satysfakcja za... te osiem miesięcy.

Z tej przyczyny, moi panowie Uczeni w Piśmie,

ważna jest też ta niewieścia postać, dzięki której okres Capuy przeciągnął się w długie miesiące. Sympatyczna bakałarzom czy niesympatyczna, grzesznica czy nie grzesznica, to już są szczegóły bezwzględnie drugorzędne. Pierwszorzędny jest fakt, że ta Zatajona cieszyła się przyjaźnią niewstrząśniętą wielkiego poety przez przeszło ćwierć wiek.

Już choćby dlatego brygada uczonych scholastyków nie ma najmniejszego prawa narodowi Zatajoną konfiskować i przemilczać.

A nadto szczegółem pierwszorzędnym jest, że nie była to ani żadna Circe, ani Venus Kowalska, ani Deibelka, „osoba nie wielka", ani też z gatunku gęsi romantycznych Ewuń i Marylek, faworyzowanych specjalnie przez archikastratów literackiej krytyki i historji.

Zmowie wszystkich dla jej przemilczenia czy wymazania trzeba wreszcie położyć kres i udowodnić opinji naprzekór, że to był w każdym razie ktoś ta pani, z którą „najczęściej i najchętniej przestawał" no i przy której się przez lat zgórą dwadzieścia pięć zatrzymał.

Któż tedy była Konstancja Łubieńska?

On miał lat 32, Ona lat 30. Już po pięciorgu dzieciach, z których dwoje umarło, troje się chowało. Mąż, sądząc z portretu, bardzo przystojny, bardzo postawny, o oczach wyrazistych i mocnych. Ona piękność w hiszpańskim typie, kruczowłosa, czarnobrewa, oczy czarne, usteczka maleńkie, nos mocno narysowany, czoło wysokie, szyja gazeli, kibić popisowo cienka, ramiona spadziste, ręce o rasowo cie-

niutkich długich palcach. Sądząc z obu pozostałych portretów, szykownisia „pierwszej wody", najkunsztowniej ufryzowana, najstaranniej udrapowana, całkiem świadoma swojej niepospolitej urody i zwycięskich powabów.

Pierwszy i jedyny jej biograf Klemens Kantecki w krótkim szkicu, w r. 1875 drukowanym, relacjonuje z tradycji i z opowiadań: „Ożywiona, wesoła, dowcipna, wymowna, różniąca się niemało od siostry (Antoniny Gorzeńskiej) wielką swobodą w obejściu, humorem, werwą w konwersacji, bystrością i oryginalnością poglądów, umysłowemi zaletami podbijała tych co się zdołali oprzeć jej zewnętrznym powabom. Posiadając wielką łatwość do wierszowania i rysunków, komponowała wlot uderzające zręcznością i podobieństwem karykaturki, tworzyła bardzo sprytne bajeczki i maleńkie satyryczne ucinki. Marzyła o wsławieniu się na literackiem polu, egzaltowała się do wielkich mistrzów słowa, wzdychała do zbliżenia się z nimi".

Predyspozycje personalne chyba bardzo interesujące i nieprzeciętne, w każdym razie nieskończenie większe od hrabiny Puttkamerowej Marji z Wereszczaków, od hrabiny Ewy z Ankwiczów Kuczkowskiej Talenta nie istniejące ni u doktorowej Kowalskiej, ni u Charlotty Sobańskiej, nie mówiąc już u przedziwnie nijakiej żonie frankistce, Celinie Szymanowskiej, a nawet u tych różnych Rosjanek, z wyjątkiem chyba Karoliny Jaenisch, a może Awdotji Bakuniny. Po tym ostatnim flircie rzymskim, po gąskowatej, gadatliwej, galicyjskiej Ewuni z mdłemi „rybnemi oczkami", odrazu wielkie musiała na Mickiewiczu wywrzeć wrażenie ta olśniewająca pani, oczytana, wykształcona, sawantka, intelektualistka, rysowniczka, a przytem mocna, śmiała, zaborcza, marząca o wsławieniu się na polu literackiem, „egzaltująca się do wielkich mistrzów słowa". I oto stało się, że pierwszym wielkim mistrzem słowa, którego poznać jej przyszło, był po wszystkie czasy Największy.

Ten gość Gorzeńskich, to bowiem nie jeden z wielu, to już wtedy jeden jedyny. Może nie w całej Polsce, ale właśnie w Wielkopolsce.

Mógł się tu czuć jak u siebie w domu. Tu się wmig rozeszło jego pierwsze poznańskie pięciotomikowe wydanie wszystkich poezjów. Tu tylko, jak w Warszawie, miał takich zelantów, co byliby za nim w ogień poszli, jak braci Poplińskich, jak dwóch uczonych profesorów gimnazjalnych Józefa Królikowskiego i Józefa Muczkowskiego, jak bibljotekarza Łukaszewicza, jak hr. Edwarda Raczyńskiego, jak księgarza Muncka. Nie należy lekceważyć tej grupy, choć ją zupełnie przemilczają hagjografowie dr. Besserwisser i prof. Patetycki; wprost przeciwnie, podnieśmy w światło zasługi Wielkopolan w pierwiastkowem olbrzyma powiększaniu.

J. A. Munck, to według Stanisława Karwowskiego, „Żyd wykształcony i pełen ogłady", erudyta i patrjota wielkopolski (afera z Jacobem), pierwszy księgarz-wydawca na Starym Rynku, założyciel pierwszych nieudałych pism literackich w Poznaniu („Pismo Miesięczne"), a wreszcie szczęśliwy editor

przemilczanego przez prof. Szperaczka drugiego kompletnego wydania wielkopolskiego już r. 1832.

Drugiego adoranta Romantyczności egzaltacja dla Mickiewicza dojdzie do zenitu dopiero w późniejszych latach po „Panu Tadeuszu". Już wtedy atoli hr. Raczyński na trzy lata przed powstaniem wybudował swoją bibljotekę i niechybnie ją prezentował „polskiemu Byronowi". Z monumentalnej monografji, poświęconej temu mecenasowi historji i literatury pióra Andrzeja Wojkowskiego, dowiadujemy się o obfitej korespondencji magnata wielkopolskiego z Wieszczem w Paryżu, o przysyłaniu raz poraz dużych subsydiów jako acontów na obiecywane nowe poezje, które hrabia chciał wydać, a których mimo wielkich a-contów nigdy nie otrzymał.

Renomę i popularność miał więc Mickiewicz w Wielkopolsce wielką, skoro w pięciu latach dwa wydania zbiorowe wsiąkły szybko w publiczność, zjednując mu niezwykłą popularność.

Można więc sobie wyimaginować, jakiej siły egzaltacja owładnęła dziedziczką z Budziszewa, gdy w kręgu żywota ziemiańskiej sawantki stanął taki świetlany i promieniejący genjalnością bożyc z litewskiego uroczyska, w świecie całym już bywały, z Paryża, z Rzymu wracający, deklamujący, improwizujący, oczarowujący. Jaką temperaturę i barwę przybrał ten stosunek przyjacielski w miesiącach jesiennych r. 1830, na to dość mocne światło rzucają wypowiedzi obu stron siedzących na cenzurowanem. Wprawdzie Władysław Mickiewicz pisze wyraźnie, że „do pożaru nie doszło", że „ogień niepodsycany

wygasł", ale synowi, kierującemu się chwalebnie pietyzmem dla ojca (a mniej chwalebnie interesem dynastji) tak w tym jak i w tysiącu innych szczegółach zawierzać trudno. Bohaterka powieści pióra Konstancji p. t. „Niedowiarek" (1842), opisującej metaforycznie i alegorycznie autorki przyjaźń z Mickiewiczem, mówi w swojej konfesji: „Boże, czemuż niepokalaną pociechę duszy kala zawsze zmysłowa ponęta, czemu zawsze chwyta i mota w sidła zmysłowe!". Analiza zaś listów Mickiewiczowskich z lat późniejszych z okresu recydywy afektów (1845) taksamo stwierdzałaby raczej „motania się w sidłach zmysłowych", z których Wieszcz już wówczas dobrze po czterdziestce to raz własnowolnie się wplątuje, to stara się wywikłać, jak o tem świadczy z listu czwartego taki passus: „Zasługujemy jedno u drugiego na przyjaźń i która mam nadzieję będzie coraz czystsza i dla nas obojga coraz zbawienniejsza".

W jesiennych miesiącach roku 1831 przyjaźń ta musiała tedy być najstanowczej mącona czysto ludzkiemi i trafiającemi się u najgenjalniejszych mieszkańców tego padołu ziemskiego „zmysłowemi podnietami". Wieszczowie nasi też nie byli pod tym względem w niebiesiech specjalnie zaasekurowani, Mickiewicz zaś bynajmniej. Do pożaru „tedy najprawdopodobniej doszło", a ogień był podsycany i to ponownie i to dość natarczywie i to po śmierci męża i to po drugiem też zamężciu, nawet kiedy wspaniałą lwią grzywę już przyprószyła siwizna. „Ale mi drogo każda kupiona pieszczota na wagę duszy mojej pokojem żywota"...

Okres *zapalny* nie trwał, bo nie mógł trwać długo. W marcu r. 1832 Adam Mühl wyjeżdżał z Wielkopolski.

Rozstanie musiało mieć dziwny koloryt i charakter.

Wielkopolska tak jak cała Polska spowita była kirem żałoby. Przygnębienie i rozpacz na wszystkich obliczach, twarzach i twarzyczkach. Przecież tam to mieszkała taka Matka Spartanka z Kierskich Radońska, co sześciu synów wysłała na wojnę z caratem, na wojnę z takim klęskowym rezultatem. O niczem innem nie umiały mówić rozbitki jak o bitwach i ranach, o redutach, o szańcach na Woli, o generałach i kłótniach, o sierpniowym wybuchu gniewu ludu, o rannym Mochnackim, o uciekających piechotą braciach Lelewelach, o śmierci Sowińskiego, o zdradzie Ramorina, o pożarach i zgliszczach. Cóż się musiało teraz dziać w duszy trzydziestoletniego zdrowego jak ćwik Promienistego, gdy słuchał wieczorami nieskończonych narracyj...

Ileż to razy musiał rumieniec powstydzenia okrywać bladą twarz, ile razy krew uderzała do głowy, ile razy trzeba było dłoniami się zakrywać i do jakich znów w usprawiedliwieniach pretekstów i forteli uciekać. Powoli musiały teraz między Adamem a „córą Hewy" zapadać kolejno jedna oddzielająca zasłona niewidoczna za drugą, zasłony z pajęczo cienkiego kiru. Według normalnej samczo-egoistycznej, a w tym razie i egocentrycznej normy, cała odpowiedzialność zaczęła być zwalana teraz na nią. Teraz czuł się Odysseuszem zrywającym pęta nimfy Kalipso. Ona oczywiście była Judytą a on Holofernesem, któremu miecz we śnie zabrano. Ona Omfalą a on Herkulesem przy kołowrotku. No i wreszcie ona kusicielką... Telimeną, tyle że bez tego kultu dla Petersburka, jaki miała pani, pani... Szymanowska, Jego Cesarskiej Mości pianistka nadworna. Tak i stanowczo tak, nie inaczej. Nie On był winny, bo miał przecież najstanowczej heroiczne intencje (jazda do Komorza), a tylko wyłącznie Ona, duch ziemi (Erdgeist), w przyziemnościach niczem nie różniąca się od Charlotty Sobańskiej lub od Venus Kowalskiej. Tak, to była jego Byronowska contessa Guiccioli, i nic więcej. Czas, wielki czas strząsnąć kajdany niewoli „męczennikowi miłości", jak go to nazwał przenajśliczniej w lat kilkadziesiąt potem któryś z uczonych w piśmie. prof. Phrasenbach czy też docent Patetycki...

Rozstanie tedy musiało być i trudne sytuacyjnie i sztuczne. Aktualnie w danym momencie Wieszcz ją chwilowo chyba wprost gardząco nienawidził. Teraz dopiero dostrzegł, że to jest właściwie „kobieta czterdziestoletnia"... o ileż starsza w leciech od anielskiej Ewuni Ankwicz i grefini Puttkamer „niebianki" o której pisał: „Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę. I kochance, że uczy chwalić Pana Boga"...

A ta piękna pani w tych latach i w tych miesiącach jesiennych nie grzeszyła zbytnią bogobojnością, nie uczyła „chwalić Pana Boga", raczej zdumionemi nieco oczami patrzyła na nieco sceniczne religijanctwo młodego, czarująco niepoprawnego grzesznika.

Rozstanie Mickiewicza z Łubieńską w marcu 1832 r. musiało tedy mieć posmak gorzkawo-cierpki, słodko-żółciowy. Childe Harold wyjeżdżał sobie do Drezna zbogacony poznaniem nieznanego świata, świata który miał z reminescencjami z rodzinnej Litwy i z narracjami przyjaciela Rzewuskiego skombinowany odżyć potem w „Panu Tadeuszu". Odjeżdżał zyskawszy moc nowych przyjaciół i wielbicieli, wśród nich takiego mecenasa jak hr. Raczyński. Odjeżdżał z kontraktem z nowym nakładcą, ale odjeżdżał chyba zgnębiony i nie bez dégoût do siebie po dzisiejszemu z moral-inferiority-complexem, ale równocześnie ze wspaniałym programem, aby „dopełnić piórem tego co zaniedbał orężem", jak to zresztą raz wypowiedział w przystępie napoleońskiej megalomanji także Balzac.

Ona zostawała i to zostawała w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Zostawała z mężem, z dziećmi, z sąsiadami, conieco wywyższona, ale i maluczko poniżona. Promienie i blask wielkości padł i na nią, ale bladł szybko, a tu „rzeczywistość skrzeczy" i kumoszki hrabiny, zazdrosne jak Makbetowskie jędze, plotkują i plotkują. Małżonek też nie musiał być przesadnie kontent z tej aureoli. Poezja wogóle, nawet balladowa spadła w renomie wobec tragedji całego narodu. Ci zaś wszyscy, co w sierpniu, prześcigając się w gościnności wprost ogorzeli od słońca poezjów, teraz dziwnie ochłonęli i zesztywnieli. Stwierdza to brak wszelkiej korespondencji z Mickiewiczem któregokolwiek z tych sąsiadów przyjaciół, którzy go sobie

niedawno omal z rąk wyrywali i na rękach nosili. O mężu Łubieńskim niema nigdy żadnej wzmianeczki, ani nawet konwencjonalnego choć pozdrowienia w listach Adama do Konstancji. Koresponduje Mickiewicz przez ciąg żywota z szeregiem wielkopolskich latyfundystów, ale o żadnych listach do i od braci Bojanowskich, ani do i od Gorzeńskich, Łubieńskich, Morawskich, Taczanowskich, Turnów nic jako żywo nie słychać, chyba że je na dnie kufra chowa jakaś Miriam-Panwisser a może prof. Pedantkowski, a może dr. Tankred Horst-Horsztyński?

Od pani Konstancji zaś powoli zapewne cała „okolica się odsunęła".

Tak się „odsunęła" okolica od pani Hańskiej z powodu Balzaka, od Iwanowskiej z powodu Liszta, od Delfiny z powodu Krasińskiego, od Chodkiewiczowej z powodu Malczewskiego, od pani Elizy z Nowowiejskich Mickiewiczowej (inni Mickiewiczowie, koroniarze) z powodu... Lelewela. I tak się też odsunęła okolica od nieszczęsnej Eweliny ze słynnego arcydzieła Benjamin Constanta (Boy translated). Dziwną bowiem koincydencją, przypadkiem, przeznaczeniem, stosunek Mickiewicza do Konstancji jest jakby transponowanym w rzeczywistość stosunkiem powieściego *Adolfa* do Eweliny.

Tylko że szczęśliwym trafem pani Konstancja to nie była żadna słaba, wiotka, łomna, bezbronna, ofiarna i zrezygnowana „opuszczona", ale to była dzielna femme forte, a może nawet hic mulier, co się lada genjuszowi wyzyskać i porzucić „na bruk" jak „scampolo" nie daje.

Opisała to jej odprężenie, rozprostowanie i stwierdzcnie się w swem jestestwie własnem nie kto inny jak... Narcyza Zmichowska. Powiastka nosi tytuł „Capriccio" i wyszła w Poznaniu w tym roku, w którym też rymowane „Wolne Chwile" Gabryelli. Trochę to splotła ze swej guwernanckiej niedoli i ze swej miłości do proroka Dzwonkowskiego, który brzydulę puścił, aby ożenić się z panną Deskur. W dziewięćdziesiątych z opuszczenia i porzucenia pani Konstancji. Będąc u Turnów w Objezierzu przez dwa lata jako nauczycielka, nasłuchała się od pani Heleny „detaljów", potem zajechała do Marcelina pod Poznań, gdzie w r. 1842 rezydowała nasza pani Staël, i tu moc materjału rzeczowo-uczuciowego nazbierawszy, po swojemu opisała. Konstancja figuruje w powieści jako Xawera incomprise, abandonnée, a Mickiewicz cokolwiek obsmarowany jako Juljan. Poeta, rozkochawszy w sobie Ksawerę, potem ją opuszcza a „nadobitek" jeszcze poemat jej przesyła, w którym ich miłość „odtworzył". Xawera-Konstancja nietylko poety („filucika") nie potępia, ale go jeszcze broni, bo „On Wieszcz, On Święty, On Wybraniec Boga" (sic). Poeta musi w życiu tak postępować, żeby miał „przeżycia", czy to będzie Norwid, czy Dembowski kasztelanic, czy Juljan — „Giulio Magnifico". Ale Xawera nie w ciemię bita, bo Xawera „nowa kobieta". I wnet pocieszywszy się wychodzi za prozaistę, i tym razem... „blondyna" „Leopolda". A tak jak było w grafomańskiej powieścinie stetryczałej starej panny Narcyzy, tak też się stało w rzeczywistości... „Leopold" istotnie się znalazł.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Petrarka wyjechał do Drezna, Laura została. Abelard na kilka lat przepadł z horyzontu, ale Heloiza nie była ani opatessą, ani jedną z romantycznych blaszanych pupek (lalek), ani żadną lwicą salonową roniącą łzy po odjeździe lorda Lowclasa. O nie! Postanowiła wziąć się w garść i ulepić, dokształcić się, poczem zacząć działać samoistnie, samodzielnie i zrównać się choćby intelektualnie z tym, który rósł tam gdzieś daleko aż pod firmamenty... Wzorowa, wprost wzorowa edukacja dzieci, trojga dzieci swoją drogą, a wychowanie siebie samej do pewnego posłannictwa — tak: *posłannictwa* — swoją drogą. Posłannictwem tem, jak się okaże, było wywalczanie wolności „przez jedną płeć przywłaszczonej" (sic), „podniesienie kobiety jako człowicka" (sic), „wyzwoliny dam", emancypacja damskiej osobowości.

Te hasła i te programy i plany jako pyłki myślowe unoszą się już rozrodczo w klimacie ery, w stolicach Europy ponapoleońskiej. W biednej Warszawie jeszcze przed insurekcją było dzielnych niewiast z gęsiem piórem za uchem pod fiokami kilka, począwszy od księżniczki z Puław, na swój sposób już „chłopomanki", a nie kończąc na zbyt spiżarnianej i zakrystjalnej Klementynie z Tańskich.

Teraz po powstaniu było piszących Amazonek już kilkanaście. Cały legjon damski walczył odważnie o wolność „przez jedną płeć przywłaszczoną" o „samobytność" (*sic*) kobiet. Nietylko powieściopisarki i poetki, ale już publicystki a nawet adeptki nauk

ścisłych, nawet filozofki, popularyzatorki Hegla, Schleiermachera, Schellinga!

Dzisiaj, po stu latach, te postulaty damskie ówczesnych intelektualistek, dawno już spełnione, weszły w krew i w żyły naszej kultury umysłowej. O każdej z Elżbiet i z Jaraczewskich istnieją studja i przyczynki nieprzeliczone. Entuzjaści Entuzjastek w entuzjazmie doszli do tak bezkrytycznego rozgdakania, że np. dr. prof. Grzankowski po „przestudjowaniu" dwunastu tomów Hoffmanowej, dziesięciu Nakwaskiej, czternastu Pruszakowej a sześciu Skimborowiczowej przyszedł do przekonania, że bezwzględnie najgenjalniejsza jest ta, w której arcydziele „uczucie smutku *zlewa się* z pierwiastkiem refleksji". U tych panpolonistów „Uczonych z urojenia" (z nienapisanej moljerowskiej komedji), wszystko się *zlewa* na każdej stronicy. W każdym przyczynku można naliczyć do dziesięciu takich *zlewań*. Po przeczytaniu entuzjastycznych wydzielin o entuzjastkach z r. 1850, w których uczeniec ani jednej myśli nowej nie „przelał na papier", bierze ochota cały imponująco wodnisty dorobek znakomitego polonisty jednak także *przelać* do... *zlewu*.

W Poznaniu walczących i idących w pierwszy ogień było sto lat temu trzy czy cztery. I każda z nich kwalifikuje się na to, aby ją czy to prof. Drobiazgowicz, czy docent Pedantkowski naukowo „przeorał", wyprzyczynkował, naseminarzył i odkrył, ciemię swe za to wawrzynem ozdobiwszy. Kobiety te, to Wojkowska, Moraczewska, Wilkońska i Łubieńska. Chronologicznie pierwsza była Julja, najtragiczniejsza. W Poznaniu w Przemysława grodzie, blisko Gniezna i Gopła, sto lat temu „dzika Julka" konno w amazonce czarnej jeździła, zgorszenie czyniła, wreszcie w matnię życiową wpędzona, wyobcowana, wybiedzona, zdesperowana, we Wrocławiu, zdaje się, samobójczo skończyła. Ale, ale w „Tygodniku Literackim", który wraz z Wojkowskim założyli, była pierwsza entuzjastyczna recenzja o Słowackim i pierwsza o Chopinie! Nie w Warszawie, ale w Poznaniu. I ta to „Szalona Julka" napisała pierwsze dla włościan (przed Siemieńskim!) „Dzieje Polski" i pierwsze książeczki popularne dla młodzieży: „Mały Tadzio", „Mała Marynia". Nadto dwie powieści autobiograficzno - emancypancko - rewolucyjne: „Pamiętnik nieznajomej" i „Żona księżycowa". Aczkolwiek ich pismo bojowe szło potem w radykalizmie na całego i dopchnęło się aż do kultu apostaty ks. Czerskiego (niedoszły konkurent Swengalego-Towiańskiego), zadarło i z literatuą i z hierarchją kościelną, to jednakże, ponieważ oni pierwsi drukowali Norwidów, Kraszewskich i stu innych, przeto Julja z Molickich Wojkowska na ekshumację bezwzględnie zasługuje.

Po niej przyszły dwie drugie, beletrystki: Bibjanna Moraczewska i Paulina z Lanczów Wilkońska. Pierwsza, siostra historyka Jędrzeja, umysł całkiem męski i dojrzały, działaczka patrjotyczna, konspiratorka aktywna, odważna, twarda, mężczyznami reżyserująca, autorka może trzeciorzędna, ale osobowość zasłużona w nieprzejednanej niepodległościowej propagandzie. Arcyciekawy „Pamiętnik Bibjan-

ny", niestety mocno rodzinnie przekastrowany, kwalifikuje ją na rychłe wykopanie z niepamięci i monografję najmniej stustronicową. Że przytem szła z prądem czasów i naprzeciw czasom, że walczyła z obskurantami, zachowując respekt dla kurantów, że grała dużą rolę w życiu oświeconych i oświecających kół dwóch dzielnic w erze najciemniejszego ucisku, przeto i jej mogłaby któraś doktorka filozofji poświęcić rok dłubaniny przed swem zamążpójściem. Wszystkie te trzy Poznanianki (Wilkońska trzecia) są zresztą conieco tym i owym choćby ze słyszenia znane.

Natomiast najmądrzejsza i najważniejsza, to i terra incognita i melodja prohibita, to... babka, o której się nic mówi. Literacki dorobek istotnie niczbyt wielki. Układała Konstancja Łubieńska „dramata, które nie ujrzały świata". Pisywała poezje, w których musiały być takie herezje, że rodzina na ich publikację, zaczem i kompromitację zgodzić się nijak nie mogła i kazała chować światło pod korcem, a najwyżej na „papiloty" do włosów. W r. 1842 wzięła na kieł, postawiła się sztorcem środowisku i wydała drukiem powieść filozoficzno-psychologiczną p. t. „Niedowiarek".

Nie bez wzruszenia trzyma się w rękach książeczkę tej pięknej pani, która tak opaliła sobie skrzydła w piekących promieniach słońca i której życie musiało micć tcż coś z... gehenny. Do przedruku dzisiaj namawiaćby nikogo nie można. Rzecz bowiem jest ciężka, poważna, moralizująca i nawet apostolska. Styl i forma nie marki George Sand niestety, ale

J. P. Richter i wogóle niemieckie wzory. Znać w koncepcji i w języku „deutsche Bildung", oczytanie, erudycję. Opisany romans z Mickiewiczem, ale parafrazowany, podniesiony do czwartego wymiaru na wyżynę walki duchów o „światopogląd" (Weltanschauung). Cała osnowa tonie w spekulacjach myślowych, w refleksjach moralnych, w dygresjach abstrakcyjnych, w wysokościach. Konstancja figuruje jako „pani C.". Adama Mühla, w powieści „Pana Władysława" (władca sławy) poznać można po aluzjach do „Wajdeloty", „Wieszcza", do „Ballad". Adam jest „niedowiarkiem", bo nie wierzy, nie chce wierzyć w możliwość...... platonizmu w przyjaznym stosunku kobiety z mężczyzną. A „pani C." też nie wierzy, ale chce wierzyć całą siłą swej osobowości, swego etos, swej cnoty, niewieściej cnoty. Pani C. „po burzach gwałtownych życia niegdyś *swobodniejszego*, jakby z duszą dojętą (sic) od skrytej boleści wyrzekła się już wszelkich powabów światowych dla siebie, zaprzysięgła Bogu ślubować samotność do zgonu, szczęśliwszą kiedyś przyszłością się pocieszając"... Do przeszłości atoli heroina „pani C.", do przeszłości z r. 1831 arkadyjsko-Śmiełowskiej, zawraca stale, i elegją „do przeszłości" kończy się tcż „powieść moralna": „Niedowiarck".

Jaki rezonans powieść „Nicdowiarek" znalazła w Mickiewiczu, pozostaje narazie tajemnicą, która może się sczasem rozświetli, aczkolwiek tak jedna jak druga rodzina zainteresowanych poniszczyć musiała moc listów, może z pietyzmu ale bez pardonu. Szczególnie syn, Władysław Mickiewicz był w auto-

dafé znanym majstrem nad majstrami i Bogusławowi, synowi Konstancji, widocznie przykładem.

Z tego co ocalało jednak już można sobie wyrobić pewne pojęcie. O ile Mickiewicz do kobiety żywił miłość, o ile dla myślicielki, emancypantki, działaczki rewerencję w listach stale akcentowaną, o tyle do pisarki odnosił się z rezerwą i z zastrzeżeniami, równocześnie działaczkę stale do opozycji dopingując, do walk ze środowiskiem, z konwenansem, z „zabobonami" podniecając, zagrzewając, ba nawet poprostu judząc.

Pani Konstancja bowiem nie spoczęła na nieprzypadłych jej zresztą po „Niedowiarku" laurach.

W swoim Marcelinie pod Poznaniem, w którym od r. 1842 osiadła, stworzyła ognisko pracy społeczno-narodowej w myśl tej profetycznej przepowiedni w jednym z rozdziałów „Niedowiarka", gdzie duch zaklęty w imię Adama (wzorem „Dziadów") wróży bezwzględne zmartwychwstanie Polski. Nie zawahała się dzielna kobieta wydrukować to pod ciężką łapą cenzury pruskiej. Z tego Marcelina kontakty nawiązane były z szeregiem ważnych osób na Emigracji. Korynna Łubieńska finansowo i agitacyjnie popierała wszelkie nowe konstrukcyjne przedsięwzięcia, a więc przedewszystkiem Tow. Pomocy Naukowej i to tak dla niezamożnej (miejskiej i wiejskiej) młodzieży męskiej jak już specjalnie dla kobiecej.

Wreszcie zakłada pismo. Ma już Warszawa specjalne perjodyki tylko dla kobiet przeznaczone, ma Poznań kolejno szereg doskonałych pism naukowo-

literackich, tedy musi mieć Poznań żurnal damski. Zaczyna wychodzić „Dziennik Domowy". Po przejrzeniu wszystkich roczników przychodzi się do wniosku: wzór pism kobiecych! Nie było takiego wtedy w Polsce. Kontakt z Europą pierwszorzędny, dobór artykułów i szkiców wybredny, tematy poważne, różnorodne, wszechstronne, a wśród wielu artykułów najmądrzejsze, najspokojniejsze, najdostalsze te co podsygnowane literkami „K. Ł.", z istną perłą publicystyki „Od czego zacząć?". W tym samym roku w Warszawie Ziemięcka, w Poznaniu Łubieńska dają inteligencji nowe „Myśli o wychowaniu kobiecem". W momencie historycznym, najcięższym dla Wielkopolski, bo po nieudanej ale i zwycięstwami sławnej rewolcie w r. 1848, kiedy społeczeństwo prześladowane i gnębione wpada w ostateczną depresję, bezwład, Łubieńska drukuje swój „Upominek" dla współrodaków „członków Tow. Pomocy Naukowej" a w nim moralne masowanie karków, pokrzepienie serc, otuchę dla zdesperowanych, wysnutą z najlepszych intencyj wskroś społecznych, narodowych i ludzkich... Nie zapomina w swych przykazaniach i moralizowaniach po kobiecemu i o... strojach i wzywa do noszenia z powrotem czamarek i do tych czamarek zachęca nawet wierszem. Równocześnie ta sama piękna pani, w powieści swej tak lojalnie i odważnie burzliwość swej młodości stwierdzająca, wychowuje troje dzieci tak wzorowo, że córka jej po paryskiem Sacré Coeur jako pani Wierzbińska małżonką i dziedziczką jest najprzykładniejszą a syn Bogusław, długoletni deputowany do Berlina, licz-

nych asocjacyj obywatelskich inicjator i prezes, w r. 1863 powstaniec. Ten to syn, Bogusław Łubieński zaczyna swe młode życie od kryminału, jako polityczny więzień w Moabicie, wplątany w konspirację z r. 1845. Dla uwolnienia tego to dwudziestolatka syna jedzie dzielna matka do Berlina na audjencję do króla. A jak się ma tam zachować wobec króla pruskiego i jakim językiem przemawiać, o tem instruuje ją jej wielki przyjaciel z Paryża w liście specjalnie długim z ustępami, których niestety, nie można nie nazwać wprost horrendalnymi, wprost niewiarygodnymi, nieprawdopodobnymi...

Ale nie uprzedzajmy... przypadków.

Tymczasem bowiem zachodzi w życiu pani Konstancji pewien fakt, który nanowo ciężkiem brzemieniem zaciąży na jej niebogiej doli.

W r. 1846 umiera mąż.

Wdowa zostaje sama z trojgiem dorastających dzieci, z administracją dużego majątku, z pędem i pasją do obowiązków obywatelskich, społecznych, pisarskich, misyjnych („wolności przywłaszczone przez płeć męską"). Xawera z „Capriccia" Żmichowskiej jest wolna, ale Juljan „Wieszcz, Święty, Wybraniec Boga", jest ...żonaty. I wtedy zjawia się prozaista Leopold... Życie zaczyna naśladować, realizować powieść poprzód napisaną... „Capriccio". Prototyp Xawery decyduje się oddać rękę p. Wodpolowi.

Pan Wodpol nie jest panem z panów, nie jest „ze sfery", ale jest Gutspächter, a gospodaruje na dzierżawach, człowiek „nie z towarzystwa". Już kiedy się stosunek nawiązuje, cała rodzina bliższa i dalsza oburzona, nawet konie w stajniach stają dęba, zaczynają się „hałasy"... Crimen laesae nobilitatis. Z Wodpola robią zaraz „ekonoma", aczkolwiek nazwisko ładnie zalatuje Anglją, a matka Wandalina jest rodzoną siostrą matki Hoene-Wrońskiego, a Wodpol za rewoltę w 1848 r. siedział w Moabicie! Ale w każdym razie „nie z towarzystwa" a Gutspächter.

Przyjaciel z Paryża, zapytany widocznie o radę, razporaz podburza do oporu, do przeciwstawiania się, do walki ze światem, do... heroizmu, a kiedy Konstancja wychodzi za Wodpola... gratuluje jej i pisze: „Radbym żeby Twój nowy stosunek (sic) dał Ci swobody i pełnię życia, bez której niema szczęścia".

I ślub się odbył. „Xawera" z „Capriccia" wedle sugestji rad „Juljana", wyszła za blondyna prozaistę. Ale hałasy całkiem nie ustały, wprost przeciwnie, doszło nawet do ciężkich scysyj ojczyma z pasierbami. Uspokojenie nastało dopiero, kiedy aby „spacyfikować Beocję", weszła Konstancja w skrajną... dewocję. I w tem to stadjum dewocji jeszcze raz dała dowód, że nie ma „żalu do nikogo" i nietylko Adamowi wybacza tę nieprzyjemnie skomplikowaną sytuację, w którą ją na trzydzieści lat wepchnął, ale gdy na jego sławę nastają, pierwsza obronić gotowa.

Zaczepił twardo pamięć już nieboszczyka Jan Koźmian, redaktor „Przeglądu", wyzywając Mickiewicza od odszczepieńców i herezjarchów.

Wtedy chwyciła za pióro sześćdziesięcioletnia

pani Konstancja. „Hałasy" były jej obojętne. Tyle ją obchodziły co śnieg zeszłoroczny, który jej piękną głowę siwizną oprószył. I wypaliła Janowi Koźmianowi odprawę w specjalnie mocno napisanej broszurce, udowadniając czarno na białem, bo „wydrukiem" specjalnie dobranej selekcji listów, jaki to był fidelis subditus i religjant rzymski ortodoks ten ze Śmiełowa „Niedowiarek" (w platonizm, w platonizm!).

I znów po tej pisaninie hałasy nastały, ale cichsze, krótkie, przelotne, bo i co tam drugą już generację mogły obchodzić afery i afekty staruszek i nieboszczyków? Ale pisanina pozostała. Jest i druk i dokument i świadczy, jakie to zacne serce kobiece biło pod sznurówką zawsze szykownej starszej pani Wodpolowej z Marcelina.

A jak się wywdzięczył? jak się wywdzięczał?

Dużoby i długo o tem mówić. Tak jak wszyscy, jak tacy wszyscy. *Duce a sempre ragione*. Kobietę kochał, działaczkę, opozycjonistkę, podpierał moralnie w życiowej walce. Starał się atoli trzymać w dalekim półcieniu, czuwając nad tem dość twardo a może i przebiegle, aby coram publico ich nazwisk nie łączono i aby poważna sława jego ne quid detrimenti capiat. W liście piątym (który Konstancja staruszka w r. 1863 poczciwie drukuje), Mickiewicz pisze: „Dedykacja, o której mi wspominasz, nie zdaje mi się właściwa, z wielu powodów, któreby długo było wyliczać. Starajmy się, aby kiedyś w czem ważnem imiona nasze splotły się, jako słudzy jednej idei, i żeby to się stało w czynie a nie w pismach tylko"....

Psychologicznego ekshibicjonizmu, do jakiego u naszej pani Staël z Budziszewa istniały pewne inklinacje, nie protegował, a w stosunku do pisarki zdobywał się omal na okrucieństwo jakże od galantuomji dalekie:

„Pisemko Twoje ostatnie ma swoją wartość, bo tam wiele jest rzeczy własnych z własnego uczucia idących. Ile razy dusza się poruszy, sama zawsze wyda głos, idący do dusz bliźnich i ten głos zawsze zachowa swoją siłę i cechę. Ale uczucie Twoje w tem pisemku jest oddane słowami często obcemi, naciągnionemi, zmienionemi, słowem niemieckiemi. Styl jest ciężki. Dobry styl czy poprostu dobra właściwa mowa, jest ta, która najbardziej zbliża się do mowy, do rozmowy, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególnie kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerością wchodzić w tok rozmowy prostodusznej, prostoserdecznej"....

„Prostoserdecznej" to nawiasem mówiąc rusycyzm i to dość ciężkiego kalibru. Można to było sformułować może nie tak *prosto*, ale nieco *serdeczniej*. Chyba że... Duce a sempre ragione...

Normalnych zjadaczy chleba ten ton lodowaty i sztywny wobec pisarki musi jednak dziwić i razić tembardziej, gdy się zestawi i porówna z gorącym, ognistym, arcyludzkim miłosnym tonem względem kobiety w innych listach z tych lat, z których Mickiewicza współcześni, naród, nauka znają jako Pro-

roka, Pielgrzyma, Wieszcza z przepyszną głową gdzieś wysoko, niebotycznie w obłokach.

Tych listów do Konstancji, ocalałych, drukowanych i wydanych przez Posadzego i przez nią samą, a zatem dostępnych ogółowi nie mniej ni więcej 45. Adamolodzy udają od lat 60, t. j. od 1876, że tych listów niema, że ich nie widzieli na oczy. Zgodni są na punkcie tego sabotażu Służalski z Phrasenbuchem, Dewotowicz z Zukleinerem, Drobiazgowski z Grzankowskim, Grzankowski z prof. Pigeonem. Trzecia już generacja polonistów poddaje się tej zmowie kierowana szlachetną intencją nie „psucia opinji" Wieszczowi. Ale listy istnieją, niespalone i wydrukowane. I przygodne studjum na ten temat istnieje nienależącego do gildji polonistów Ostrowskiego, Poznańczyka, z pieczęściami: *imprimatur* i *nihil obstat*, a więc chyba *nic* gorszącego. No i żadnej już tajemnicy. Ale gdy raz ongiś wyszła dyrektywa od Arystarchów jeszcze badaczów — brodaczów, aby tego tematu biografistycznego nie tykać, to i nie brodacze już nie tykali (Tabu) i w gruncie rzeczy nic o tej korespondencji nie wiedzieli. Udają teraz, że wiedzieli, ale tem się nie zajmowali programowo, umownie. W gruncie rzeczy jednak nie wiedzieli. Widzi się to teraz po nieudolnych, bakalarskich próbkach obrony (sic) Mickiewicza przed nowymi „zakusami" (sic) „odbronzowywania". Ale jak to mówi przysłowie: Tygrysy w pustyni ryczą, lwy w pustyni też ryczą, a karawana idzie dalej, nawet nie oglądając się w stronę dłubologów, dętologów, przeżuwaczów, fetyszystów, serwilistów. Dogmat o Nieomylności Wielkoludów obowiązuje i ma nadal

obowiązywać drób i drobiazg polonistyczny, podczas gdy śmielszej natury niezależnych i nienależnych do żadnego cechu poszukiwaczy ani to ziębi ani grzeje.

Listy Mickiewicza do Łubieńskiej poddane analizie psychologicznej wywołują wrażenie bardzo mieszane i do odcyfrowania zawiłe i trudne. Pisane na przestrzeni całożyciowej przez lat 25 omal aż do śmierci „zdradzają" w każdym razie gorące przywiązanie i głęboką przyjaźń dla kobiety w której dawniej Mickiewicz pełnią zmysłów się kochał. Jeden z tych listów przepoczciwy komentator Kantecki czy też Posadzy (doktór Besserwiser na pewno będzie wnet wiedział który?) charakteryzuje jako list godny pióra św. Franciszka z Assyżu. Jest w tem pewna przesada nie pozbawiona rozczulającej naiwności. Wiele bowiem z tych listów robi wrażenie jakby je pisał nie tyle św. Franciszek ile Casanova czy inny uwodziciel. Wieszcz i po rozłące zachowuje serce gorące. I po dziesięciu latach i po 20 i po 25 i w erze Towiańszczyzny i przed Rzymem i z Rzymu w r. 1848 i za życia Celiny i zaraz po jej śmierci (kostycznie) i w erze wprowadzenia się do rodziny demona Dejbelki i po wylaniu zamąż Dejbelki (1841) przed złożeniem „Trybuny" i zaraz po Grudniowym zamachu Ludwika Napoleona... z superlatywami dla zamachowca (sic!). W listach do Konstancji jest bezwzględnie szczery, nie namaszczony, nie proroczy, nie posągowy, lecz całkiem cywilny, bez uncji wieszczego pozowania, normalny, czasem nawet za bardzo normalny, żenująco przeciętnego formatu człowieczego. Przeważnie nalega i prosi. Prosi o, co tu ukrywać, nowe *rendez-vous* to

w Karlsbadzie, to w Amiens, to w Bruxeli, to w Paryżu ale wtedy incognito („że Paryż już znasz, możesz zostać u siebie nikogo niewidząc tylko tych, z którymi żądasz rozmówić się".). A jeżeli już nie w Paryżu lub nie w Bruxeli„ (gdzie się raz czy dwa zjechali) to przynajmniej na samej granicy francuskiej („w takim razie mógłbym z mojej strony ku granicy dojechać"). Jeżeli już nie o spotkania i przyjazdy to stale prosi i molestuje o żywszą korespondencję. („Po wyjeździe z Bruxeli trzy tygodnie przeszło bez wieści"). Ale listy mają być adresowane nie na gniazdo rodzinne, w którem w pewnej erze rządzi się jak szara gęś Xawera Dejbelka ale „do mnie zawsze na moje tylko ręce"... ...„Ty powinnaś często czuć potrzebę pisania do mnie"... W każdym swoim liście całuje ją tkliwie i serdecznie ściska, niekiedy tytułuje „pani", przeważnie: Konstancjo. Nigdy ani w jednym liście nie załącza jakichś ukłonów lub pozdrowień dla męża, natomiast „żona moja kazała cię uściskać serdecznie". No i znów nalegania i domagania się listów i to tak aż do marca r. 1853... „spodziewam się, że mi dasz odpowiedź"... i „dasz znać o sobie"... ale „pisz zawsze wprost do mnie, znasz mój adres"... I w tych to listach, pisanych najszczerzej i najosobiściej *(privatissima)* są też te niestety wysoce przykre rady i pouczania lojalności wobec króla Pruskiego no i jeszcze przykrzejsze zwierzania się z radością po zamachu Grudniowym Napoleońskim w r. 1851, („dziwiły mnie artykuły waszych gazet tak mocno ujmujące się za osobami tak mało wartymi naszych uczuć"). I to pisze do swojej przyjaciółki były redaktor *„Tribune des Peuples"!...*

Rozszczepienie jaźni? dwutorowość? *conscientia laxa?* czy też *duce a sempre razione?...* Naszych Freudystów i psychoanalityków mógłby jeszcze zainteresować i ten szczegół że w listach słowo „Opatrzność" pisane jest małą literą podczas gdy ciało wielką: „Twojem Ciałem, w Twojem Ciele"... No ale to może być i błąd drukarski od których zresztą w obu edycjach listów Mickiewicza aż się roi.

Że stosunki długoletnie były i rodzinnie zażyłe, dowód w tem, że dorastająca córka państwa Łubieńskich kształcąca się w Paryżu Marja zamieszkiwała także i w domu Mickiewiczów, który stylem, strojem i rozstrojem musiał być mocno podobny do milieu... „Tessy" ze znanej i przemiłej angielskiej sztuki.

Dożyła pani Wandalinowa Wodpolowa do r. 1867 i zmarła jako 67-letnia staruszka, wielokrotna babunia. Jej działalności polityczno-społecznej, konspiracyjno partriotycznej poświęcił specjalną pracę niemiecki historyk Wielkopolski dr. Manfred Laubert p. t.: *Eine polnische Stael"* 1910. W rządowych pruskich sferach uchodziła za niebezpieczną agitatorkę i propagandystkę paryskiej Emigracji. Miewała wielkie trudności z otrzymaniem rocznego *„passu"* zagranicznego. Podejrzewano ją o przewożenie stałe politycznej korespondencji. We dworze Wodpolów w Marcelinie bywał późniejszy arcybiskup Przyłuski. Przedtem latami całymi Marcinkowski, Libelt, Moraczewski, Łukaszewicz, Poplińsy, Kamieński, współredaktor jej pisma „Dziennik Domowy", które to pismo zawieszone 6-go marca 1848, znów zaczęło wychodzić 9-go września, by zaraz zostać przez władze zawie-

szone. Pani Stael z Marcelina korespondowała też z całym szeregiem najwybitniejszych Polaków między nimi z M. Czajkowskim, z Czartoryskim („Król *de facto*"), z Klaudją Potocką, z Tańskich Hofmanową... Była stałą współpracowniczką poważnego popularnego „Przyjaciela Ludu" w Lesznie. W rozwoju jej indywidualności jako działaczki emancypacyjnej i pisarki ówczesnej i bojowej długoletni stosunek przyjaźni z Mickiewiczem przy bliższej introspekcji raczej uważać należy za motyw powstrzymujący, onieśmielający, obarczający zbytnią odpowiedzialnością, obciążający. W życiu prywatnym, osobistym... zawikłania, przykrości, „hałasy", w życiu społecznem i pisarskiem zahamowanie. Tem opłaciła czy przepłaciła znikomą *gloire* wybranki, jednej z wybranek *Il Duce.*

W każdym jednak razie ze zjawisk kobiecych przy Mickiewiczu jest postacią najgodniejszą nie jeno jako *płeć* ale jako *człowiek.*

Jak teraz wytłumaczyć sobie bezdennie nie zbyt... mądre przemilczenie jej ze strony Bractwa Panpolonistów?

W PIERWSZYM PUŁKU PIERWSZEJ BRYGADY

Something of Myself

Od jakiegoś czasu zaczynam wątpić o tem, czy była za naszych czasów okupacja niemiecka czy nie była, czy Prusacy byli w Warszawie czy nie byli, czy na Zamku urzędował Beseler, czy też to wszystko było może jakiemś majakiem sennym, fikcją, przywidzeniem?

Nic się bowiem o tych czasach i o tych Niemcach nie pisało i nie pisze. Przez piętnaście lat te poprzednie cztery lata, z Prusakami tu spędzone, systematycznie tak jakoś usuwało się w cień, zacierało z pamięci i wymazywało z kroniki. Jakby zmowa. Wydarte karty historji. Jedni przeprowadzali ten proces czy proceder programowo, tendencyjnie a z maestrją. Drudzy szli za tamtych przewodem z ociężałości, bierności, nieoględności i z nieprzewidywania następstw i konsekwencji takiego historycznego... retuszu. Zamiast już w r. 1919 zasypać Polskę setką wspominków, pamiętników, opowiadań i interesująco (byle nie nudno) pisanych historycznych dociekań i rozpraw, dopuszczono, że do pisania i pisaniny wzięli się tłumnie inni zainteresowani i że przez lat piętnaście powstał olbrzymi kopiec pół-literatury, pół-makulatury, z którym następne pokolenia dużo będą miały kłopotu i fatygi.

Podczas okupacji pruskiej w Warszawie publicystów, którzy zwalczali okupację tu na miejscu, systematycznie, dzień w dzień, miesiąc w miesiąc przez pełne cztery lata, było tylu, że ich można policzyć na palcach jednej ręki. Wśród nich w dwóch pierwszych latach 1915 — 1916) tylko dwóch, t. j. Andrzej Niemojewski i ja; w następnych dwóch latach doszło jeszcze przygodnie kilku z obozu radykalnego, powaśnionych z ideologją generał-gubernatora Beselera, na którego platformie, chwiejąc się coprawda, stali i jechali przez lata poprzednie.

W Warszawie w r. 1914 przed wojną mieszkało i zarobkowało kilka tysięcy obywateli austrjackich, wcale liberalnie traktowanych także i w pierwszych miesiącach wojny. I dopiero kiedy Rosjanie (ratujący wówczas zagrożoną Francję) zaczęli dzięki niezliczonym zdradom (kurlandzkich Niemców) przegrywać i cofać się, wtedy zdecydowano, aby austrjaccy Polacy cofali się wraz z nimi. Z wiosną r. 1915 wyjeżdżały tedy pociągi z wagonami przepełnionymi „Austrjakami". Aczkolwiek wespół ze ś. p. Erenbergiem w „Kurjerze Porannym" pisywaliśmy skrajnie ententofilskie artykuły i z konieczności taktycznych zapędzali się daleko w kadzeniu Moskalom (kpiąc sobie z głupowatych anonimowych pogróżek), to jednakże „naczalstwo" i „cerkuły" nie ufały nam jakoś i raz po razu proponowały wyjazd do... matuszki. Wreszcie też wyjechali już prawie wszyscy „Austrjacy" a „Kurjer Poranny" w pełnym komplecie. Dzięki protekcji gen. Uthofa, a właściwie jego synów, mnie osobiście udało się jeszcze pobyt przedłużyć. Ale już

cyrkuł roztoczył i nade mną specjalną, nieprzyjemną opiekę. Dwa trzy razy na dzień telefony na Hortensję z cyrkułu z Tamki. Jeszcze jeden tydzień prolongaty dzięki zaprotegowaniu przez ś. p. Pawła Górskiego i gen. Turbina. Wreszcie cierpliwość się wyczerpała, i wizyta rewirowego: „dzisiaj wieczorem musi pan wyjeżdżać... albo będzie się pana aresztowało"...

Wobec tego wieczorem wyjazd demonstracyjny z kuferkami i pożegnaniami i dojechanie aż do mieszkania i biura inżyniera - architekta Wacława Moszkowskiego. Była to połowa lipca i liczyło się, że Moskale lada dzień wyjdą. Tymczasem zawód. Agonja zaczęła się jeszcze przedłużać. Trzy tygodnie trzeba było się ukrywać w pokoju z zatarasowanem oknem, wychodząc tylko czasem nocką na spacerek.

O świcie 5 sierpnia (1915) wyjście na ulicę, na „wolność", i powrót do domu. Kilka tygodni pieredyszki, poczem podjęcie z powrotem publicystycznej satyry w „Kurjerze Porannym", pseudonim „Junius", rubryka „Listy Anonima". Cenzura pruska początkowo grzeczna i układna. Jeżeli nie wyjechał razem z wszystkimi uciekinierami i czekał w ukryciu cierpliwie... na wjazd króla bawarskiego... no to znaczy, że nie taki znów moskalofil. Od czasu do czasu wzywania do radcy Cleinowa *ad audiendum verbum*. Wypieranie się. Skrypty bywały przepisywane na maszynie i dostarczane okólną drogą. Wreszcie pierwsza bomba: nowela alegoryczna p. t. „Wigilja Duszenki", niby z Czechowa tłumaczenie o upadku Rosji. Redaktor Magnuski wezwany do władz wyższych: drukowanie „Juniusa" zakazane.

Na te czasy pierwsze zbliżenie z legjonistami. Kiedy wjeżdżali po raz pierwszy Krakowskiem Przedmieściem, uczucia podzielone. Patrzenie z okien cebulastego jeszcze gmachu Staszica w gronie znajomych, no i bek. Nie dało się utrzymać sztywnie orjentacji (targowickiej) i bek.

Pierwszy wieczór, na którym popijawa i tańczenie, śpiewanie żołnierskich piosenek i rozkrochmalenie na Hortensji: Galica Jędruś (kolega od św. Anny), Orkan, malarz Maszkowski, Wieniawita — i inni.. Nad ranem czy słuch nie myli: psioczą na Niemców? na Austrjaków? — całkiem jak my. Niby sztama a żadnej sztamy. Szczególnie ten paryżanin, wówczas śliczny, smukły, w mundurze ułańskim jak z obrazka, no i akcent cudny, wsioski, śpiewny. I pije jak król Bela...

Tak, tak, pierwszy w Warszawie wieczór, gdzie tańczyły mundury polskie, był na Hortensji. Potem już wieczorami zaczęto ich sobie formalnie rozrywać na wszystkie boki i strony, ale przeważnie po lewej... po Loevych stronie.

Pisanie opozycyjne „Ezopowym językiem" dalej w tym samym „Porannym". Bieda i nędza straszliwe: gumowe kołnierzyki (dosłownie), kurtka z pokrzywy (dosłownie), co lepsze ubranie wszystko posprzedawane. Konsumpcja: kasza, mąka, sacharyna, jarzyny suche, chleb czarny od zacnego Zyglarskiego z Brackiej, obdzielającego brać literacką i dziennikarską a cierpliwego jak Hiob. Kawa czarna z grochu czy z fasoli, cygara do fajki z liści dębowych, wóda metylowa, wino z agrestu. Więc i wściekłość na Niemców, wysysających już ostatni szpik z kości wyzwalanego narodu, wyładowuje się w nowelce o rodzinie „Michalskich" (Michel). Skandal grubszy. W domu rewizja kilkogodzinna z odrywaniem tapet. Wezwanie na Wierzbową. Przesłuch. Czterech wojskowych za stołem: „Wir werden Sie nicht zum Helden stempeln Nowaczyński, aber passen Sie mal auf... mit Ihren faulen Witzen"...

Listopad 1916 r. Akt piąty i akt piątego. Na stronę Niemców przechodzą ludziska masowo. Znajomi, przyjaciele, literaty maszerują parami na Zamek. W Granadzie zaraza. Wczoraj stolicy faworyt, dziś odwracają się tyłem i nie kłaniają. I czego te głuptaszyska nie wypisywały! W jaki szał wpada ta czereda: „Goniec" („Pankracy"), „Głos Stolicy", „Nowa Gazeta".

Wobec takiego masowego obłędu trzeba jakąś wyjątkowo ciężką bombę rzucić w skretyniałe tłumy. I wtedy Andrzej Niemojewski wali swój „Pręgierz" a ja w kilka dni gotów jestem ze swoim Pogromem, t. j. dwieście meandrów na wszystko i wszystkich; tytuł: „Szopka", autor Halb-A. N. Obóz dwóch cesarzy-wybawicieli ogarnia furja wściekłości. W Biuletynie C. K. N. Nr. 58 odpowiedź: „Psie głosy", w „Gońcu": „Poezja niewolników", w „Godzinie Polskiej": denuncjacje, w „Głosie Stolicy" — także.

I wtedy przychodzi pierwsze wezwanie do wojska. Austrja cię wzywa. Bez ciebie cesarz sobie nie da rady. Obraziłeś „Radę Stanu" bracie, wobec tego do wojska, do Piotrkowa. Wiek: lat 41. Ochoty literalnie żadnej. Choć rodzina cała urzędniczo-militarna, ani do urzędu, ani do militaryzmu austrjackiego nigdy pociągu żadnego. Od lat kilkunastu w Warsza-

wie. Już czterech Nowaczyńskich na frontach. Bracia matki na frontach. Wuj Hugo Edler Kornberger de Cronberg, generał, ostatnim austrjackim komendantem Königgratzu. Wuj Adolf, rotmistrz ułanów, jeszcze pod Custozzą jako adjutant gen. Rodakowskiego z Włochami walczył (w „Tygodniku Ilustrowanym" był o nich artykuł, z obrazkami), teraz znów poszedł. Brat cioteczny Wiktor (w r. 1930 prezes zjednoczonych kamieniczników polskich) wieś porzucił, Kozinę śliczną, a do wojska wrócił, adjutantem był Kucka czy Klucka w Lublinie. Dość ich tedy! Niech sobie oni Austrji bronią. Mnie Austrja Hekubą. Dwadzieścia lat temu już mi z Austrji kazali wyjechać, i to w 24 godziny „sakumpak", żeby nikt nie wiedział, w nocy, bo inaczej pójdę... do Schlüsselberga na dożywocie za sianie anarchji (u Rosenstocka...). Nie chcę do Austrji! Za żadne pieniądze do c. k. C. K.! Żeby mnie Feldzeugmeistrem zrobili, także nie...

Nic nie pomogło. Znów wezwanie, i to już z krótkim terminem: inaczej „siupasem".

Wobec tego znów chowantes, w pewnej szkole, bardzo wysoko, z widoczkiem na Wisłę. I na tej wieżyczce pisanina dla podziemnej prasy... Jeden tydzień, drugi tydzień, trzeci tydzień, a wychodzić nie wolno, ani nawet na ganeczku lub w oknie stanąć, ani do telefonu, bo szpiegów pełno a i rodacy-aktywisty (cywile! cywile!) bardzo rozsierdzeni, gotowi Oberkomendę powiadomić.

A tu trzeba przydać, że w głowie tkwiła taka marotta: być podczas tej okupacji dla Warszawy Gugenmusem. Co znaczy Gugenmusem? Nauczyłem się

o tem od historyka i kronikarza Warszawy, Aleksandra Kraushara. Za pierwszej okupacji pruskiej przed wejściem Napoleona był sobie w Warszawie taki zwyczajny zegarmistrz, z polszczyzną nieco nabakier, Szwajcar Gugenmus. Czytywał nałogowo dnie i noce niemieckie gazetki i z tych gazetek (Augsburgerka) dowiadywał się (głównie z międzywierszy), że Niemcy biorą już wszędzie lanie. Od rana do nocy łaził tedy po stolicy, dodając Warszawiakom „couražu", masując karki i explikując dokoła, że sytuacja lada chwila się zmieni, że sukcesy niemieckie wnet pójdą na... Marnę. Byle tylko nie tracić nadziei! byle nie poddawać się defetyzmowi!

Że pracując i pisząc i podziemnie i nadziemnie przez lat cztery, udało mi się co nieco zostać takim Gugenmusem na lata 1914 — 1918, o tem niechże poświadczy choćby jeden taki dokument *(humain):*

„Krakowskie Prz. 32, 4 I 17. Szanowny Panie! Teka z wycinkami z gazet łaskawie przesłana do przejrzenia przezemnie, długo dochodziła do rąk moich, gdyż zaadresowana na Wiejską 10, do mieszkania Ks. Prezydenta, tamże leżała, zanim ją odebrałem. Moje mieszkanie jest na Krakowskiem Przedm. 32. Razem z ks. Prezydentem przejrzeliśmy cały zbiór, nader ciekawy, i tylko umocniliśmy się w naszem stałem przekonaniu. Serdecznie dziękuję za łaskawe pozwolenie mnie, posłużenia się pracowicie zebraną kollekcją i proszę Szanownego Pana o przyjęcie zapewnienia mego poważania, z jakiem się piszę Stefan Lubomirski".

Wobec tego atoli tak dla władz okupacyjnych jak

i dla ich zagorzałych popleczników stałem się nieco niewygodny czyli „lästiger Inländer". Chodziło tedy o to, aby mnie (derzeit... ewig... untauglich) zwabić do cysarskiej landwery czy też landszturmu, na włoski front, aby tam poprawić im sytuację nad Isonzo.

I wtedy to Gugenmusowi ze samotnej wieżyczki na Sewerynowie przyszedł do głowy pomysł kapitalny, Kolumbowy. Niechże pomogą w tem Galica, Orkan, paryski Wieniawa i ten wonczas okropnie arcyksiążęcy Maszkowski.

Między Komendantem legjonów a ówczesnym panem na Zamku już się wtedy zaczęło wszystko pruć, psuć i rwać. Nigdy tam takiej specjalnej harmonji nie bywało a od zimy r. 1916 z dnia na dzień wciąż zimniej. Chodziło teraz o przybliżenie opozycji legjonowej do Koła Międzypartyjnego (Zygmunt Chrzanowski, Henryk Potocki, Ciechanowski, Jabłonowski), któremu to Kołu składałem co dwa tygodnie takie résumé sytuacyjne z przeczytanej niemieckiej, austrjackiej i szwajcarskiej prasy... résumé z horoskopami. Kontakt szybko się nawiązało. Dopomogła zacności dusza, Litwin, Tadeusz Święcicki. 25 marca 1917 r. wieczorkiem w zamkniętym wehikule pojechało się do Święcickiego po... mundur. Dostało się ułański, bardzo ciasny. Trzeba było poszerzać to i owo. Czapka niska z orzełkiem, bagnecik, owijaki, naczyńka.

Poczem prezentacja jeszcze w cywilu, aby przy okazji ułożyć dzień i godzinę zetknięcia się Komendanta z leaderami Koła Międzypartyjnego.

Mieszkali gdzieś daleko, bardzo skromnie razem z tym Sokolnickim... Święcicki uprzedził.

Napisało się wtedy w zimie dramat „Pułaski w Ameryce". Ameryka już się powoli przygotowywała do wojny. Chodziło o to, aby rodakom przypominać stare przyjaźnie, wielkiego bohatera, a przy okazji nieco nasobaczyć Szwabom. Dramat drukiem wydał Hulewicz („Ostoja"), ten drugi, normalniejszy.

Na prezentację z uczuciami jechało się dziwnemi. Pamiętałem z zamierzchłych czasów od „Cafe Schmidt" z rogu Plant i Szewskiej. Ale trema pewna z całkiem innego powodu.

W r. 1914 wychodził w Warszawie miesięcznik ilustrowany p. t. „Kłosy". W tym miesięczniku, który zresztą białym krukiem nie jest, w numerze kwietniowym zamieściłem na dwóch stronach trzydzieści kilka „Meandrów Sowizdrzała".

W jednym z tych meandrów na pierwszej stronie w apostrofie do Józefa Piłsudskiego użyłem tytułu: „*Marszałku*". Na dziesięć lat przed....

Każdy kto ciekaw może to zbadać i stwierdzić: kwiecień 1915, „Kłosy".

Wyjątkowość tego do pewnego stopnia jasnowidzenia polegała może głównie na tem, że wówczas wśród literatów burżujskich w Warszawie co dziesiąty znał to nazwisko a oprócz mnie (często Galicję odwiedzającego) mało kto, bardzo mało kto interesował się całym ruchem strzeleckim, drużynami Bartoszowemi, Stróżą, werndlami, ćwiczeniami wojskowemi, P.O.W.

Mnie to wszystko co się tam działo po lasach i gajach fascynowało i pasjonowało do białej gorączki

z tego znów powodu, że mając lat czternaście, w krakowskiem Parku Jordana zorganizowałem wraz z kolegami z innych gimnazjów pierwszy wspaniały korpus polski, który to korpus na pewnym dobroczynnym festynie niedzielnym odegrał przed publiką montrespektakl militarny, t. j. "zdobycie Sewastopola" (sic), przy użyciu różnych efektów nawet pirotechnicznych Poczem dr. Henryk Jordan (rodziców moich przyjaciel) udekorował na oczach publiki „rudzielca" jakimś wspaniałym papierowym orderem...

Mapy Polski imaginacyjnej, jakie się wtedy rysowało i malowało różnemi kolorami, już też świadczyły o silnym instynkcie państwowości i imperjalizmu...

Tymczasem ktoś inny mnie w tem wszystkiem uprzedził i ubiegł. ON.

Pierwsze wrażenie, później zmiennymi nawrotami stale wracające, w wysokim stopniu sympatyczne przy dławiącej antypatji do asystującego jak cień cywila. Uprzejmy, mocny, prosty, najnaturalniej dziękujący za książkę ze strzelistą dedykacją od autora (który już wtedy często sobie na to i tamto pozwalał), niczemu się nie dziwiący, szczegółowo rozpytujący, widocznie respektujący czy to wiedzę czy śmiałość. A tuż obok posępna postać z postawą kancelisty, zgóry patrząca na „natręta", wtrącająca raz po razu glossy mal à propos, tumańsko się w dialogu orjentująca, „szara ekscelencja", wonczas „nie życząca sobie" bliższego kontaktu z Kołem Międzypartyjnem, poczem właśnie w tym interesie machlująca. I jakie wrażenie pierwsze się odniosło, tak już i zostało i powtarzało się później: skałę sterczącą wyniośle wśród oceanu

(rocher de bronze) zawsze muszą oblewać wzdęte i pieniące się bałwany, skończone bałwany; w ogonie swoim każdy kometa małych gwiazdeczek miał miał; za mundurem ciągną sznurem; lokajstwo od najsurowszego nawet pana zawsze jest nieznośniejsze. Wieleż to razy przez te lata — fata w niekończących się dyskusjach urągało się na Ałłacha... ale ileż *set razy więcej* na wrzeszczących muezzinów, na wezyrów niesprawiedliwych, na khadich głupawych, a przedewszystkiem na eunuchów i kłapouchów z otoczenia...

Dn. 24 marca późnym wieczorem do Modlina w gala mundurze z uzbrojeniem, z kuferkiem, z lornetką polową (sic!). Przyjazd późno w noc na stację. Bezdennie bezmyślne pytanie: czy są konie (powóz) do twierdzy? Śmiech na sali stacyjnej, i jazda gazda piechotą w nocy przy licznych psów zza krzaków oszczekiwaniu. Pierwsza noc w sieni na ławie. Rano meldunek, porucznik S...., znajomek z Zakopanego, były funkcjonarjusz z handelku winnego, wobec czego wzajemne niepoznawanie, bo odwrócenie stania na baczność. Książka służbowa nr. 5678, karabin nr. 17, bataljon 4, drugie kapralstwo, izba nr. 36 w bocznem skrzydle wewnętrznego gmachu z lewej, w samym „Kernwerku" popalonej, porozwalonej, tam bez ścian, tam bez dachów twierdzy.

I rozpoczął się pierwszy miesiąc normalnej ciężkiej tresury, który sobie człowiek jeszcze teraz lubi wspominać często z najwyższą satysfakcją, z radością, z rozrzewnieniem, z melancholją, ale przedewszystkiem z dumą! Bądźcobądź 41-a wiosna, a tu wstawaj rano o 5-ej (pobudka), i to na równe nogi, mycie

w szeregu, marsz na gimnastykę, ranna czarna ciecz („kawa") z chlebem, potem ćwiczenia z gwerem: padaj! spocznij! padaj! spocznij!

Kapralstwo było całe z Galicjaków, spod Krakowa, rzemieślników i chłopaków wiejskich. Początkowo pewna nieufność, podejrzliwość, sztywność, poczem lody przełamane także i z pomocą drobnych souvenirów (papierosy, czekolada), wreszcie dwóch zyskanych przyjaciół i niejako protektorów: Cebula i Stopa. Sadło i nadmiar wagi zaczęły zwolna ale codziennie i widocznie ubywać. Nieco pękata oferma wracała do figury. Pewna trudność była początkowo przy oswajaniu się z potocznym językiem, który składał się z samych słów jędrnych i mocnych z przygniatającą przewagą jednego słówka, zaczynającego się od przetłumaczonego na francuskie imienia Piotr. Słowa tego używało się na oznaczenie wszystkich czynności, zabiegów, działań i funkcyj. Po dwóch tygodniach używałem go już nawet z pewną przesadą ale i z maestrją. Ponieważ w komendzie pułku wiedziano o najnowszym żołnierzu 4-go bataljonu, więc pewnego dnia wezwanie przed oblicze starszego sierżanta i zapytanie: czy chce być przydzielony do służby kancelaryjnej? Dziękuję, ale *jeszcze* nie. Heroizm. Zdolności mimicryzacyjne rozwinęło się równocześnie tak wielkie, że w kapralstwie drugiem nawet nie domyślano się, jakoby to była jakaś figura. Ot sobie zwyczajna starawa oferma, dekuje się hycel i szluss.

Raz wieczorem już wszyscy leżą sobie na pryczach pod kocami, papierosiska ćmią, zakratowane okna otwarte, lekka kanonada normalna i opowiadania o...

teatrze, gdzie który kiedy na czem był; podnieceni, rozgwarzeni. A ja z fajką jak zawsze, zakonsiprowany conieco i nieco smętny. List wtedy przyszedł: 22 kwietnia premjera „Pułaskiego" w Krakowie. Pokusa wielka. Przerwać już trening czy nie jeszcze? A tu rozmowa w ciemnościach idzie:

„A na „Samozwańcuś" był? Klawa sztuka psiamać spier....".

Pogwarek długi i ożywiony, rozpalenie, opowiadanie treści. Na dwudziestu było z piętnastu i tuż obok „Królowej przedmieścia" stawiają... A kto nie na tem, to na „Frycu": „cholera Solski, żeby go!"... Nazwiska autora nie znał żaden, a choćby był który coś pamiętał, to przez myśl im nie przyszło, że ten tam pokraka pod derą może mieć coś wspólnego z... Tamtenem, że „Celestyn był Floridorem a Floridor był Celestynem"...

Tego wieczoru późno zasnęło drugie kapralstwo, bo się kłócili nazabój, która sztuka „szopniejsza"...

Był potem maj, w tonącym w zieleni ogrodów, pełnym fiołków Modlinie... prześliczny maj, kiedy pewnego razu w południe żołnierz z komendy do sierżanta, a sierżant do mnie:

„Macie się porządnie wymyć, ogolić, buty na glans spier.... i o pierwszej stawić u pułkownika!".

...Rozkaz.

Incognito zostanie więc przerwane? Przyjechały z Warszawy trzy panie na obiad. Niusia L. (śliczności, dzisiaj J.....) nie chce wierzyć, że „Ada" w legjonisty poszedł. Uwierzy jak zobaczy. Więc przerwali „układ", no i obiad. Najwyższa szarża w całym Mo-

dlinie i najniższa gdzieśtam z samego dna bytu kreatura, rekruckie ścierwo. Obiad. A po obiedzie czarna kawa w ogródku przed dworkiem parterowym z werandką...

I tu zaszło coś czego nie można było przewidzieć... Siedzimy sobie w koszowych fotelach, popijamy, gwarzymy, ułan od siedmiu boleści dowcipkuje, adjutant Zamorjusz dolewa, dolewa... A tu przy krzakach i przy grządkach akurat jakieś roboty, grzebanina, kopania, pielenia i akurat... chłopaki z mego kapralstwa! Jeden ośmielił się ku werandzie raz zerknąć. I poprostu zmartwiał, zesztywniał... zatkało go, obezwładniło, sparaliżowało:... Dziwna oferma z 12-ej pryczy siedzi sobie zapanbrat, na głos se gada choroba, śmieje się cholera, pier... sakramencko! Świat się zapada czy warjactwo na rany Boskie!

Wieczorem po powrocie do kapralstwa, złowroga, nieprzyjemna cisza. Mówią do siebie półgłosem, w moją stronę boją się patrzeć. Nawet Cebula i Stopa osowieli i sztywni. Wszelkie próby nawiązania znów sympatycznych nici nie udają się. Na poczęstunek papierosowy zimna odpowiedź: „Dziękuję... dziękuję „panu"... mamy swoje"... Dobranoc! Dobranoc!" chórem. Kilka westchnień. Kanonady żadnej!

Nazajutrz to samo. W południe do raportu: „Nowaczyński przeniesiony do kancelarji". Już skądś wiedzieli wszyscy że to ten od „Samozwańca". Już się jednak rozkrochmalili. Wróciła serdeczność. Ale od tego dnia zaczęli mnie nazywać: „ambasador". Skąd się to wzięło, niewiadomo: „ambasador"! Na ćwiczeniach, na spacerach, w kąpieli, przy zwiedzaniu tajemniczych zakamarków, piwnic i podziemi modlińskich, stale „ambasador". Ale kilkotygodniowa idylla.. regeneracyjna się skończyła.

W kancelarji już całkiem inny świat, już sympatje i antypatje. I z powrotem cywilizacja, inteligencja, polityka, gazety, telefon, elektryka, kontakt z Warszawą, częste wyjazdy, służba kurjerska raczej łącznikowego między jedną opozycją a drugą. Z kancelaryjnych kolegów najmilsze wspomnienia, to dwaj artyści: Bonawentura Lenart-us, Zygmunt Grabowski, dalej Malewski, no i ewangelicznej dobroci „ojciec Marek „pierwszego pułku", ksiądz Ciepichałł... W wolne popołudnia często w cerkiewce (na polu ćwiczeń) wygrywanie na organach poważnych „kawałków" („Ave Maria" Gounoda najulubieńsze), a na dole w ławach brać legunowa słucha: „ambasador organy pier...".

Wesołych epizodów innych też nie brakowało.

W Platzkommando rezydował sobie w czerwonym gmachu bawarski generał, z naszym pułkownikiem całkiem nabakier. Ale po Moskalach zostały aparaty kinowe. Można spróbować uprosić czy odebrać dla legunów i w stodole, gdzie „kabarety" bywały, zainstalować. Delegują tedy „ambasadora". Nadole nie chcą wpuścić, na pierwszem piętrze znów nie chcą, w antresoli też nie chcą, w dużej kancelarji przy stolikach zdumienie nad tupetem dziwnie umundurowanego nawet nie „starszego żołnierza". Adjutant bierze bilet wizytowy, wprost ogłupiały zuchwalstwem intruza; na bilecie dopisane: „korespondent tylu a tylu dzienników... szwajcarskich". Po chwili wraca:

„Exzellenz läst Sie bitten Herr Doctor". Wśród stolików nerwowy szok i podrażnienie.

Generał był Bawar, hrabia, pacyfista, i nudził się w Modlinie jak mops. Audjencja zaczęła się o pierwszej, skończyła o szóstej. Przypomniałem sobie gwarę monachijską. Wypiliśmy moc czarnej kawy i półtorej butelki konjaku. Koło czwartej godziny musiałem już stanąć w obronie Wilhelma, Ludendorffa i t. p. wobec bezprzykładnych ataków Amfitrjona. Poczem grałem mu trochę na fortepianie, i znów piliśmy jak szewcy piwsko i wino naprzemian. Wreszcie oprzytomniałem pierwszy. Wobec tego, że urzędnicy wojskowi już się rozeszli, generał zaczął dzwonić jak na alarm i adjutantom i oficerom polecił do wieczora wszystkie aparaty i maszynerje, jakie gdziekolwiek w Modlinie są, zebrać i sprezentować Herrn Doctor do dyspozycji. Ponieważ kinowe były po Moskalach, więc w popłochu ucieczki uszkodzone. Oczywiście, musiałem mu dać słowo honoru, że będę przychodził co dzień „pünktlich und regelmässig". Przy pożegnaniu chciał się jeszcze zakładać, że Niemcy muszą przegrać wojnę. „Ist doch unmöglich Excellenz"... „Und doch!. Glauben Sie mir Nowaczynsky! Ich gebe Ihnen mein Ehrenwort"...

Takich i tym podobnych epizodów bywało naprzód dość dużo, a potem już coraz mniej, gdyż cień posępny padł i na Modlin.

Zaczynała się wielka afera przysięgi, wielki rozłam definitywny, dni i tygodnie tragiczne.

To już raz opisałem. I tego powtarzać nie myślę. Tyle tylko powiem znów po latach, że to co wtedy

pod Modlinem zaszło było niepospolicie piękne, wzniosłe, szczytowe. Po latach, po zmianach, gdy się jest bliżej grobu, to się jeszcze *częściej* mówi i pisze *tylko* prawdę nieuszminkowaną. Jak wtedy tak i teraz z całem sercem, z podziwem i z całym respektem dla tych, co rzucali szable na trawę, potem gwizdali, gdy powóz z Beselerczykami odjeżdżał, a potem, potem... wielką gromadą szli na dworzec modliński i stąd do Szczypiorny, do Benjaminowa. Na te sceny, na ten akt heroiczny, na tę historyczną decyzję ówczesną, tak ważną, nie zmieniłem poglądu przez lat szesnaście ani na jeden dzień, ani na jedną godzinę! I czy ówczesny mój podpułkownik, dziś generał, Rydz-Śmigły, jest *commandingman* czy *der kommende Mann*, tego wróżyćbym się nie decydował, wiedząc tylko to jedno, że dla mnie ten mój młodzieńczy pułkownik był, jest i zostanie żołnierskiego hartu i honoru, rycerskiej nieskazitelności i niezłomności wcieleniem. Łatwiej też można zapomnieć rok 1920, gdy się pamięta jego przepiękny r. 1917.

Odmowa przysięgi jak również konflikt z Beselerem i konsekwencja tegoż — wywiezienie do Magdeburga — stoją w bezpośrednim przyczynowym związku z zetknięciem się Józefa Piłsudskiego z leaderami ówczesnego Koła Międzypartyjnego. Materjał dowodowy, obciążający okupantów, jaki wówczas Piłsudskiemu sprezentowano, oraz poparcie moralne, jakie nadspodziewanie znalazł wśród Ententystów, zaważyły mocno na ostatecznej decyzji wodza legjonów. Oświetlone to zostało w broszurze mojej p. t. „Odprawa" która w danym momencie w kołach dotąd

niechętnych legjonom więcej dla nich wtedy zdobyła uznania niż potem stosy makulatury nieprzeliczonych smarowozów.

Kiedy młodzież poszła w części na front włoski a w części w obozy koncentracyjne, ja z pozwoleniem szefa pułku wróciłem do cywila. Jeszcze się tam czasem mundur brało, trochę go „wystylizowawszy", ze względu na ułatwione kolejowe jazdy, ale zawsze w gumowem palcie, co stwarzało jakąś taką efektowną całość (wraz z okularami i fajką), że bardzo często przejeżdżającemu w dorożce czy w aucie salutowali pięknie i wyżsi... wojskowi... niemieccy. Z okupacją walka teraz szła dalej, już nie przez składanie endeckich jaj kukułczych do „Kurjera Porannego", ale w „Gazecie Porannej" pod batutą Przemysława Mączewskiego (przy Nowym Świecie). Równocześnie dla podziemnej prasy praca. W „Wiadomościach Politycznych" dwa artykuły conieco... jasnowidzące, bo przed przystąpieniem Ameryki już decydujące, że Stany przystąpią, że szalę zwycięską przechylą i pokój podyktują. Tytuł: „Pax Americana". Stwierdzić łatwo, bo też nie „białe kruki"...

Poczem znów satyry, nowelki i feljetony alegoryczne, zebrane w pięknie przemilczanym tomiku „Pogrom" („Bibljoteka Dzieł Wyborowych").

Większy efekt wywołany: „Czyn i ćma" (nieudały zamach na Beselera), dalej „Hodowla królików"... konfiskata i znów rewizja domowa. W „Sowizdrzale", satyrycznym tygodniku Nawrockiego (nr. 19), wiersz „Oda do kucharki Marjanny" (Francji) i zamknięcie pisma na dwa tygodnie. W tym czasie częste

jazdy do Krakowa,, Lwowa, Lublina i kontakt z piastowcami (na Małym Rynku), przelotny z Wasilewskim Leonem przy Florjańskiej, a wreszcie na Łobzowskiej kilkakrotne wizyty w małem Komendantowej mieszkanku, gdzie więźniowi z Magdeburga poświęcone były długie rozmów godziny.

Nadchodził wrzesień. Zwycięstwo już się przechylało. Na ulicach ci, co się niedawno nie kłaniali, ale odwracali, teraz się kłaniali a nawet wyskakiwali z dorożek: „Świetnie mistrz napisał to lub tamto!". „Musimy mistrza uściskać i wycałować!". (Owszem, ale w to miejsce nie wypada na ulicy, chodźmy do bramy). Zaproszenia na śniadania przez utytułowane postacie. W „Europie" Janusz (z ciemną hipoteką) raz prosi Rotwanda, żeby go mógł... mnie przedstawić. Owszem. Niech siada. Nawet do „Myśliwskiego" proszą na kolację w sześć osób i toast wnoszą. Or-Ot pisze w „Tygodniku" wspaniałą odę do Dowbora, a ja Dowborowi tłumaczę pewnego poranku skąd aktualnie kult dla więźnia z Magdeburga. Akcje narodowo-demokratyczne idą wgórę na giełdzie politycznej w oszołamiającem tempie. Komponuje się lista gabinetu wyłącznie z Koła Międzypartyjnego. Doradzam skromnie, że ministrem spraw wojskowych może być tylko „platzhalter" Rydz-Śmigły, co aprobuje stale Zygmunt Chrzanowski.

Pewnego dnia mnie aresztują. Włażą rano do pokoju w mieszkaniu Zgoda 8 („tu przyjaciel!"). Wchodzi żandarmerja polowa „Wehrmachtu". I taszczą do biura przy Marszałkowskiej efektownie w dwóch dorożkach. Krótki przesłuch i odrazu... „dzielnego na

Dzielną". Co u djabła! Chyba zwarjowali? Jest 12 października. Spóźnili się o kilka miesięcy! Co takiego? Za co? Napisał artykuł o konieczności natychmiastowej fuzji Dowborczyków z Piłsudczykami, ale jak zawsze przy okazji musiał nasobaczyć „Wehrmachtowi" od Plattfusów i Dreyfusów.

I teraz wybucha skandal na całego: „Zanim Niemcy wyjdą, oni pana powieszą, względnie rozstrzelają". „Obraza armji a nadto dezercja z wojska".

Więzienie na Dzielnej wonczas bardzo zaniedbane i nieapetyczne; Mokotów w porównaniu z Dzielną, to salony. Z okna celi słychać nadto ciągle jak chłopaki wykrzykują tytuły żargonowych gazet; toże średnia emocja. Dyrektor więzienia, płk. Iwanowski, ludzki człowiek z kulturą, na obiadek raz prosi ale niedobrze wróży: „Jeżeli Niemcy przetrwają, to pan z rok najmniej posiedzi"....

24-go rozprawa. Sąd wojenny. Zaczyna się o godzinie drugiej. Pełna sala: prasa, piłsudczycy, endecy, dowborczycy, z Koła Międzypartyjnego, z P. O. W., z C. K. N., śmieszny adjutant jednego z regentów... garść komunistów... Oskarżonego broni mecenas Paschalski. Jest młody więc jako Achilles wrzący i porywający. Mówi świetnie. Cała oracja in extenso drukowana w „Kurjerze Porannym" („Przeglądzie") z dn. 24 października 1918 r. Oskarża prokurator płk. Heydukowski. Każdy mówi swoje a ja też do słuchu o tem i o owem, dając do zrozumienia, że cokolwiek się stanie, maluczko a będzie wprost przeciwnie i do kryminału dostaną się znów... sędziowie. Wobec czego skazanie na osiem miesięcy twierdzy.

Dowidzenia. Dowidzenia! A ja was pier... w oczko (po leguńsku).

Ale kto ma pech w szczęściu a szczęście w pechu, ten choć już idzie wisieć, jednak nie utonie.

Trzeciego dnia po pożegnalnym obiedzie u pułkownikostwa Iwanowskich samochodem do domu: Zgoda! Zgoda! (a Bóg wtedy rękę poda).

Dziesiątego listopada miałem już odczyt w Łodzi przy nabitej do ostatniego miejsca sali, z owacjami. Podczas odczytu w środku podano mi na estradę depeszę z Warszawy. Zerknąłem okiem, przerwałem gadaninę i czytam tielegrammę (tak się mówiło). „Państwo wybaczą, że przerwę, ale tego... ale ciekawa depesza (fortissime): „Cesarz Wilhelm abdykował". Czegoś co potem nastąpiło trudno opisać: czasem teraz słychać z Berlina przez radjo taki ryk tysiącznego mrowia. Noc cała: dzikie pijaństwo w dużej kompanji i tańce ekscentryczne prelegenta na stołach; biały mazur o dziesiątej rano. Barszcz z uszkami. I znowu szampan.

A potem w Warszawie już tylko chodzenie na kolej: przyjedzie rano czy przyjedzie wieczorem? jak wygląda? jak też wygląda? schudł? Żadnej myśli innej. Wszystko obojętne.

Dzień przyjazdu. Lekki ciemny obłok na rozjaśnionym horyzoncie, to jest ci, co asystowali w samochodach, co mieli czelność, bo mieli telegramy z Berlina o godzinie wyjazdu. W dwie godziny potem jeszcze się adorant z Endecji przypętał w tem pierwszem mieszkanku przy Moniuszki (u jednej z tych pań, co były w Modlinie), gdzie na biureczku duża fotografja

jednego z „synów Natana" Mędrca. Pokoiki natłoczone typami niekoniecznie najapetyczniejszymi; czerwona ochrana już otoczyła kolczastym drutem wygłodzonych ambicyj i nadziei. W dwa dni potem jeszcze wizytka u Sosnkowskiego w cywilu, dłuższa opowieść o sytuacji i pewne dane o jaczejkach komunistycznych, które się zebrało przygodnie u sąsiadów-lokatorów na Dzielnej.

Poczem szybko spadek temperatury uczuciowej, i to z dnia na dzień, z powodu: hr. Hugo Kessler et Comp. i z powodu: Moraczewski Jędrzej et Comp. Ale jeszcze pewne druty czy raczej nici... Kapitana de L...., jednego z pierwszych oficerów francuskich w Warszawie zawiozło się do Belwederu i tam na kanapie, ale pod drzwiami przesiedziało z fajką, konferując, ale z lokajem bardzo starym, skarżącym się, że niektórzy panowie z miasta niedopałki od papirusków wtłaczają między poduszki w kanapy (stareńkie kanapy), z czego nie daj Boże i pożar przypadkowo możliwy! Tfy!... Ekscelencja owszem, to co innego...

I długi czas jeszcze nad biurkiem „paszkwilisty" wisiała piękna podobizna z lat dawnych obok wizerunku pana Romana, starej fotografji Padera, nowych reprodukcyj Dowbora i Hallera, wyciętych skądś. I jeszcze długi czas potem jak ktoś z gości się dziwił lub wydziwiał, to usłyszał coś całkiem ordynarnego...

Potem poszły konterfekty do szuflady, do „krypty". A gdyby się teraz jeszcze co zawiesiło, to... lustro lub swój własny portret Wyspiandra, Wyczóły albo Witkaca. Miało się kult, ale wtedy, gdy było bardzo źle. Gdy zapomniano czasem to się przypomniało i kłu-

ło w oczy różnym szelmom, co potem chrypiały wyjąc: „hosanna" (cywile).

Cywile obrzydziły!

Nigdy wojskowi! Ci są w porządku zawsze, gdy stoją na baczność i słówka ciemniejszego nie pozwalają w swojej obecności powiedzieć, bo i cóż to byłaby za armja, któraby nie miała ślepej czci dla swego Wodza i to Wodza w porównaniu z wodzami dwóch sąsiednich żelaznych satrapij bądźcobądź jakże pańskiego! omal dynastycznego! Cywile obrzydzały. Karjerowicze, skryby wynajęte, czerń sanacka, arystokraty kolejno płaszczące się przed każdym z batem. No i chyba że Żydy. Ale jednak docna i z kretesem... nie zdołały.

Był taki jeden z antagonistów, chyba że z najgorzalszych najzajadlejszy, bo w każdym razie taki co najwięcej najzłośliwszych, najjadowitszych rzeczy pisał i pisał... Był taki jeden teraz raz w takiem kinie. 1934.

Ponieważ... go znam dobrze, mogę o nim wyjawić, że jak zjednoczenie i niepodległość państwa polskiego przypisuje w 90% Romanowi Dmowskiemu i jego politycznym przyjaciołom, tak i przyszłość tego dzieła warunkuje tylko zwycięstwem ideologji Romana Dmowskiego, oczywiście unowocześnionej i odmłodzonej.

Idzie więc w kinie taka kronika Foxa: obraz rewji na polu Mokotowskiem. Staruszek sobie stoi pod „baldachimem" i patrzy i patrzy. Przejeżdżają akurat armaty i artylerja. Wąs mu się zatrząsł, rękę oparł o parapet. Artylerja gna, a On patrzy i patrzy.

Mój najmilejszy też patrzy i nagle blednie, potem

czerwienieje, jakby go szlag miał trafić, dygota, drży cały jak w febrze. Wreszcie zrywa mi się na równe nogi i chce coś krzyknąć. Ledwie go złapałem za ramię w ostatniej chwili i z największym wysiłkiem, jakimś skurczem nerwowym zmusiłem, że Endus przysiadł z powrotem...

...— Czyś się wściekł?... czy zwarjowałeś już kompletnie? Co to za maniery? Chcesz żeby cię znów aresztowali albo co gorzej, wyrzucili z kina? Już ja tam wiem co chciałeś krzyknąć?

I wiedziałem istotnie.

Widocznie znów miałem taki... moment jasnowidzenia czy przewidywania...

Moje Endeczysko niepoczytalne widocznie w przystępie demencji starczej czy... może jakiejś recydywy... reminiscencji chciało na cały głos krzyknąć w ciemną przestrzeń teraźniejszości: „Wstać! wstać, panowie!".

Szczęście, że go w porę osadziłem!

Znaleźć się w publicznem miejscu (coram publico) wśród obcych, może obojętnych (a może wrogich?), i nagle tam... tu... wyrwać się z taką bombą!!! No to na serjo albo coś bardzo a bardzo głupiego. Albo może bardzo mądrego?... Kto tam wie?... Kto tam wie?...

Ja wiem! Wystarczy.

ODKRYCIE GDYNI

Sezon kąpielowy w „Zoppotach" na cztery lata przed wojną europejską wyjątkowo był gwarny i huczny, „ogromnie nasz", jak się to mówiło po Sienkiewiczowsku, poprostu — polski. Ostseebadowi tonu i szyku nadawała Warszawa a w listach kurgastów przeważali Polacy. W hotelach, restauracjach, kawiarniach, sklepach wszyscy ślicznie starali się mówić choćby kilkanaście zdań po polsku. U szykownego Werminghofa bywały nawet w menu polskie dania. Szampana przy stołach stawiała sobie przeważnie tylko polska noblessa. Na kortach tennisowych towarzystwo polskie. W psich konkursach nagrody brały psiny polskie. Najładniejsze kostjumy kąpielowe, oczywiście Warszawianki a nawet z Ukrainy. Orkiestra rano i popołudniu dodawała do programu „kawałki" polskie, „potpourri" z Manru czy z Halki, Wieniawskiego i Moszkowskiego, bywało że i „wieniec polski" z mazurkiem Dąbrowskiego na końcu; poczem kolosalne brawa i owacje rodaków spod Moskala i Prusaka, a kapelmistrz reweranse na prawo i na lewo, zaczem polonez z „Oniegina"... także Polaka, bo przecież... Czajkowski...

W takich konjunkturach normalne warszawiany nie kładły się spać przed północą, a często w większych zawianych grupach oczekiwały i wspaniałego wschodu słońca nad oceanem czarnej kawy, konjaków

i likierów bez liku. W tych warunkach pomyślnych ale nie po myśli literata, pożądającego regeneracyjnych wywczasów, o żadnej intelektualnej pracy, choćby kilkogodzinnej, naturalnie mowy być nie mogło. „Weltbad" Zoppot za hałaśliwy, pstry i karnawalski, stawał się poprostu przedłużoną nad Bałtyk Warszawą, dépendance Warszawy, a raczej Warszawki. Do tego dołączało się jeszcze pewne uczucie i politycznego dégoût.

Pod Zoppotami przebywał wówczas niejako na banicji Kronprync w garnizonowej służbie, mieszkając, w willi nawiasem mówiąc, dawnej śpiewaczki Kruszelnickiej. Z nudów często bawił i udzielał się Zoppotom. Wśród uroczych cór Syreniego grodu rozbudziło to szybko grzeszne marzenia odegrania którejś z ról historycznych: pani Walewskiej, księżnej Łowickiej lub księżniczki Elizy Radziwiłłówny. A że Kronprync, pod pretekstem rozmiłowania w tennisie, zaczął gustować ostentacyjnie w towarzystwie tennisistek polskich, prawić im dusery i komplementy, więc ni stąd ni zowąd wytworzyła się w pewnem kółku jakaś atmosfera dworsko-snobistyczna, kokieteryjno-flirciarska, z komicznemi five'ami i garden-party, z rywalizacją dwóch Syrenek o fawory długiego rasowego chłoptasa z lisią twarzyczką. Drażniło to, rzecz prosta, tych wszystkich, którzy... jeszcze się z Kronpryncem nie poznali, ale można sobie wyobrazić jak irytowało autora „Fryderyka Wielkiego", który w inteligencję roznosił.... problemat dostępu do morza w przyszłem państwie polskiem. I zdarzyła się sytuacja, że na sezonowym meczu footballowym,

na którym zwyciężyli krakowiacy (z Solmanem na czele), tenże autor, jako jedyny dziennikarstwa reprezentant przedstawiony Kronpryncowi, musiał go informować o rozwoju sportu w trzech zaborach, o czem nie miał „selbstverständlich" żadnego pojęcia.

Wszystko to opisało się potem w trzechaktowej krotochwili p. t. „Było to nad Bałtykiem" w stylu imitowanym na G. B. Shaw. Na granie farsy w Warszawie cenzura ówczesna się nie zgodziła. Wystawił ją dopiero Giulio Osterwa w Kijowie w r. 1916, sam grając... Clownprynca; farsa kończy się autentycznymi słowami Niedoszłego: „Na also auf Wiedersehn in Warschau"... Wydrukowana nakładem firmy Idzikowskiego w r. 1913.

W tym to atoli sezonie hohenzollernowskim w Zopotach zażywało się jednak dużej rozkoszy dzięki eskapadom samochodowym po Pomorzu. Zacne ziemiany z Humańszczyzny Kazimierzowie Czyżewiczowie z czarownego Dołżka brali na maszynę to infanta rodziny Leszczyńskich, królewicza Jurka, to autora „Fryderyka" — i jazda codzień gdzieindziej. Raz było nawet że z Gdańska do... Humania; ale przeważnie krócej, po całem Pomorzu jego świetnemi szosami. W ten sposób poznało się wiele miast, miasteczek, siół i osiedli. Po drodze zatrzymywało się tu i ówdzie, zapuszczając w gawędy z autochtonami, którzy gdzieniegdzie, w zapadłych kątach, nie mogli się dość nadziwić, że istnieją Polacy, posiadający własne auta; według ich światopoglądu ówczesnego (1911) maszyny takie mógł mieć tylko Herrenvolk, Lutry, a katolicy chadzają piechotą.

I oto raz na takiej samochodowej wycieczce zawadziło się o... Gdingen. Wracalo się z Neustadt (Wejherowo), no i zboczyło. Godzinny postój przed dziwaczną ruderą, dwupiętrowym szaletem zbankrutowanego towarzystwa „Weichsel". Okazalo się, że w puściuteńkim Kurhausie jest jakiś wlaściciel, jakiś bufet, beczka z piwem, kilka butelek „machandlu", dalej jakaś sala „jadalna", jakaś weranda, ogródek z akacjami, potem jakiś „szteg", potem maleńkie porozwalane łazienki z prawej i z lewej. *I morze!* W Kurhausie szesnaście pokoi — i ani jednego gościa.

I wtedy nagłe olśnienie i raptowna, heroiczna decyzja: zerwać z Zoppot! tu przenieść nasze lary i penaty! Dość zgiełku światowego w Weltbad Krähwinkel! Dość Syren i sportów, wyścigów psów i koni, Werminghofa i Hohenzollerna, tanga i kabaretów, hałasu, dymu, elektryki, cywilizacji, kultury...

Gospodarz nazywał się Schikowski. Miał przedtem gospodę w Oxhöft (Oksywie). Poprzedni właściciel (dzierżawca) Schiernborn, były kapelmistrz (sic!), zbankrutował zeszlego roku; Schikowskiemu wydzierżawiono, dodając 2000 mk. „Zulagi", byle Seebad Gdingen postawil na europejskim poziomie. Schikowska byla Wasserpolką, poprzednio kucharką u „samego" komendanta twierdzy gdańskiej, co atoli na jej kulturę kulinarną (jak się potem okazało) nie wplynęło przesadnie. „Logement" zaofiarowali na pierwszy sezon omal gratis i franco i to tyle pokoi ile laska, byle się od a do zet stołować u nich, pić piwo i markować jakiś ruch w interesie. Może za pierwszymi gośćmi przyjdą inni, niechby byli nawet Polaken, byle aus Warschau.

Byl to lipiec roku pańskiego 1911.

Od tego lipca przez trzy sezony aż do r. 1914.

Cichszej miejscowości chyba nie było wówczas na całej kuli ziemskiej. Po zoppockiej Sodomie odkryta Arkadja pasterska i patrjarchalna. Wieś miala porozrzucanych w szerokim kręgu czy zasięgu kilkadziesiąt „chcez", gdzieniegdzie małych domków, z większą skupiną pod lasem Panieńskim i z drugą od Kurhausu na prawo. Motywy pejzażowe zgoła Ruysdaëlowskie z fragmentami z Lancreta i Poussina. Może Normandja a może Bretanja? Od strony morza precyzyjnie skomponowany amfiteatr z wysokiemi borami w głębi, za gościńcem Chylońskim, z lasami Witomińskim i Radłowskim. Z lewej pogórze Steinbergu, wówczas urwista pierzeja z osypiskiem ku morzu, cała zalesiona chłopięccmi drzewkami aż po folwark Klein-Katz w głębi, zakupiony od zbankrutowanego właściciela przez Land-Bank. Na stokach tej pierzei wszędzie krzaki dzikich róż (głogu) i jeden tylko domek, tajemnicza willa jakiegoś niemieckiego architekta Gunza czy Grunza, który zbudowawszy ją, w miesiąc później się powiesil. Wobec czego w willi „straszylo", a Steinberg jakiś czas nazywany Hundsbergiem.

Z prawej amfiteatr Bożej Zatoczki zamykal Oxhöft z kościolkiem i cmentarzem rebackim. A w plebanji ksiądz powstaniec z 63-go roku, gości turystów z Polski nie rad widzial, w pogwarki wchodzi nie lubił; raz się tylko rozgadal ze mną zirytowany, że mu za

często na cmentarz załażę, na grobach siadam i ku morzu patrzę.

Między Gdingen a Oxhöft cały teren zalegały szerokie brunatno-zielone torfowiska i nieprzebyte nieprzyjemne mokradła, które, że trzeba było dokoła obchodzić, więc najochotniej szło się do Oxhöftu na bosaka żwirowaną pochylnią nadbrzeżną. Sceną tego amfiteatru był „szmaragdowy kobierzec" morza, cichego, spokojnego, ledwie łuszczącego się w dnie pogodne, lekko awanturującego się tylko w dniach burzliwych i od połowy października. Najlepsze miejsca do obserwowania widowiska, a raczej dziwowiska morskiego („kołdry Neptuna") można było wynaleźć sobie wysoko w lesie Panieńskim, niepokalanym, jodłowym i bukowym, podszytym dębiną, nawet w owe czasy grabami i cisami, pełnym jerzyny, dzikich malin, głogów, a przedewszystkiem grzybów, grzybów, dobywających się z mchów, i mszarów miljardami. Samo Gdingen właściwe otaczały dokoła pola łubinowe, żółte i niebieskie, wszędzie gdzie tylko zgóry spojrzeć, na jałowych wydmach lotnego piachu także. Zapach łubinu czuło się ciągle obok mniej uroczej woni specyficznego dymu z wędzarskich „ansztaltów" w Bożej Zatoczce. Dróg w osiedlu, po dzisiejszemu ulic, było trzy: Johanniskrugstr., Altdorfstr. i Kurhausallee od maleńkiego czerwonoceglastego banhofu najpierw zygzakiem, potem prosto wiodąca, świeżo drzewkami obsadzona. Ani kościoła ani apteki; poczta ze szkołą razem. Sklepów było trzy: pieczywo u Niedzwickiego, mięso u Krefty, jeden gasthof Grzegorzewskiego, drugi większy Skwierza (gdzie dziś hotel Centralny) z dużą izbą gościnną, z bufetem gdzie to i owo można było dostać i sznyccl sztelować. Z większych przedsiębiorstw przemysłowych, dwa gcszefty niemieckie, ale po drugiej stronie szosy chylońskiej, t. j. mała cegielenka, wypalająca lichą białą cegłę, i mały tartaczek z rzęrzącą cały dzień piłą i pykającym motorem, co nadawało nieco życia tej partji Gdingen. Po tamtej też stronie szosy była tajemnicza willa z fortcpianem, na którym zagrywała się od rana do nocy mityczna Angielka, małżonka brodatego Niemca z Gdańska. Drugi fortepian, piekielny bezzębny klekot, rozstrojony z kretesem, stał w „paradnej" sali Kurhausu; fisharmonja zaś, t. j. trzeci instrument w całej Normandji, był u Sióstr Szarytek z Poznania reguły św. Wincentego a Paulo, którym zacny Skwierz dał mieszkanie i wyrychtował skromną kapliczkę.

Po checzach i domkach mieszkali Oni.

Oni, to znaczy ci, co tu przez sześćset lat wytrwali, wszystko przetrzymali, ruszyć się nie dali i czekali, czekali, przcz dwadzieścia kilka generacyj. Ciche, spokojne, niby to niemrawe, niezbyt zgrabne, milczące, nieufne, odburkliwe, kosem okiem na „Poluchów" z „zaziemia" (Hinterlandu) patrzące plemię. Jakież antypody górali z pod Żywca i z pod Giewontu! harnasiów, spryciarzy, narratów i fordanscrów! „Rebaki", ciężko borykające się z małorybnym i małosolonym Bałtykiem, często o poprzckręcanych nazwiskach i przekręconej świadomości narodowej. Tam dokola na landzie najdziwaczniejsze: Quasny, Schilazko, Kowalzig, Jeschoneck, Pokrieffka, Swietschke, Blisnack,

Kohnkoll, Kohnke, Kohnigg i tak już od Brzeźna (Briesen) aż po Heisterncst (Jastarnia). Tu w Gdingen, obok notablów Skwierzów, starogdańskie nazwisko Hebelke, Plichty (dawniej Pflicht?), właściciele „Zum Grünen Kranz", Radke naprzeciw Plichty, Vogtowie, Lemke, Kurowie, Kaas (koło banhofu), Grablowsky, Narzynsky, Kąkole, Simonowa („u Simonki" — mawiało się). Dnie całe nad brzegiem manewrowały Kaszuby, majstrowały, penetrowały niezmordowanie, nieznużenie, przy tych poprzewracanych na piaskach kutrach i łodziach czyli „botach" i „pychach" po ówczesnemu. Dnie całe coś tam naprawiali, przygarbieni przy siatkach-niewodach, ciągle łatanych, przy „maucach", przy szeroko na żerdziach porozwieszanych obręczowych „żakach" (na węgorze). Chyba nie było w całej porozdzielanej Polsce szczepu chłopskiego, któryby musiał ciężej i zażarciej walczyć o surowy prosty byt, o egzystencję powszednią, jak te mrukliwe, zamknięte w sobie a heroicznie polską katolickość w duszach przechowując biedne, poterane wasserpolskie Kaszeby. Na samym początku to tam ledwie na pytania odpowiadały: „Jo! Jo!". I ani słowa więcej, a spodełba niechętne patrzenie. Kobiety i dziewczyny o przedziwnych czasem imionach jeszcze bywały chętniejsze, mężczyźni dopiero przy ladzie bufetowej u Skwierza lub w Gasthausie u Vogta (przy drodze do Chylonji). Ale wogóle naród był małomówny, szczególnie w pierwszym roku (1911). Już w drugim gdyniarze nieco się rozkrochmalili, kiedy zaczęły się zjeżdżać pierwsze rodziny... pionierzy („pilgrims" z „Mayfloweru") i wynajmować mieszkanka, a raczej

„Schlafstelle" po domkach. Skwierzowie, Plichty i Simonka byli pierwsi, którzy przełamawszy lody, zaczęli cieplej odnosić się do letników i gości. Hebelke, Radke i Kurowie już w drugim roku nie chcieli wynajmować pokoi „lutrom" a tylko „swoim"; Plichta pierwszy stawiał willę specjalnie dla Poluchów. Tym, co już w pierwszym roku najwięcej przyczynił się do zmiany wśród autochtonów niechętnych nastrojów dla nadchodzącej inwazji sezonowej był ks. Ludwik Rybka z Krakowa, który jako osoba duchowna posiadał jedynie predyspozycje na apostoła pierwszego zbliżenia, jeżeli się zważy, że gdyniarze przedwszystkiem byli jednak... katolikami. Ten to ksiądz Rybka u Sióstr Szarytek mieszkający, ofiarnie pośredniczył i przeprowadzał korespondencję w zamawianiu mieszkań, powiedzmy szczerze — kanadyjsko, alaskowo, newfunlandzko prymitywnych. Przypomnijmyż sobie jednak że taksamo w prymitywnych, dymnych, ciemnych chałupiskach mieszkaliśmy jako dzieciska lat temu pięćdziesiąt w Zakopanem, odkrytem jeszcze *przed* Chałubińskim i *przed* Witkiewiczem przez *najniesprawiedliwiej przemilczanego* prof. Walerego Eliasza właśnie kiedy obok starego pana Kraszewskiego bawili tam młodzi Chłapowscy (Modrzejewska), Kossakowie, Bobrzyńscy, Pinińscy, Noskowscy, Paderewski...

„Europę" w Gdingen reprezentował Kurhaus, zbudowany przez towarzystwo kąpielowe „Weichsel" za pono 60 000 mk. z pruskiego muru, wart najwyżej 6 000, czarną papą kryty, z dwiema werandami, po bankructwie „Weichslu" pozostał — z oknami zabite-

mi deskami... Właśnie w r. 1911 otwarto go powtórnie, ale powtórnie bez najmniejszego powodzenia. Niemcy nie chcieli, Polacy nie wiedzieli o czemś podobnem. Znał ten Kurhaus ongiś pono tylko Gawalewicz a przed nami wydawca „Wędrowca" Sikorski.

Kiedy więc z rodziną zamieszkaliśmy, nie było tam literalnie nikogo; z końcem sierpnia już kilkunastu Niemców i Polaków. W sali restauracyjnej wisiały dwie lampy gazowo-naftowe; w rogu sali jeden zepsuty automat na czekoladę, w drugim rogu zepsuty automat na „Ansichtskarty". Szef służby miał na imię Friedrich i klucze od łazienek damskich; w męskich były drzwi rozbite i wywalone przez całe trzy lata. Dumą zakładu był pies Mohrchen, szczekający zajadle na gości, którzy jednak zacięli się i nie przychodzili. Do morza schodziło się zgóry z Kurhausowego ogrodu (10 kasztanów, 10 akacyj) po schodach. „Szteg", czyli molo czy jak tam to teraz się nazywa, był tu gdzie dzisiaj, tylko maluteńki, króciuteńki, wąziuteńki, chronicznie dziurawy, tak że dzieciarni bez starszych nie wolno nań było wchodzić. Zakończony był małą ławeczką, nad którą na żerdzi tkwiła latarka naftowa, zapalana uroczyście przez kelnera i łaziebnika Friedricha w asystencji Mohrchen o godzinie dziewiątej a gaszona bez apelacji przed dziesiątą. Przy sztegu kołysało się na falach kilka botów, „przycumowanych" do „pachołków" (kołków) przy schodkach. Temi łódkami i jedną jedyną żaglówką wyjeżdżało się na pełne morze omal „za darmaka" bo za 20 — 30 fenigów, zapuszczając się niekiedy z ryzykiem... Alain Gerbaulta aż do Adlershorstu

(Orłowo). Z końca sztegu wieczorami oglądało się godzinami tnące i kłujące ciemności migające światło latarnika na końcu „szabli helskiej" lub drugie w Heisternest. Czasami na szteg przychodziły mlodsze Normandczyki tutejsze, a niejeden taki, co w marynie niemieckiej służył, wygrywał na okarynie lub zgoła na harmonji „Sorrento"... wentualnie modną w owe czasy... „Bajaderę". W dzień choćby i najpogodniejszy ludzi-gości zabłąkanych bywało mało lub wcale, tyle tylko co w sobotę i w niedzielę przywoziły dwa stateczki „Undine" i „Gaselle"; przeważnie młode parki z Zoppot i z Danzig, które wypijały w ogródku „Kaffee mit Schlagsahne" a potem szły na Steinberg i w krzaczki. Wielki okręt pasażerski do dziś dnia istniejący gruchot „Paul Benecke" na naszą Gdynię nawet się nie oglądał, ale szedł zawsze środkiem morza z Gdańska na Hel z arogancją, która nas, pierwszych Gdynian, doprowadziła do wściekłej pasji.

Tylko raz w sezonie i to w Kurhausie bywał zlot tutejszych wielki i ścisk na werandach, w ogrodzie i we wodzie, t. j. w t. zw. Sedan-Feier w sierpniu (*dies festis*). Kurhaus bywał wtedy uflagowany. Z lewej i z prawej wtaczały się na stacyjkę specjalne pociągi, napakowane Herrenvolkiem pośledniejszego gatunku. Taksamo z „Gazelli" i z „Undine" wysypywały się damy i nie-damy czyli dziewice przeważnie wcale przykre dla oka, bo albo za wypukłe, albo znów za płaskie, a mężczyźni na czarno (30%° Celsjusza w zaroślach) i w cylindrach (sic!), w szapoklakach (sic!), albo w mundurach strażaków, weteranów, feldfeblów, Schützenvereinu. Już poprzedniego dnia dyrektor

(gerant) Schikowski przepraszał za wszelkie ewentualności i delikatnie doradzał dłuższą wycieczkę całodzienną (Putzig oder Neustadt?). Istotnie, bractwo sedańskie przeraźliwie piło i żłopało, poczem chóralnie wyło przepiękne patrjotyczne melodje. Jakiś solista siadał do piano i forte akompanjując sobie, odśpiewywał „Trompetera von Saeckingen" albo „Stell auf den Tisch die duftenden Rezeden" (po polsku: „Postawże na ten stół pachnących rezed kupę"...) — poczem zwykle zirytowany tem, że pięć klawiszów i jeden pedał nie odpowiadały, z hałasem zatrzaskiwał klapę nad klawjaturą. Systematycznie potem zaczynało się Radau, szarpanina, kłótnie, potępieńcze swary, wyzywanie się, rękoczyny („Mordspektakel"), aż do interwencji samego Amstvorstehera i lokalnego żandarma. Po Sedantagu zwykle cały Kurhaus wyglądał tak zbeszczeszczony i splugawiony, że rodzina dyrektora społem z Friedrichem szorowała i czyściła wszystko aż do północy. Kolonja-Polonja na ten dzień festjalny przeważnie gremjalnie emigrowała poza peryferję Gdingen, aby nie drażnić głośnemi rozmowami Sedańczyków, załatwiających się przy każdej okazji (i drzewie) bez sensu i bez taktu, a skorych po wypitku do wybitki. Poza tym jednym dantejskim Sedantagiem i poza niedzielami, w które mała garść Niemiaszków zjeżdżała, bywało sielsko i anielsko, cicho i czysto, jak w Arkadji. I ta gromadka Polaków, co już w r. 1912 i 1913 się zbierała („Pilgrims" z „Mayfloweru") na lato w szeroko rozrzuconem „kąpsidle" (kąpielisku), ginęła gdzieś bez śladu. Wszyscy wciąż byli w pejzażu na łonie natury, w terenie, w wodzie, w lasach.

Dla dzieci, dla milusińskich, Boża Zatoczka, to był dosłownie istny raj, dziewiąty raj Mahometa. Cały dzień omal chciały się pluskać w nieskazitelnie czystej toni morskiej małe Majusie. Dzieciarnia „pierwszej brygady" gdyńskiej w trykotach wyławiała sobie z zawziętością i cierpliwością oślizgłe, galaretowate meduzy z różowymi bąbelkami, plączące się w delikatnych jasno-zielonych sieciach pęcherzykowatych alg (moszczyn). Zachłannie, niezmordowanie zbierały Majusie na wyglansowanym falami czyściutynieczkiem piasku całe stosy muszelek, nierzadko też wcale duże gruzełki jantaru (bursztyn). Każdego roku przywoziło się potem do miasta torebki tych „kupa-mięciów" (souvenirów) bezcennych (bo nic wartych), drogich (po przy drodze) klejnotów. Od Oksywia do Orłowa i z powrotem od Adlershorst do Oxhöft nie znalazłbyś nad brzegiem wtedy ni jednej gazety, ni puszki od sardynek, ni gwoździa, ni niedopałka od papierosa. A kiedy wyłowiło się wreszcie takie Majusie z wody i pchnęło na ląd, no to szła rodzinka do lasu na poziomy i borówy. A po drodze, na pobrzeżu, rwać można było wszystko co dusza zapragnie, bo nie zakazane było nic, więc i żółty żarnowiec (erica! erica!) i ostre wysokie trawki (turzyce) i nie kładło się tamy t. zw. „Drang nach osten", t. j. rwaniu ostów, fioletowo-niebieskawych twardych, ostrych (Mikolaiken). Dopiero w trzecim roku (1913) przyszły uroczyście wbijane przy asyście całej dzieciarni tablice niemieckie z napisami, że „Drang nach

osty" zakazany, bo te mikołajki, specjalnie na wydmach i dunach sadzone, podtrzymują pod ziemią podmywany ustawicznie brzeg. Że zakaz był po niemiecku, więc namiętne wyrywanie turzycy i mikołajków trwało nadal, doprowadzając czasem do spisywania t. zw. Protokell (sic!). Następstwa Protokell likwidowało się szybko wręczaniem żandarmowi trzech lub pięciu „sztinkadores" (cygar), poczem żandarm (posterunek z Chylonji) szedł się kąpać obok Herrenbadu, gdzie już nań czekał Briefträger; na piasku leżała sobie spokojnie przy długiej szabli torba z listami i gazetami i garderoba; kąpali się oczywiście nadzy tak jak Kain i Abel czy Mojżesz i Aron w morzu Martwem.

Z dzieciskami bywały spacery krótsze tylko do lasu, do Witomińskiej „puszczy". Starszyzna dalej i dalej, a to do Lipy Abrahama (działacz in Berent-Kościerzyna), a to do „Sambora i Mestwina". Czasami jeszcze dalej: Rzucewo, Radłowo, Puck i park pucki, Wejherowo: park Keyserlingów i czołobitnia u najzasłużeńszego w ocaleniu polskości na Pomorzu księdza prałata Dąbrowskiego. Dalej już się nie zapuszczano, bo władze niemieckie zaczynały kontrolować to rozwłóczenie się Warschauerów po „Prusach", i od czasu do czasu w wagonach (zawsze jeździło się IV klasą dla zetknięcia z narodem) kontrola: „Pass, wenn ich bitten darf"?... „Danke schön"...

W niedzielę obligatoryjnie wszystkie „czmyze" (pendant do „ceprów") albo szły do kapliczki do Sióstr albo maszerowały zbożnie do Oxhöft, bezwyznaniaki taksamo jak religjanty, ateusze jak Mateusze, choćby dla przykładu, dla solidaryzowania się w wierze z plemieniem-gospodarzem tej świętej ziemi. Że „są my nie lutry". Klękało wszystko, aż miło patrzeć. Na Matkę Boską Anielską i Rybacką bywał odpust daleko w Swarzewie w ślicznym starym kościele. Kto mógł jechał, kto mógł *per pedes apostolorum*. Kaszeby po staremu, szykownie, w białych portkach, granatowych kubrakach, fajki w zębach, w rękach „Złoty ołtarzyk" w jedwabnej chusteczce. Bywało żeśmy śpiewali razem z nimi pieśni co mają po kilkaset lat. I żegnali się wtedy „czmyze" i bili w piersi, może nawet więcej od tutejszych i może nieco, Boże przebacz, teatralnie. Ale to robiło najlepsze wrażenie. To było najskuteczniejszą propaganda. To nawiązywało pierwsze silne nici pomiędzy pionierami, garścią gości (les pata-laches) a odpornymi na początku, zapiętymi, sztywnymi ojcaszkami rodzin, *papaszkami*, początkowo zgorszonymi nawet tem, że Polacy i Polki przyjechawszy i raz się w morzu wymywszy... na drugi dzień (podobnie całkiem jak Lutry...) znów się kąpią, znów myją, znów się chlapią, znów rozebrani. Tu trzeba bowiem przydać, że Kaszubi podobnie jak podobno inne wszędzie nadmorskie szczepy, nie mają jednak zbyt wielkiej predylekcji do morskich kąpieli. Nieco pogardliwie nazywają badeorty (takie jak Zoppot) „kąpsidłami". A są wśród nich podobno tacy, którzy... pono... nigdy...

Ale i w Paryżu na Mont-Rouge żyją podobno tacy, co nigdy w Moulin-Rouge, no niby ani w Luwrze, ani w Panteonie, ani w Trocadero. A żyją i rosną. „Pa-

paszek może struchleć ale do badu nie pójdzie" — mawiała Erica.

Truchleć słowo z XIV w.: umierać.

Raz, dwa razy na sezon jeździło się starą landarą „Beneckem" via Gdańsk na Hel, do którego innej komunikacji bezpośredniej nie było. Nie trzeba oczywiście zatajać, że ten Hel olenderski wówczas był cichy i czysty i czarujący. Znacznie częściej oczywiście do Danzigu, gdzie ówczesny gatunek przedwojennych Polaków (na Pomorzu i w Zopotach goszczących) miał ekscentryczny jakiś zwyczaj nietylko wałęsania się po ulicach, warenhausach i kaffeehausach, ale także zwiedzania wszystkich zabytków, poszukiwania pamiątek polskich, oglądania starych gratów w Arsenale, w Artushofie, w Muzeum Miejskiem. Manjactwo to dochodziło do tego, że we czwartki w Marienkirche na popołudniowych audycjach (Bach, Händel, Palestrina) czasem przeważali Polacy, jak zresztą i w teatrze pełno ich bywało na Wagnerze. Niektórzy bywali stałymi rokrocznymi kundmanami antykwarjatów i sklepów starożytnościowych i skupywali jakieś szpargały, mapy, brudne stare książki, jakieś takie sztychy czy drzeworyty. Kilku z nas przyjaźniło się tu w Gdańsku ze starym Giełdzińskim, byłym kupcem zbożowym z Włocławka, który całe życie kolekcjonując piękne gdańsciana i pamiątki polskie, zebrał tego na sześć sal prywatnego muzeum. Stary był Izraelitą biblijnym, w pięknym stylu przedwojennym i mawiał po polsku, choć go Wilhelm i Kronprync kilkakrotnie odwiedzali i dedykacjami na fotografjach kokietowali; młodzi synowie, skończone berlińskie Żydy, całą wspaniałą kolekcję rozdrapały i porozprzedawały. Pisałem o nim entuzjastycznie w „Nowej Gazecie", a i teraz o nieboszczyku najmilsze wspomnienie. Jeszcze tragiczniej niż z „Muzeum Giełdzińskiego" skończyło się z czysto kaszubską, ludową, przez dwadzieścia lat zbieraną Gulgowskiego „Collection" w małych Wdzydzach pomorskich. Już za polskiego panowania, po śmierci niestrudzonego zbieracza, z powodu nieporządku, niechlujstwa, braku kontroli (minimaxów) spalił się żywcem doszczętnie cały przebogaty, natłoczony w małym domu zbiór nieocenionych skarbów sztuki ludowej, o których Niemcy pisywali całe studja i broszury (sic!), a które z nas „rodaków" znało najwyżej pięciu, no powiedzmy sobie ośmiu, dziesięciu, i to właśnie z tych pierwszych pionierów gdyńskich (pierwsza brygada nadmorska).

Z innych rekreacji i divertissements, amusements sezonowych miało się jeszcze od czasu do czasu współudział w wyprawach rybackich. W rajdach na... łososie to tam właściwie nikt personalnie nie uczestniczył, aczkolwiek ten i ów z fantastów coś na ten temat czasem snuł i śnił na jawie raczej. To są bowiem imprezy ciężkie, męczące, wyczerpujące, domagające się dużej wytrzymałości, cierpliwości, hartu fizycznego i dziedzicznego treningu. Natomiast normalny warszawiaczek mógł współuczestniczyć w połowie „bretlindzów", t. j. szprotek, na co się wyruszało także w nocy na „pychach", szczególnie dobrze po sztormie, kiedy to ostra norda (już we wrześniu) wpędzała do Bożej Zatoczki zestrachane rybki... wśród których niektórzy widywali nawet... delfiny (se non

e vero e ben blagiato). Bardziej emocjonujący, choć też nie taki znów lekki i zabawny bywał połów flonder, czyli po staropolsku „stonewek" (stornie vel bantki).

Z każdej takiej wyprawy morskiej jak również z każdej wycieczki w głąb pomorskiego zaplecza (Hinterlandu), jak również z gwarliwego Danzigu czy z rozhukanych i rozhulałych Copociech, wracało się do ukochanej cichej, sielskiej Gdingen z najgorętszą tęsknotą i przedziwną czułością. Znów wionęło na człowieka zapachami lasów, pól, zbóż, łubinu. Znów cykał tartak i dzwoniła cicho sygnaturka u Sióstr Szarytek na Anioł Pański. I znów się szło na koniec sztegu by być sam na sam z morzem i z... mewami. Roił się w wieczorami szteg od tych mew bielasków, jak roiła się i cała Arkadja. Jaskółki i czajki obsiadały wszystkie dachy, płoty, żerdzie, poprzewracane łódki, suszące się niewody i siatki. Do ludzi, do dzieciaków, do Majusi miały tyle ufności, że podpływały do kąpiących się i asystowały na łódkach każdej przejażdżce, trzepocząc się, kłócąc ze sobą, gżąc, krzycząc, piszcząc, wrzeszcząc. Bywało, że kąpiącemu się byle przystojniejszemu dobrze zbudowanemu sfruwały na głowę, nawet souvenir drobny zostawiając figlarnie. Tych ludzi z owych czasów, tych pierwszych intruzów w Bożej Zatoczce jakoś lubiły i szybko oswoiły się z nimi i z rąk jadły, kąpały wspólnie... Ale bo też i woda była nadal przeczysta i piasek jak w dniu stworzenia świata i powietrze do oddychania bez miazmatów, bez mikrobów, bez bakcyli, balsamiczne...

*

Jest taka jedna powieść, raczej powiastka, raczej lektura rozrywkowa tego Vautela „Proboszcz w domu gry". Taki ksiądz Pellegrin ma małą cichą spokojną parafję, kilka godzin drogi od Paryża z zamkiem, starym, pustym i z zacnymi, zapracowanymi, spokojnymi wieśniakami. Nagle ludzie z miasta kupują stary zamek, zaraz potem odkrywają we wsi źródła siarczane, zakładają kąpielisko, a w zamku, oczywiście, dom gry. Co się teraz dzieje, jak się zmienia urocza idyliczna Sableuse, o tem czytamy właśnie w opowiastce...

Taką Sableuse było lat temu omal pięćdziesiąt znane mi od chłopięcych lat Zakopane przed-chałubińskie, do którego się jeździło z Krakowa całą drogę końmi, furkami, w pięć sześć furek razem, ale dla bezpieczeństwa z fuzjami i strzelbami w pierwszej i ostatniej furce, Zakopane Homolacsów, w którem ksiądz Stolarczyk płacił góralom po pięć centów za przystępowanie do spowiedzi wielkanocnej... kiedy się mawiało „wycieczka na Nosal przez Hamry"... kiedy nie było ani jednego komina nad dachami... kiedy pościel i naczynia kuchenne przywoziło się ze sobą, więc czysta, cicha, sielska, zakopana Sableuse.

I taką też Sableuse pellegrinowską była Gdingen przed naszem nastaniem. Ciche to jeszcze, najcichsze chyba na globie ustronie było, kiedy je „odnaleźli" Bernard Chrzanowski, redaktor Sikorski, ks. Rybka i niżej podpisany. Ale już na przybycie ziomków był czas ostatni! Już nadchodził moment krytyczny i decydujący. To już biło historyczne trzy na dwunastą! Germanizm Kaszubów gniótł, przyciskał do ściany, urabiał, przerabiał, asymilował tysiącz-

nymi sposobami i fortelami. Mogły się o tem przekonać i mogą to zaświadczyć te rodziny, które zaagitowane reklamą ustną, pantoflową i drukowaną („Świat", „Nowa Gazeta", „Kurjer Warszawski", „Czas"), zaryzykowały wtedy pierwsze pobyt nad polskiem morzem. A byli to przedewszystkiem: czcigodna pani „gubernatorowa" (tak ją zwano) Sikorska, dalej pp. Kurmanowie, Zaborscy, dr. Polak, kapelmistrz Śledziński, Rzuchowscy, prof. Jurgielewicz, prof. Jabłoński, inż. Grabowski, Przedpełscy z Włocławka, Stefańscy z Radomia, pani Borkowska, śpiewacy Zadarnowski i prof. Grzydzielski, „Niemcy": Rzepeccy, ojciec z synem, literatka Witkowska z Krakowa, — oto pierwsza brygada gdyńska, „pilgrims" z Mayfloweru, pionierzy. Ci to pierwsi inteligenci z Polski (nie lokalni pomorscy), którzy zetknęli się bezpośrednio, codziennie, powszednio z kaszebskim ludem, *ex autopsia* mieli okazję przekonać się, jaka to olbrzymia spiętrzona fala defetyzmu narodowego i wzmożonej renegacji szła właśnie w tych latach na pomerelski naród. Poczucie przynależności rasowej wisiało już właściwie na kilku włoskach. Regjonalnie uświadomieniem odrębności promieniowały jeszcze tylko grupy budzicieli w Berent (Kościerzyna) i w Neustadt (Wejherowo). Przeciw nim szło zapieranie się słowiańskiej spólnoty, wstydzenie się języka jako narzecza parjasowskiego i pokorna admiracja cesarskiej cywilizacji. Jeszcze jedno pokolenie — (powiedzmy to sobie dziś już jasno) a byłoby źle. Młodzież już i nie chciała zbyt ochotnie brać do ręki polskich druków. Wybierali do parlamentu Polaków, owszem, ale czytywali na książeczkach niemieckich. Choć zaczynali zdanie często po prastaremu: „zaprawdę powiadam pani", to jednak liczyli w głos: pięćisiedemdziesiąt, sześćisześćdziesiąt (füufundsiebzig, sechhundsechzig). Obrazki z cesarską familją to ta tu i ówdzie wieszano a dla mitycznych Poluchów z południa i ich „Wirtschaftu" lekceważenie bywało jawne. W dawne panowanie polskie na tem pobrzeżu z trudem uwierzyć im przychodziło.

Nie wiedzieliż przecież o tem, co myśmy tam ze ś. p. Lunińskim Ernestem poodkrywali w bibljotece gdańskiej takie różne różności jako to par exemple, że... arcybiskup Kurowski miał własną flotyllę handlową dla kommercji z Flandrją, jako to że... z Wenecji galony sprowadzał Jan Kostka, gdański kasztelan... Nie wiedzieli nic o królewnie Annie ,nic o Władysławie IV, ni o Janie z Kolna, ni o Sierpinku, ni o Arciszewskim... Nie znali nieznanego epitaphium Grochowskiego królowi Zygmuntowi Augustowi:

Było i na Oceanie
Znaczne jego panowanie,
Bo i tam chciał być ogromnym
Nieprzyjaciołom koronnym...

Nie wiedzieli jako król polski Leszczyński miłowany był przez gdańszczan... A znów że król Sobieski (w którego odsieczy wiedeńskiej Pomorzanie walny brali udział) bywał swego czasu... jednym z Kurgastów w Sopotach i miał tam swój królewski pałacyk (w głębi ogrodu za protestanckim kościołem)...

To wszystko trzeba im było opowiadać i moc propagandowych rzeczy innych i różne takie książeczki i broszurki rozdawać, wtykać, rozsyłać i prezentować i pierwszą skromną mapkę pobrzeża inż. Bąkowskiego i Orłowicza i potem Chrzanowskiego Bernarda... aby z ust czasem bardzo twardawego wasserpolskiego „rebaka" usłyszeć wreszcie: „ja doch Polak panie doktór". Prawdę rzekąc na całą Gdingen, może tylko jeden jedyny kolejowy Packträger Fuchta, choć funkcjonarjusz kolejowy, jawnie i ofensywnie manifestował swój patrjotyzm, uchodząc nieco za dziwadło... (Abraham na małą skalę).

Toteż nie należy bagatelizować pobytu nad polskiem morzem tej pierwszej garści inteligentów z „zaplecza", tych pierwszych gdyńskich Kuracjuszów i Horacjuszów, agitujących lekko, nieznacznie, dyskretnie wśród zaśniętego, w letargu wegetującego szczepu.

I w tem rozbudzeniu narodowej świadomości i przynależności, tak bardzo, tak bliźniaczo podobnem do rozdmuchiwania ognisk w także nadmorskim... Erynie (Irlandji), kulminacyjnym momentem był w Gdingen pierwszy przyjazd gdańskiej drużyny śpiewaczej „Harmonja" i jej koncert w natłoczonej po brzegi sali w gospodzie Skwierza. Czego książki, broszurki przemycane, gadaniny, nawet odczyty tajne (pani Witkowskiej z Krakowa) nie ruszyły, to ruszyła melodja polska, śpiew polski, chór! Tego dnia sierpniowego w r. 1913 nie zapomni się nigdy. Wtedy dreszcz elektryczny przeszedł po ściśniętym tłumie. Najflegmatyczniejsi, ciężcy, niemrawi, pozornie ospali, agitacją nie tknięci, walili brawo jak opętani. Kilku

miało łzy w oczach a mamaszki i dziewczyny beczały na fest. Wtedyśmy odczuli wszyscy, że lody ruszyły, tem bardziej że już na drugi dzień Herr Amstvorsther uważał za stosowne być u nas w Kurhausie z wizytą i z perorą do mnie, aczkolwiek do tej imprezy w niczem się nie przyczyniłem a asystowałem z rodziną jako widz i słuchacz, coprawda, najpierw z radości a potem z... innych powodów (machandel!) wprost pozaprzytomny...

Wtedy to już bowiem dźwięczało stale w uszach i powtarzało się dokoła tajemnicze słowa: „bugaj dla korabli", „bugaj dla korabli"... BUGAJ DLA KORABLI!

Nie każdy wiedział co to znaczy. Historyk Łuniński wiedział. Tu będzie, tu musi być w przyszłości „bugaj dla korabli"! Właśnie w Bożej Zatoczce: „bugaj dla korabli"... Gdy inni gdyniarze, chłopcy i panienki, „gubernatorowa", ksiądz, profesorzy uprawiali uświadamianie, tak jakby uprawiali społeczną służbę i wszędzie gdzieindziej, w głowie autora „Fryderyka" musiały lęgnąć się jakieś fantasmagorje. Historyczne myślenie. Zmienność dziejowości. „Ewige Wiederkunft". Tyle map, tyle map, a każda inna!! *Fortuna variabilis!* Był tu na Pomorzu kiedyś jeden z ulubionych mych autorów Felicjan Faleński zaraz po powstaniu jeden z pierwszych (może pierwszy?) w Pucku (Putzig). I tu napisał odę „Po burzy"...

No a fenomen Conrada, którego pierwsze tomy wychodziły wówczas po niemiecku i z którym nawiązało się zaraz korespondencję i od którego pierwsze listy przyszły!... Nie byłże dostępu do morza antycypacją?

W naszym Obozie jako dogmat przyszłej Zjednoczonej *conditio sine qua non:* dostęp! U tamtych od Krakowa rządziła prastara maxyma Reyowska („Zwierzyniec"):

O Szwedzie, o Duńczyku tam nie umiem mówić,
Bom nie bywał na morzu, nie chcę śledzi łowić,
Tum jedno po sadzawkach polskich trochę pływał,
A na morzu bodaj tam nikt dobry nie bywał!

U nas zaś obowiązywały kanony wiary, może przez Libelta (od Poznania) najzwięźlej ujęte:

„Wszakże warunkiem rozległego dziejowego działania, a tem samem estetycznego w narodach wyrazu, jest morze. Naród, nie przylegający granicami swemi do morza, nie może być dziejowy. Tam gdzie się oko gubi w mokrej przestrzeni bez granic, gdzie się umysł i wyobraźnia rozkołysują kołyszącemi się bez końca falami, gdzie pierś i odwaga rośnie, przywykająca do burz i nawałnic morskich, które pokonywać człowiek się uczy, — tam musi się wyrabiać piękniejsza, bo wznioślejsza fizjognomja narodowości i tam człowiek inaczej czuje, inaczej myśli, inaczej się objawia, a jakaś siła tajemna prze go do czynu".

Słormułował najściślej ś. p. Jan Popławski pisząc:

„Wolny dostęp do morza, posiadanie całkowite głównej arterji wodnej kraju, t. j. Wisły, to warunki konieczne prawie naszego istnienia. Całe to pobrzeże Bałtyku od Wisły aż do ujścia Niemna, tak niebacznie kiedyś roztrwonione przez państwo polskie, musi być odzyskane przez narodowość polską. Wyrzeczenie się tego dziedzictwa i nieszczęśliwe majaki o podbojach na Wschodzie były przyczyną naszego upadku politycznego, i dzisiaj w pracy odrodzenia te błędy przygniatają nas swym ciężarem i wstrzymują w pochodzie ku lepszej przyszłości".

W różnych i rozmaitych warjantach idee te przeprowadzali i inni, jak Chołoniewski we Lwowie, Bernard Chrzanowski w Poznaniu i niesłusznie w obozie narodowym przepomniany Purwin. Powtarzało się zatem: „Niema Kaszub bez Polonji, a bez Kaszub Polsci" i „Nigdy Kaszube nie pójdą do zgube"... Wyciągnęło też z pamięci poetę Derdowskiego....

Najważniejszym argumentem atoli był... „Hamlet"...

Tylko w „Hamlecie" mówi się pięć razy o Polsce i Polakach!... Hamlet kulminuje i przechyla się ku końcowi do osoby Fortinbrasa... Dlaczego Polonjusz ugodowiec? Gdzie jest Fortinbras? „Wojownicy Fortinbrasa idą do Polski jakgdyby szli na łoże a nie do grobu i nie wiedzą, czy ten *płacheć* ziemi, który mają zdobywać, — starczy im za mogiłę".

...fight for a *plot"*... „for *a egg-shell"* ..

Kęs ziemi! Nie większy jak „skorupa jaja"... A jednak dla Polski musi z tego być tchawica, musi być... port dla okrętów! *(bugaj dla korabli!).* A ileż to ma Belgja? Mariakerke, Middelkerke, Nieuport, Zoute, Heyst, Ostende, Westende, a razem 80 km. Prawdziwie za mały płacheć ziemi to kaszubskie pobrzeże?! Nie wystarczy! Nie wystarczy?... Ale musi starczyć! Byle był! Byle był!

O ile ludzie pióra, ludzie imaginacji wybiegają zawsze myślami jasnowidzącemi w przyszłość, jak dalej

wzrok ich sięga niż polityków i mędrców szkiełko i oko, niech wskaże fakt, że ze ś. p. Łunińskim na ławkach nad morzem godzinami bywało swarzyliśmy się o to, ile kilometrów pójdzie na port, gdzie będzie nasza Ostenda, gdzie kasyno i dom gry? A kiedy raz przyjechali z wizytą do Gdyni Jellenta ze Słońskim, to się o konfiguracji portu dysputowało jako o czemś zgoła realnem, namacalnem ,omal istniejącem może od jutra, od pojutrza. Oczywiście że przytem plotkowało się i o znajomkach i o dziewczynkach i o tem i owem, ale w międzyczasie w intervallach całkiem serjo o... „bugaju dla korabli"... Pierwszy pancernik będzie się zwał: „Arciszewski"! Nie! Pierwszy „Jan z Kolna". No to już idjotyczne! musi być przecież jedno słowo! No to „Sierpink". Nie! Kto tam wie, kto to Sierpnik! Pierwszy „Poniatowski"! No to już kretynizm! Skąd morze i Poniatowski? Chyba „Pułaski"? Puławski, to jest dom przewozowy dla mebli, wszyscy będą myśleli, że o tym Puławskim! Może lepiej „Kościuszko"? Owszem, zgadzam się. A wy? Także! No to jest. Pancernik pierwszy „Kościuszko"!

*

Potem po latach jeździło się rokrocznie „dla kontroli": 1918, 1919, 1920, 1921, 1922. Z uczuciami bardzo zmiennemi, ot takiemi, jakie musiał miewać ksiądz Pellegrin w swej Sableuse i jakie miewał Witkiewicz z Zakopanem, kiedyśmy bywało przechodzili przez... Krupówki...

*

Wtedy to raz na stacyjce gdyńskiej, dawnej ceglatej, zetknąłem się z grupą jegomościów wysiadających

z pociągu z bardzo uroczystymi, ważnymi minami, z Limanowskim (Zimorodkiem) na czele. Na zapytanie moje, co to za wycieczka? Limanowski bardzo poważnie:

...Międzyministerjalna Komisja dla Ochrony Krajobrazu Nadmorskiego"...

*

Przywiązanie do Bożej Zatoczki jeszcze przetrwało długo i entuzjazm dla tych co zaczęli budować tam pierwsi.

Świadczyć o tem może list generałowej Zofji Chrzanowskiej, prezesowej „Tow. Polskich Kąpieli Morskich", które pierwsze Steinberg zmieniło na Kamienną Górę i pobudowało tam szereg pięknych will i domków:

Warszawa, dn. 16 sierpnia 1922 r. W imieniem Zarządu I T. P. K. M. czujemy się w obowiązku przesłać Sz. Panu nie podziękowanie, ale słowa pełne zachwytu za gorący, olśniewający artykuł w „Rzeczypospolitej", nr. 220, o Gdyni. Od wiosny r. 1920 pracujemy, rzec można — ideowo, nad rozwojem tego cudownego zakątka Pomorza i jak to widać ze słów Sz. Pana, z rezultatem! Dwadzieścia willi, pięć zakładów przemysłowych, dwie szosy, osiem kołowych dróg, oraz zbudowany z iście amerykańskim pośpiechem przez dwa i pół miesiąca hotel „Cassubia" na wzgórzu w cudownem położeniu nad morzem, daje dowód, że Warszawa. Sz. Panie, czuwa by nie zrobić takiej ohydy jak np. Zoppoty. Mamy nadzieję, że bezrząd i bezład nie zeszpecą idylicznego zakątka, jakim jest Steinberg —

dzisiaj Kamieniec pod Gdynią... Oby ci jak Sz. Pan nie żałowali swego odkrycia a przeciwnie cieszyli się, iż rządy objęli ludzie kultury i pracy. Łączymy słowa uznania i poważania. Zofja Chrzanowska.

„Takiej ohydy jak np. Zoppoty"...?

Ale czy Zoppoty naprawdę taka ohyda?...

Opiekę moralną nad Pomorzem wziął już wtedy w swe spracowane kościste ręce ten co był Najgodniejszy, co ongiś wyśnił jasnowidząco... Rozłuckiego. Na inicjatywę i koncepcję „Wiatru od morza" wypłynęli mocno Bernard Chrzanowski, autor pierwszego „Przewodnika", i Chołoniewski, apostoł najżarliwszy, którego teściowa, doktorowa Głuchowska, wraz z żoną założyły w Gdyni pierwszy pensjonat „Pomorzankę" w r. 1913, jeszcze przed „Stella Maris" Dorszyńskiego. Ten też publicysta, oddając *suum cuique*, w szkicu swojem p. t.: „Gdynia dzisiejsza i wczorajsza" pisał co następuje:

„Aby skończyć z frekwencją wybitniejszych nieco osób przedwojennej Gdyni, tym co lwu a raczej bestji nie wahali się zaglądać w paszczę, byle móc spędzić wczasy nad morzem ojczystem, „u siebie", niewiele już trzeba. Z literatów polskich tylko jeden ważył się na ten naówczas prawie demonstracyjny pobyt nad polskiem morzem. Był to Adolf Nowaczyński, już wkrótce bicz boży na orjentacje ku Prusakom zerkające".

Sam Pellegrin ziębnął dla Sableuse... Cieszył się, że powstaje dziewięćdziesiąty drugi port świata i że rośnie tak prędko jak Canberra (stolica Australji), jak Tel-Awiw (miasto wiosny) ale ta Gdynia już miastem wiosny dla niego nie była... *Coal first!*

Niech sobie będzie! „*Polens Zwingsburg an der Ostsee*"? Doskonale. Deauville i Trouville?... Jeszcze lepiej! Ale jak sobie poradzą żeby to był i Tulon i Biarritz, równocześnie Badeort i... „Bugaj dla Korabli?".

Pellegrina więcej znów zaczął obchodzić z powrotem stary Gdańsk, a w nim ...pierwsze polskie gimnazjum. Koło jego zmontowania krzątał się wtedy niezmordowanie Przybyszewski; on to gimnazjum postawił na nogi a Pellegrina zaanimował do współagitacji takim listem, tu w skrócie podanym:

22.II. 22. Mój drogi Adolfie. A dali Bóg: jesteś mi drogi i bardzo cenny i bardzo kosztowny — gdzież ja miałem głupie ślepia w Krakowie, gdym Cię nie doceniał i nie byłem w stanie przeczuć, czem Ty — sub specie aeternitatis oczywiście — jeszcze nie byłeś, boś jeszcze nie był tym, którym dziś jesteś, ale czem będziesz i czem teraz jesteś. I jakby coś było we mnie, coby Ci tę krzywdę wynagrodzić chciało, bezustannie się do Ciebie w myślach zwracam, z chciwością czytam wszystko co piszesz. Podziwiam Cię i kłócę się z Tobą bezustannie, czasami się wściekam, ale zawsze ze świadomością „à tout seigneur tout honneur"...

Żem się wskutek tych jubileuszowych obchodów nie zagrzebał w ziemię z ciężkiego wstydu — ja i jubileusz! — tłumaczy jedynie to, że z tym jubileuszem połączyła się sprawa bytu lub niebytu gimnazjum polskiego w Gdańsku. Dlatego wziąłem na siebie ten dla mnie niezmiernie przykry ciężar obchodu — i to jedynie mnie rehabilituje. Sapienti sat. A ty, któryś właściwie pierwszy odkrył Gdańsk i Pomorze dla Polski — pamiętasz chwile, któreś spędzał u Giełdziń-

skiego w Gdańsku? Nastrój Twoją Jerychońską trąbą na najwyższy ton! — napisz coś piekielnie gorącego, by uwagę całego społeczeństwa zwrócić na to gimnazjum polskie w Gdańsku. — Ktoby jeszcze przed rokiem był śmiał o czemś podobnem pomyśleć! Okrzyczanoby go za warjata! — Napisz coś tak, jak tylko Ty jeden — nietylko w Polsce — napisać potrafisz! To więcej znaczy niż te pół miljona, którem dla tego gimnazjum już zdołał wyżebrać.

I takich listów w tej sprawie i w drugiej sprawie Domu Akademickiego dla studentów z Polski, uczęszczających do politechniki gdańskiej, wypisał Przybyszewski jak do mnie kilka tak do szeregu wpływowych rodaków jeżeli nie kilkaset, to w każdym razie kilkadziesiąt! Taki to był uspołeczniony i unarodowiony w ostatniem swojem dziesięcioleciu ten „kapłan sztuki dla sztuki". I jak tymi listami mnie zaanimował i zaaagitował tak i innych poruszył i wzruszył właśnie w momencie, kiedy normalnie profesjonalni działacze i społecznicy już wobec stwierdzonej apatji społeczeństwa chcieli dać za wygrane i zrzec się gdańskich placówek! I na swojem postawił Przybyszewski. I zwyciężył!

Dlaczego na tych akordach kończy się gdyńskie wspominki? Oto, aby raz jeszcze wykazać doniosłość roli, ważność posłannicwa oraz ciężar gatunkowy ludzi pióra w społeczeństwie? Nie, nietylko! W państwie, w *making of state*, w planowaniu t. zw. zrębów państwowych: prymat ich inicjacji i inicjatyw. Że niby na początku zawsze i wszędzie było: *słowo*. Czem Przybyszewski dla Polonji gdańskiej, tem zasugerowany przez nas ustnie i pisemnie Żeremjasz stał się dla popularyzacji Pomorza w szerokim ogóle od samego omal początku, od tych dni lutowych, kiedy to realizacja programu politycznego Romana Dmowskiego znalazła swój wyraz i gest symboliczny w scenie wrzucenia przez gen. Hallera pierścienia w ciemnozielone na przedwiośniu fale Bożej Zatoczki.

*

Ostatni raz w Sableuse byłem kilka lat temu.

Jakieś tam oficjalne „święto narodowe". Moc chorągwi i sztandarów i flagów. Tu i tam grające wrzaskliwe orkiestry. Różni tacy w szeregach maszerowali tam i z powrotem i znów tam i mijali się ze sobą i krzyczeli coś. Z jakiejś mównicy perorował zachrypnięty taki patrjota jak są te z „Radja". Środkiem szpaleru na „jezdni" przejeżdżały pompatycznie samochody z prezesami, dyrektorami,, generałami, prezydentami, szefami departamentów, sekcyj i t. p.

Jakiś luksusowy Lincoln, przepełniony twarzyczkami całkiem nie pierwszej sorty (ale w cylindrach), omało mnie wtedy wpół nie przejechał żywcem na rogu jakichś wspaniałych *avenues*. A jeszcze potem i pan policjant zwymyślał za tumanostwo... Że zaś tego samego ranka zaraz po przylocie do Langfuhr (Wrzeszcz), przeczytałem sobie w jakimś lokalnym heraldzie przykre sprawozdanie z toczącego się galicyjsko-grynderskiego procesu w Gdyni, więc *staggione* skróciłem o 60% i wieczorem jazda rapid z powrotem do zawsze prześlicznego miejscami Gdańska.

Rzeczywistość bywa bowiem albo znacznie piękniejsza od fata morgana, albo znacznie brzydsza.

„Bugaj dla korabli" chwalić Boga jest, i to w fasonie i w rozmiarach o jakich się jednak nie zamarzyło nam nigdy! ani razu! Prawdziwy to *summa cum laude sub auspiciis Dictatoris* zdany egzamin dojrzałości całego narodu.

Z Bożej Zatoczki atoli nie pozostało oczywiście ani śladu. Czajki też już gdzieindziej odfrunęły...

PODGÓRZE

Powodzie pamiętam od dzieciństwa, od najwcześniejszego.

Urodziłem się bowiem nad Wisłą, powiedzmy sobie, tysiąc najwyżej kroków od Wisły. Jak Lorentowicz nawet nie w samej Łodzi ale w Pabjanicach, tak jak nawet nie w Krakowie samym ale w Podgórzu, czyli jak krakowianie ośmielają się mówić, „na Podgórzu", jak się też mówi deminutywnie „na Litwie" zamiast „w Litwie".

Podgórze od Krakowa w dzień moich urodzin i jeszcze długo później oddzielały *dwie* Wisły, nie jedna, bo wtedy jeszcze istniało stare koryto, gdzie dziś planty Dietlowskie, tak że *miasto* Kazimierz było enclavą i wyspą. Podgórzanin zaś czyli Galicjanin, chcąc się dostać do „Księstwa" (sic!) Krakowskiego (Siewierskiego, Zatorskiego i t. d.) i jego stolicy Krakowa, musiał przejść przez pierwszy most, potem przez miasteczko zaludnione całkiem inaczej i specyficznie, a potem przez drugi most, poczem dopiero przez przedmieście Stradom, skąd wywodzi się kilka angielskich szlacheckich rodzin (lords of Stradomy), dostawał się już łatwo do samego Krakowa, stolicy wówczas Popielów i Jagiellonów; o Piastach w owych czasach nie było mowy.

Pierwszą tedy powódź widziało się lat temu pięćdziesiąt kilka jeszcze dzieckiem w kolebce kto łeb ur-

wał hydrze zalewów i powodzi jeszcze się taki nie urodził. Odtąd corocznie z małemi przerwami i pieredyszkami spokojnie, stale, systematycznie, punktualnie, poczciwa szara Wisełka sobie zalewa do nieprzytomności, bezceremonjalnie, bo bez przeszkód, przelewając się potem poza brzegi na pola i sioła i łąki i lasy i porywa dobytek ludzki i wyczynia bezecne zniszczenia, całkiem tak samiutyńko jak za Laskonogiego i Krzywoustego, za Ryxy i za Kingi. Doroczne te sensacje i circenses ludność dostaje gratis a bezpłatnie. Z Podhala zawsze idą z wiosną lub z latem wiadomości, że strumyki górskie wezbrały pasją na letników, którzy nietylko wrzucają w nie nieczystości (dzienniki krakowskie), ale nawet sami się kąpią. Strumyki i siklawy wtedy wzdymają się do niemożliwych granic. Dunajcami i Skawami wali zbełtana żółta woda do Wisły, i jazda na Kraków. Wtedy to znów cała ludność bez różnicy płci, wieku, klasy i rasy wylega na brzegi i patrzy i czeka. Czeka na emocje wyższego rzędu, a więc na krowy płynące, na karetę z końmi, którą porwało, na kolebkę z kwilącem dzieckiem, na dach z bocianiem gniazdem, na karczmę ze świecącemi jeszcze lampami, na kurniki, na deski ze szczurami, na Jontka trzymającego kurczowo Halinę niebogę, wentualnie na cały nawet obóz cygański, znienacka w nocy zbudzony i na oderwanej wyspie zalesionej płynący. Przeważnie wszystkiego tego się nie doczekuje i wtedy idzie ludność spać cokolwiek rozczarowana, nawet zniechęcona („u nas nawet powodzie"... i t. p.). Bądźcobądź jednak straty i szkody poważne i ciężkie bywają zawsze, jednego roku idą

w krocie, innego w miljony, a Wisła uregulowana jest tylko i wyłącznie na przestrzeni dawnego zaboru pruskiego; co było nasze, lasze, to nadal nieuregulowane tak jak i potoczyska górskie nie wzięte w żadne karby, a nie ma żadnej najmniejszej nadziei, żeby ten rzeczostan a raczej rzekostan kiedyś uległ „meljoracji" i sanacji. Jak bywało wówczas, kiedy na te lesiste ziemie wchodzili po raz pierwszy Cyryl i Metody, jak bywało za najazdu Tatarów i Osmanów, za Walezjusza i za Wazy, tak będzie i po wieki wieków amen. Z Podhala będzie szedł potop na Podgórze, z Podgórza na Kraków, a potem na Sandomierz i na stolicę. Tak być musi i tak być powinno. Bez dorocznej powodzi ani tego Nilu naopak (à rebours) ani tego kraiku podgórnego wyobrazić sobie nie można.

Kraik jest, z tem chyba wszyscy się zgadzają, nietylko przepiękny ale nawet śliczny a może i najładniejszy na świecie całym, i to właśnie poczynając od mego Podgórza, od Płaszowa, od Swoszowic, od Skawiny, od Kalwarji, od Suchej aż po same Tatry. Ludzie tam jak to ludzie, trafiają się i lepsze i bywają gorsze oraz wcale antypatyczne, ale mury, ale góry, ale wsie, ale miasteczka, ale lasy i gaje, pola, ogrody, rzeki i rzeczki, szosy, gościńce, kościołki, klasztorki, ratusze, magistraty, nawet karczmy przydrożne, to wszystko same cuda i cudeńka, i to dość w dalekiem promieniu bo aż poza Limanową i poza Sącze i Jasło. I to wszystko pachnie, inaczej wiosną, inaczej jesienią, ale pachnie, a gdzieindziej nic nie pachnie, bo jak może coś pachnąć na płaskich, równych mazowieckich spluwaczkowych piaskach porodzone? Nawet miasta

i miasteczka mają na Podgórzu swoje specyficzne zapachy; Wieliczka inaczej a Żywiec całkiem inaczej (najczyściej). Jedne pachną więcej drzewem, deskami, żywicą, inne — więcej żywemi akacjami, lipami, topolami. A jest jedno, które pachnie nawet z włoska, bo morwami! To Wadowice! — miasteczko, w którem chodziłem do normałki i do pierwszych gimnazjalnych. Podgórze ongi było bardzo śliczne ale nie miało dużo ogrodów i tak trochę jakoś było bez żadnych tradycyj. Założone już po rozbiorach z zabawną tendencją jako konkurencja dla Krakowa, nazywało się nawet Josephstadt. W tym Josephstadzie ładny był stary kościół u stóp Krzemionek, a przy nim siwiuteńki ksiądz kanonik Szerszeń, gaduła przemiły. Tradycja była tylko jedna, że w kamienicy przy Rynku mieszkał kilka lat zrzędu któryś z generałów z 31-go roku. Raz się mówiło że Dwernicki a raz że Chłopicki. A to tylko było pewne że chadzał na szpacjer zawsze z długą aż po ziemię fajką a nosił do niej „fidybus". Ogrodów ładnych zaś było niewiele. Tymczasem z dzieciństwa co się zawsze najlepiej i najczulej pamięta i wspomina? Pierwsze koty, pierwsze psy, pierwsze konie, kanarki, gołębie, kawkę, sowę, jeża, potem pierwszą katarynkę, granie rodzinne na fortepianie, pierwszą orkiestrę wojskową maszerującą, potem głównie pierwsze zetknięcia z przyrodą, pierwsze ogrody i ogródki a potem, co naj- a najważniejsze, pierwszy pobyt na wsi. W Podgórzu pięćdziesiąt lat temu najśliczniejszy w świecie był ogródek państwa notarjuszostwa Adamskich, drugi zrzędu najśliczniejszy doktorostwa Marjewskich, a spacer z nianką najładniejszy był na Krzemionki, na których raz do roku odbywała się „rękawka" a gdzie wtedy nic było ani jednego domku, ani łomku, ani willi, ani cottagu, tylko żółty jaskier i macierzanka nisko, a wysoko, bardzo wysoko krzaczki z jeżynami (ostrężynami), a jeszcze wyżej lasek i laskowe orzechy. A pierwsza wieś, którą się poznało, to był ziemski raj Bierzanów. Pani Czeczowa (baronesse Berta de Lindenwald) przysyłała po nas taki przewspaniały powóz ze sztangretem, wsiadało się z wielką paradą całą rodzinną gromadą, i jazda do siódmego nieba Mahometa. Synowie Lolo i Mancio (dziedzic z Kóz) czekali i witali na stopniach werandy (z szybkami w różnych kolorach tęczy). No i potem zaczynało się kilkodniowe szczęście bezgraniczne, ekstazy w oranżerji, upojenia w oborach, dozgonna przyjaźń z forysiami, przejadania malinami, jazda na kucu rozkosznie obłędna i pierwsza wstrząsająca emocja muzykalno-wokalna: ksiądz proboszcz bierzanowski Kufel prezentuje pierwszy chór „włościański" w Galicji: „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę"... Noc niespana, płacz, gorączka, klęczenie na grochu za karę a potem pierwsza chronologicznie wróżba przezacnej pani zamku (Ahnfrau Czeczów de Lindenwald): „z niego będzie coś ciekawego, trzeba bardzo ostro chować"...

Wadowice jeszcze śliczniejsze od Podgórza. Wszystkie domy, domki i dworki w ogrodach i ogródkach. Mieszkaliśmy, oczywiście, blisko sądu, w domu mecenasa Andrzeja Marka (tak, tak), który nadto stale chadzał w czarnym żupanie (sic). Przed domem skwer wspaniały, za domem ogród, gimnazjum otoczone

ogrodem, do dyspozycji ogrody znajomych i przyjaciół Iwańskich, Rząśnickich, Wilczyńskich, dr. Goebla, no i najpiękniej, najstaranniej utrzymany wspaniały ogród bogaczów Kornów. W Podgórzu najstaranniej utrzymany byl ogród bogaczów Baruchów (mlyny nad Wislą, Łagiewniki), których najmłodsza z trzech ślicznych córek Anda pierwszy objekt westchnień ośmiolatka.

W Wadowicach ogród Kornów łączył w sobie piękno ogrodu Bereniki z tajemniczością ogrodów Semiramidy. Okolice miasta bezwzględnie piękniejsze od okolic Neapolu czy Stockholmu, tylko mniej reklamowanc i przcz to mniej znane w Europie. Taki Gorzeń, taka strada do Choczni i Andrychowa, takie partje pcjzażowe za „Zbożnym" Rynkiem, alcja do Tomic (baronów Gostkowskich), taki park Monccau za kościołem wdole (dziś mocno zanicdbany), to wszystko fragmcnty świata, które się zawsze przypomina z rozwieczorami szły tędy rodziny ówczesnych wadowicsami.

Ale z najladniejszych najpiękniejsze, to droga spacerowa do rzeki Skawy, do mostu na Skawie. Pięćdziesiąt lat temu (z przysypką) w każdy dzień piękny rzewnieniem, o których się staremu śni jeszcze czakich dygnitarzy („Philister im Sonntagsröcklein) powoli, miarowo, w odstępach, najpierw bębny, potem dzieci, potcm panny z warkoczami, młódź męska, wreszcie państwo starostowie, prezydentostwo, prezesowie, dyrcktor gimnazjum, lekarz-akuszcr, lekarz-dentysta, prokuratorstwo, mecenasowa Korn, mecenas

Feuermann w ciszy, w zgodzie, dłonią w dłoń („my bez pracy dziś rodacy, praca dziś, to nasza broń").

Ta to callea byla obsadzona pierwsza w Galicji *morwami!* Morwy mają bardzo słodki owoc, mały, miękki owocek o upajającym zapachu i umiłowane są przez jakieś jcdwabniki kokony, z których to kokonów potem wyrabia się znowu dla kokotek koszulc...

O tem się, oczywiście, wtedy nie wiedziało, ale wiedziało o tem, że ta wadowicka alea morwowa jest w Polsce całej jedna jedyna! A nadto w magistracie, zdaje się, wisiał taki portret prastary uczoncgo z XVI w., Wadowity, pod którym napis:

„Dziękuję Ci aksamicie,
Kłaniają się Wadowicie".

I stąd duma młodziczy idącej z rodzinami jcdyną morwową aleją w stronę rzeczki Skawy. Tuż nad rzeką szemrzącą po kamieniach i prawie doszczętnie zawiklinioną i zaleszczynioną, stała taka buda, budeńka, szalccik z mleczarnią (kwaśnc: centa) a dla starszych piwo (z Bielitz-Biała lub „Seybusch"). Niektórzy się tam gdzie głębiej nawet kąpali. Doświadczeni zaś badali stan wody na rzece i orzekali, czy tym razem będzie powódź na św. Jana (Chrzciciela) czy aż na św. Jakóba. Żeby powodzi nie było z wiosną lub w lipcu, lub w sierpniu, to było całkowicie wykluczone, bo wtedy musiałaby być aż na św. Bartłomieja, a taka bywała najgroźnicjsza. Za wzbierającą raz poraz Skawą szła dalcj szosa wgórę, wgórę aż ku Barwałdowi, finalnie ku Kalwarji Zebrzydowskiej.

I tu przy tej szosie po prawej ręce był właściwy Eden, czyli ogród już nie Semiramidy ale wprost ogród Szecherezady, a może nawet Hesperyd. To była Klecza Górna państwa Sławińskich. Taksamo więc przyjeżdżał powóz ze sztangretem z bakenbardami. Wsiadało radcostwo z dziećmi, z których jedno, jeden był bliski obłędu z rozpierającej radości i drżączki oczekiwania i niepokoju „czy tylko dojedziemy", czy się coś nie stanie po drodze, czy koło nie odleci, lub czy go nie wyrzucą z powozu za fatalne sprawowanie, za natrętne a głupie pytania, za przeszkadzanie furmanowi (zawsze na koźle).

W Kleczy bywało często dużo gości *(donny di primo cartello)*. Nazywali się goście po tamtejszemu: Balowie, Słapowie, Brandyse (z Wielkich Dróg), Konopki, Romery (Inwald), Hallery, Homolacse, wogóle całkiem inaczej niż gdzieindziej, ale także bardzo wszyscy „dobrze", tylko, że znacznie dumniejsi od Radziwiłłów, Czartoryskich, Sapiehów i Sanguszków, co było niekiedy nieco przykre ale i zabawne. Nie w tem rzecz, ale w tem, że nieboszczyk stary pan Sławiński założył tam ogród-fermę z najdziwaczniejszych drzew, krzewów, kwiatów i jarzyn, jakie gdziekolwiek można było znaleźć i wypisać na kuli ziemskiej: tulipanowce, baobaby, piżmowce, pigwowce, perukowe, peruwjańskie, cabanosy, botokudy, schizofreny, hermafrodie, lukulluse, onomatopeny, marokanity, kaktualje, orchidjany, rodomandaty, architulje!

Pan Sławiński cieszył się z widza i słuchacza (choćby dziesięcioletniego), pokazywał i tłumaczył mu

wszystko godzinami i wtedy otwierało się niebo naoścież. Można było i nie można było nie płakać z zachwytu na widok tych cudowności i dziwaczności we wszystkich kolorach tęczy (wszystkich tęcz) z wszystkiemi zapachami i wonnościami. Oczywiście, w dość krótkim czasie cały majątek poszedł w bachczyserajski ogród, a dziś pono „nec locus ubi Troia fuerit"...

Nie tak daleko od tej Kleczy jest Sucha Branickich, potem moja Chabówka, potem Rabka Kadenów, potem Zaryte Chomętowskich, a potem miasteczko cudo cudem, trafem szczęśliwym, trafunkiem jeszcze przez malarzy i literatów nie odkryte, to jest Tymbark! Tymbark... Tymbark, któremu, gdy wygram na loterji państwowej miljon a potem wnet umrę, zapiszę pół miljona ciepłą ręką, byle się trochę oporządził.

Wogóle i w szczególe jak Podgórze pod Krakowem, bezprawnie i drogą gwałtu przez zachłanny imperjalistyczny Kraków zaanektowane, tak i całe to Podgórze czy Pogórze jest w gruncie rzeczy (nie obwijając prawdy w bawełnę) najpiękniejszym fragmentem świata. Ładniejszego widoku czy widoczku jak z Zaborni wdół we wrześniu, w dzień pogodny, wieczorem, godzina szósta — siódma, absolutnie nigdzie nikt nie znajdzie. Przed Babią Górą niech się schowa Fudżijama czy Popocatepetl. Takiego „garusu" ze śliwek jak u Pietrków Czyszczoniów w Chabówce nie dostaniecie nigdzie. Droga z Zakliczyna (ongiś Kopfów) do Wieliczki jest notorycznie piękniejsza od drogi z Miami do Gangstertown na Florydzie. A jakąż to pejsachówkę daje swym gościom „pod pstrąga" jeden z przyjaznych mi starozakonników niedaleko od

Czorsztejnu!... Prokocim zasię wolał ongiś Jerzmanowski z Ameryki kupić, choć mu za tańszą cenę ofiarowywali we Francji zamek Chateau Laffitte czy Lafayette, nawet z meblami po Kapetyngach i z parkiem w stylu Louis Kęs szy Sęk...

Słowem, ludzie na Pogórzu tam jak to ludzie albo myto jacy, albo tacy, albo owacy, rozmaicie bywa że i do rany przyłóż (byle się więcej nie rozjadziła!). Krajobraz natomiast *first class, non plus ultra* i bez konkurencji. *Vedi* Podgórze *e poi moriri.* Istnieją tylko jedne Wadowice na świecie, i te leżą nad Skawą!

Kto z tamtych stron pochodzi będzie kochał całą Polskę i Wszechpolskę i Wielkopolskę, ale jeżeliby zmarł przypadkowato nawet na umiłowanem Pomorzu, to jednak będzie prosił bardzo pokornie i przymilnie, żeby go w drodze łaski aeroplanem przewieźli na Pogórze i gdzieś tam na jakiemś wiejskiem, skromnem cmentarzysku pod jarzębiną pogrzebali. Nie gdzieindziej broń Panie Boże!



TREŚĆ

OKŁADKĘ WYKONANO
W ZAKŁADACH DRUKARSKICH
GALEWSKI I DAU WARSZAWA

